



PAM JENOFF

AUTORKA BESTSELLERÓW
NEW YORK TIMESA

Ta książka
zapiera dech w piersiach.

JODI PICOULT

KOBIETA Z NIEBIESKĄ GWIAZDĄ

Świat Książki

PAM JENOFF
KOBIEȚA
Z NIEBIESKĄ
GWIAZDĄ

Z angielskiego przełóżyła
Zofia Kunert


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Sadie](#)

[Rozdział 2. Ella](#)

[Rozdział 3. Sadie](#)

[Rozdział 4. Sadie](#)

[Rozdział 5. Ella](#)

[Rozdział 6. Sadie](#)

[Rozdział 7. Ella](#)

[Rozdział 8. Sadie](#)

[Rozdział 9. Ella](#)

[Rozdział 10. Sadie](#)

[Rozdział 11. Ella](#)

[Rozdział 12. Sadie](#)

[Rozdział 13. Ella](#)

[Rozdział 14. Ella](#)

[Rozdział 15. Sadie](#)

[Rozdział 16. Ella](#)

[Rozdział 17. Sadie](#)

[Rozdział 18. Sadie](#)

[Rozdział 19. Ella](#)

[Rozdział 20. Sadie](#)

[Rozdział 21. Ella](#)

[Rozdział 22. Sadie](#)

[Rozdział 23. Ella](#)

[Rozdział 24. Ella](#)

[Rozdział 25. Ella](#)

[Rozdział 26](#)

[Epilog](#)

[Od autora](#)

Podziękowania

Tytuł oryginału
The Woman with the Blue Star

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redakcja
Anna Sidorek

Korekta
Ewa Grabowska

The Woman with the Blue Star © 2021 by Pam Jenoff

All rights reserved including the right of reproduction in whole, or in part in any form.

This edition is published by arrangement with Harlequin Books S.A.

This is a work of fiction. Names, characters, places and incidents are either the product of the author's imagination, or are used fictitiously, and any resemblance to actual persons, living or dead, business establishments, events, or locales are entirely coincidental

Copyright © for the Polish translation by Zofia Kunert, 2023

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2023

Księgarnie internetowe
www.swiatksiazki.pl
www.ksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Dla mojego sztetla...
Jeszcze cię kiedyś zobaczę.*

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zamówienie nr 15047956928 swiatksiazki.pl

Prolog

Kraków, Polska

Czerwiec 2016

Kobieta, którą widzę przed sobą, nie jest wcale tą, której się spodziewałam.

Przed dziesięcioma minutami stałam przed lustrem w swoim pokoju hotelowym, usuwając szczotką kłaczki z mankietu jasnoniebieskiej bluzki i poprawiając perłowy kolczyk. Narastało we mnie zniechęcenie. Byłam doskonałym przykładem kobiety tuż po siedemdziesiątce – z krótko ostrzyżonymi, siwiejącymi włosami i w praktycznym garniturze, przylegającym do tęgawej figury bardziej, niż było to jeszcze przed rokiem.

Cisnęłam bukiet świeżych kwiatów na nocny stolik; były jasnoczerwone i zawinięte w szeleszczący, brązowy papier. Potem podeszłam do okna. Hotel Wentzl mieścił się w zmodernizowanej szesnastowiecznej kamienicy stojącej w południowo-zachodnim rogu krakowskiego Rynku. Celowo wybrałam tę lokalizację, upewniając się, czy z mojego pokoju jest odpowiedni widok. Plac z jego lekko wklęsłą południową pierzeją sprawiał wrażenie wrącego życiem ula. Turyści przelewali się pomiędzy kościołami a sprzedawcami pamiątek w Sukiennicach, masywnej podłużnej budowli, dzielącej Rynek na pół. W ten ciepły czerwcowy wieczór znajomi spotykali się w kawiarnianych ogródkach na drinka po pracy, a obładowani pakunkami przyjezdni spieszyli do domów, spoglądając na ciemne chmury wiszące nad Wawelem od południa.

Dwukrotnie byłam już w Krakowie, najpierw tuż po upadku komunizmu i dziesięć lat później, gdy zaczynałam swoje poszukiwania na wschodzie. To miasto, ten ukryty skarb, natychmiast podbiło moje serce. Chociaż przyćmione turystyczną popularnością Pragi i Berlina, Stare Miasto w Krakowie, pełne zabytkowych kościołów

i odrestaurowanych kamieniczek o oryginalnych fasadach, było jednym z najwykwintniejszych w Europie.

Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam, miasto wyglądało bardzo odmiennie, wszystko było jaśniejsze i nowsze, „lepsze” w oczach mieszkańców, którzy przeżyli wieloletni okres biedy i zastoju. Szare niegdyś domy zostały jaskrawo pomalowane na żółto i niebiesko, nadając starym uliczkom odrealniony, filmowy wygląd. Mieszkańcy również stanowili znakomity przykład różnorodności: modnie ubrani młodzi ludzie rozmawiający po drodze przez telefony komórkowe, a obok niechlujni górale, sprzedający wełniane swetry i oscypki z leżących na ziemi płacht, czy siedząca na chodniku owinięta w szal babina, żebrząca o groszaki. Poniżej sklepowej witryny reklamującej Wi-Fi i sieci internetowe gołębie, jak od wieków, dziobały ziarno na twardej, kamiennej nawierzchni Rynku. Spod całej otoczki nowoczesności i poloru przebijała jakby na przekór zabytkowa architektura Starego Miasta, której dawności nie można byłoby zaprzeczyć.

Jednak to nie historia sprowadziła mnie tutaj – przynajmniej nie tego rodzaju historia.

Gdy trębacz na wieży Mariackiej zaczął grać hejnał oznaczający pełną godzinę, przyglądałam się północno-zachodniemu rogowi placu w oczekiwaniu, że jak codziennie o piątej po południu pojawi się ta kobieta. Nie widziałam jej i zastanawiałam się, czy może dziś nie przyjdzie, co sprawiłoby, że moja wyprawa przez pół świata okazałaby się daremna. Pierwszego dnia chciałam się upewnić, czy jest właściwą osobą. Drugiego zamierzałam z nią porozmawiać, ale straciłam głowę. Jutro odlatuję z powrotem do Ameryki. Teraz miałam ostatnią szansę.

W końcu kobieta wyłoniła się zza rogu apteki, z parasolką elegancko zatknietą pod pachą. Przeszła przez plac z prędkością zdumiewającą jak na kobietę około dziewięćdziesiątki. Nie garbiła się; miała proste plecy, była wysoka. Jej siwe włosy były zwinięte na czubku

głowy w luźny węzeł, z którego wysunęło się kilka kosmyków, obejmując jakby wachlarzem jej twarz. W przeciwieństwie do mojego poważnego stroju nosiła jasną, kolorową spódnicę z wyrazistym wzorem. Gdy szła, połyskujący materiał zdawał się tańczyć wokół jej kostek i niemalże słyszałam jego szelest.

Postępowała zgodnie ze znanym mi trybem, tak samo jak przez dwa poprzednie dni, kiedy obserwowałam, jak wchodzi do kawiarni Noworolski i wybiera stolik osłonięty od bieganiny i hałasu przez głębokie arkady przy wejściu do budynku. Gdy ostatnim razem byłam w Krakowie, nadal szukałam. Teraz wiedziałam, kim jest i gdzie ją znajdę. Jedyne, co pozostało, to zebrać się na odwagę i zejść na dół.

Kobieta jak zazwyczaj usiadła przy stoliku w kącie i otworzyła gazetę. Nie miała pojęcia, że zaraz się spotkamy – a nawet że ja w ogóle żyję.

Z oddali dobiegł huk grzmotu. Spadły pierwsze krople deszczu, rozpryskując się na kamiennym bruku jak ciemne łzy. Musiałam się spieszyć. Jeśli ogródek kawiarni zostanie zamknięty i kobieta odejdzie, wszystko przepadnie.

Słyszałam głosy moich dzieci mówiących, że to zbyt niebezpieczne, by w moim wieku jechać samej tak daleko, że nie ma powodu i niczego nowego się tutaj nie dowiem. Powinnam dać spokój i wracać do domu. Nikogo to nie zainteresuje.

Z wyjątkiem mnie – i jej. Wyobrażałam sobie, że słyszę w głowie jej głos, przypominający mi, po co tu przyjechałam.

Wzięłam się w garść, podniosłam kwiaty i wyszłam z pokoju.

Ruszyłam przez plac. Potem znowu przystanęłam. Ogarnęły mnie wątpliwości. Po co przebyłam całą tę drogę? Czego szukałam? Z uporem szłam naprzód, nie czując wielkich kropli moczających mi ubranie i włosy. Dotarłam do kawiarni, ominęłam stoliki, przy których klienci opłacali rachunki, szykując się do wyjścia, gdyby bardziej się rozpadało. Gdy

podeszłam do jej stolika, siwowłosa kobieta podniosła wzrok z nad gazety. Oczy jej się rozszerzyły.

Będąc tak blisko, mogłam zobaczyć jej twarz. Mogłam zobaczyć wszystko. Stałam bez ruchu jak skamieniała.

Kobieta, którą widziałam przed sobą, nie była wcale tą, której się spodziewałam.

Rozdział 1

Sadie

Kraków, Polska,

marzec 1942

Wszystko zmieniło się tego dnia, gdy przyszli po dzieci.

Cały dzień musiałam siedzieć w trudno dostępnym zakamarku strychu trzypiętrowego budynku na terenie getta, w którym mieszkaliśmy z tuzinem innych rodzin. Mama co rano przed wyjściem do pracy w fabryce pomagała mi się tam schować, zostawiając mi puste wiadro służące jako toaleta i srogo napominając, bym nie wychodziła. Jednak gdy zostawałam sama w ciasnym, lodowatym pomieszczeniu, gdzie nie mogłam ani się ruszać, ani nawet stanąć prosto, marzłam i robiłam się niespokojna. Minuty wlekły się w ciszy, przerywanej jedynie odgłosem skrobania; to porozumiewały się inne dzieci, znacznie młodsze ode mnie, ukryte gdzieś za ścianą. Były ulokowane każde oddzielnie i nie miały miejsca na bieganie czy zabawę, więc przesyłały sobie wiadomości, wystukując je lub drapiąc, używając jakby jakiegoś improwizowanego alfabetu Morse'a. Czasami z nudów przyłączałam się do nich.

„Wolność jest tam, gdzie ją znajdziesz” – mawiał często mój ojciec, gdy się skarżyłam. Tato potrafił widzieć świat dokładnie w taki sposób, w jaki chciał. „Najgorsze więzienie tkwi w naszym umyśle”. Łatwo mu było mówić. Chociaż prosta praca fizyczna w getcie była daleka od jego przedwojennego zawodu księgowego, przynajmniej codziennie był poza domem i widywał innych ludzi. Nie siedział w zamknięciu tak jak ja. Prawie nie wychodziłam z budynku, odkąd sześć miesięcy temu musieliśmy się przeprowadzić z naszego mieszkania w dzielnicy żydowskiej, położonej w pobliżu centrum, na Podgórzu na południowym brzegu Wisły, gdzie zostało utworzone getto. Pragnęłam normalnego

życia, własnego życia, swobodnego wychodzenia poza mury getta do wszystkich miejsc, które znałam, i uważałam to za oczywiste. Wyobrażałam sobie, że jadę tramwajem do sklepów na Rynku albo na film do kina, albo żeby obejrzeć stare, porośnięte trawą kopce na przedmieściach. Chciałabym, żeby przynajmniej moja najbliższa przyjaciółka Stefania była jednym z dzieci ukrywających się w pobliżu. Niestety, mieszkała w innej części getta przeznaczonej dla rodzin żydowskiej policji.

Tym razem to nie nuda czy samotność wyciągnęły mnie z kryjówki, tylko głód. Zawsze miałam duży apetyt, a tego ranka śniadanie stanowiła połowa kromki chleba, czyli porcja jeszcze mniejsza niż zazwyczaj. Mama chciała mi dać swój przydział, ale wiedziałam, że musi mieć siłę na czekający ją długi dzień pracy fizycznej.

Po kilku godzinach zaczął mnie boleć pusty brzuch. Przed oczami nieproszone stawały mi obrazy potraw, które jadaliliśmy przed wojną: gęstej zupy grzybowej, pikantnego barszczu, pierogów z obfitym nadzieniem, robionych zazwyczaj przez moją babcię. Późnym rankiem poczułam się tak osłabiona z głodu, że wyszłam z kryjówki i zeszłam na dół do wspólnej kuchni na parterze. Była to po prostu jedna czynna fajerka na piecyku i zlew, z którego kapała chłodna, brązowawa woda. Nie poszłam tam po jedzenie – nawet gdyby było, tobym go nie ukradła. Chciałam raczej zobaczyć, czy na kredensie zostały jakieś okruszki, i wypełnić żołądek szklanką wody.

Zostałam w kuchni dłużej, niż powinnam, czytając książkę z pozaginanymi rogami, którą przyniosłam ze sobą. Najbardziej nie cierpiałam mojej kryjówki na strychu dlatego, że było tam zbyt ciemno, by czytać. Zawsze uwielbiałam książki i tato przyniósł mi ich z naszego dawnego mieszkania tyle, ile zdołał, pomimo protestów mamy, która uważała, że trzeba oszczędzać miejsce w torbach na żywność i ubrania. To ojciec pielęgnował moje zamiłowanie do nauki i popierał moje marzenie o studiowaniu medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, zanim niemieckie rozporządzenia uczyniły to niemożliwym, najpierw

zakazując studiów Żydom, a potem całkiem zamykając uniwersytety. Nawet w getcie po zakończeniu długich, wyczerpujących dni pracy tato uwielbiał mnie uczyć i prowadzić ze mną rozmaite dyskusje. Kilka dni temu w jakiś sposób zdobył dla mnie nową książkę, *Hrabia Monte Christo*. Jednak moja kryjówka na strychu była zbyt ciemna, bym mogła tam czytać, a wieczorem miałam zaledwie odrobinę czasu przed godziną policyjną i wygaszaniem świateł. Jeszcze tylko chwilę – powiedziałam sobie, odwracając kolejną stronę. Kilka minut nie będzie mieć znaczenia.

Kończyłam oblizywać brudny nóż do chleba, gdy usłyszałam pisk masywnych opon, a potem szczekliwe głosy. Zastygłam bez ruchu, niemal upuszczając książkę. Na zewnątrz było gestapo i SS, w obstawie plugawej Jüdischer Ordnungsdienst, żydowskiej policji w getcie, wykonującej ich rozkazy. To była tzw. akcja, czyli nagłe, niezapowiedziane aresztowanie dużej grupy Żydów i wywiezienie ich z getta do obozów. Z tego właśnie powodu natychmiast powinnam się była ukryć. Wybiegłam z kuchni przez przedpokój i popędziłam schodami na górę. Z dołu dobiegł straszny łomot, gdy drzwi wejściowe do budynku zostały wyłamane i do środka wpadła policja. Nie było sposobu, bym zdążyła wrócić na strych.

Wobec tego wbiegłam do naszego mieszkania na trzecim piętrze. Serce mi waliło, gdy rozpaczliwie rozglądałam się za jakąś szafą czy inną gablotą, w których dałoby się ukryć w małym, niemal pustym pokoju, wyposażonym tylko w łóżko i komodę. Wiedziałam, że były takie miejsca jak to ze sztuczną ścianką gipsową, którą jedna z rodzin zbudowała w przylegającym budynku przed niespełna tygodniem. Było to jednak zbyt daleko i nie miałam możliwości, by się tam dostać. Mój wzrok spoczął na wielkim kufrze ustawionym w nogach łóżka moich rodziców. Kiedyś, wkrótce po przeprowadzce do getta, mama pokazała mi, jak się w nim ukryć. Traktowałyśmy to jak zabawę, mama uchylała wieko skrzyni tak, bym mogła się tam wślizgnąć, zanim je zatrzasnęła.

Kufer był okropną kryjówką, widoczną i stojącą na środku pokoju. Jednak po prostu nie było innej. Musiałam spróbować. Dobiegłam do

łóżka i wskoczyłam do skrzyni, a potem z wysiłkiem zamknęłam wieko. Dziękowałam niebiosom, że jestem tak szczupła jak mama. Nigdy nie znosiłam swojej drobnej budowy, która sprawiała, że wyglądałam na dwa lata mniej, niż miałam. Teraz to wydawało się błogosławieństwem, podobnie jak smutny fakt, że po miesiącach skromnych racji żywnościowych w getcie byłam jeszcze chudsza. Nadal mieściłam się w kufrze.

Kiedy robiłyśmy próby, przewidywałyśmy, że mama przykryje wieko skrzyni jakimś kocem czy ubraniami. Oczywiście, nie byłam w stanie zrobić tego sama. Zatem kufer stał dobrze widoczny dla każdego, kto by wszedł do pokoju. Skuliłam się i oplotłam ramionami, wyczuwając na rękawie białą opaskę z niebieską gwiazdą, jaką musieli nosić wszyscy Żydzi.

Wtedy z sąsiedniego budynku doszedł mnie łoskot – dźwięk gipsu rozkuwanego młotkiem czy siekierą. Policja znalazła kryjówkę za ścianą, pewnie naprowadzona na trop zbyt świeżą farbą. Rozległ się straszny krzyk, gdy znaleziono dziecko i wydostano je z ukrycia. Gdybym tam pobiegła, także zostałabym złapana.

Ktoś podszedł do drzwi naszego mieszkania i gwałtownie je otworzył. Serce mi zamarło. Nie mogłam oddychać, wyczuwałam wzrok przeszukujący pokój. Przepraszam, mamo – pomyślałam, niemal słysząc jej wyrzuty, że zeszłam ze strychu. Nastawiłam się na to, że zostanę odnaleziona. Czy lepiej mnie potraktują, jeśli sama wyjdę i dam za wygraną? Nagle znów usłyszałam kroki, najwyraźniej Niemiec poszedł dalej korytarzem, przystając pod każdymi drzwiami i nasłuchując.

Wojna zaczęła się w Krakowie pewnego ciepłego jesiennego dnia dwa i pół roku temu, gdy po raz pierwszy rozległy się syreny przeciwlotnicze i bawiące się dzieci uciekły pędem z ulicy. Życie stało się trudne, a potem złe. Żywność zniknęła i czekaliśmy w długich kolejkach po najpotrzebniejsze produkty. Pewnego razu przez cały tydzień nie było chleba.

Potem, jakiś rok temu, zgodnie z zarządzeniami władz Generalnego Gubernatorstwa, do Krakowa tysiącami przybywali przerażeni Żydzi z małych miasteczek i wsi, taszcząc swój dobytek na plecach. Początkowo zastanawiałam się, jak oni wszyscy znajdą sobie mieszkania na Kazimierzu, w już i tak zatłoczonej żydowskiej dzielnicy. Jednak nowo przybyli zostali zmuszeni dekretem do osiedlenia się na odległym brzegu rzeki w przeludnionej części przemysłowego Podgórze odgrozionej wysokim murem. Mama pracowała dla gminy, organizacji tutejszej żydowskiej wspólnoty, pomagając jej w ulokowaniu przybyszów, i często tuż po przybyciu bywali u nas znajomi znajomych, zanim na dobre przenieśli się do getta. Opowiadali o tym, co wydarzyło się w ich rodzinnych miastach, historie zbyt okropne, by w nie uwierzyć, więc mama wyganiała mnie z pokoju, żebym tego nie słyszała.

Kilka miesięcy po utworzeniu getta nam również kazano się tam przenieść. Kiedy tato mi o tym powiedział, nie mogłam uwierzyć. Nie byliśmy przesiedleńcami, ale mieszkańcami Krakowa; przez całe życie mieszkaliśmy w kamienicy przy ulicy Meiselsa. Była to świetna lokalizacja: na skraju dzielnicy żydowskiej, ale w odległości spacerku od najatrakcyjniejszych miejsc w centrum Krakowa i na tyle blisko od biura taty przy ulicy Stradomskiej, że mógł piechotą przyjść do domu na lunch. Nasze mieszkanie znajdowało się nad kawiarnią, w której co wieczór grywał pianista. Czasem docierała do nas muzyka i tato wirował z mamą po kuchni w rytm cichej melodii. Jednak według rozkazu: Żydzi to Żydzi. Jednego dnia. Każdy z jedną walizką. I cały znany mi dotychczas świat zniknął na zawsze.

Uchyliłam kufer i zerknęłam przez wąską szparę, próbując rozejrzeć się po pokoju, w którym mieszkałam z rodzicami. Wiedziałam, że byliśmy szczęściarzami, bo mieliśmy cały pokój dla siebie; ten przywilej zawdzięczaliśmy funkcji ojca jako brygadzysty. Inni musieli mieszkać razem w dwie lub trzy rodziny, ale w porównaniu z naszym prawdziwym domem przestrzeń i tak bardzo się skurczyła. Siedzieliśmy

sobie stale na głowach, przez co obrazy, dźwięki i zapachy codziennego życia stawały się bardziej intensywne.

– *Kinder, raus!* – krzyczeli teraz cały czas policjanci, przeszukując korytarze. Dzieci, wychodźcie. Nie po raz pierwszy zdarzyło się, że Niemcy przyszli po dzieci w ciągu dnia, wiedząc, że ich rodzice są wtedy w pracy.

Ale ja nie byłam już dzieckiem. Miałam osiemnaście lat i mogłabym pracować jak inni w moim wieku, a nawet o kilka lat młodszy. Widziałam, jak co rano ustawiają się w szeregu podczas sprawdzania listy, zanim powłoką się do fabryk. Jednak chciałam pracować, chociaż orientowałam się na podstawie powolnych, zbolących ruchów taty, który pochylał się jak staruszek, i widoku pokaleczonych, krwawiących rąk mamy, że praca jest ciężka i okropna. Ale oznaczała ona możliwość wyjścia na zewnątrz, spotkania z innymi ludźmi, porozmawiania z nimi. Ukrywanie mnie stanowiło temat wielu narad moich rodziców. Tato uważał, że powinnam pracować. Świadectwa pracy miały w getcie bardzo dużą wartość. Robotnicy byli cenieni i było mniejsze prawdopodobieństwo, że zostaną wywiezieni do obozu. Jednak mama, która rzadko nie zgadzała się z tatą, nie dopuściła do tego. „Ona nie wygląda na swój wiek. Praca jest zbyt ciężka. Będzie bezpieczniejsza, kiedy zniknie z oczu”. Teraz w swojej kryjówce, gdy lada chwila mogłam zostać odnaleziona, zastanawiałam się, czy nadal by uważała, że miała rację.

W budynku w końcu zapadła cisza, ostatnie przerażające kroki oddaliły się. Wciąż się nie poruszałam. Jedną z pułapek zastawianych przez Niemców na ukrywających się ludzi było udawanie, że odchodzą, i czyhanie na nich, dopóki nie wyszli z ukrycia. Trwałam w bezruchu, nie mając odwagi wyjść z kryjówki. Bolały mnie zdrętwiałe ręce i nogi. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło. Przez szparkę zobaczyłam, że w pokoju się ściemniło, tak jakby słońce było już nieco niżej.

Trochę później znowu rozległy się kroki, tym razem było to szuranie, jak wtedy, gdy robotnicy wlekli się w milczeniu, wracając wyczerpani po całym dniu pracy. Spróbowałam wydostać się z kufra, ale mięśnie miałam sztywne i obolałe, więc poruszałam się niezdarnie. Zanim udało mi się podnieść wieko, drzwi mieszkania otworzyły się gwałtownie i ktoś wpadł do pokoju. Rozpoznałam mamę po lekkim, drobnym kroku.

– Sadie! – krzyknęła histerycznie.

– Jestem tutaj – zawołałam.

Teraz, kiedy była obok, mogła mi pomóc rozprostować się i wyjść, ale mój głos został stłumiony przez kufer. Kiedy próbowałam otworzyć zatrzask, zablokował się.

Mama wybiegła z pokoju na korytarz. Słyszałam, jak otwiera drzwi prowadzące na strych, biegnie schodami na górę i cały czas mnie szuka. Wołała: „Sadie!”, a potem raz po raz: „Moje dziecko, moje dziecko!”. Gdy mnie nie znalazła, jej głos przeszedł w przeraźliwy krzyk. Myślała, że przepadłam.

– Mamo! – zawołałam.

Była jednak zbyt daleko, by mnie usłyszeć, a sama krzyczała za głośno. Zrobiłam jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek, by się uwolnić ze skrzyni, bez skutku. Po chwili mama znów wbiegła do pokoju, głośno łkając. Usłyszałam zgrzyt otwieranego okna. Napałam na wieko kufra, wyteżając ramiona tak mocno, że aż pulsowały. Pokrywa odskoczyła.

Uwolniłam się i wyprostowałam.

– Mamo?

Stała w dziwnej pozycji, ze stopą na parapecie, jej smukła sylwetka rysowała się na tle ciemniejszego nieba.

– Co ty robisz?

Przez sekundę myślałam, że wychyla się, szukając mnie na zewnątrz. Jednak twarz miała wykrzywioną rozpaczą. Wtedy zrozumiałam, dlaczego stoi na parapecie. Była przekonana, że zostałam zabrana wraz z innymi dziećmi. I nie chciała dłużej żyć. Gdybym w porę nie uwolniła się ze skrzyni, mama by wyskoczyła. Byłam jej jedynym dzieckiem, całym jej światem. Była gotowa zabić się, nie chcąc żyć dalej beze mnie.

Przebiegł mnie dreszcz i podbiegłam do niej.

– Jestem tutaj, jestem tutaj!

Zachwiała się, więc złapałam ją za ramię, żeby nie wypadła. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Zawsze chciałam, żeby była ze mnie zadowolona, chciałam wywołać uśmiech na jej pięknej twarzy, co nie było łatwe. Teraz sprawiłam jej tyle bólu, że niemal zrobiła coś nie do pomyślenia.

– Tak bardzo się martwiłam – powiedziała, gdy pomogłam jej zejść z parapetu i zamknąć okno. I dodała, jakby to tłumaczyło wszystko: – Nie było cię na strychu.

– Ale, mamo, schowałam się tam, gdzie mi kazałaś. – Wskazałam na kufer. – To inne miejsce, pamiętasz? Dlaczego tu mnie nie szukałaś?

Mama wyglądała na zakłopotaną.

– Nie sądziłam, że jeszcze się w nim zmieścisz.

Zapadło milczenie, a potem obie zaczęłyśmy się śmiać, co zabrzmiało zgrzytliwie i nie na miejscu w tym nędznym pokoju. Przez kilka chwil było tak, jakbyśmy z powrotem znalazły się w naszym dawnym mieszkaniu przy Meiselsa i nic z tego wszystkiego się nie wydarzyło. Skoro nadal potrafiłyśmy się śmiać, na pewno wszystko będzie dobrze. Chwyciłam się tej nieprawdopodobnej myśli jak deski ratunku.

Nagle w budynku rozległ się krzyk, potem kolejny, i nasz śmiech zamarł. To krzyczały matki dzieci zabranych przez policję. Z zewnątrz

dobiegł głuchy odgłos. Podeszłam do okna, ale matka mnie odciągnęła.

– Nie patrz tam – powiedziała.

Jednak było już za późno. Dostrzegłam Helgę Kolberg, sąsiadkę z końca korytarza, leżącą bez ruchu na chodniku, na przybrudzonym węglem śniegu, z dziwnie powykręcanyimi kończynami i spódnicą unoszącą się wokół jak balon. Gdy dowiedziała się, że jej dzieci zostały zabrane, tak jak mama nie chciała bez nich żyć. Zastanawiałam się, czy skok z okna był instynktowny, czy kobiety wcześniej rozmawiały o tym, jaki rodzaj samobójstwa wybrać w przypadku, gdyby spełnił się najgorszy koszmar.

Wtedy do pokoju wbiegł ojciec. Ani mama, ani ja nie powiedziałyśmy słowa, ale widząc jego wyjątkowo smutną twarz, wiedziałam, że już wiedział o „akcji” i o tym, co się stało w innych rodzinach. Po prostu podszedł i objął nas obie swymi ogromnymi ramionami, przytulając mocniej niż zazwyczaj.

Gdy tak siedzieliśmy, cisi i nieruchomi, przyjrzałam się rodzicom. Mama była prawdziwą pięknoscią – szczupła, pełna wdzięku, z włosami blond, wyglądała jak nordycka księżniczka. Nie przypominała innych żydowskich kobiet i nieraz słyszałam pogłoski, że nie jest stąd. Mogłaby wyjść z getta i żyć jak nie-Żydówka, gdyby nie my: byłam podobna do taty, miałam ciemne, kręcone włosy i oliwkową cerę, i nie można było zaprzeczyć, że jesteśmy Żydami. Ojciec wyglądał jak robotnik, którym stał się w getcie z rozkazu Niemców, miał szerokie bary i był w stanie przenosić wielkie rury czy betonowe płyty. W rzeczywistości był księgowym – był nim, dopóki jego firma mogła go legalnie zatrudniać. Zawsze chciałam sprawiać radość mamie, ale to tata był moim sprzymierzeńcem, powiernikiem sekretów i poplecznikiem, który nie spał po nocach, gdy w ciemności szeptem zwierzałam się z tajemnic, i wraz ze mną wędrował po mieście w poszukiwaniu skarbów. Przysunęłam się do niego, próbując schronić się w jego bezpiecznych objęciach.

Teraz jednak ramiona taty nie dawały już takiego oparcia, bo wszystko wokół się zmieniło. Getto, mimo nędznych warunków, wydawało się niegdyś w miarę bezpieczne. Żyliśmy wśród Żydów, a Niemcy nawet wyznaczyli żydowską radę – Judenrat – która miała regulować codzienne sprawy. Tato nieraz mówił, że może jeśli przyczaimy się i będziemy robić, co każą, Niemcy zostawią nas w spokoju w obrębie tych murów aż do końca wojny. Takie były nadzieje. Po dzisiejszych wydarzeniach nie byłam już tego pewna. Rozejrzałam się po pokoju, odczuwając na równi niesmak i lęk. Początkowo nie chciałam w ogóle tu mieszkać; a teraz bałam się, że zostaniemy zmuszeni do opuszczenia tego miejsca.

– Musimy coś zrobić! – krzyknęła mama, a jej głos był o ton wyższy niż zazwyczaj i jakby wtórował moim niewypowiedzianym myślom.

– Zabiorę ją jutro i zarejestruję, żeby dostała pozwolenie na pracę – oświadczył tata.

Tym razem mama nie protestowała. Przed wojną fajnie było być dzieckiem. Teraz mogło nas ocalić jedynie bycie użytecznym i zdolnym do pracy.

Mama mówiła jednak o czymś więcej niż tylko zezwolenie na pracę.

– Oni przyjdą tu znowu i następnym razem nie będziemy mieć tyle szczęścia.

Już nie starała się ukrywać swoich słów dla mojego dobra. Kiwnęłam w milczeniu głową na znak zgody. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że wszystko się zmieniło. Nie mogliśmy zostać tutaj na zawsze.

– Będzie dobrze, kochana – powiedział tata uspokajająco.

Jak mógł powiedzieć coś takiego? Mimo to mama położyła mi głowę na ramieniu, najwyraźniej ufając mi jak zawsze. Ja także

chciałam w to wierzyć.

– Coś wymyślę. Przynajmniej wciąż jesteśmy wszyscy razem –
dodał ojciec, gdy przysunęliśmy się do siebie. Te słowa zabrzmiały
w pokoju jak obietnica i modlitwa zarazem.

Rozdział 2

Ella

*Kraków,
czerwiec 1942*

Tego ciepłego wieczoru na początku lata szłam przez plac, lawirując wśród pachnących stoisk z kwiatami w podcieniach Sukiennic. Tylko nieliczni mieli pieniądze lub ochotę, by kupić kolorowe, świeże bukiety. Plenerowe kawiarenki, znacznie spokojniejsze, niż powinny być w taki miły wieczór, nadal były otwarte i robiły szybki utarg, serwując piwo niemieckim żołnierzom i nielicznym ryzykantom, którzy mieli odwagę do nich dołączyć. Gdyby ktoś nie przyjrzał się bliżej, mogłoby się wydawać, że nic się nie zmieniło.

Ale oczywiście zmieniło się wszystko. Kraków był miastem okupowanym od prawie trzech lat. Czerwone flagi z czarnymi swastykami zwisały z Sukiennic i z ceglanej wieży ratusza. Rynek został przemianowany na Adolf-Hitler-Platz, a starodawne polskie nazwy ulic zmieniły się na Reichsstrasse, Wehrmachtstrasse itp. Hitler wyznaczył Kraków na stolicę Generalnego Gubernatorstwa i w mieście było pełno esesmanów i rozmaitych niemieckich żołnierzy, zbirów w długich buciorach, kroczących trójkami lub czwórkami całą szerokością przejścia. Zmuszali innych przechodniów do zejścia im z drogi i dowolnie szykanowali zwyczajnych Polaków. Na rogu placu chłopiec w krótkich spodenkach sprzedawał „Gońca Krakowskiego”, niemiecką gazetę propagandową, która miała zastąpić polską prasę. Ludzie pogardliwie szeptem nazywali ją „Podogońcem”, dając do zrozumienia, że nadaje się jedynie do wytarcia tyłka.

Niezależnie od wszystkich okropnych zmian, jakie nastąpiły, nadal w taki piękny wieczór miło było wyjść na dwór i czując na twarzy ciepłe promienie słońca, móc rozprostować nogi. Codziennie, odkąd pamiętam,

przez całe dziewiętnaście lat, spacerowałam ulicami Starego Miasta, najpierw jako dziecko z ojcem, a potem już sama. Ich układ określał krajobraz mojego życia: od średniowiecznego Barbakanu i bramy wieńczącej ulicę Floriańską po górujący na wzgórzu nad Wisłą Zamek Królewski na Wawelu. Wydawało się, że te spacerory są jedyną rzeczą, której ani czas, ani wojna nie mogą mi odebrać.

Jednak nie zatrzymywałam się w kawiarniach. Niegdyś mogłam tam przesiadywać z przyjaciółmi, śmiejąc się i rozmawiając o zachodzie słońca, gdy wieczorem zapalały się latarnie, a żółte snopy światła rozjaśniały chodnik. Teraz nie było już oświetlenia – wszystko było zaciemnione na mocy niemieckiego rozporządzenia, by chronić miasto przed możliwymi nalotami. Poza tym nikt z moich znajomych już się z nikim nie spotykał. Często sobie przypominałam, że ludzie obecnie rzadko wychodzą z domów i że przestali się zapraszać. Niewiele osób mogło kupić na kartki wystarczająco dużo jedzenia, by urządzić przyjęcie w domu. Każdy był pochłonięty tym, żeby samemu przetrwać, więc na spotkanie towarzyskie raczej nie można było sobie pozwolić.

Doskwierała mi samotność. Moje życie bez Krzysia było tak ciche, że pragnęłam posiedzieć i porozmawiać ze znajomymi w moim wieku. Starając się o tym nie myśleć, ponownie okrążyłam Rynek, przyglądając się wystawom prezentującym towary, na które niemal nikogo nie było stać. Robiłam wszystko, żeby opóźnić powrót do domu, gdzie mieszkałam z macochą.

Jednak głupotą byłoby dłuższe przebywanie na ulicy. Pod wieczór, bliżej godziny policyjnej, Niemcy znacznie częściej zatrzymywali i przepytывali przechodniów. Opuściłam Rynek i poszłam szeroką ulicą Grodzką w stronę domu, znajdującego się niedaleko od centrum miasta, gdzie mieszkałam przez całe życie. Skręciłam w Kanoniczą, wybrukowaną kamienną kostką wygładzoną przez czas. Chociaż obawiałam się spotkania z macochą, Aną Lucią, to musiałam przyznać, że nasza kamienica przedstawiała miły widok. Miała jasnożółtą fasadę i wypielęgnowane skrzynki z kwiatami na oknach i była ładniejsza niż

to, na co zdaniem Niemców zasługiwali Polacy. W innych okolicznościach z pewnością zostałyby skonfiskowane dla jakiegoś niemieckiego oficera.

Gdy zatrzymałam się przed domem, przed oczami stanęły mi wspomnienia rodziny. Obraz mamy, która zmarła na gripę, gdy byłam mała, był najmniej wyraźny. Jako najmłodsza z czworga rodzeństwa zazdrościłam im, że spędzili wiele lat z mamą, którą ja ledwie znałam. Obie moje siostry były zamężne, jedna wyszła za prawnika z Warszawy, a druga za kapitana statku w Gdańsku.

Ale najbardziej tęskniłam za bratem Maciejem, z którym dzieliła mnie najmniejsza różnica wieku. Chociaż był osiem lat starszy, zawsze miał czas, żeby się ze mną pobawić lub porozmawiać. Różnił się od innych. Nie interesowało go małżeństwo ani kariera, jakiej pragnął dla niego ojciec. Gdy miał siedemnaście lat, uciekł do Paryża, gdzie mieszkał z mężczyzną o imieniu Phillipe. Oczywiście Maciej nie uniknął długiego ramienia nazistów. Niemcy teraz okupowali również Paryż, sprowadzając mrok na metropolię, nazywaną dotąd Miastem Świateł. Mimo to listy brata pozostały krzepiące i miałam nadzieję, że tam sytuacja jest chociaż trochę lepsza niż tutaj.

Przez wiele lat po odejściu z domu rodzeństwa byłam tylko ja i ojciec, którego zawsze nazywałam tatą. Potem zaczął wyjeżdżać do Wiednia w sprawach swojego wydawnictwa częściej niż dawniej. Pewnego dnia przyjechał z Aną Lucią, którą poślubił, nie mówiąc mi o tym. Już po pierwszym spotkaniu z nią wiedziałam, że będę jej nienawidzić. Nosila grube futro z kołnierzem z przymocowaną do niego głową zwierzęcia. Oczy tego biedactwa patrzyły na mnie żałośnie, z wyrzutem. Zakręciło mnie w nosie od jej zbyt ciężkich jaśminowych perfum, gdy niby pocałowała mnie w policzek, a jej oddech był prawie sykiem. Na podstawie chłodnego sposobu, w jaki mnie potraktowała, mogłam stwierdzić, że jestem niechciana, jak cudzy mebel, który jest jej wciskany wraz z domem.

Kiedy wybuchła wojna, tato postanowił ponownie zgłosić się do wojska. W jego wieku na pewno nie musiał tego robić. Jednak służył z poczucia obowiązku, nie tylko wobec kraju, ale i wobec młodych żołnierzy, niemal chłopców, z których wielu nie było jeszcze na świecie, gdy Polska po raz ostatni brała udział w wojnie.

Wkrótce przyszedł telegram: zaginiony, przypuszczalnie zginął na froncie wschodnim. Oczy mnie teraz zapiekły, gdy pomyślałam o tacie, ból był równie świeży jak wtedy, gdy dostaliśmy tę wiadomość. Czasami marzyłam, że ojciec trafił do niewoli i wróci do nas po wojnie. Kiedy indziej byłam zła: jak mógł odejść i zostawić mnie samą z Aną Lucią? Była jak zła macocha z bajek dla dzieci, tylko gorsza, bo prawdziwa.

Dotarłam do łukowych, dębowych drzwi naszej kamienicy i zaczęłam obracać mosiężną gałkę. Naraz usłyszałam wewnątrz podniesione głosy i zamarłam. Ana Lucia znowu przyjmowała gości.

Przyjęcia mojej macochy zawsze były hałaśliwe. Nazywała je „wiezorami towarzyskimi”, nadając im większą rangę, niż na to zasługiwały. Składały się z jakiegoś przyzwoitego jedzenia, które udało się dostać w tych czasach, z kilku butelek wina pochodzących z kurczącej się piwniczki mojego taty oraz schłodzonej wódki, mocno rozwodnionej, by dodać jej objętości. Przed wojną mogłam uczestniczyć w jej przyjęciach, na których gromadzili się artyści, muzycy i intelektualiści. Uwielbiałam przysłuchiwać się ich ciągnącym się długo w noc uduchowionym dyskusjom i wymianie poglądów. Teraz ci wszyscy ludzie zniknęli; jeśli mogli, uciekli do Szwajcarii lub Anglii, a ci, którzy mieli pecha, zostali aresztowani i gdzieś zesłani. Zastąpili ich goście najgorszego gatunku: Niemcy, im wyżej postawieni, tym lepiej. Ana Lucia była po prostu pragmatyczką. Już na początku wojny doszła do wniosku, że trzeba zmienić okupantów w przyjaciół. W każdy weekend przy stole tłumnie zasiadali teraz brutale o tęgich karkach, paskudząc nasz dom dymem cygar i brudząc dywany zabłoconymi długimi buciorami, których nie silili się wytrzeć przed drzwiami.

Początkowo Ana Lucia utrzymywała, że brata się z Niemcami, by zdobyć informacje na temat mojego ojca. Tak było w pierwszych dniach, gdy jeszcze mieliśmy nadzieję, że może trafił do więzienia lub zaginął w akcji. Jednak potem dostaliśmy wiadomość, że został zabity, a ona nadal utrzymywała kontakty z Niemcami, jeszcze częstsze niż przedtem. Było tak, jakby uwolniona z pozorów małżeństwa mogła zachowywać się tak okropnie, jak chciała.

Oczywiście nie śmiałam przeciwstawić się macosze w sprawie jej haniebnych działań. Jeśli potwierdzi się oficjalnie, że mój ojciec nie żyje, a nie zostawił testamentu, zgodnie z prawem dom i wszystkie pieniądze przypadną jej. Będzie mogła mnie wyrzucić, gdybym sprawiała kłopoty, czyli pozbyć się mebla, którego nigdy nie chciała. Nie miałam nic. Więc postępowałam ostrożnie. Ana Lucia lubiła mi często przypominać, że dzięki jej dobrym stosunkom z Niemcami pozostałyśmy w naszym ładnym domu, mając dość jedzenia i odpowiednie pieczątki w kennkartach, które umożliwiały nam swobodne poruszanie się po mieście.

Cofnęłam się spod drzwi. Z chodnika patrzyłam ze smutkiem przez frontowe okno domu na znajome kryształowe kieliszki i porcelanę. Ale nie widziałam okropnych cudzoziemców, którzy korzystali z naszych rzeczy. Zamiast tego miałam przed oczami moją rodzinę: mnie, pragnącą bawić się lalkami ze znacznie starszymi siostrami, mamę, upominającą Macieja, że coś potłucze, jeśli będzie mnie ganiał wokół stołu. Kiedy jest się młodym, sądzi się, że własna rodzina będzie trwać wiecznie. Czas i wojna sprawiły, że tak się nie stało.

Obawiając się towarzystwa Any Luci bardziej niż godziny policyjnej, zawróciłam sprzed domu i ruszyłam przed siebie. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam. Było niemal ciemno, a wstęp do parków był zakazany dla zwykłych Polaków, podobnie jak do większości porządniejszych kawiarni, restauracji czy kin. Moje niezdecydowanie odzwierciedlało całą moją sytuację życiową, czyli swego rodzaju brak przynależności. Nie miałam dokąd iść ani z kim. Żyjąc w okupowanym

Krakowie, czułam się jak ptaszek w klatce, który może trochę sobie polatać, ale zawsze jest na uwięzi.

Gdy zawróciłam w stronę Rynku, pomyślałam, jak by to było, gdyby Krzyś nie opuścił Krakowa. Wyobrażałam sobie, że jest inaczej i wojna nie zmusiła go do wyjazdu. Planowalibyśmy ślub, może nawet bylibyśmy już małżeństwem.

Spotkaliśmy się przypadkowo prawie dwa lata przed wybuchem wojny, gdy wstąpiłam ze znajomymi do kawiarni, w której był dostawcą. Wysoki i barczysty, zwracał uwagę energią, gdy szedł dziarskim krokiem przez korytarz, niosąc dużą skrzynkę. Miał surowe rysy twarzy, jakby wykute z kamienia, a jego władcze spojrzenie zdawało się ogarniać całą przestrzeń. Kiedy mijaliśmy nasz stolik, ze skrzynki wypadła cebula i potoczyła się w moim kierunku. Ukląkł, żeby ją podnieść, popatrzył na mnie i uśmiechnął się. „Jestem u pani stóp”. Czasem zastanawiałam się, czy upuścił tę cebulę celowo, czy sam los pchnął ją w moją stronę.

Zaprosił mnie na spacer jeszcze tego samego wieczoru. Powinnam była odmówić: nie było właściwe, by przyjąć zaproszenie tak od razu. Jednak czułam się zaintrygowana i po kilku godzinach – oczarowana. Nie tylko wygląd mnie w nim pociągał. Krzyś różnił się od wszystkich, których znałam. Miał tyle energii, że zdawała się wypełniać cały pokój i sprawiała, że inni przy nim gaśli. Chociaż pochodził z robotniczej rodziny i nie skończył gimnazjum, a tym bardziej liceum, wykształcił się sam. Miał śmiałe poglądy dotyczące przyszłości i sposobu urzędzenia świata, które sprawiały, że jakby górował nad wszystkim wokół nas. Był najmądrzejszą ze znanych mi osób. I liczył się z moimi opiniami jak nikt inny.

Zaczęliśmy spędzać razem wszystkie wolne chwile. Tworzyliśmy dziwną parę – ja byłam towarzyską i lubiałam przyjęcia w gronie przyjaciół. On był samotnikiem, unikającym tłumów i uwielbiającym poważne rozmowy podczas długich spacerów. Kochał przyrodę

i pokazywał mi wyjątkowo piękne miejsca za miastem, stare bory czy ukryte w lasach ruiny zamków, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Pewnego wieczoru, kilka tygodni po naszym poznaniu, szliśmy ulicą na Wzgórze św. Bronisławy tuż za miastem, z ożywieniem dyskutując na temat francuskich filozofów, gdy zauważyłam, że intensywnie mi się przygląda.

– O co chodzi?

– Kiedy się spotkaliśmy, spodziewałem się, że jesteś taka jak inne dziewczęta – powiedział – i masz powierzchowne zainteresowania.

Chociaż mogłam się poczuć urażona, wiedziałam, co ma na myśli. Moi znajomi wydawali się interesować głównie przyjęciami, zabawami i najnowszą modą.

– Ale przekonałem się, że jesteś zupełnie inna.

Wkrótce spędzaliśmy razem cały wolny czas i snuliśmy plany na temat ślubu, podróży i zwiedzania świata.

Oczywiście, wojna to wszystko zmieniła. Krzyś nie dostał powołania, ale jak mój ojciec zgłosił się do wojska i walczył od początku. Zawsze bardzo się wszystkim przejmował i wojna nie stanowiła wyjątku. Podkreślałam, że jeśli poczeka, to może wszystko się skończy, zanim będzie musiał wyruszyć, ale nie zmienił zdania. Co gorsza, zerwał ze mną przed pójściem na front.

– Nie wiemy, na jak długo odchodzę.

Ani czy wrócisz – pomyślałam, ale ta myśl była tak okropna, że żadne z nas nie wypowiedziało jej na głos.

– Powinnaś być wolna, bo możesz poznać kogoś innego.

To był żart. Nawet gdyby jacyś młodzi mężczyźni zostali w Krakowie, nie byłabym nimi zainteresowana. Wstyd przyznać, ale usilnie przekonywałam go, że nie powinniśmy ze sobą zrywać, że lepiej się zaręczyć czy nawet pobrać przed jego wyjazdem, jak zrobiło wiele

innych par. Chciałam przynajmniej mieć go na trochę, mieć formalną gwarancję, na wypadek gdyby coś się stało. Jednak on wolał poczekać, a kiedy wbił sobie coś do głowy, nic nie mogło go przekonać. Spędziliśmy razem ostatnią noc, wchodząc w większą zażyłość, niż powinniśmy, bo przez dłuższy czas – albo nawet już nigdy – mogliśmy nie mieć ku temu okazji. Wyszłam przed świtem zalana łzami i wślizgnęłam się do domu, zanim macocha zdążyła zauważyć moją nieobecność.

Nadal go kochałam. Zerwał ze mną tylko dlatego, że chciał dla mnie jak najlepiej. Byłam pewna, że gdy wojna się skończy i on szczęśliwie wróci, ponownie się zwiążemy i wszystko będzie jak dawniej. Wojsko Polskie zostało szybko pokonane, rozbite przez niemieckie czołgi i artylerię. Wielu mężczyzn, którzy poszli walczyć, wracało rannych i sponiewieranych. Sądziłam, że tak samo będzie z Krzysiem, ale on nie wrócił. Listy, które zaczęły przychodzić rzadziej i były coraz bardziej oziębłe, także ustały. Gdzie on się podziewał? Wciąż o tym myślałam. Z pewnością, gdyby został aresztowany albo gdyby stało się jeszcze coś gorszego, dowiedziałabym się od jego rodziców. Nie, on gdzieś tam jest, powtarzałam sobie uparcie. Wojna po prostu zakłóciła działanie poczty. A kiedy tylko będzie mógł, na pewno do mnie wróci.

Z oddali rozległy się dzwony na kościele Mariackim, wybijające godzinę siódmą. Podświadomie czekałam, aż trębacz o pełnej godzinie zacznie grać hejnał, tak jak działo się dotychczas w ciągu całego mojego życia. Jednak ta melodia, średniowieczne wezwanie, przypominające o odparciu przez Polskę hord najeźdźców, została zakazana przez Niemców. Przeszłam przez Rynek, zastanawiając się, czy warto wypić gdzieś kawę dla zabicia czasu. Gdy zbliżyłam się do jednej z kawiarni, niemiecki żołnierz siedzący w towarzystwie dwóch innych spojrzał na mnie z zainteresowaniem, a jego intencje były oczywiste. Nie mogłam tam wejść. Ruszyłam szybko dalej.

Gdy dotarłam do Sukiennic, zauważyłam dwie znajome, które przyglądały się wystawie. Podeszłam do nich.

– Dobry wieczór.

– O, cześć! – Magda, brunetka, spojrzała spod słomkowego kapelusza, niemodnego od dwóch lat. Przed wojną była jedną z moich najbliższych przyjaciółek. Ale nie widziałam się z nią ani nie miałam od niej wiadomości od wielu miesięcy. Unikała mojego wzroku.

Obok niej stała Klara, lekkomyślna dziewczyna, na którą nigdy nie zwracałam szczególnej uwagi. Nosila blond fryzurę na pazia, a brwi miała wyskubane zbyt wysoko, co nadawało jej twarzy wyraz wiecznego zdumienia.

– Właśnie wyszłyśmy na zakupy i mamy zamiar pójść coś zjeść – poinformowała mnie z wyższością.

Nie zaprosiły mnie.

– To by mi się też podobało – zwróciłam się ostrożnie do Magdy. Chociaż ostatnio się nie odzywała, miałam nadzieję, że dawna przyjaciółka pomyśli o mnie i poprosi, bym się do nich przyłączyła.

Magda nie odpowiedziała. Jednak Klara, zawsze zazdrosna o moją zażyłość z Magdą, nie owijała słów w bawełnę.

– Nie dzwoniłyśmy. Sądziłyśmy, że będziesz zajmować się nowymi przyjaciółmi swojej macochy.

Policzki mnie zapiekły, jakby ktoś dał mi w twarz. Miesiącami powtarzałam sobie, że moi przyjaciele się teraz nie spotykają. A prawda była taka, że nie spotykają się ze mną. Wtedy zrozumiałam, że zniknięcie znajomych nie ma nic wspólnego z ciężkimi wojennymi czasami. Trzymali się ode mnie z daleka, bo Ana Lucia była kolaborantką, a może nawet uważali, że ja także nią jestem.

Przełknęłam ślinę.

– Nie zadaję się z tymi samymi ludźmi co moja macocha – powiedziałam powoli, starając się mówić normalnym tonem.

Dziewczyny milczały. Zapadła niezręczna cisza.

Uniosłam do góry brodę.

– Nieważne – powiedziałam, usiłując zignorować odmowę – jestem zajęta. Muszę zrobić tyle rzeczy, zanim Krzyś wróci.

Nie powiedziałam przyjaciółom, że zakończyliśmy nasz związek. Nie tylko dlatego, że rzadko się widywaliśmy albo że czułam się zawstydzona. Chodziło raczej o to, że powiedzenie tego głośno zmusiłoby mnie do przyznania, że naprawdę tak się stało.

– On wkrótce wróci i wtedy będziemy mogli zaplanować ślub.

– Tak, oczywiście, wróci – przytaknęła Magda, a mnie zakłuło poczucie winy, gdy przypomniałam sobie jej narzeczonego, Alberta, który został zabrany przez Niemców, gdy wpadli na uniwersytet i aresztowali wszystkich profesorów. Albert nie wrócił.

– Cóż, musimy iść – rzekła Klara.

Przez ułamek sekundy pragnęłam, pomimo ich grubiaństwa, żeby jednak mnie zaprosiły. Jakaś godna politowania częśćka mnie przełknęłaby dumę i zgodziła się na parę godzin ich towarzystwa.

Ale dziewczyny tego nie zrobiły.

– Zatem do widzenia – powiedziała Klara chłodno. Wzięła Magdę pod ramię i poprowadziła ją dalej, a wiatr poniósł po ulicy ich śmiech. Miały głowy przechylone ku sobie, jakby spiskowały, i byłam pewna, że rozmawiają o mnie.

Mniejsza z tym, powiedziałam sobie, odpychając myśl o odrzuceniu. Opatuliłam się mocniej swetrem, chroniąc się przed wiatrem, który teraz mimo lata przyniósł złowrogi chłód. Krzyś wkrótce wróci i zaręczymy się. Zaczniemy nasz związek w tym miejscu, gdzie go

zakończyliśmy, i będzie tak, jakby ta straszna przerwa w ogóle nie istniała.

Rozdział 3

Sadie

Marzec 1943

Ze snu wyrwał mnie głośny zgrzyt dobiegający gdzieś z dołu.

Nie po raz pierwszy jakiś hałas zaniepokoił mnie nocą w getcie. Wewnętrzne ściany naszej kamienicy, które zostały zbudowane w pośpiechu, by podzielić pierwotne mieszkania na mniejsze kwatery, miały grubość kartki papieru i łatwo przenikały przez nie stłumione zazwyczaj dźwięki codziennej krzątania. Nocne odgłosy w naszym mieszkaniu również były niezmiennie: ciężki oddech ojca i jego pochrapywanie, ciche posapywanie mamy, starającej się przyjąć wygodną pozycję, by ulżyć jej rosnącemu od niedawna brzuchowi. Często słyszałam, jak moi rodzice szepczą do siebie, myśląc, że już śpię.

Nie chodziło o to, że próbowali coś przede mną ukrywać. Rok po tym, jak omal mnie nie złapano i nie zabrano podczas akcji, nie można było dłużej ignorować grozy naszej pogarszającej się sytuacji. Wyczerpała nas zima, która minęła bez opału i z bardzo małą ilością żywności, a wokół szerzyły się choroby i śmierć. Młodzi i starzy marli z głodu i chorób lub byli zabijani za nie dość szybkie wykonywanie rozkazów policji albo za jakieś inne wykroczenia zauważone podczas codziennych porannych apeli przed wyjściem do pracy.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym strasznym dniu przed rokiem. Jednak od tego czasu wszystko się zmieniło. Pracowałam z mamą w fabryce obuwia. Tato użył wszystkich swoich wpływów, żebyśmy były razem, i upewnił się, że nie zostaniemy wyznaczone do bardzo ciężkich zadań. Ale i tak ręce mi zrogowaciały i krwawiły od obrabiania szorstkiej skóry przez dwanaście godzin dziennie, a kości bolały mnie jak staruszkę od pochylania się przy powtarzalnych czynnościach.

Zmieniła się też sytuacja mamy – mając prawie czterdzieści lat, zaszła w ciążę. Przez całe życie wiedziałam, że rodzice rozpaczliwie pragną drugiego dziecka. I teraz, aż niewiarygodne, w najgorszych możliwych czasach, ich modlitwy zostały wysłuchane. „Pod koniec lata” – odpowiedział mi tato na pytanie, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Po mamie można już to było poznać, bo zaokrąglony brzusek był wyraźnie widoczny przy jej szczupłej sylwetce.

Chciałam cieszyć się dzieckiem tak jak rodzice. Kiedyś marzyłam o młodszym rodzeństwie, ale o kimś w wieku bardziej zbliżonym do mojego. Miałam dziewiętnaście lat i mogłabym już sama mieć rodzinę. Teraz dziecko wydawało mi się czymś bezsensownym, kolejną gębą do wyżywienia w najgorszych czasach. Tak długo byliśmy tylko we troje. A dziecko pojawi się niebawem, czy mi się to podoba, czy nie. Wcale nie byłam pewna, czy tego chcę.

Ponownie dobiegł mnie zgrzyt, jeszcze głośniejszy, jakby ktoś rył w cemencie. Może ktoś w końcu udrażniał jedyną toaletę na parterze, która stale się zapychała? Jednak wydawało się dziwne, że robi to w środku nocy.

Usiadłam zaniepokojona. Sypiałam nerwowo. Nie pozwolono nam otwierać okien na noc i nawet w marcu w pokoju panował zaduch. Rozejrzałam się za rodzicami i ze zdumieniem stwierdziłam, że wyszli. Czasami po tym, jak poszłam spać, tata, chcąc wyrwać się z naszego pokoju, wbrew przepisom obowiązującym w getcie siadywał na schodach przed wejściem, paląc papierosy z mężczyznami z dołu. Jednak o tej porze powinien już wrócić, a mama rzadko wychodziła gdzie indziej niż do pracy. Coś było nie tak.

Na ulicy rozległy się krzyki, to Niemcy wywrzaskiwali rozkazy. Zadrzałam. Minął rok od chwili, gdy ukryłam się w kufrze, i chociaż słyszeliśmy o wielkich akcjach w innych częściach getta (słyszałam, jak kiedyś tata nazwał je „likwidacjami”), od tamtego czasu Niemcy nie weszli do naszego budynku. Mimo to strach nigdy mnie nie opuszczał

i jakiś instynkt podpowiadał mi z absolutną pewnością, że teraz przyszli znowu.

Wstałam i włożyłam szlafrok i kapcie. Wyszłam szybko z pokoju, szukając rodziców. Nie wiedząc, dokąd pójść, zaczęłam schodzić ze schodów. W korytarzu było ciemno, tylko z łazienki dochodziło blade światło, więc poszłam w tę stronę. Kiedy stanęłam w drzwiach, zamrugałam oczami, nie tylko od nagłej jasności, ale także ze zdziwienia. Sedes został zdjęty ze swego zwykłego miejsca i odsunięty na bok, co odsłoniło dziurę wyszarpaną w podłożu. Nie wiedziałam, że w ogóle jest do ruszenia. Ojciec klęczał na ziemi, pochylony nad dziurą, dosłownie odłupując jej betonowe brzegi rękami, by ją powiększyć.

– Tato?

Nie podniósł wzroku.

– Ubieraj się, szybko! – rozkazał, a nigdy nie słyszałam, by użył ostrzejszego tonu.

Pomyślałam, by zadać mu jedno z wielu pytań, które przemknęły mi przez głowę. Jednak dorastałam jako jedyne dziecko w otoczeniu dorosłych i byłam na tyle mądra, by wiedzieć, kiedy trzeba coś wykonać od razu. Wróciłam schodami do pokoju i otworzyłam nadgniłą drewnianą szafę z ubraniami. Wtedy się zawahałam. Nie miałam pojęcia, co włożyć, nie wiedziałam, gdzie jest mama, ale nie śmiałam przeszkadzać tacie pytaniami. Ponieważ jednak przyszliśmy do getta tylko z kilkoma walizkami, więc nie miałam wielkiego wyboru. Zdjęłam z wieszaka spódnicę i bluzkę i zaczęłam się ubierać.

W drzwiach pojawiła się mama i pokręciła głową.

– Coś cieplejszego – przykazała.

– Ale, mamó, nie jest aż tak zimno.

Nie odpowiedziała. Wyjęła gruby, niebieski sweter, który babcia zrobiła mi na drutach na zimę, i jedyną parę moich zimowych spodni. Zdziwiłam się; sama wolałam spodnie od spódnic, ale mama uważała je

za mało kobiece i przed wojną pozwalała mi je nosić tylko w weekendy, gdy gdzieś wyjeżdżaliśmy. Kiedy skończyłam się przebierać, wskazała na moje stopy.

– Grube buty – powiedziała stanowczo.

Moje kozaczki były sprzed dwóch lat i zrobiły się za ciasne.

– Są za małe.

Miałyśmy kupić nowe zeszłej jesieni, ale weszły w życie ograniczenia dotyczące dokonywania zakupów przez Żydów.

Mama zaczęła coś mówić i byłam pewna, że chce mi powiedzieć, że i tak mam je włożyć. Potem z wysiłkiem przeszukała dolną szufladę szafy i wyciągnęła z niej własne buty.

– Ale co ty będziesz nosić?

– Po prostu je włoż.

Słyszając jej stanowczy ton, usłuchałam, nie zadając dalszych pytań. Mama miała stopy jak ptaszek, wąskie i nieduże, a jej buty były tylko o numer większe od moich. Zauważyłam, że chociaż ubrała mnie jak na zimne dni, sama nosiła spódnicę – nie miała spodni, a nawet gdyby je miała, nie zmieściłaby w nie swojego brzucha, który wyglądał, jakby urósł w ciągu jednego dnia.

Gdy mama skończyła upychać jakieś rzeczy w torbie, wyrzłam przez okno na ulicę. W bladym świetle przed świtem zobaczyłam mężczyzn w mundurach, nie tylko policjantów, ale także esesmanów, rozstawiających tablice. Oba końce ulicy były zablokowane. Żydzi zostali siłą spędzeni na plac Zgody, gdzie zbierali się co rano. Tylko że teraz nie było rozkazu, by meldowali się do apelu, tak jak wtedy, gdy stawali w szeregu, idąc do pracy. Policja wyciągała ludzi z budynków i przy pomocy pałek i biczy próbowała zaganiać tłumy, pędząc je w kierunku ciężarówek ustawionych na rogu. Wyglądało to tak, jakby zabierali wszystkich z getta. Z trudem pozwoliłam zasłonie opaść.

Grad strzałów zagrzecotał obok naszego budynku, bliżej niż kiedykolwiek słyszałam. Mama pociągnęła mnie na podłogę, ale nie wiedziałam, czy chroniła mnie przed tym, żebym nie została dostrzeżona, czy przed postrzałem.

Kiedy na kilka sekund strzały ucichły, wstała i postawiła mnie na nogi, potem odsunęła od okna i ubrała mnie w płaszcz.

– Chodź, teraz!

Ruszyła w kierunku drzwi, niosąc małą skórzaną torbę.

Spojrzałam przez ramię. Przez długi czas nienawidziłam mieszkania w tym wilgotnym, ciasnym pomieszczeniu. Jednak pokój, który robił tak ponure wrażenie, teraz stanowił azyl, jedyne znane mi bezpieczne miejsce. Dałabym wszystko, by tu zostać.

Zastanawiałam się, czy się nie sprzeciwić. Wyjście z mieszkania, gdy na ulicy było tyle policji, wydawało się głupie i niebezpieczne. Potem zobaczyłam wyraz twarzy mamy, nie tyle rozgniewany, ile przerażony. Nie było wyboru.

Zeszłam po schodach za mamą, nadal nie do końca rozumiejąc sytuację. Przypuszczałam, że wyjdziemy na zewnątrz i dołączymy do reszty, by uniknąć ryzyka zwrócenia na siebie uwagi albo przyjscia Niemców po nas z rozkazem opuszczenia domu. Kiedy dotarliśmy na parter, ruszyłam w stronę drzwi wyjściowych, ale mama złapała mnie za ramiona i zawróciła, popychając w głąb korytarza.

– Chodź – powiedziała.

– Dokąd? – spytałam.

Nie odpowiedziała, ale zawróciła mnie w stronę łazienki, jakby chciała, żebym skorzystała z niej ostatni raz przed długą podróżą.

Gdy zbliżyłyśmy się do łazienki, usłyszałam, że tata kłóci się z mężczyzną, którego głosu nie rozpoznałam.

– To nie jest gotowe – powiedział tata.

– Musimy iść teraz – upierał się obcy mężczyzna.

Pomyślałam, wiedząc o blokadzie ulic, że pójście gdziekolwiek jest zupełnie niemożliwe.

Weszłam do łazienki. Sedes był nadal odsunięty na bok i widać było dziurę w podłodze. Ze zdumieniem zobaczyłam, że wystaje z niej męska głowa. Wyglądała jak oddzielona od reszty, jak dziwny eksponat w gabinecie osobliwości lub karnawałowa kukła. Mężczyzna miał szeroką twarz, szorstkie, pyzate policzki, zaczerwienione od pracy na dworze podczas mroźnej polskiej zimy. Na mój widok uśmiechnął się.

– Dzień dobry – powiedział grzecznie, witając mnie, jakby wszystko było całkiem normalnie. Potem spojrzał na tatę i jego twarz znowu spochmurniała.

– Musicie iść teraz.

– Dokąd iść? – wybuchłam.

Na ulicach roiło się od SS i gestapo oraz żydowskiej policji, która, Boże dopomóż, była niemal równie brutalna. Popatrzyłam na dziurę w podłodze i zrozumiałam.

– Pan chyba nie myśli...

Odwróciłam się do mamy, oczekując, że zaprotestuje. Moja elegancka, wytworna mama nie miała chyba zejść w dół przez dziurę pod toaletą. Jednak wyraz jej twarzy był niewzruszony i stanowczy, była gotowa zrobić to, o co prosił ojciec.

Ale ja nie byłam na to gotowa. Cofnęłam się o krok.

– Co z babcią? – spytałam.

Babcia, która przebywała w domu opieki w innej części miasta, w jakiś sposób uniknęła przesiedlenia do getta.

Mama zawahała się, potem pokręciła głową.

– Nie mamy czasu. To nie jest żydowski dom opieki – dodała. – Nic jej nie będzie.

Rzuciłam okiem przez okno nad zlewem na gromady ludzi wyganianych z budynków do ciężarówek. W tłumie dostrzegłam moją przyjaciółkę Stefanię. Zdziwiłam się, że widzę ją tak daleko od jej mieszkania po drugiej stronie getta. Wyobrażałam sobie ponadto, że skoro jej ojciec należy do żydowskiej policji w getcie, ona powinna być bezpieczna i zostanie jakoś oszczędzona, ale teraz została zabrana jak wszyscy inni. Jej twarz była biała ze strachu. Chciałam krzyknąć: „Chodź z nami!”. Obserwowałam bezradnie, jak ją popychają i Stefania znika w tłumie.

Mama mnie ominęła.

– Pójdę pierwsza.

Mężczyzna tkwiący w otworze wyglądał na zaskoczonego widokiem jej brzucha.

– Nie wiedziałem... – wymamrotał. Zmarszczył brwi zakłopotany. Widziałam, że rozważa, jakie dodatkowe trudności mogą wywołać narodziny dziecka i obecność niemowlęcia.

Przez moment zastanawiałam się, czy mógłby odmówić zabrania mojej mamy. Wstrzymałam oddech, czekając, aż powie, że to się nie uda i będziemy musieli znaleźć inny sposób.

Jednak mężczyzna znowu zniknął w otworze, ustępując nam drogi, i mama postąpiła krok naprzód. Dała tacie torbę, usiadła z wysiłkiem na ziemi i wsunęła nogi do dziury. W innych okolicznościach łatwo by się do niej wślizgnęła. Tato nazywał ją „Ptaszyną”, co bardzo do niej pasowało, bo była szczupła i dziewczęca, chociaż dobiegała już czterdziestki. Teraz mimo wrodzonej gibkości była gruba, bo miała zaokrąglony brzuch, przypominający melon. Spódnica zadarła jej się kłopotliwie, ukazując skrawek białego ciała. Często myślałam, że jest za

stara na kolejne dziecko. Mama cicho krzyknęła, gdy tato wepchnął ją do dziury, a potem zniknęła w ciemności.

– Twoja kolej – zwrócił się do mnie tata.

Rozejrzałam się wokół, grając na czas. Zrobiłabym wszystko, byle nie wchodzić do kanału. Ale Niemcy już stali pod drzwiami, mocno łomocąc. Wkrótce je wyważą i będzie za późno.

– Sadie, pospiesz się! – powiedział ojciec, a w jego głosie usłyszałam błaganie. O cokolwiek mnie prosił, robił to dla ratowania naszego życia.

Usiadłam na ziemi jak mama i zajrzałam w głąb dziury, czarnej i złowroziej. W nozdrza uderzył mnie fetor i zakrztusiłam się. Rósł we mnie bunt, tłumiąc moje zwykłe posłuszeństwo.

– Nie mogę.

Dziura była ciemna i przerażająca. Było jak wtedy, gdy próbowałam skakać do jeziora z gałęzi wysokiego drzewa, tylko sto razy gorzej. Nie mogłam przemóc się, by do niej wejść.

– Musisz.

Ojciec nie czekał na dalsze argumenty, tylko szorstko mnie popchnął. Grubość moich ubrań spowodowała, że wcisnęłam się tylko do połowy, więc wepchnął mnie mocniej. Mokra betonowa krawężnie podrapały mi policzki do krwi, a potem wpadłam w ciemność.

Wylądowałam twardo na kolanach. Rozbryznięła się wokół mnie zimna, brudna woda, mocząc mi skarpetki. Złapałam się oślizgłej ściany, żeby uniknąć całkowitego przewrócenia się. Gdy wstałam, usilnie starałam się nie myśleć o tym, czego dotknęłam.

Tato sam zszedł przez otwór w podłodze i wylądował obok mnie. Na górze ktoś zasłonił wyrąbaną dziurę. Nie widziałam za nami nikogo i zastanawiałam się, kto to mógł być, może sąsiad, któremu ojciec zapłacił, albo jakaś dobra dusza, albo ktoś, kto zanadto się bał, by

samemu zejść do kanału. Zniknęły ostatnie resztki światła. Znaleźliśmy się w czarnych jak smoła ciemnościach.

Nie byliśmy w kanale sami. W mroku słyszałam poruszających się wokół nas ludzi, chociaż nie mogłabym powiedzieć, kim są i ilu ich jest. Zdziwiła mnie ich obecność. Czy również przeszli przez otwór pod klozetem, by się tu dostać? Zmrużyłam oczy, bezskutecznie starając się przyzwyczaić wzrok do ciemności.

– Co się dzieje? – spytała w jidysz jakaś kobieta.

Nikt jej nie odpowiedział.

Wzięłam oddech i zaczęłam wymiotować. Fetor był wszędzie. Był to wiszący w powietrzu smród wody pełnej kału i uryny oraz śmieci i gnijących odpadków.

– Oddychaj przez usta – cicho poradziła mama.

Ale to było jeszcze gorsze, jakbym jadła jakieś brudy.

– Bierz płytki oddech.

Ta wskazówka też niewiele pomogła. Woda w kanale płynęła na wysokości kostek, przesiąkając przez buty i skarpetki. Zadrzałam od jej lodowatego dotyku.

Nieznajomy zapalił karbidową lampkę i światło padło na zaokrąglone ściany i na pół tuzina obcych, przerażonych twarzy koło mnie. Najbliżej stało dwóch mężczyzn, jeden mniej więcej w wieku mojego ojca, drugi, wyglądający na jego syna, mógł mieć około dwudziestki. Nosili jarmułki i czarne stroje religijnych Żydów. Przed wojną tato nazwałby ich „Moškami”, a teraz zostaliśmy stłoczeni wszyscy razem. Ojcu nie chodziło o nic obraźliwego, ale raczej o określenie ortodoksyjnych Żydów. Wydawali mi się zawsze tak obcy ze swoimi zwyczajami i ścisłymi regułami, że pod wieloma względami czułam większą wspólnotę z Polakami niż z tą grupą Żydów.

Za nimi była inna rodzina, młode małżeństwo z dwu- czy trzyletnim chłopcem śpiącym w ramionach ojca. Wszyscy mieli na sobie tylko piżamy, a na wierzchu płaszcze. Była także starsza, przygarbiona kobieta, ale stała osobno, więc nie umiałabym powiedzieć, do której rodziny należała. Może do żadnej z nich. Nie widziałam dzieci ani dziewcząt w wieku zbliżonym do mojego.

Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, rozejrzałam się wokół. Wyobrażałam sobie kanał – jeśli w ogóle się nad tym zastanawiałam – jako rurę biegnącą pod ziemią. A my znaleźliśmy się w olbrzymim, przepastnym korytarzu z zaokrąglonym sklepieniem, szerokości co najmniej sześciu metrów, przypominającym tunel, przez który mogłby przejechać pociąg towarowy. Środek tego tunelu wypełniała czarna woda o bystrym nurcie, szeroka i głęboka jak rzeka. Nie miałam pojęcia, że pod naszymi stopami tak dużo wody rwie nieustannie w dal. Hałas, jaki wywoływała, odbijając się od ścian, był niemal ogłuszający.

Staliśmy na betonowym gzymsie szerokości najwyżej sześćdziesięciu centymetrów, biegnącym po jednej stronie rzeki, taka sama półeczka ciągnęła się równolegle z drugiej strony. Nurt był silny i wydawało mi się, że zaraz mnie wciągnie, gdy tak tkwiłam na wąskiej ścieżce. Kiedyś czytałam książkę na temat mitów greckich i Hadesu, podziemnego świata zmarłych; teraz miałam wrażenie, że znalazłam się właśnie w takim miejscu, w jakimś dziwnym, podziemnym świecie, o którego istnieniu nawet nie pomyślałam. Oszołomiona wpatrywałam się w wodę i narastał we mnie strach. Nie umiałam pływać. Nieważne, ile razy tato usiłował mnie nauczyć, nie potrafiłam zanurzyć głowy pod wodę, nawet latem w najspokojniejszym jeziorze. Na pewno bym nie przeżyła, gdybym tu wpadła.

– Chodź – powiedział mężczyzna, który przebijał się przez naszą podłogę w łazience. Miał szerokie bary i był krępy; zauważyłam to teraz, widząc całą jego postać. Miał zwykły filcowy kapelusz i wysokie buty. – Nie możemy tu zostać.

Jego głos odbił się zbyt głośnym echem w sklepionym korytarzu.

Ruszył wzdłuż gzymsu, trzymając przed sobą wysoko lampę. Pomimo swej kanciastej figury kroczył lekko, ze swobodą osoby pracującej w kanałach i spędzającej w nich całe dnie.

– Tato, kto to jest? – szepnęłam.

– Kanalarz – odparł tata.

Szliśmy gęsiego w ślad za robotnikiem, podpierając się o zaokrąglone, wilgotne ściany, by utrzymać równowagę. Tunel rozciągał się przed nami bez końca. Zastanawiałam się, dlaczego ten człowiek zdecydował się nam pomagać, dokąd idziemy i jak ma zamiar wydostać nas z tego przeklętego miejsca. Poza łoskotem płynącej wody wokół nas panowała cisza i spokój. Okropne głosy Niemców nad nami były wyciszone, niemal znikły.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie ściana tunelu odsuwała się łukiem od wody, tworząc niewielką niszę. Kanalarz wprowadził nas do niej.

– Odpocznijcie, zanim ruszymy dalej.

Przyjrzałam się z powątpiewaniem małym, czarnym kamieniom leżącym na ziemi, zastanawiając się, gdzie mielibyśmy odpocząć. Wyglądało, jakby coś ruszało się na wierzchu. Z bliższej odległości zobaczyłam, że są tam tysiące małych, żółtych robaków. Stłumiłam okrzyk.

Ojciec, nic nie mówiąc, osunął się na kamienie. Był wyczerpany, piersi unosił mu ciężki oddech. Na chwilę uniósł wzrok i zobaczyłam, że przez twarz przebiegł mu wyraz troski, a może strachu, co się wcześniej nigdy nie zdarzyło. Potem mnie dostrzegł i wyciągnął ramiona. Przywarłam do jego kolan tak, by ochronił mnie od tego paskudnego, rojącego się od robaków podłoża.

– Wrócę po was, gdy będzie bezpiecznie – powiedział kanalarz.

W jakim sensie bezpiecznie? – chciałam spytać, ale wiedziałam, że lepiej nie peszyć osoby, która starała się nas uratować. Robotnik wyszedł z wnęki, zabierając ze sobą lampę. Otoczyła nas ciemność. Inni ułożyli się na ziemi. Nikt nic nie mówił. Słyszając ponownie Niemców, zdałam sobie sprawę, że nadal jesteśmy pod terenem getta. Wyglądało na to, że aresztowania już się skończyły, ale Niemcy wciąż przeczesują budynki, szukając ukrywających się osób i jak hieny przetrząsając nędzny dobytek, pozostawiony przez zabranych ludzi. Wyobraziłam sobie, jak łążą po naszym ciasnym mieszkaniu. Pod koniec nie mieliśmy już prawie niczego, bo wszystko zostało sprzedane albo porzucone, gdy przenieśliśmy się do getta. Jednak myśl, że ktoś obcy grzebie w naszych rzeczach, że nie mamy już prawa do jakiejkolwiek własności, sprawiła, że czułam się upodlona, jeszcze bardziej pozbawiona ludzkiej godności.

Od nowa wezbrały we mnie wszelkie obawy i smutki.

– Tato, myślę, że nie dam rady tego zrobić – powiedziałam szeptem.

Ojciec otoczył mnie ramionami i poczułam tyle ciepła i ukojenia, jakbyśmy znowu byli w domu. Położyłam mu głowę na piersi, napawając się znajomym zapachem mięty i tytoniu, i próbując zignorować fetor kanału, który się z nim mieszał. Mama usiadła przy jego boku i oparła mu głowę na ramieniu. Moje powieki zrobiły się ciężkie.

Po jakimś czasie tato poruszył się, co mnie obudziło. Otworzyłam oczy i w półmroku spojrzałam na inne rodziny, które rozłożyły się wokół nas do snu. Nie spał tylko młodszy mężczyzna z ortodoksyjnej rodziny. Pod czarnym kapeluszem widać było łagodne rysy i niewielką, przyszytych brodę. Piuwe oczy błyszczały w ciemnościach. Odsunęłam się delikatnie od taty i ostrożnie podczołgałam do niego po śliskim podłożu.

– To bardzo dziwne spać w otoczeniu całkiem obcych osób – powiedziałam. – To znaczy, lądując tutaj, kto mógłby sobie to wyobrazić?

Nie odpowiedział, tylko obserwował mnie ostrożnie.

– A tak na marginesie, jestem Sadie.

– Saul – odparł szorstko.

Czekałam, że jeszcze coś powie. Kiedy się nie odezwał, odpełzłam po podłodze do rodziców. Saul był jedyną osobą w całej naszej grupie w zbliżonym do mnie wieku, ale najwyraźniej nie był zainteresowany nawiązaniem znajomości.

Niebawem wrócił kanalarz, oświetlił wnękę i zbudził pozostałych. Pokazał gestem, że musimy już ruszać, więc stanęliśmy sztywno i utworzyliśmy szereg, by znowu iść wzdłuż kanału.

Po kilku minutach dotarliśmy do skrzyżowania kanałów. Robotnik wyprowadził nas z głównego burzowca, skręcając w prawo do węższego tunelu, którym oddalaliśmy się od huczącej w kanale wody. Ścieżka wkrótce skończyła się betonową ścianą. Ślepy zaułek. Czy kanalarz celowo wprowadził nas w zasadzkę? Słyszałam opowieści o gojach zdradzających swych żydowskich sąsiadów i wydających ich w ręce policji, ale to byłby dziwny sposób na zrobienie czegoś takiego.

Robotnik przykłęknął ze swą lampą i zobaczyłam, że u dołu ściany znajduje się małe metalowe kółko, rodzaj pokrywy czy wieka. Podważył je i otworzył, ukazując poziomą rurę, a potem się odsunął. Wlot rury miał średnicę zaledwie około pięćdziesięciu centymetrów. Czyżby sądził, że tędy przejdziemy? Jednak kanalarz stał wyczekująco.

– To jedyna droga – powiedział, a przepaszający ton, jaki zabrzmiał w jego głosie, zdawał się skierowany do mojej mamy.

– Musi pani wczołgać się na brzuchu. Jeśli przepchnie pani głowę i ramiona, to cała reszta się zmieści.

Dał coś mamie, potem podszedł do rury, chociaż zdawało się niemożliwe, że się do niej wciśnie. Jednak najwyraźniej robił to już wcześniej. Wślizgnął się do środka i po chwili zniknął.

Rodzina ortodoksów weszła pierwsza i słyszałam, jak stękają i napinają się z wysiłkiem, żeby się precyzyjnie. Potem do tunelu podeszła rodzina z małym dzieckiem. Zostaliśmy tylko mama, tato i ja. Kiedy przyszła moja kolej, uklęknęłam przed rurą, która przypominała mi zakurzone pomieszczenie na strychu w naszym dawnym domu, gdzie przed wojną bawiłam się ze Stefanią. Mogłam się tam wczłgać. Ale co z mamą?

– Teraz ty – powiedziała mama. Zawahałam się, wątpiąc, czy dam radę się precyzyjnie. – Pójdę zaraz za tobą – obiecała mama i wiedziałam, że nie mam wyboru i muszę jej uwierzyć.

Tato mnie lekko popchnął i zaczęłam się przedzierać, starając się nie zwracać uwagi na strużki wody na dnie kanału. Moczyły mi nieprzyjemnie przód ubrania. Ze wszystkich stron otaczała mnie żelazna rura, zamykająca mnie w wodnym grobowcu. Zatrzymałam się, nagle sparaliżowana strachem, nie mogąc się poruszyć ani oddychać. „Chodź, chodź” – usłyszałam wołanie gdzieś z daleka i zrozumiałam, że muszę iść dalej albo tu umrzeć. Rura miała około dziesięciu metrów długości i kiedy dotarłam do jej drugiego końca, wyszłam na gzymsik, odwróciłam się i nasłuchiwałam. Z pewnością tato był zbyt duży, żeby się nią przedostać, podobnie jak mama w swym obecnym stanie. Ogarnął mnie lęk na myśl, że mogłabym zostać bez nich po tej stronie.

Minęło jakieś pięć minut i nikt więcej nie pojawił się w otworze. Kanalarz podniósł sznur z ziemi i wsunął do rury, czołgając się kawałek z powrotem, by przeciągnąć przez nią sznur. Potem zaczął nim lekko pociągać, robiąc przerwy co kilka sekund. Z wnętrza rury słyszałam ciche pojękiwanie mamy. Kiedy w końcu pojawiła się obwiązana sznurem, była pokryta jakąś mazią, którą robotnik zapewne dał jej, żeby łatwiej mogła się prześlizgnąć. Na pewno skuteczne, lecz poniżające. W ubłoconej sukni, rozczochrana, zupełnie nie przypominała eleganckiej zazwyczaj osoby i miała spuszczonego wzrok, gdy ten obcy człowiek pomagał jej wyjść. Za nią przeciskał się tato, chyba samą siłą woli. Nigdy w życiu tak się nie ucieszyłam na jego widok.

Jednak ulżyło mi na krótko. Dokładnie w miejscu, w którym wyszliśmy z rury, nad naszymi głowami znajdowała się metalowa krata. Słyszając niemieckie głosy takie jak te, które kilka godzin wcześniej wyrwały nas z łóżek, zorientowałam się, że nadal jesteśmy pod terenem getta. Niemcy wciąż wywrzaskiwali rozkazy. Snop światła latarki odbił się od krawędzi pokrywy studzienki i rozlał po jej powierzchni.

– Musimy iść dalej – szepnął kanalarz.

Poszliśmy za nim, przechodząc z mniejszego tunelu, w którym wydostaliśmy się z rury, z powrotem do głównego burzowca i rwącej nim szerokiej rzeki ścieków. Betonowy gzyms zniknął i musieliśmy posuwać się kamiennym brzegiem kanału, brodząc w wodzie głębokości jakichś dziesięciu centymetrów. Kamienne podłoże było śliskie i nachylone, i przy każdym kroku bałam się, że wpadnę w nurt. Coś ostrego tkwiącego w wodzie przecięło mi but i wbiło się w stopę. Złapałam za nią, próbując stłumić krzyk. Chciałam się zatrzymać i obejrzeć ranę, ale kanalarz szedł teraz szybciej i zdałam sobie sprawę, że jeśli nie będziemy nadążać, zostaniemy tu na dobre.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka ścieków, wzdłuż której szliśmy, przecinała się z innym kanałem, równie szerokim i bystrym. Hałas rwącej wody przerodził się w grzmot.

– Ostrożnie – ostrzegł robotnik. – Musimy tędy przejść na drugą stronę.

Wskazał na kilka desek luźno połączonych ze sobą i tworzących mostek nad nurtem pędzącej wody.

Wstrzymałam oddech ze strachu na samą myśl o przejściu przez tę rzekę. Idący za mną tata położył mi dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Sadie. Pamiętasz, jak brodziliśmy w zalewie w Kryspinowie, przeskakując z kamienia na kamień? Tu jest tak samo.

Już miałam powiedzieć, że woda w Kryspinowie, gdzie często latem robiliśmy pikniki, była spokojna i czysta, pełna kijanek i rybek,

a nie gęsta od brudów z całego miasta, gdy tato popchnął mnie do przodu i siłą rzeczy ruszyłam za mamą, która pomimo okrągłego brzucha zaczęła przeskakiwać z deski na deskę z taką gracją, jakby grała w klasy. Nagle stopa ześlizgnęła mi się z deski, ale tato wyciągnął rękę, by mnie podtrzymać.

Odwróciłam się.

– Tato, to szaleństwo! – wykrzyknęłam. – Musi być inna droga.

– Kochanie, jest tylko ta.

Miał spokojny, pewny głos. Tato, który zawsze dbał o moje bezpieczeństwo, wierzył, że dam radę.

Wzięłam głęboki oddech, odwróciłam się i jeszcze raz ruszyłam do przodu. Przeszłam przez jedną deskę, potem następną. Byłam teraz na środku ścieku, daleko od obu brzegów. Nie miałam możliwości powrotu. Zrobiłam kolejny krok. Deska ustąpiła spod stopy i zaczęła się wyślizgiwać gdzieś bokiem.

– Ratunku! – krzyknęłam, a mój głos odbił się echem w tunelu.

Tato wychylił się w przód, by mnie podtrzymać. Gdy to robił, upuścił mały plecaczek, który spakowała mama. Pakunek, zawierający resztki naszego dobytku, zdawał się jak w zwolnionym tempie frunąć w powietrzu i zawisł nad wodą. Zanim zdołał do niej wpaść, tato spróbował go złapać. Schwycił go i rzucił do mnie, a potem usiłował stanąć prosto. Jednak wychylił się zanadto i stracił równowagę.

– Tato! – krzyknęłam, gdy z głośnym pluśnięciem wpadł w ciemną wodę kanału.

Kanalarz obrócił się i szybko przebiegł po deskach, ratując mnie. Potem próbował złapać mojego ojca. Kiedy prawie dosięgnął jego dłoni, silny nurt porwał ojca i zaląła go woda. W dali na brzegu krzyczała matka.

Tato ponownie znalazł się na powierzchni. Wynurzył się z toni, cały jego tułów i niemal całe nogi wystawały nad wodę. Walczył. Rosła we mnie nadzieja, że da radę. Jednak wtedy schwyciła go woda, jakby olbrzymia ręka złapała go i wciągnęła w głąb. Jeden wir wkręcił go całego w lodowatą otchłań. Wstrzymałam oddech, czekając, aż pojawi się ponownie, by dalej walczyć. Na próżno.

Rozdział 4

Sadie

Oszołomieni gapiliśmy się na wodę.

– Tato! – zawołałam jeszcze raz. Mama wydała niski, gardłowy dźwięk i próbowała rzucić się w wodę w ślad za ojcem, ale robotnik ją odciągnął.

– Poczekaście tutaj – przykazał i popędził dalej ścieżką z biegiem ścieku. Złapałam mamę za rękę, żeby nie spróbowała znowu skakać.

– Jest silnym mężczyzną – powiedział Saul. Chociaż chciał mnie uspokoić, tylko mnie rozgniewał: skąd mógł wiedzieć?

– I dobrym pływakiem – dodała mama z rozpaczą. – Powinien przeżyć.

Pragnęłam uczepić się tej nadziei tak jak ona. Jednak przypominając sobie, że nurt porwał go jak szmacianą lalkę, zdawałam sobie sprawę, że nawet pewne, silne uderzenia ramion ojca nie będą miały znaczenia w walce z nurtem.

Mama i ja przytulone stałyśmy w ciszy przez kilka minut, odrętwiałe z niedowierzania. Kanalarz wrócił, miał poważny wyraz twarzy.

– Zaczepił się pod wodą o jakieś rumowisko. Próbowałem go uwolnić, ale było za późno. Przykro mi, ale obawiam się, że nie ma już nic do zrobienia.

– Nie! – krzyknęłam. Mój głos rozległ się niebezpiecznie głośno w ogromnym tunelu.

Matka zasłoniła mi dłonią usta, zanim zdołałam odezwać się ponownie. Moje wargi poczuły jej skórę, na której była mieszanka ohydnej cieczy z kanału i słonych łez. Zaszlochałam w ciepłe, brudne

wnętrze jej dłoni. Tato był tu zaledwie kilka minut temu, przytrzymując mnie, żebym się nie ześlizgnęła. Gdyby mnie nie złapał, nadal by żył.

Po chwili mama wypuściła mnie z objęć.

– Odszedł – powiedziałam.

Oparłam się o nią, czując się jak małe dziecko. Ojciec był łagodnym mocarzem, moim opiekunem, powiernikiem i najbliższym przyjacielem. Całym moim światem. Ale kanał wciągnął go w głąb i zabrał w dal jak tyle innych śmieci.

– Wiem, wiem – wyszeptała mama przez łyzy. – Ale musimy być cicho albo też zginiemy.

Hałas mógłby spowodować wykrycie nas przez policję, znajdującą się na ulicy nad nami, i nikt nie chciał ponosić takiego ryzyka. Mama oparła się o ścianę kanału, wyglądała na bezbronną i bezradną. Cała ta ucieczka to był plan taty – jak damy sobie radę bez niego?

Saul zrobił krok w moją stronę, brązowe oczy patrzyły z powagą.

– Przykro mi z powodu twojego ojca.

Miał bardziej przyjazny głos niż wtedy, gdy starałam się do niego zagadać. Było to już bez znaczenia. Dotknął róna kapelusza i przysunął się z powrotem do swego taty.

– Musimy iść dalej – powiedział kanalarz.

Stałam uparcie, nie chcąc się poruszyć.

– Nie możemy go tak zostawić.

Wiedziałam, że nurt porwał tatę w dal, ale nadal jakaś cząstka mnie wierzyła, że jeśli będę tu stać, dokładnie w tym miejscu, w którym zniknął, ojciec wynurzy się na powierzchnię i będzie tak, jakby nic się nie stało. Wyciągnęłam rękę, pragnąc zatrzymać czas. Przed chwilą tato był tutaj obok mnie, prawdziwy i silny, a teraz odszedł, została pustka i cisza.

– Tato nie żyje – powiedziałam, a ta bolesna rzeczywistość docierała do mnie coraz mocniej.

– Ale ja tu jestem. – Mama ujęła w dłonie moją twarz, zmuszając do spojrzenia jej w oczy. – Jestem tutaj i nigdy cię nie opuszczę.

Kanalarz podszedł i ukląkł przede mną.

– Mam na imię Paweł – powiedział łagodnie. – Znałem twojego ojca, był dobrym człowiekiem. Powierzył mi wasze bezpieczeństwo i chciałby, żebyśmy poszli dalej.

Wstał, odwrócił się i odszedł, a inni ruszyli za nim.

Mama wyprostowała się, jakby te słowa dodały jej sił. Jej zaokrąglony brzuch sterczał teraz jeszcze bardziej.

– Jakoś przez to przejdziemy.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Jak mogła tak pomyśleć – a tym bardziej w to wierzyć – teraz, gdy straciliśmy wszystko? Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie oszalała. Jednak w jej słowach była spokojna pewność, którą chciałam usłyszeć.

– Uda nam się. – Zaczęła ciągnąć mnie do przodu. – Chodź.

Zawsze była zaskakująco silna jak na swoją szczupłą posturę, a teraz szarpnęła tak mocno, że złąkłam się, iż w razie oporu wpadnę w wodę i również się utopię.

– Musimy się pospieszyć.

Miała rację. Reszta poszła bez nas i byli już kilka metrów przed nami. Musiałyśmy iść za nimi albo zostałybyśmy same w tym dziwnym, ponurym tunelu.

Znowu się zawahałam, patrząc z obawą na wzburzoną, ciemną rzekę.

Zawsze bałam się wody, a teraz ten lęk wydawał się uzasadniony. Jeśli tato, sprawny pływak, nie dał sobie rady z tym mętłym nurtem,

jaką ja miałabym szansę?

Popatrzyłam w głąb mrocznej ścieżki. Nie było mowy, żebym dała radę.

– Chodź – powtórzyła mama łagodniejszym tonem. – Wyobraź sobie, że jesteś wojowniczą księżniczką, a ja, twoja mama, panującą królową. Będziemy wędrować korytarzami Wawelu do lochu, by zabić smoka wawelskiego.

Nawiązywała do zabawy z przebieranką, w którą się bawiłyśmy, gdy byłam mała. Byłam za duża na taką dziecinadę, a wspomnienie tego rodzaju zabaw, w które się często bawiłam z tatą, wywołało we mnie tylko nową falę smutku. Jednak bardzo kochałam mamę właśnie za to, że umiała nadrabiać miną w każdej sytuacji, i za gotowość do przypomnienia mi, nawet teraz, że tkwimy tu razem.

Dołączyłyśmy do pozostałych i szłyśmy dalej wzdłuż kanału, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Paweł szedł z przodu, za nim młode małżeństwo, a potem rodzina ortodoksów ze staruszką, która wyglądała na blisko dziewięćdziesiąt lat, ale poruszała się zdumiewająco szybko.

Pomyślałam, że na pewno dochodzimy do granic miasta. Może jest jakieś wyjście na wolność, może do lasu na przedmieściach. Słyszałam, że tam ukrywają się Żydzi. Nie mogłam się doczekać, kiedy znowu będę mogła oddychać świeżym powietrzem. Paweł poprowadził nas w prawo do mniejszej odnogi głównego tunelu, a ścieżka zdawała się wznosić, jakbyśmy byli blisko wyjścia. Serce zabiło mi mocniej, gdy wyobraziłam sobie, że czuję poranne słońce na twarzy i na zawsze żegnam się z kanałem.

Paweł znowu skręcił, tym razem w lewo, i wprowadził nas do betonowej komory pozbawionej okien czy innego źródła światła. Miała może cztery na cztery metry, była mniejsza niż jednopokojowe mieszkanie, które zajmowaliśmy w getcie. Woda z kanału rozbijała się o pochyłe wejście do pomieszczenia jak fale o brzeg. Ktoś ułożył kilka

wąskich desek na bloczkach z żużlu, tworząc coś w rodzaju ławek, a w rogu stał zardzewiały piecyk. Było niemal tak, jakby na nas tu czekano.

– Tutaj się ukryjcie – oświadczył Paweł, zataczając ręką krąg po pomieszczeniu. Zrozumiałam, że nie prowadził nas przez rury kanału do wyjścia. To „gdzieś” było w kanale.

– Tutaj? – powtórzyłam, nieporna na wcześniejszą przestrogę mamy, by być cicho.

Wszystkie głowy zwróciły się ku mnie. Paweł skinął potakująco.

– Na jak długo? – Nie umiałam sobie wyobrazić, że spędzę w kanale kolejną godzinę.

– Nie rozumiem – powiedział Paweł.

Mama przełknęła ślinę.

– Myślę, że córka pyta, dokąd stąd pójdziemy?

– Głupie – warknęła starszuszka. Po raz pierwszy usłyszałam, że coś mówi. – To jest tutaj.

Spojrzałam na mamę z niedowierzaniem.

– Mamy tu mieszkać?

Mąciło mi się w głowie. Moglibyśmy przeżyć tu kilka godzin, może jedną noc. Kiedy tato kazał mi wejść do kanału przez dziurę w naszej łazience, byłam przekonana, że to tylko przejście do bezpiecznego miejsca. I kiedy zropaczeni szliśmy przez te brudy, mówiłam sobie, że taka ucieczka jest koniecznością. Jednak to kanał okazał się punktem docelowym. Nawet w najgorszych koszmarach nie mogłabym sobie wyobrazić, że tu zostaniemy.

– Na zawsze? – spytałam.

– Nie, nie na zawsze, ale... – Paweł spojrzał niepewnie na mamę. Ludzie żyjący w czasie wojny niechętnie mówili o przyszłości. Potem

jeszcze raz zajrzał mi w oczy. – Kiedy zaczęliśmy to planować, byliśmy pewni, że wyprowadzimy was na zewnątrz tam, gdzie tunel dochodzi do rzeki.

Po jego głosie mogłam poznać, że kiedy mówił „my”, miał na myśli siebie i mojego ojca.

– Ale teraz Niemcy obstawili to wyjście. Jeśli pójdziemy dalej, zostaniemy zastrzeleni.

A jeśli wrócimy do getta, będzie tak samo – pomyślałam. Znaleźliśmy się w pułapce, nie mamy dokąd iść.

– To dla was wszystkich najlepsza możliwość. Jedyne nadzieja.

W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta.

– Nie ma innego wyjścia z kanału, a nawet gdyby było, na ulicach jest teraz zbyt niebezpiecznie. Zgoda? – spytał, jakby potrzebował mojej akceptacji. I jakbym miała wybór.

Nie odpowiedziałam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mówię „tak” na taką propozycję. Jednak tato nie wysłałby nas tutaj, gdyby nie wierzył, że to jedyna nasza szansa na przeżycie. W końcu pokiwałam głową.

– Nie możemy tu zostać – powiedział jakiś głos za mną. Odwróciłam się. To młoda kobieta z małym dzieckiem odezwała się tak do męża, protestując podobnie jak wcześniej ja. – Obiecano nam, że wyjdziemy.

– Wyjście jest niemożliwe – powtórzył cierpliwie Paweł, jakby przed chwilą nie wyjaśniał mi tego wszystkiego. – Niemcy ustawili straż przy końcu tunelu.

– Nie mamy wyboru – zgodził się z nim mąż.

Kobieta zabrała syna i ruszyła w stronę wejścia do komory.

– Wiem, że tam dalej jest wyjście – stwierdziła z uporem, przepychając się obok Pawła i kierując w przeciwną stronę niż ta, z której przyszliśmy.

– Proszę – powiedział Paweł. – Nie wolno pani iść. To niebezpieczne. Niech pani pomyśli o swoim synu.

Ale kobieta nie zatrzymała się, a jej mąż ruszył za nią. Z daleka słyszałam, że nadal się kłóca.

– Zaczekajcie! – zawołał Paweł stłumionym głosem, stojąc przy wejściu do komory. Jednak nie poszedł za nimi. Musiał chronić nas wszystkich i siebie.

– Co się z nimi stanie? – spytałam.

Nikt nie odpowiedział. Głosy małżeństwa cichły w oddali. Wyobraziłam sobie, jak docierają do miejsca, gdzie tunel dochodzi do rzeki. Jakaś część mnie pragnęła uciec wraz z nimi.

Po kilku minutach rozległ się dźwięk przypominający odpalenie petard. Podskoczyłam. Chociaż w getcie kilka razy słyszałam strzały, nie przyzwyczyłam się do tego odgłosu. Odwróciłam się do Pawła.

– Czy myśli pan...?

Wzruszył ramionami, nie mogąc stwierdzić, czy te strzały były wymierzone w rodzinę, która uciekła, czy były to strzały na ulicy nad nami. Jednak głosy w korytarzu ucichły.

Przysunęłam się do mamy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała uspokajająco.

– Jak możesz mówić coś takiego? – zwróciłam się do niej wzburzona. „Dobrze” było ostatnim słowem na opisanie tego piekła, w którym się znaleźliśmy.

– Będziemy tu przez kilka dni, najwyżej przez tydzień.

Chciałam jej uwierzyć.

Przez wejście do komory przeszedł szczur i patrzył na nas nie ze strachem, lecz z pogardą. Krzyknęłam, a pozostali spojrzeli na mnie wymownie.

– Mów szeptem – upomniała mnie mama łagodnie. Jak mogła być taka spokojna?

– Mamo, tu są szczury. Nie możemy tu zostać!

Sama myśl o pozostaniu wśród nich była nie do zniesienia.

– Musimy stąd odejść! – Byłam bliska hysterii.

Paweł podszedł do mnie.

– Nie ma mowy o powrocie. Nie ma wyjścia. To jest teraz wasz świat. Musisz to zaakceptować dla swojego dobra i dobra twojej mamy oraz dziecka, które nosi. – Zajrzał mi w oczy. – Rozumiesz?

Jego głos był łagodny, ale stanowczy. Skinęłam głową.

– To jedyny sposób.

Szczur nadal stał za nim w tunelu, przy wejściu do komory i patrzył na nas wyzywająco, jakby wiedział, że jest górą. Nigdy nie lubiłam kotów. Ale teraz, och, tak bardzo chciałabym, żeby stary mruczek, który wylegiwał się w alejce za naszym mieszkaniem, złapał to stworzenie!

Mama zwróciła się do Pawła:

– Będziemy potrzebowali dużo węgla i oczywiście zapalek.

Mówiła spokojnie, jakby pogodziła się z naszym losem i próbowała go poprawić. Wydawało mi się, że powinna była poprosić, ale użyła tego specyficznego stanowczego tonu, który zawsze sprawiał, że ludzie robili to, czego sobie życzyła.

– Dostaniecie to. A tam dalej przy ścieżce jest przeciekająca rura, gdzie można nabrać świeżej wody.

Paweł znowu mówił uprzejmie, jakby chciał nas uspokoić. Potem niezręcznie zmienił ton.

– Macie pieniądze?

Mama zawahała się. Nie miała pojęcia, czy tato uzgodnił z nim jakąś opłatę i w jakiej wysokości. A większość naszych pieniędzy na pewno utonęła wraz z ojcem. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła zmięty banknot. Jakiś grymas przemknął po twarzy Pawła i zrozumiałam, że to nie było tyle, ile mu obiecano. Co by się stało, gdybyśmy nie mogły mu zapłacić?

– Wiem, że to niewiele. – Mama popatrzyła na niego błagalnie.

W końcu przyjął banknot. Religijny Żyd, który stał w kącie ze swoją rodziną, również dał mu jakieś pieniądze.

– Będę wam przynosić jedzenie tak często, jak będę mógł – oświadczył Paweł.

– Dziękuję. – Mama spojrzała przez ramię na rodzinę ortodoksów. – Myślę, że nie zostaliśmy sobie właściwie przedstawieni. – Przeszła przez pomieszczenie. – Nazywam się Danuta Gault – powiedziała, wyciągając rękę do ojca rodziny.

Nie przyjął jej, tylko skinął oficjalnie głową, jak przy powitaniu na ulicy.

– Mejer Rosenberg.

Miał szpakowatą brodę, zażółconą wokół ust od tytoniu, życzliwe oczy i ciepły, melodyjny głos.

– To moja matka Ester i mój syn Saul.

Spojrzałam na Saula, a on się uśmiechnął.

– Wszyscy mówią na mnie Babi – wtrąciła się starsza kobieta chrypliwym głosem. Wydawało mi się dziwne, by nazywać takim zdrobniałym imieniem osobę, którą właśnie poznałam.

– Miło mi panią poznać, Babi – odparła matka, uwzględniając jej życzenie. – I pana, panie Rosenberg – dodała bardziej formalnie. Potem

odwróciła się w moją stronę. – Jestem tu z moim mężem... to znaczy...
– Zdawało się, że na sekundę zapomniała, że taty już nie ma. – To znaczy, byłam. A to moja córka Sadie.

– A tamta rodzina? – nie mogłam się powstrzymać, by nie zapytać.
– Tamta z małym chłopcem. Co się z nimi stało?

Właściwie nie powinnam się dopytywać. Wołałam wyobrazić sobie, że wydostali się na ulicę i znaleźli gdzieś kryjówkę. Jednak nigdy nie byłam dobra w udawaniu ani odwracaniu wzroku. Musiałam się dowiedzieć.

Paweł, zanim odpowiedział, spojrzał niepewnie nad moją głowę na matkę, jakby pytając, czy powinien mnie okłamać.

– Nie wiem na pewno. Najprawdopodobniej zostali zabici przy ujściu kanału do rzeki – powiedział w końcu. Zastrzeleni, pomyślałam, wspominając odgłosy strzałów. Gdybyśmy poszli tamtędy, także zostalibyśmy zabici. – Teraz rozumiecie, dlaczego jest tak ważne, byście tu zostali, niewidoczni i niesłyszalni.

– Ale jak możemy tu zostać? – zażądała wyjaśnienia Babi Rosenberg. – Z pewnością teraz, gdy tamtych złapali, Niemcy wiedzą, że tu na dole są ludzie, i przyjdą szukać.

Saul przysunął się do babci i położył jej dłoń na ramieniu, jakby dla dodania otuchy.

– Może – odparł łagodnie Paweł, nie chcąc nas okłamywać dla uspokojenia. – Widziałem kilku Niemców przy jednej z krat od kanału, gdy zostawiłem was i wyszedłem wcześniej na ulicę. Powiedziałem im, że tu są szczury, więc nie weszli. Chcieli na swoje miejsce przysłać na poszukiwania polską policję, ale powiedziałem im, że to niemożliwe, by ktoś przeżył na dole.

Zastanawiałam się, czy nie ma w tym racji.

– I tak będą nadal krążyć i sprawdzać kanały – powiedział Saul ponuro, odzywając się po raz pierwszy.

Paweł pokiwał głową z powagą.

– A wówczas będę musiał ich wprowadzić.

W grupie rozległo się westchnienie. Czy mimo wszystko Paweł by nas zdradził?

– Zabiorę ich do innych tuneli, żeby was nie zobaczyli. Jeśli będą się upierać, żeby tędy przejść, zrobię przed sobą duży krąg latarką, żebyście mieli czas się ukryć.

Rozglądając się po tej pustej komorze, trudno było sobie wyobrazić, gdzie byłoby to możliwe.

– Muszę już iść – powiedział Paweł. – Gdybym nie wrócił do pracy, mój brygadzysta zacznie zadawać pytania.

Zdałam sobie sprawę, że musi być poranek, chociaż tu do nas nie dochodziło światło.

Paweł pogrzebał w kieszeni i wyjął pakunek zawinięty w papier. Rozpakował go i wyjął jakieś mięso, podzielił je na dwie połówki, a potem wręczył kawałek mojej mamie, a drugi panu Rosenbergowi, dzieląc skromne porcje pomiędzy dwie rodziny.

– To jest golonka – szepnęła moja mama. – Goleń wieprzowa. Zjedz.

Chociaż nigdy wcześniej tego nie jadłam, żołądek mi zaburczał.

Ale pan Rosenbeg popatrzył na mięso od Pawła i zmarszczył nos z odrazą.

– To trefne – powiedział z niesmakiem na myśl o zjedzeniu czegoś niekoszernego. – Nie możemy tego jeść.

– Przykro mi. To wszystko, co mogłem zdobyć w krótkim czasie – odparł Paweł, a w jego głosie brzmiała prawdziwa skrucha.

Ponownie chciał wręczyć mięso panu Rosenbergowi, ale on tylko pomachał dłonią przecząco.

– To może przynajmniej dla pana matki i syna? – Spróbował Paweł jeszcze. – Obawiam się, że nie będzie nic więcej przez dzień lub dwa.

– Absolutnie nie.

Paweł wzruszył ramionami i dał dodatkowe mięso mamie. Zawahała się, bo chciała nas nakarmić, ale trudno jej było wziąć więcej niż należna nam porcja.

– Jeśli jest pan pewny...

– Nie powinno się zmarnować – powiedział.

Mama wzięła sobie kawałek wieprzowiny, a resztę dała mnie. Zjadłam ją szybko, zanim pan Rosenberg zdążył zmienić zdanie i próbując nie zwracać uwagi na zły wzrok jego syna. Starsza pani stała tuż obok rodziny, nie skarżyła się, ale zastanawiałam się, czy nie powinnam się czuć winna, bo może miała ochotę trochę zjeść. Patrzyłam na rodzinę Rosenbergów ubraną w dziwne czarne stroje. Co oni zrobili, by wkraść się w łaski kanalarza? Tak bardzo różnili się od nas. A teraz mieliśmy wszyscy mieszkać tu razem. W getcie udało nam się uniknąć poniżającego wspólnego mieszkania z obcymi ludźmi, ale teraz ukrywanie się w małym pomieszczeniu z tymi nieznanymi było naszą jedyną nadzieją.

Potem Paweł odszedł, zostawiając nas samych w komorze.

– Tutaj – powiedziała mama, pokazując na jedną z ławek. Wskazała na tak brudne i mokre miejsce, że jeszcze dzień wcześniej skrzyczałaby mnie, gdybym tam usiadła.

Kiedy usiadłam, stopa zaczęła mi pulsować, przypominając o odniesionej ranie.

– Skaleczyłam się w stopę – poskarżyłam się, chociaż wydawało się to głupie na tle tego wszystkiego, co się zdarzyło. Mama uklękła obok mnie, mocząc i tak już brudny skraj spódnicy w paskudnej wodzie. Uniosła do góry moją prawą stopę i zdjęła przemoczony but, a potem wytarła suchym kawałkiem swojego ubrania.

– Musimy mieć cały czas suche stopy.

Nie rozumiałam, jak może myśleć o czymś takim w tych okolicznościach.

Sięgnęła po plecaczek, który dał mi tato, zanim wpadł do wody. Co w nim było tak cennego, za co mój ojciec oddał życie? Mama otworzyła go. Były tam lekarstwa, bandaże, niebiesko-biały kocyk dla niemowlęcia i zapasowa para skarpetek dla mnie. Zwinęłam się w kłębek, od nowa przygnieciona smutkiem.

– Skarpetki – powiedziałam powoli, z głębokim niedowierzaniem. – Tato umarł za parę skarpetek.

– Nie – odparła mama. – Umarł, żeby uratować ciebie. – Przygarnęła mnie do siebie. – Wiem, że to trudne – wyszeptała z oczami błyszczącymi od łez. – Ale musimy zrobić wszystko, żeby przeżyć. On by tego chciał. Rozumiesz?

Jej twarz przybrała twardy, zdecydowany wyraz, jakiego wcześniej nigdy u niej nie widziałam. Pochyliła nade mną głowę, a miękki kosmyk jej włosów nad uchem nadal pachniał wodą cynamonową, którą spryskała się po kąpieli poprzedniego dnia. Zastanawiałam się, jak długo będziemy tu na dole, zanim ten wspaniały zapach się ulotni.

– Rozumiem.

Pozwoliłam jej nałożyć maść na stopę, a potem włożyłam parę czystych skarpetek, które mi dała. Kiedy się pochylałam, spojrzałam na opaskę z niebieską gwiazdą na moim rękawie. Niemcy kazali nam je nosić, by oznaczyć nas jako Żydów.

– Przynajmniej już tego nie potrzebujemy. – Szarpnęłam za opaskę, która rozdarła się z głośnym trzaskiem.

Mama uśmiechnęła się.

– Moja córka zawsze umie zobaczyć dobrą stronę.

Poszła za moim przykładem i ściągnęła swoją opaskę, a potem zachichotała z satysfakcją.

Kiedy zamierzała zamknąć plecaczek, wysunął się z niego jakiś metalowy drobiazg i upadł na podłogę. Szybko go podniosłam. Był to złoty łańcuszek, który mój tata zawsze nosił pod koszulą, z zawieszka z hebrajskim słowem *chai*, czyli życie. Mężczyźni rzadko nosili biżuterię, ale ten naszyjnik był prezentem dla taty od jego rodziców z okazji bar micwy. Byłam przekonana, że tato miał go na sobie, gdy wpadł do wody i że łańcuszek także zatonął. Ojciec musiał go zdjąć, zanim uciekliśmy z getta. Teraz był tu z nami.

Dałam go mamie. Pokręciła głową.

– Tato chciałby, żebyś ty go miała.

Zapięła mi go na szyi, a słowo *chai* znalazło się na piersiach, blisko serca.

Na zewnątrz pomieszczenia rozległy się kroki. Zerwaliśmy się przerażeni. Czyżby Niemcy tak szybko nadeszli? Ale to był tylko Paweł.

– Światło – powiedział, wskazując na jedyną karbidową lampkę wiszącą na haku. – Unoszą się z niej opary, które widać na ulicy. Musicie ją zgasić.

Ociągając się, zrezygnowaliśmy z jedynego źródła światła, jakie tu mieliśmy, i kanał stał się znowu zimny i ciemny.

Rozdział 5

Ella

Kwiecień 1943

Wiosna zawsze nadciągała do Krakowa powoli, jak rusza się śpiące dziecko, któremu rano nie chce się wstać z do szkoły. W tym roku wyglądało, jakby w ogóle nie miała nadejść. Brudny śnieg nadal pokrywał podstawę mostu, którym szłam ze śródmieścia w stronę Dębnik, robotniczej dzielnicy na południowym brzegu Wisły. Powietrze było lodowate, wiał ostry wiatr. Tak jakby matka natura sama protestowała przeciwko niemieckiej okupacji, która trwała już czwarty rok.

Nie spodziewałam się, że w sobotni rano znajdę się w interesach w tej odległej części miasta. Jeszcze godzinę temu byłam w swoim pokoju, pisząc list do Macieja. Od niemal dziesięciu lat mieszkałam w Paryżu i chociaż nie miałam okazji go odwiedzić, miasto stało mi jak żywe przed oczami dzięki szczegółowym opisom i złośliwemu poczuciu humoru, zawartymi w jego wysmakowanych listach. Odpisywałam mu jak najbardziej ogólnikowo, bo zdawałam sobie sprawę, że nasze listy mogą być czytane. „Sokolica poluje” – napisałam kiedyś. Tym mianem określaliśmy Anę Lucię ze względu na jej zamiłowanie do strojenia się w futra i inne resztki zwierząt, a „polowanie” odnosiło się do czasów, gdy była szczególnie paskudna. „Przyjedź do Paryża” – napisał Maciej w ostatnim liście, a ja tylko się uśmiechnęłam, wyczuwając przyswojoną sobie przez niego francuską lekkość, wyczierającą z jego słów. „Phillipe i ja bylibyśmy szczęśliwi, widząc cię tutaj”. Jakby to było takie proste. Teraz podróże były niemożliwe, ale może gdy wojna się skończy, brat zaprosi mnie do siebie na stałe. Moja macocha nie będzie się wtrącać do mojego wyjazdu, o ile nic by jej to nie kosztowało.

Kończyłam właśnie zaklejanie listu odrobiną wosku, gdy usłyszałam jakiś ruch na dole w kuchni. Ana Lucia krzyczała na naszą służącą. Biedaczka często stawała się ofiarą gniewu mojej macochy. Kiedyś w domu mieliśmy cztery osoby służby. Jednak wojna dla wszystkich wiązała się z wyrzeczeniami, a w świecie mojej macochy znaczyło to, że musiała ograniczyć się do jednej służącej. Była nią Hanna, szczupła, bezdomna dziewczyna ze wsi, niemająca własnej rodziny. Tylko ona chciała przyjąć wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem całego gospodarstwa i tylko ona pozostała z personelu, pełniąc jednocześnie funkcje gospodyni, lokaja, ogrodnika i kucharki, bo nie miała dokąd pójść.

Zastanawiałam się, jaki jest dzisiaj powód złości macochy. Gdy zesłam na dół, dowiedziałam się, że chodzi o wiśnie.

– Obiecałam Hauptsturmführerowi Krausowi najlepszy w całym Krakowie placek z wiśniami na deser dzisiejszego wieczoru. Tyle że nie mamy wiśni! – Policzki Any Luci były ciemnoróżowe z gniewu, jakby właśnie wyszła z kąpieli.

– Przykro mi, proszę pani – powiedziała Hanna. Jej dziobata twarz wyrażała zakłopotanie. – To nie sezon.

– Zatem? – Praktyczna strona całej sytuacji nie docierała do Any Luci, która miała konkretne żądania.

– Może są suszone wiśnie – podsunęłam, chcąc przyjść z pomocą. – Albo z puszki.

Ana Lucia odwróciła się w moją stronę i spodziewałam się, że jak zwykle zlekceważy moją uwagę.

– Tak, rzeczywiście – powiedziała powoli, jakby zdziwiona, że miałam dobry pomysł.

Hanna pokręciła głową.

– Próbowałam. W ogóle nie są dostępne na rynku.

– Więc idź gdzie indziej! – wybuchła Ana Lucia. Bałam się, że moja sugestia, mimo że poczyniona w dobrej wierze, tylko pogorszyła sytuację biednej dziewczyny.

– Ale mam robić pieczeń... – głos Hanny brzmiał słabo i bezradnie.

– Ja pójdę – wtrąciłam się.

Obie spojrzały na mnie ze zdziwieniem. Nie chodziło o to, że chciałam pomóc macosze w zaspokojeniu apetytu jakiejś nazistowskiej świni. Przeciwnie, raczej wepchnęłabym mu te wiśnie do gardła. Jednak nudziłam się. I chciałam pójść na pocztę, żeby nadać list do Macieja, więc mogłabym załatwić obie sprawy za jednym zamachem.

Spodziewałam się, że macocha zaprotestuje, ale tego nie zrobiła. Wręczyła mi natomiast garść monet.

– Słyszałam, że wiśnie można dostać na Dębnikach – podsunęła Hanna, a w jej głosie brzmiała wdzięczność.

– Za rzeką? – spytałam.

Hanna skinęła głową, błagając wzrokiem, bym nie zmieniła zdania. Dębnyki, dzielnica na dalekim brzegu Wisły, leżały w odległości co najmniej trzydziestu minut tramwajem, a jeszcze więcej piechotą. Nie zamierzałam iść tak daleko. Jednak powiedziałam, że pójdę, a nie mogłam ponownie narazić Hanny na gniew mojej macochy.

– Placek musi znaleźć się w piecyku przed trzecią – powiedziała Ana Lucia groźnie, zamiast mi podziękować.

Przed wyjściem z domu włożyłam płaszcz i wzięłam niewielki koszyk, który często brałam na zakupy. Mogłam jechać tramwajem, ale wolałam nacieszyć się świeżym powietrzem i okazją do rozprostowania nóg. Szłam Grodzką na południe aż do Plant i przecięłam ten bezlistny jeszcze pas parku otaczającego centrum miasta.

Minęłam Planty i wędrowałam w kierunku rzeki, zahaczając o Kazimierz, żydowską dzielnicę na południowy wschód od śródmieścia.

Rzadko tu bywałam, ale ta część miasta zawsze wydawała mi się egzotyczna i obca, pełna mężczyzn w wysokich, czarnych kapeluszach i witryn sklepowych z hebrajskimi napisami. Przeszłam obok niegdysiejszej piekarni i niemal poczułam zapach chwałek, które tu zwykle wypiekano. Teraz, odkąd Niemcy zmusili Żydów do przeniesienia się do getta na Podgórzu, nie było tego wszystkiego. Sklepy zostały porzucone, miały powybijane szyby lub zamknięte okiennice. Synagogi, w których od wieków w sobotnie poranki gromadzili się wierni, były puste i ciche.

Szybko opuściłam te wymarłe zabudowania i teraz stałam u podstawy mostu przerzuconego nad szerokim nurtem Wisły. Rzeka oddzielała centrum miasta i Kazimierz od Podgórza i Dębnik na południu. Popatrzyłam przez ramię na górujący nad okolicą zamek. Ta dawna siedziba monarchów od prawie tysiąca lat górowała nad Krakowem. Obecnie jak wszystko wokół znalazła się na terenie Generalnego Gubernatorstwa i została przeznaczona przez Niemców na siedzibę ich administracji.

Gdy tak patrzyłam na Wawel, wróciło wspomnienie pewnej nocy niedługo po ataku na Polskę, gdy byłam na spacerze. Doszłam wówczas do wysokiego brzegu rzeki i ujrzałam łodzie zgromadzone w pobliżu zamku. Wywożono z niego duże skrzynie, wnoszono je po rampie na statek, a jedna, widocznie cięższa, była toczona na kółkach. Pomyślałam, że to napad, a moja dziecięca wyobraźnia cały czas pracowała. Fantazjowałam, że wzywam policję i jestem traktowana jak bohaterka za udaremnienie spisku. Jednak ludzie wywożący te rzeczy nie wyglądali na przestępców. Byli to pracownicy muzeum, ukradkiem wynoszący nasze narodowe skarby, by je ochronić. Ale przed czym? Przed grabieżą? Przed nalotami? Udało się ocalić obrazy, ale my byliśmy pozostawieni sami sobie i musieliśmy zmierzyć się z losem, jaki czekał nas pod rządami Niemców. Wtedy zrozumiałam, że nic już nie będzie jak dawniej.

Po drugiej stronie mostu były Dębniki, osiedle, gdzie zdaniem Hanny można było kupić wiśnie. W jego krajobrazie dominowały sylwetki fabryk i magazynów, rysując obraz odmienny od konturów eleganckich kościołów i wież śródmieścia. Przystanęłam na Zamkowej, ulicy w pobliżu rzeki, by zorientować się w położeniu. Nigdy wcześniej nie byłam tu sama i aż dotąd nigdy się nie zgubiłam. Zawahałam się, patrząc na niski budynek na rogu. Wyglądał jak miejsce załadunku skrzyń na barkę zacumowaną przy nabrzeżu. Niechętnie pytałabym tam o drogę, ale nie dostrzegłam żadnego przechodnia, którego mogłabym poprosić o pomoc. Była to więc jedyna możliwość, o ile chciałam dotrzeć w porę na targ i kupić wiśnie, ratując w ten sposób Hannę. Wzięłam się w garść i ruszyłam w stronę grupy mężczyzn palących papierosy przy rampie.

– Przepraszam – odezwałam się.

Wyraz ich twarzy wskazywał, jak bardzo jestem tu nie na miejscu.

– Ella? – Zdziwiłam się, słysząc własne imię.

Odwróciłam się i zobaczyłam znajomą twarz – był to ojciec Krzysia. Miał ciemnobrązowe, głęboko osadzone oczy, takie same jak u syna. Krzyś dorastał na robotniczym osiedlu na Dębnikach. Jego ojciec był dokerem. Ana Lucia nieraz podkreślała, że rodzina Krzysia zupełnie nie pasuje do naszej. Byłam u niego w domu kilka razy, żeby poznać jego rodziców. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, podejrzewałam, że w jakimś stopniu wstydził się pokazać mi mały dom na zwykłej ulicy, w którym się wychowywał. Jednak byłam oczarowana ciepłem panującym w jego rodzinie i sposobem, w jaki matka troszczy się o swoje „maleństwo”, chociaż jest ono już wysokim dwudziestolatkiem, przerastającym ją o głowę. Uwielbiałam spędzać czas w ich domu, serdecznym w równym stopniu, w jakim w moim wiało chłodem.

Oczywiście u nich na pewno teraz nastrój się zmienił. Rodzice Krzysia posłali trzech synów na wojnę, dwóch starszych zginęło, a trzeci

dotąd nie wrócił. Ich ojciec wyglądał starzej, niż go zapamiętałam, miał znacznie głębsze zmarszczki, bardziej pochylone szerokie bary, mocno posiwiałe włosy. Rosło we mnie poczucie winy. Chociaż nie byłam żyta z rodzicami Krzysia, po jego odejściu powinnam była sprawdzić, jak się mają.

Jednak jego ojciec nie okazał mi żadnego żalu, gdy podszedł do mnie z ciepłym, ale zdziwionym spojrzeniem.

– Ella, co ty tu robisz?

Zacząłam wyjaśniać mu, że potrzebuję wskazania drogi.

– Jeśli szukasz Krzysia, to on wróci niebawem – dodał.

– Wróci? – powtórzyłam, pewna, że się przesłyszałam. Czyżby otrzymał wiadomość od syna? Serce zabiło mi mocniej. – Z wojny?

– Nie, z lunchu. Powinien tu być w ciągu godziny.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Krzyś nadal jest na wojnie.

Zastanawiałam się, czy temu starszemu człowiekowi coś się nie pomieszało, czy smutek i żal z powodu straty nie nadwerężyły jego umysłu.

Jednak miał jasny wzrok.

– Nie, wrócił z frontu dwa tygodnie temu. Pracuje tu ze mną.

Mówił pewnym, stanowczym głosem, nie pozostawiając żadnych wątpliwości. Zamarłam bez ruchu oszołomiona. Krzyś wrócił!

– Przykro mi – powiedział jego ojciec. – Myślałem, że wiedziałaś.

Nie, nie wiedziałam.

– Czy pan wie, gdzie go znajdę?

– Powiedział, że ma jakąś sprawę. Myślę, że poszedł do kawiarni na Barskiej, tam gdzie często chodził przed wojną. – Wskazał ręką w stronę

ulicy odchodzącej od rzeki. – Druga ulica po prawej. Tam pewnie go znajdziesz.

– Dziękuję.

Idąc w kierunku kawiarni, miałam gonitwę myśli. A więc wrócił. Jakaś częśćka mnie była szczęśliwa. On był tylko kilka kroków dalej i za chwilę go spotkam. Ale mężczyzna, za którego miałam wyjść za mąż, wrócił z wojny i nawet nie pofatygował się, żeby się do mnie odezwać. Myślałam, że do pewnego stopnia ma to sens; przecież zerwał ze mną, zanim poszedł na front. Naszła mnie refleksja, że jestem tylko dziewczyną należącą do przeszłości. Mimo to czułam się dotknięta, że nie poinformował mnie o swoim powrocie i pozwolił mi wciąż się o niego martwić. Z pewnością należało mi się coś więcej. Zastanawiałam się, jak postąpić: iść do niego czy nie robić nic. Skoro nie przyszedł się ze mną zobaczyć, nie powinnam się ponizać i uganiać za nim. Jednak chciałam wiedzieć, co się stało i dlaczego nie pojawił się u mnie. Do diabła z przyzwoitością. Przyspieszyłam kroku.

Ulica Barska, gdzie skierował mnie ojciec Krzysztofa, leżała w centrum Dębnie. Gdy szłam przez tę dzielnicę, zauważyłam, że zabudowa jest gęsta, a fasady domów zabrudzone sadzą i liszajowate. Wkrótce dotarłam do kawiarni. Nie był to elegancki lokal jak przy Rynku, ale zwykły bar, do którego ludzie wpadali, aby się nieco posilić, po czym wracali do pracy. Przyjrzałam się klientom stojącym przy kilku wysokich stolikach w głębi pod oknem. Nie potrafiłabym zliczyć, ile razy w ciągu minionych lat wyobrażałam sobie, że spotykam Krzysia. Czasem nawet myślałam, że przypadkiem widzę go w przejeżdżającym tramwaju lub mijanym tłumie. Oczywiście to nigdy nie był on. Teraz także go nie dostrzegłam i zastanawiałam się, czy jego ojciec się nie pomylił. A może Krzyś był tu wcześniej i minęłam się z nim?

Weszłam do kawiarni i poczułam w nosie ciepły zapach kawy i papierosowego dymu. Manewrowałam między ciasno ustawionymi stolikami i w końcu zobaczyłam znajomą postać, siedzącą z samego tyłu,

plecami do mnie. Serce mi zatrzepotało. Naprzeciw Krzysia siedziała piękna, ciemnowłosa kobieta, o kilka lat starsza ode mnie, przyglądająca mu się w skupieniu, gdy coś mówił.

Popatrzyłam na niego, jakbym ujrzała zjawę. Jak to było możliwe? Nieustannie marzyłam i myślałam o nim. Początkowo wyobrażałam go sobie na polu bitwy. Gdy jego listy przestały przychodzić, przypuszczałam, że zginął lub został ranny. Ale był tutaj, siedział w kawiarni przy filiżance kawy, z obcą kobietą u boku, jakby nic się nie stało. I jakby nas nigdy nie było.

Przez moment poczułam ulgę, czy nawet szczęście, że jest cały i zdrowy. Jednak kiedy dotarł do mnie sens tej sytuacji, ogarnął mnie gniew. Przeszłam przez całą kawiarnię. Na końcu przystanęłam, chwilowo zmieszana i niepewna, jak się odezwać. Kobieta siedząca naprzeciw Krzysia zobaczyła, że podchodzę, a jej twarz wyrażała zakłopotanie. On odwrócił się i spotkaliśmy się wzrokiem. Wydawało się, że w całym pomieszczeniu zapanowała cisza. Krzyś szepnął coś do kobiety, wstał i podszedł do mnie. Cofnęłam się i wypadłam na zewnątrz, czując, że muszę zaczerpnąć powietrza. Ruszyłam przed siebie. On za mną.

– Ella, poczekaj!

Chciałam biec, ale zaraz dogonił mnie długimi susami i złapał, zanim zdążyłam się uchylić. Jego ciepłe palce oplótły się wokół mojego ramienia, zatrzymując mnie stanowczo, ale łagodnie. Pod wpływem jego dotyku serce mi drgnęło i zamarło, właściwie jednocześnie. Popatrzyłam na niego, zła, zraniona i szczęśliwa. Stojąc tuż obok, chciałam go dotknąć, położyć mu głowę na piersi i poczuć, że cały świat znika, tak jak zawsze było przedtem. Wtedy znad jego ramienia dostrzegłam kobietę, z którą siedział, jak z zagadkowym wyrazem twarzy przygląda nam się przez okno kawiarni. Moje ciepłe uczucia prysły.

– Ella – powtórzył Krzyś.

Pochylił się w moją stronę. Jednak zamierzał mnie pocałować tylko w policzek, lata świetlne od gorącego uścisku, jaki nas połączył, gdy go widziałam ostatnim razem. Odsunęłam się. Poczułam w nosie powiew znajomego zapachu, który wzbudził falę bolesnych wspomnień. W mojej pamięci mężczyzna, którego kochałam, nadal należał do mnie. Tak było jeszcze godzinę temu. Ale teraz stał przede mną ktoś obcy.

– Kiedy wróciłeś? – spytałam.

– Kilka dni temu.

Zastanawiałam się, czy to prawda. Jego ojciec powiedział, że były to dwa tygodnie. Kłamstwo nie było podobne do Krzysia, ale tak samo nigdy bym nie pomyślała, że będzie ukrywał przede mną swój powrót.

– Wybierałem się do ciebie – dodał.

– Po randce w kawiarni? – odparowałam.

– To nie tak. Chcę ci wyjaśnić, ale nie mogę tego zrobić tutaj. Spotkamy się później?

– W jakim celu? Pomiędzy nami skończone, prawda?

Zajrzał mi ponownie w oczy, nie chcąc kłamać.

– Tak. Nie chodzi o to, co myślisz, ale to prawda. Nie możemy już być razem. Przykro mi. Powiedziałem ci o tym przed wojną.

Tak było, przyznałam milcząco. Przypomniałam sobie naszą ostatnią rozmowę przed jego wyjazdem: wówczas jak nigdy wcześniej byłam przekonana, że powinniśmy być razem, a on ze mną zrywał. Jednak nie chciałam tego słyszeć.

– Musisz uwierzyć, że nigdy nie zrobiłbym nic, co by mogło cię zranić. – Spojrzał błagalnie. – Że tak będzie najlepiej.

Jak on mógł mówić coś takiego? Chciałam mu przypomnieć, ile dla siebie znaczyliśmy, i o wszystkim, co jeszcze mogło być między nami.

Jednak powstrzymywało mnie coraz silniejsze uczucie dumy. Nie będę zebrać u kogoś, kto już mnie nie chce.

– Zatem żegnaj – powiedziałam, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

Nie mówiąc nic więcej, odwróciłam się i ruszyłam przed siebie, omal nie zderzając się z mężczyzną, który wyładowywał skrzynki z furmanki.

– Ella, zaczekaj! – krzyknął Krzyś, ale ja nadal biegłam, pragnąc jak najbardziej oddalić się od źródła bólu, nie chcąc już więcej go widzieć.

Kiedy odeszłam już dość daleko, odwróciłam się, trochę łudząc się nadzieją, że idzie za mną, ale na próżno. Poszłam więc dalej, już znacznie wolniej. Pozwoliłam płynąć łzom. Mój związek się skończył. Przyszłość była martwa. Nie rozumiałam tego. Kiedy patrzyłam Krzysiovi w oczy, czułam to samo co zawsze. Jednak on patrzył na mnie kamiennym wzrokiem, jakbyśmy byli sobie obcy. Jak mógł nie pamiętać? Nawet teraz, gdy myślałam o nim z gniewem, napływały ciepłe wspomnienia. Kiedy wybuchła wojna, opanował nas rodzaj desperacji, poczucie, że każde nasze spotkanie może być ostatnim. To sprawiało, że czułam się silna, pobudzało do życia. Zarazem popychało także do robienia rzeczy, których w innych warunkach bym nie zrobiła. Przespałam się z Krzysiem przed jego wyjazdem, zamiast czekać na ślub lub chociaż na oficjalne zaręczyny, co było rozpaczliwą próbą zatrzymania na dłużej tego, co nas łączyło. Byłam pewna, że znaczyło to dla niego tyle samo co dla mnie. Ale teraz opuścił mnie na dobre.

Po kilku minutach podniosłam głowę i zobaczyłam swoje odbicie w witrynie sklepu mięsnego. Miałam czerwone, spuchnięte od płaczu oczy i obrzmiałą twarz. Żałosne. Zganiłam się, ocierając łzy, ale nadal nie potrafiłam przestać myśleć o Krzysiu. Wyobrażałam sobie, jak wraca do tej kobiety w kawiarni i dalej z nią rozmawia jakby nigdy nic. Kim ona była? Czy poznał ją po swoim wyjeździe? Wiedziałam, że Krzyś jest

człowiekiem honoru, i nie mógłby zbliżyć się do niej, gdy byliśmy razem. Ale teraz wydawał się obcy, a okres między jego wyjazdem na front a obecną chwilą był jak za mleczną szybą, osłonięty, niewidoczny.

Uznałam, że nie mogę zostać w Krakowie. Nie ma tu dla mnie żadnej przyszłości. Często żartowaliśmy z przyjaciółmi, że Kraków jest największą małą miejsciną. Zawsze przypadkiem wpadaliśmy na siebie. Musiałabym widywać Krzysia, a nawet jeśli nie, miasto przywoływałoby bolesne wspomnienia. Nagle pomyślałam o Paryżu, gdy przed oczami stanęła mi twarz mojego brata. W niejednym liście Maciej nakłaniał mnie do przyjazdu. Napiszę do niego nowy list, poproszę, żeby pomógł mi się stąd wydostać. Wojna mogła sprawić, że będzie to trudne, a nawet niemożliwe, ale wiedziałam, że Maciej będzie się starał. Wyjęłam z koszyka list, który miałam do niego wysłać, i wrzuciłam go do najbliższego kosza na śmieci.

Spojrzałam w niebo. Słońce stało wysoko, wskazując, że jest niemal południe, a ja nadal nie zrobiłam nic, by dostać potrzebne Hannie wiśnie. Ruszyłam w stronę Rynku Dębnickiego, głównego placu targowego w tej dzielnicy. W soboty dostawcy przywozili tam towary przeznaczone na sprzedaż i wykładali je na zwykłych drewnianych straganach. Gdy wreszcie trafiłam na targ, zdziwiłam się, że jest nadal czynny – po latach racjonowania i konfiskat nie było niemal nic na handel. Prawie nie było mięsa, gdzieś trochę chleba i jakieś resztki artykułów, które już zaczynały gnić. Żyjąc w odizolowanym, bezpiecznym świecie, nieczęsto zdawałam sobie sprawę, z jakimi trudnościami mierzą się podczas wojny zwykli ludzie. Teraz, kiedy obserwowałam, jak mieszkańcy miasta miotają się pomiędzy stoiskami, żeby wypatrzyć dostępne towary i przekonać się, czy ich na nie stać, widziałam ogromną różnicę w naszym położeniu. Robiący tutaj zakupy byli chudzi i mieli zapadnięte policzki. Nie wyglądali na zdziwionych brakiem potrzebnych artykułów, na ogół brali to, co mogli zdobyć, i odchodzili z niemal pustymi koszykami czy torbami.

Podeszłam do najbliższego sprzedawcy, taksując jego skromną ofertę na stoisku, głównie ziemniaki i trochę nadgniłej kapusty.

– Czy są wiśnie, suszone lub w puszcze? – spytałam, z góry znając odpowiedź.

Wczesnym latem było dużo wiśni na drzewach pod miastem. Gdyby je odpowiednio przechowano od zeszłego roku, nie powinno ich zabraknąć. Jednak Niemcy ograbili Polskę z wszystkiego. Zadałam więc to pytanie sprzedawcy, na wypadek gdyby miał gdzieś ukryte wiśnie i mógłby sprzedać trochę za odpowiednią cenę. Niemal chciałam, żeby kupiec powiedział mi, że nie ma, żeby Ana Lucia nie mogła upiec swojego specjalnego przysmaku dla tego Niemca. Tyle że wtedy dałabym macosze kolejny powód do narzekania, że jestem nieudacznikiem.

Mężczyzna pokręcił głową, a czapka podskoczyła mu nad porytą głębokimi zmarszczkami twarzy.

– Żadnych od wielu miesięcy – odpowiedział; miał zęby pożółkłe od tytoniu.

Byłam zła, że na próżno zrobiłam całą tę wyprawę i że Hanna się pomyliła. Sprzedawca wyglądał, jakby żałował, że stracił szansę na jakąś transakcję. Pod wpływem impulsu wskazałam na tulipany, które miał na sprzedaż. Twarz mu się rozjaśniła.

– Może pani spróbować na czarnym rynku na rogu Pułaskiego – dodał, podnosząc jasnoczerwone kwiaty. Wręczył mi wiązanekę, a ja wsunęłam monetę w jego szorstką dłoń.

Zdziwiłam się, że dwa miejsca targowe są położone tak blisko siebie. Jednak kiedy dotarłam na wskazany róg, zorientowałam się, że to, gdzie mnie wysłał, w ogóle nie jest normalnym targowiskiem, ale czymś w rodzaju wąskiej alejki na tyłach kościoła, gdzie stało kilkanaście osób. Wtedy zrozumiałam. Ludzie sprzedawali tu po kryjomu zabronione towary lub takie, których szczególnie brakowało, dyktując wysokie ceny.

Słyszałam o takich miejscach, ale nie wiedziałam, że one nadal istnieją. Nieliczni tutejsi sprzedawcy nie mieli stoisk, ale rozkładali towary na ziemi na starych kocach czy płachtach, tworząc tymczasowe stanowiska, które można było szybko zwinąć w razie konieczności ucieczki przed policją. Znajdowało się tu wszystko, poczynając od trudno osiągalnych artykułów, takich jak czekolada i ser, po odbiornik radiowy z przemytu i zabytkową strzelbę, tak starą, że nie sądziłam, by nadal działała.

Rozwazałam, czy nie odwrócić się na pięcie. Każdy mógł zostać aresztowany za kupowanie czy sprzedawanie tutaj czegokolwiek. Jednak w połowie alejki zobaczyłam sprzedawcę owoców, mającego znacznie więcej towaru, niż było na legalnym targu. Ruszyłam naprzód. Na pobrudzonej płachcie rozpostartej na ziemi leżało trochę suszonych wiśni. Wzięłam wszystkie i zapłaciłam bezzębnemu handlarzowi, dając mu większość monet, które wręczyła mi macocha. Wsunęłam jedną wiśnię do ust na spróbowanie, starając się nie myśleć o brudnych palcach sprzedawcy, którymi podawał owoce. Kwaskowatość wykrzywiła mi usta. Po drodze possałam trochę wiśnię, po czym wyplułam ją do najbliższego ścieku.

Stałam na kratce do kanału, uważając, by nie uwiązł mi w niej obcas. Z dołu dobiegł mnie zaskakujący szelest. Odskokczyłam. Pewnie szczur, pomyślałam, taki jak te, które w nocy wychodzą na żer, ale teraz był dzień i nie spodziewałabym się w pobliżu tych wstrętnych gryzoni.

Z dołu ponownie dobiegł mnie hałas, zbyt głośny jak na szczura. Spojrzałam w dół. Patrzyło na mnie dwoje oczu. Nie były to świdrujące oczy jakiegoś zwierzęcia, ale ciemne tęczówki otoczone bielą. Ludzkie. W kanale była jakaś osoba. Nie jakaś osoba – dziewczyna. W pierwszej chwili pomyślałam, że ją sobie wyobraziłam. Zamrugałam, by wyraźniej widzieć, spodziewając się, że ten obraz zblednie jak rodzaj złudzenia. Jednak kiedy popatrzyłam ponownie, dziewczyna ciągle tam tkwiła. Była chuda, brudna i mokra, spoglądała w górę. Cofnęła się trochę, jakby w obawie, że ją ktoś zobaczy, ale nadal mogłam dostrzec w ciemności badawcze spojrzenie jej oczu. Obserwowała mnie.

Chciałam głośno krzyknąć, że ktoś tu jest. Ale coś mnie powstrzymało, jakby jakaś pięść ścisnęła mnie za gardło, tłumiąc oddech, tak że nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Cokolwiek zmusiło dziewczynę do przebywania w tym okropnym miejscu, znaczyło, że nie chciała, by ją znaleziono. Nie powinnam, nie mogłam więc nic mówić. Wzięłam głęboki oddech, żeby ustąpił dławiący mnie uścisk. Potem rozejrzałam się wokół, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze zauważył to, co ja właśnie widziałam. Inni przechodnie szli dalej, nie zwracając na mnie uwagi. Zastanawiałam się, kim jest ta dziewczyna i jak się tam znalazła.

Jednak kiedy znów zajrzałam do kanału, już jej nie było.

Rozdział 6

Sadie

Znowu byliśmy w naszym mieszkaniu przy ulicy Meiselsa. Tato wirował z mamą wokół kuchni w rytm cichych dźwięków pianina, dobiegających przez podłogę, tak jakby to była jedna z wielkich sal balowych w Wiedniu. Kiedy się już wytańczyli, mama, z trudem łapiąc oddech, zawołała mnie do stołu. Stygła na nim świeżo upieczona, wyśmienita babka. Wzięłam nóż i pokroiłam wilgotne ciasto. Nagle pod nogami rozległ się łoskot i podłoga zaczęła pękać. Tato rzucił się przez stół, by mnie złapać, ale jego ręka wyslizgnęła się z mojej. Krzyknęłam, gdy ziemia się osunęła i wpadliśmy do znajdującego się pod nami kanału.

– Sadele – jakiś głos wyrwał mnie ze snu. – Musisz być cicho.

To była mama, łagodnie, lecz stanowczo przypominająca mi, że nie mogę krzyczeć przez sen, że musimy tu zachować ciszę.

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się po ciemnej, śmierdzącej komorze. Senny koszmar o wpadaniu do kanału był rzeczywistością, lecz nie było tu nigdzie mojego taty.

Tato. Jego twarz stanęła mi przed oczami tak samo jak we śnie. Wydawał się tak bliski, ale teraz gdy się obudziłam, nie było sposobu, bym mogła go dotknąć. Nawet po upływie miesiąca jego śmierć wywoływała nieustanny ból. Za każdym razem, gdy się budziłam i uświadamiałam sobie, że on nie żyje, jakby nóż od nowa wbijał mi się w serce.

Ponownie zamknęłam oczy, pragnąc jeszcze raz zasnąć i przywrócić wizję domu i taty, lecz było to poza zasięgiem moich możliwości. Wobec tego udawałam, że tato leży tutaj obok mamy i mnie, że nadal mogę słyszeć jego pochrapywanie, na które dawniej często się uskarżałam.

Mama rzuciła mi uspokajające spojrzenie, potem wstała i przeszła przez komorę w stronę niby-kuchenki w kącie, żeby pomóc Babi Rosenberg, która łuskała fasolę. Chociaż ciemność w pomieszczeniu nie zmieniła się, na podstawie odgłosów z ulicy nad nami mogłam stwierdzić, że zaraz będzie świt.

„Kilka dni, najwyżej tydzień” – powiedziała wtedy mama. Było to ponad miesiąc temu. Kiedyś nie mogłam wyobrazić sobie, że można tak długo przebywać w kanale. Jednak po prostu nie było dokąd pójść. Getto zostało wysiedlone, wszyscy, którzy tam mieszkali, zostali zabici lub wywiezieni do obozów. Gdybyśmy wyszli na ulicę, zostalibyśmy na miejscu rozstrzelani lub aresztowani. Kanał, który biegł pod całym miastem, uchodził do Wisły, ale jego wylot był obstawiony przez uzbrojonych Niemców. Byłam pewna, że tato nie sądził, że będziemy musieli tu zostać. Jednak jeśli miał jakiś plan ucieczki, to zabrał go ze sobą do grobu w odmętach. Całkiem dosłownie znaleźliśmy się w pułapce.

Wyjrzałam z kąta, w którym sypiałyśmy. Zająłyśmy jedną stronę pomieszczenia jako miejsce do spania, a rodzina Rosenbergów drugą, zostawiając środkową część na coś w rodzaju kuchni. Pan Rosenberg siedział naprzeciwko mnie, czytając. Rozejrzałam się za Saulem, ale nigdzie go nie było.

Usiadłam na deskach tworzących moje legowisko wzniesione kilka centymetrów nad ziemią. Bolały mnie kości, co przypomniało mi, że babcia zwykle narzekała na tego rodzaju dolegliwości. Pomyślałam z utęsknieniem o puchowej kołdrze, przykrywającej moje „łóżko”, tak całkowicie różnej od cienkiego kawałka juty, który znalazła dla mnie mama. Sięgnęłam po buty stojące w nogach legowiska. Mama ciągle napominała, tak jak w dniu, gdy tu dotarliśmy, żeby dbać o suche stopy. Kazała mi każdego dnia nosić wymiennie jedną z dwóch par skarpetek. Już zrozumiałam dlaczego: inni, mniej ostrożni, cierpieli na różne infekcje, owrzodzenia i bóle, wywołane przez brudną ciecz, która nieustannie przesiąkała nam przez obuwie.

Umyłam zęby, używając odrobiny czystej wody z wiadra i marząc o sodzie oczyszczonej dla większego poczucia świeżości. Potem podeszłam do mamy, która przygotowywała śniadanie. W dniu po odejściu Pawła inni jakby zamarli w oczekiwaniu, że on wróci i nas stąd zabierze. Ale moja mama zakrzętnęła się, by jak najlepiej przystosować komorę do zamieszkania. Tak jakby – niezależnie od danej mi obietnicy, że będzie to tylko kilka dni – wiedziała, że zostaniemy tu o wiele dłużej.

Mama pocałowała mnie w czubek głowy. W ciągu tych kilku tygodni od zejścia do kanału stałyśmy się sobie znacznie bliższe. Zawsze byłam córeczką tatusia, „małym Michałkiem”, jak żartowała mama, bo bardzo byłam do niego podobna. Ale teraz byłyśmy tylko we dwie. Pogładziła mnie po włosach. W kanale codziennie wieczorem szczotkowała swoją i moją czuprynę.

– Musimy trzymać fason – powiedziała stanowczo, a błysk w jej oczach wskazywał, że ma nadzieję, że uda nam się przeżyć. Jako dziecko zawsze byłam chłopczycą, niechętną zabiegom pielęgnacyjnym i trosce o ładny wygląd. Jednak tutaj z nią nie walczyłam. Pomimo jej wysiłków utrzymanie czystości było nieustanną walką. Brud z kanału stale wnikał w moje ubranie i włosy. Nie mogłam tego znieść. Cieszyłam się, że nie mamy lustra.

Gdy odsunęła się ode mnie, jej coraz bardziej zaokrąglony brzuch otarł się o moje ramię. Wyobraziłam sobie dziecko (nadal nie potrafiłam nazwać go bratem lub siostrą), które urodzi się bez ojca i nie będzie w ogóle wiedziało, jak cudownym człowiekiem był tato.

– Poczytamy po śniadaniu – powiedziała mama zdecydowanym tonem. Postanowiła codziennie rano udzielać mi lekcji. Starła się zaprowadzić jakiś porządek w naszym tutejszym życiu: śniadanie, mycie i lekcje przy małej tablicy, którą przyniósł jej Paweł, tak jakbym nie miała dziewiętnastu lat, tylko była nadal uczennicą w szkole. Popołudniami robiłyśmy jednak długie drzemki, dla zabicia czasu.

Tego ranka na śniadanie były suche płatki, mniej niż zazwyczaj, bo czekaliśmy na Pawła, który co kilka dni przynosił trochę żywności. Mama podzieliła jedzenie na pięć równych porcji, trzy dla Rosenbergów i dwie dla nas. Babi podeszła i bez słowa zabrała miseczki, po czym wróciła do ich kąta w pomieszczeniu. Rosenbergowie także mieli swój porządek dnia, który najwyraźniej wyznaczały codzienne modlitwy.

W każdy piątkowy wieczór prosili, byśmy przyłączyły się do nabożeństwa szabatowego. Babi zapalała dwa ogarki świec i rozdawała odrobinę wina w kiduszowym kielichu, który udało im się przemycić. Początkowo uważałam, że ich tradycje są skostniałe, może nawet głupie. Ale potem zrozumiałam, że te rytuały dają im oparcie i cel, podobnie jak plan zajęć mamy, tyle że są bardziej znaczące. Złapałam się na tym, że sama chciałabym zachowywać niektóre tradycje, by podkreślić znaczenie dni. Rosenbergowie zrobili nawet prowizoryczną mezuzę przy wejściu do komory, by oznaczyć ją jako zamieszkaną przez Żydów. Początkowo Paweł sprzeciwiał się jej umieszczeniu: „Jeśli ktoś to zobaczy, będzie wiedział, że tu jesteście”. Jednak w rzeczywistości, gdyby ktoś podszedł tak blisko, to i tak nie byłoby gdzie się ukryć. Teraz był kwiecień i zostało tylko kilka dni do święta Paschy. Zastanawiałam się, jak Rosenbergowie poradzą sobie z wymaganiami niejedzenia chleba ani niczego na zakwasie, skoro Pawłowi udawało się przynieść tylko to.

Sięgnęłam do gzymsu ponad kamieniem, wyciągając dodatkowy kawałek chleba, który zachowałam z wczorajszej porcji i schowałam tam, by dodać go do naszego skromnego śniadania. Początkowo próbowałam chować jedzenie pod łóżkiem, ale raz, kiedy chciałam je wydobyć, coś złapało mnie za rękę. Wyszarpnęłam ją i spojrzałam w dół. Pojawiło się dwoje paciorkowatych oczu. Szczur patrzył na mnie wyzywająco. Nigdy więcej nie zostawiłam jedzenia tak nisko.

Podalam chleb mamie.

– Nie jestem głodna – skłamałam.

Chociaż burczało mi w brzuchu, wiedziałam, że mama, chuda jak szczapa poza wystającym brzuchem, powinna jeść za dwoje i potrzebuje kalorii. Obserwowałam jej twarz, pewna, że mi nie uwierzy. Jednak wzięła chleb i zjadła trochę, a potem oddała mi resztę. Ostatnio jakby straciła zainteresowanie jedzeniem.

– To dla dziecka – nalegałam, przysuwając jej chleb do ust i namawiając do kolejnego kęsa. Teraz, gdy tato nie żył, musiałam być odpowiedzialna i opiekować się mamą. Tylko ona była moją rodziną.

Mama zwymiotowała, wypluwając na dłoń tę odrobinę chleba, którą zjadła. Pokiwała głową. Cięża nie była dla niej łatwym okresem, nawet przedtem, zanim znalazła się w kanale.

– Czy żałujesz... – palnęłam. – To znaczy, że masz kolejne dziecko w tych warunkach...

Pytanie wymknęło mi się niezręcznie i zastanawiałam się, czy mama się nie rozgniewa.

Ale ona uśmiechnęła się.

– Nigdy. Czy chciałabym, żeby ona czy on urodziło się w innych okolicznościach? Oczywiście. Ale to dziecko będzie częścią twojego ojca, tak jak ty, i dzięki temu w jeszcze większym stopniu będzie żył dalej.

– To nie będzie trwało wiecznie – podsunęłam, chcąc ją uspokoić, że ciąża i związane z nią dolegliwości skończą się za kilka miesięcy.

Twarz mamy się zachmurzyła. Wyobrażałam sobie, że pragnie nie mieć już olbrzymiego brzucha, który zdawał się bardzo jej przeszkadzać.

– A jak to właściwie jest? – spytałam.

– W moim łonie mogę ochronić dziecko – wyjaśniła.

Natomiast poza nim już nie mogła. Zadrzałam, bo jakaś częśćka mnie chciałaby być także wewnątrz niej.

– Zrozumiesz to kiedyś, gdy sama będziesz mieć dzieci – dodała mama.

Chociaż wiedziałam, że nie chciała być niemą, jej słowa trochę mnie uraziły.

– Gdyby nie wojna, mogłabym już myśleć o założeniu własnej rodziny – podkreśliłam.

Nie chodziło o to, że paliłam się do wyjścia za mąż. Przeciwnie, zawsze marzyłam o studiach i zawodzie lekarza. Mąż i dzieci sprawiłyby, że nie byłoby to możliwe. A teraz wojna zapędziła mnie w pułapkę, najpierw zamykając w getcie, a potem tutaj, jakby w zawieszeniu między dzieciństwem a dorosłością. Bardzo chciałam już żyć po swojemu.

– Och, Sadele, twój czas jeszcze nadejdzie – powiedziała mama. – Nie popieszaj go, nawet tutaj.

Na zewnątrz przy wejściu do komory rozległ się stukot, a potem odgłosy pluskania, dźwięki, jakie wywoływały grube buty kogoś brodzącego w wodzie. Wszyscy odruchowo podskoczyliśmy, przygotowani na najgorsze. Odprężyliśmy się, gdy wszedł Paweł, niosąc worek z jedzeniem.

– Cześć! – powiedział dziarsko, jakby spotkał nas na ulicy. Przychodził dwa razy w tygodniu, w dni targowe, czyli we wtorki i w soboty.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, szczerze ucieszona na jego widok. Niedawno nie byliśmy pewni, czy Paweł w ogóle ponownie przyjdzie, bo mama wydała już wszystkie pieniądze.

Co tydzień płaciła Pawłowi za żywność, którą miał przynieść nam następnym razem. Jednak kilka tygodni temu zobaczyłam, że rozpaczliwie szuka czegoś w torbie.

– O co chodzi? – spytałam.

– O pieniądze, wszystkie wydane. Nie mamy czym zapłacić Pawłowi.

Zdziwiła mnie jej szczerłość. Zazwyczaj trzymała mnie z dala od problemów, chroniąc mnie, jakbym była dzieckiem. Wkrótce zrozumiałam, dlaczego mi powiedziała.

– Musimy dać mu naszyjnik – wyjaśniła. – Będzie mógł wymienić go na pieniądze lub przetopić i mieć złoto.

– Nigdy!

Odruchowo dotknęłam szyi. Naszyjnik był jedyną pamiątką po tacie, jaką miałam, moim ostatnim z nim łącznikiem. Prędzej umarłabym z głodu.

Szybko jednak zrozumiałam, że takie uczucia były dziecinne. Tata natychmiast oddałby swój naszyjnik, by nas wyżywić. Sięgnęłam do szyi, odpięłam zameczek i wsunęłam łańcuszek mamie do ręki.

Tego dnia, kiedy przyszedł Paweł, mama podała mu naszyjnik.

– Niech pan to weźmie na jedzenie.

Ale Paweł odmówił.

– To należało do pani męża.

– Nie mam nic więcej – przyznała mu się w końcu.

Paweł przyglądał jej się przez kilka sekund, próbując uporać się z nowiną. Potem odwrócił się i wyszedł.

– Dlaczego mu pani o tym powiedziała? – zażądała wyjaśnień Babi. Wyglądało na to, że Rosenbergowie także wydali już wszystko.

– Ponieważ nie da się ukryć, że nie mamy pieniędzy – rzuciła ostro mama, oddając mi naszyjnik.

Założyłam go na szyję.

Każdej nocy leżałam, nie śpiąc, z burczącym z głodu brzuchem, przygnębiona tym, że ojciec opuścił nas na zawsze.

W następną sobotę po tym, jak mama powiedziała Pawłowi, że nie mamy pieniędzy, nie zjawił się o zwykłej porze. Minęła godzina, potem kolejna i Rosenbergowie skończyli swe szabasowe modlitwy.

– On nie przyjdzie – oświadczyła Babi. Nie była podłą osobą, tylko zrędkliwą starą kobietą, która nie zachowywała dla siebie swoich opinii ani nie wysłuchiwała czyichś, jeśli uważała je za głupie. – Wszyscy umrzemy z głodu.

Ta myśl była przerażająca.

Jednak Paweł przyszedł, chociaż późno, i przyniósł jedzenie. Od tamtej pory nikt więcej nie wspominał o pieniądzech. Paweł czuł się za nas odpowiedzialny i nie opuścił nas, zawsze jakoś zdobywał żywność. Wręczył mamie torbę, a ona rozpakowała ją, umieszczając chleb i resztę w puszcze, którą udało jej się podwiesić do stropu, by ustrzec jedzenie przed wilgocią i szczurami.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Paweł ze skruchą, jakby był wyczekiwany dostawcą ze sklepu. – Musiałem iść gdzie indziej na targ, żeby dostać wystarczająco dużo.

Wykarmienie nas wszystkich przy ograniczonych dostawach do sklepów i bez odpowiedniej liczby kartek żywnościowych stanowiło dla niego poważne wyzwanie. Musiał kursować po całym mieście od targu do targu, robiąc na każdym niewielkie zakupy, by nie zwrócić na siebie uwagi.

– Przykro mi, że nie ma nic więcej.

– Jest świetnie – powiedziała szybko mama. – Jesteśmy bardzo wdzięczni.

Przed wojną Paweł był robotnikiem, na którego niemal nie zwracano uwagi. A tutaj stał się naszym wybawcą. Gdy mama wyjęła chleb i kilka ziemniaków z torby, zauważyłam, że zastanawia się, jak

wykarmić tym tak wiele gąb, zanim Paweł przyniesie zaopatrzenie kolejny raz.

Czasami Paweł nie spieszył się do wyjścia i rozmawiał z nami chwilę, dzieląc się nowinami ze świata. Jednak dzisiaj wyszedł szybko, mówiąc, że był zbyt długo na zakupach i musi wracać do domu. Jego wizyty zawsze były jakimś światełkiem w naszych mrocznych, ponurych dniach i było mi przykro, gdy odchodził.

– Potrzebujemy wody – powiedziała mama po jego wyjściu.

– Ja pójdę – odparłam, chociaż to nie była moja kolej. Chętnie uciekałam z tej zbyt ciasnej komory, nawet na kilka minut. Przed wojną zawsze byłam w ruchu.

„*Szpilkes*” – mawiała moja babcia w jidysz, a czułość w jej głosie sprawiała, że nawiązanie do mojej nerwowej ruchliwości brzmiało jak komplement, chociaż na pewno nim nie było. Kiedy byłam dzieckiem, lubiłam bawić się na dworze z kolegami, ganiając bezpańskie psy po ulicy. Gdy podrosłam, skierowałam energię na spacerów po mieście i odkrywanie nowych zakątków. Tutaj byłam zmuszona do siedzenia, nie mogłam nic robić. Często z braku ruchu bolały mnie nogi.

Pomyślałam, że mama się nie zgodzi. Zakazała mi wychodzenia z naszej „izby”, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Bała się, że w wąskich przejściach pod ścianami kanału będę narażona na pewną śmierć.

– Dam radę – nalegałam. Tęskniłam do większej przestrzeni i za prywatnością, za kilkoma minutami z dala od uważnych spojrzeń innych osób.

– Weź ze sobą śmieci – powiedziała teraz nieuważnie mama ku mojemu zdziwieniu. Podała mi małą torebkę, która była umieszczona w korycie kanału i przymocowana tam kamieniami. Zawsze wydawało mi się dziwne, że nie można wrzucać śmieci bezpośrednio do kanału, ale nie mogliśmy zostawić żadnych śladów naszej obecności.

Po wyjściu spojrzałam tęsknie w głąb tunelu, gdzie rzeka płynęła coraz dalej od naszej kryjówki. Rozpaczliwie chciałam uciec z kanału, codziennie wyobrażając sobie, że z niego wybiegam. Oczywiście, nie zostawiłabym mamy. W dodatku prawda wyglądała tak, że o ile tu na dole było okropnie, na górze było sto razy gorzej. Wielokrotnie z przerażeniem słuchaliśmy docierających do nas z ulicy krzyków, po których następowały strzały, a potem zapadała cisza. Śmierć dosłownie wisiała nad naszymi głowami i spotkałaby nas wszystkich, gdybyśmy tylko zostali schwytani. Nie chcieliśmy tkwić w podziemnej pułapce, ale teraz wszystko zależało od tego, czy uda nam się tu funkcjonować.

Z oddali z tunelu dobiegł mnie jakiś hałas. Odruchowo odskoczyłam do tyłu. Od kiedy tu byliśmy, żaden esesman ani policjant nie wszedł do kanału, ale cały czas istniała groźba, że zostaniemy wykryci.

Nasłuchiwałam odgłosów zbliżających się kroków, a nie usłyszawszy nic takiego, ruszyłam dalej tunelem. Gdy ominęłam miejsce, gdzie kanał zakręcał, zauważyłam Saula przykucniętego na ziemi.

Zbliżyłam się do niego. Gdy znaleźliśmy się w kanale, Saul mnie zainteresował. Był jedyną osobą w moim wieku i miałam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. Początkowo był nieprzystępny. Chociaż mówił łagodnym głosem i był uprzejmy, rzadko się odzywał i często siedział z nosem utkwionym w książce. Nie mogłam mieć do niego pretensji – tak samo jak ja nie chciał tu być. „To kwestia jego religii – powiedziała mi kiedyś mama po cichu, widząc moją nieudaną próbę zagadania do niego. –

Chłopcy i dziewczynki u tych pobożnych Żydów trzymają się z osobna”. Jednak po upływie kilku tygodni w kanale stał się bardziej przyjazny i dorzucał do rozmowy słowo czy dwa w odpowiedniej chwili. Kilka razy przyglądał mi się z naprzeciwka tymi miłymi, ruchliwymi oczami i uśmiechał się do mnie, jakby ze współczuciem w naszej absurdalnie groźnej sytuacji.

Saul często wychodził z izby i kilka razy obudziłam się w nocy, gdy znikał. Parę tygodni temu, gdy zobaczyłam, jak się wyslizguje, poszłam za nim.

– Dokąd idziesz? – spytałam.

Spodziewałam się, że moje pytanie go zdenerwuje.

– Tylko sprawdzam – powiedział po prostu. – Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Jego zaproszenie mnie zdziwiło. Nie czekając, czy się zgadzam, ruszył w głąb tunelu. Szedł przede mną szybkim krokiem i z trudem za nim nadążałam, gdy zboczył w krętą ścieżkę, biegnącą przez kanały, w których nigdy nie byłam. Nawet gdybym chciała, sama nie znalazłabym drogi powrotnej. Woda płynęła tu o wiele wolniej, ledwie się sącząc, i gdy tak szliśmy, panowała jakaś upiorna cisza.

W końcu dotarliśmy do niszy na podwyższeniu, znacznie mniejszej niż komora, w której mieszkaliśmy. Saul niezręcznie podał mi rękę, by pomóc mi tam wejść. Miejsca było dokładnie na dwie osoby. Promienie księżycy przeświecały przez szeroką kratę, oświetlając wnętrze niszy. Znajdowała się wysoko, tuż pod ulicą. Przyjście tutaj w ciągu dnia byłoby wyjątkowo niebezpieczne. Saul sięgnął do zagłębienia w ścianie, szukając czegoś, a ja zastanawiałam się, co tam ukrył. Wyciągnął książkę.

– Byłeś tu już wcześniej – zauważyłam.

– Tak – przyznał nieśmiało, jakbym odkryła jakiś mroczny sekret. – Czasami nie mogę zasnąć. Więc przychodzę tutaj poczytać, kiedy księżyc świeci wystarczająco jasno.

Wyjął drugą książkę, *Ogniem i mieczem*, i podał mi ją. Nieszczerólnie ciekawiła mnie historia Polski, więc sama bym jej nie wybrała, ale teraz miała dla mnie wartość złota. Usiedliśmy na ziemi tuż obok siebie i czytaliśmy w milczeniu, ramię w ramię.

Potem wielokrotnie w nocy chodziłam z Saulem do tej niszy. Nie wiedziałam, czy odpowiada mu moje towarzystwo, ale nawet jeśli nie, nie skarżył się. Początkowo zawsze przede wszystkim czytaliśmy, ale kiedy księżyc przesłaniały chmury, po prostu rozmawialiśmy. Dowiedziałam się, że rodzina Saula pochodzi z Będzina, niewielkiego miasta leżącego na północny wschód od Katowic. Gdy znalazło się ono pod okupacją, Saul wraz z ojcem postanowili uciec do Krakowa, w nadziei że tu będzie lepiej. Jednak starszy brat Saula, rabin Micah, pozostał na miejscu z Żydami, którym kazano przenieść się do małego getta utworzonego przez Niemców w Będzinie.

Saul miał narzeczoną.

– Ma na imię Szifra. Po wojnie się pobierzemy. Kiedy ojciec i ja mieliśmy okazję uciec, błagałem ją, żeby poszła ze mną. Ale jej matka była zbyt chora, by iść, więc Szifra nie zgodziła się porzucić rodziny. Wiem z listu od Micaha, że po tym, jak uciekliśmy, ona także musiała przenieść się do getta. Od pewnego czasu nie dostaję już od niej wiadomości, ale mogę tylko mieć nadzieję... – zamilkł.

Słyszając, ile ciepła było w jego głosie, gdy wspominał Szifrę, poczułam niespodziewany przyływ zazdrości. Wyobraziłam sobie piękną kobietę z długimi, ciemnymi włosami, taką jak jego rodzina. Saul i ja byliśmy przyjaciółmi, nie miałam prawa oczekiwać czegoś więcej. W tym momencie jednak zdałam sobie sprawę zarówno z tego, że mam do niego słabość, jak i z tego, że moje uczucie jest całkowicie jednostronne.

Wracając do jego rodzinnego miasteczka – Saul uczył się tam krawiectwa, ale pragnął zostać pisarzem i z pamięci opowiadał mi przeróżne opisane przez siebie historie, a jego oczy błyszczały spod czarnego kapelusza. Uwielbiałam słuchać o wszystkich pomysłach na książki, jakie zamierzał opublikować po wojnie. Chociaż kiedyś chciałam studiować medycynę, dawno temu porzuciłam ten zamiar. Nie

wiedziałam, czy ludzie tacy jak my mogą mieć takie marzenia, szczególnie w obecnych czasach.

Saul stał się moim najbliższym przyjacielem. Jednak teraz, gdy zobaczyłam, że kuca przy ścianie w tunelu, nie uśmiechnął się do mnie. Miał poważną twarz, a jego oczy były pełne bólu.

– Cześć – zagadnęłam, podchodząc do niego. Byłam zdziwiona, że go tu zastałam; on i jego rodzina rzadko wychodzili z naszej komory w szabas.

Nie odpowiedział.

– Co się stało?

Wyciągnął nogę, a gdy przysunęłam się bliżej, zobaczyłam z tyłu, poniżej podwiniętej nogawki spodni, głęboką szramę, z której sączyła się krew.

– Szedłem i skaleczyło mnie coś ostrego, co wystawało ze ściany kanału – wyjaśnił.

– Dokładnie to samo przydarzyło się mnie zaraz na początku, gdy tu przybyliśmy.

Tylko że moja rana nie była aż taka groźna.

– Poczekaj tutaj – nakazałam mu.

Pobiegłam z powrotem do naszej izby i złapałam torbę mamy z maściami, wychodząc ponownie, zanim mnie zobaczyła. Kiedy wróciłam do Saula, odkręciłam tubkę i wycisnęłam trochę maści. Uklękłam, chcąc dosięgnąć jego nogi, ale on ją cofnął.

– Chyba nie chcesz, żeby wdało się zakażenie – powiedziałam.

– Mogę sam to zrobić – odparł stanowczo, ale rana była z tyłu łydki i nie widział jej dobrze. Rozumiałam jego wahanie. Jako ortodoksyjny Żyd nie mógł być dotykany przez kobietę nienależącą do jego rodziny.

– Nie zobaczysz dobrze tego miejsca ani go nie dosięgniesz – podkreśliłam.

– Dam radę – upierał się.

– Przynajmniej pozwól mi cię poprowadzić, żebyś posmarował właściwe miejsce.

Sięgnął niezdarnie do tyłu łydki.

– Trochę bardziej w prawo – powiedziałam. – Wetrzyj trochę więcej.

Starał się zabandażować ranę, ale jeden z końców ześlizgnął się. Zanim zdążył zaprotestować, nasunęłam go, gdzie trzeba, i szybko cofnęłam rękę.

Odsunął się.

– Dziękuję – powiedział wyraźnie zdenerwowany. Obejrzał opatrunek, a potem opuścił nogawkę spodni. – Dobrze to zrobiłaś.

– Chcę iść na medycynę – odparłam, nagle zmieszana. Ten pomysł wydawał się zbyt odległy, głupi.

Ale Saul uśmiechnął się.

– Będiesz w tym dobra.

Pewność w jego głosie przypomniła mi o tacie, który zawsze wierzył, że nie zrezygnuję z marzeń. Poczułam wewnętrzne ciepło.

– Nie powinnaś tego nosić – oznajmił Saul, pokazując na wisiołek ze słowem *chai* na mojej szyi, który zadyndał, gdy wstawałam.

– Cha! I kto to mówi! – Jak ktoś, kto nosił jarmułkę i cyces, i czyja rodzina umieściła mezuzę w kanale, mógł mi mówić, że niebezpiecznie jest nosić naszyjnik identyfikujący mnie jako Żydówkę! Naprawdę, gdybyśmy zostali złapani, mielibyśmy większe problemy niż to, w co jesteśmy ubrani.

Saul pokręcił głową.

– Mój strój jest wymogiem religii. A u ciebie to tylko biżuteria.

– Jak możesz tak mówić? – odparłam urażona. – To należało do mojego ojca.

Dlatego ten naszyjnik taty znaczył o wiele więcej, łączył mnie z nim i był resztką mojej nadziei.

– Sadie, przepraszam. Nie o to mi chodziło. Nie chciałem cię urazić. To tylko wyraz troski o ciebie. – Spojrzał w bok lekko zakłopotany.

– Potrafię sama się o siebie zatroszczyć. Nie jestem dzieckiem.

– Wiem.

Utkwiliśmy w sobie wzrok na kilka sekund, a przeze mnie jakby przebiegł prąd. Nagle zdałam sobie sprawę, że on mi się podoba. Przed wojną nie poświęcałam wiele uwagi chłopcom i teraz wytrąciło mnie to z równowagi, było dziwne i obce, szczególnie w tych okolicznościach. Jasne, było to po prostu zadurzenie. Na Saula czekała Szifra, a wszystko inne stanowiło tylko wytwór mojej wyobraźni. Odwróciłam się gwałtownie.

Podniosłam worek ze śmieciami i dzbanek i ruszyłam tunelem zrobić to, po co tu właściwie przyszłam. Zaopatrzenie w wodę i wyrzucanie śmieci to były zadania, które zawsze spadały na mnie lub na Saula. Zwłaszcza wynoszenie śmieci, bo wymagało przeciskania się przez rurę o średnicy kilkudziesięciu centymetrów, zbyt wąską i niewygodną dla kogoś starszego od nas. Musieliśmy wrzucać śmieci do kanału w miejscu, gdzie worek tonął niezauważalnie i woda nie niosła go do wylotu kanału, co mogłoby ujawnić naszą obecność. Paweł już na początku nam to wyjaśnił. Wzięłam więc w zęby brudną torbę i zaczęłam czołgać się przez rurę, popychając torbę przed sobą.

Kiedy wydostałam się z tej wąskiej tuby, poszłam dalej tunelem, wymacując w mroku ściany i omijając przeszkody, żeby nie rozbić sobie głowy. Dotarłam do połączenia z większym kanałem i wrzuciłam worek

ze śmieciami do wody, starając się nie myśleć o tym, że prąd mógłby mnie porwać równie łatwo jak tatę. Ta chwila raz po raz stawała mi przed oczami. Gdybym tylko zdołała go dosięgnąć. Co się stało z jego ciałem? Powinien mieć odpowiedni pogrzeb.

Odwróciłam się od ścieku i ponownie precyzyjnie przesunęłam się przez rurę. Minęłam wejście do naszej komory i ruszyłam w kierunku miejsca po drugiej stronie, gdzie zbieraliśmy wodę kapiącą z rury wodociągowej. Kilka metrów od zajmowanej przez nas niszy przystanęłam znowu pod kratką od kanału. Nasza kryjówka była niedaleko od głównego placu targowego na Dębnikach, robotniczego osiedla na południowym brzegu Wisły, kilka kilometrów od Podgórze, gdzie znajdowało się getto. Dziś była sobota, dzień handlowy i słyszałam głosy kupców zachwalających swoje towary. Stałam, nasłuchując, jak klienci składają zamówienia, wachając mięso z rożna i solone ryby, a ja przypominałam sobie czasy, gdy także w tym wszystkim uczestniczyłam.

Przesunęłam się trochę dalej i stanęłam pod kapiącą rurą wodociągową, która biegła wzdłuż ściany kanału tuż nad moją głową. Ułożyłam ściereczkę tak, jak pokazała mi mama, żeby woda mogła wpadać do dzbanka. Podczas gdy się wypełniał, słuchałam dźwięków dobiegających z targu. Poznawałam rytm życia miasta po odgłosach dokładniej, niżbym potrafiła, mieszkając na powierzchni: skrzypienie wozów przed świtem czy przedpołudniowe spacerowanie przechodniów. Nocą na ulicach zapadała cisza, bo wszyscy wracali do domów przed godziną policyjną. Nasza kryjówka znajdowała się dokładnie pod kościołem św. Stanisława Kostki i w niedziele słyszałam, jak wierni śpiewają, a dźwięk kościelnego chóru przenikał przez kratę.

Przykryłam dzbanek i ruszyłam z powrotem. Kawalek dalej znowu doszłam do pokrywy kanału. Przez pręty przeświecało słońce, tworząc cień kraty na wilgotnej ziemi. Przypomniało mi to, jak bywałam nad strumieniem z tatą nie tak dawno temu. Zawsze o zmierzchu w niedziele wchodziliśmy na Kopiec Krakusa. Najpierw nosił mnie na barana, a potem, gdy byłam starsza i miałam silniejsze nogi, szliśmy, trzymając

się za rękę. Na tle jasnoszarych kopuł i wieżyczek błyszcząły czerwone dachy miasta. Jesienią spadające liście pokrywały wzgórze miedzią, a my staraliśmy się usypać je w sterty i skakaliśmy na nie, dopóki nie zniszczyły ich deszcze lub nie usunęli zamiatacze ulic.

Odkąd znalazłyśmy się w kanale, kilka razy próbowałam opowiedzieć o tym mamie, ale mnie powstrzymywała.

– Teraz tylko my stanowimy rodzinę – powiedziała, przytulając mnie do wypukłości swojego brzucha. – Musimy skupiać się na tym, żeby przeżyć i być razem, a nie na przeszłości. – Jakby wspomnienia były dla niej zbyt bolesne do zniesienia.

Czując, że mogę równie łatwo zatonać we wspomnieniach jak w kanale, zmusiłam się, żeby o nich nie myśleć, i spojrzałam do góry na kratę, wyobrażając sobie, jak jest na ulicy. Często sama przed sobą udawałam, że od kiedy schroniliśmy się w kanałach, czas na powierzchni się zatrzymał. Jednak teraz czułam, że ludzie nadal spacerują, gotują, jedzą, a dzieci chodzą do szkoły i bawią się. Życie w mieście dalej się toczy bez nas, jakby mieszkańcy nie zauważyli, że zniknęliśmy. Ludzie nade mną przechodzili, nie zwracając na nic uwagi. Pewnie nie umieliby sobie wyobrazić, że oddychamy, jemy i śpimy pod ich nogami. Nie mogłam ich winić; z pewnością sama nie zastanawiałabym się nad podziemnym światem, gdybym żyła na powierzchni. A teraz roztrząsałam, czy mogą istnieć jakieś inne niewidzialne światy, pod ziemią albo w murach, albo w niebie, o których również wcześniej nie pomyślałam.

Wiedziałam, że muszę pozostać niewidoczna. Jednak stanęłam na palcach, chcąc zobaczyć jak najwięcej świata na powierzchni. Kratka od kanału wychodziła na boczną uliczkę czy alejkę. Nad jej krawędzią widziałam wysoki kamienny mur kościoła. Chociaż główny targ nie znajdował się dokładnie ponad kratką, nadal słyszałam nad sobą ludzi, którzy tam handlowali.

Z ulicy do kanału ciurkała woda. Przysunęłam się bliżej zaciekawiona. Była inna niż woda, którą zbieraliśmy z cieknącej rury, cieplejsza i pachnąca mydłem. Zerknęłam przez kratkę. Domyśliłam się, że w pobliżu musi być pralnia, a woda pochodzi z prania. Od wielu tygodni śniłam o kąpieli. Jednak w moich snach woda zawsze była brązowa i groźna, mogła mnie porwać. Teraz ta ciepła, pełna mydlin woda skusiła mnie. Odruchowo zdjęłam bluzkę i stanęłam pod strumieniem. Tak dobrze było poczuć, że obmywam skórę z brudu.

Zaskoczył mnie jakiś hałas w pobliżu. Ktoś nadchodził. Szybko włożyłam bluzkę, nie chciałam, żeby mnie złapano półnagą. Hałas powtórzył się, brzdęknięło coś małego, co wpadło przez kratkę i uderzyło o podłogę w kanale. Zaciekawiona przysunęłam się do kratki, chociaż wiedziałam, że nie powinnam tego robić. Zobaczyłam młodą kobietę w podobnym do mnie wieku, może o rok starszą, stojącą samotnie. Serce zabiło mi z podniecenia. Dziewczyna wyglądała tak ładnie i czysto, że nie mogła istnieć naprawdę. Spod beretu wystawały włosy w kolorze, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam: jasnoczerwone i tak wyszczotkowane, że aż błyszcząły. Były związane kokardą z tyłu, a doskonałe loki tworzyły poniżej koński ogon. Schyliłam lekko głowę, czując, jak bardzo skłębione są moje włosy, pomimo starań i napomnień mamy, by nie były rozczochrane i brudne. Dziewczyna miała szeleszczący, jasnoniebieski płaszcz. Najbardziej zazdrościłam jej szarfy przy płaszczu, białej jak śnieg. Nie wiedziałam, że nadal może istnieć coś tak czystego.

Zauważyłam, że dziewczyna trzyma coś w prawej ręce. Kwiaty. Kupiła na targu kwiaty! Poczulałam ukłucie zazdrości. Tu na dole ledwie mieliśmy co jeść i ledwie żyliśmy. Tymczasem na świecie nadal istniały miejsca, gdzie były tak piękne rzeczy jak kwiaty i inne dziewczyny mogły je kupować. Co złego zrobiłam, że nie zasłużyłam na to samo?

Przez chwilę myślałam, że dziewczyna wygląda znajomo. Ze ściśniętym sercem zrozumiałam, że trochę przypomina moją przyjaciółkę Stefanię, tylko że Stefania miała ciemne włosy, a nie rude.

Nigdy w życiu nie widziałam tej dziewczyny. Była po prostu jakąś nieznaną. Jednak rozpaczliwie chciałam ją poznać.

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Drgnęłam, zaskoczona. Odwróciłam się, spodziewając się, że to Saul. Tym razem była to mama.

– Co tutaj robisz? – spytałam. Niemal wcale nie wychodziła z naszej niszy.

– Długo cię nie było. Martwiłam się.

Podniosła się z wysiłkiem z miejsca, gdzie odpoczywała, podpierając plecy ręką i wyciągając do mnie drugą. Spodziewałam się, że skrzyczy mnie za to, że stoję pod kratką kanału, ryzykując zdemaskowanie. Ale stanęła obok mnie bez ruchu, kryjąc się w cieniu. Jej wzrok powędrował do dziewczyny nad nami.

– Kiedyś – szepnęła – jeszcze będą kwiaty.

Chciałam spytać, jak może mówić o czymś takim. Myśl o życiu na zewnątrz kanału, w otoczeniu miłych, zwykłych rzeczy, zdawała się niemal nierealnym marzeniem. Jednak mama już ruszyła z powrotem do naszej kryjówki. Poszłam za nią. Przystanęła i zdecydowanie obróciła mnie w drugą stronę.

– Zostań tutaj i złap trochę słońca – przykazała, jakby lepiej ode mnie wiedziała, czego mi trzeba. – Tylko uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył.

Mama znikła w naszej wnęce.

Wróciłam do kraty, ale stanęłam bardziej w głębi, biorąc pod uwagę ostrzeżenie mamy. Nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłam narażona, jak łatwo mogłam zostać schwytana. Głupotą byłoby przysunąć się jeszcze bliżej. Uświadomiłam sobie, że ta dziewczyna nie była Żydówką. Chociaż od wieków żyliśmy wśród Polaków, wielu z nich było zadowolonych, że pozbywają się Żydów, i wydawało ich Niemcom. Krążyły nawet opowieści, że małe polskie dzieci informowały Niemców, gdzie ukrywają się Żydzi, i wskazywały, któredy próbują uciec,

w zamian za landrynkę, a nawet tylko za słowa pochwały. Nie, nie można było zaufać nawet mojej rówieśniczce robiącej miłe wrażenie. Jednak nadal ją widziałam i byłam ciekawa kto to.

Dziewczyna spojrzała w dół. Początkowo zdawało się, że nie zauważyła mnie w ciemnościach pod kratą. Tak jakby kompletna czerń kanału sprawiła, że stałam się niewidzialna. Potem, gdy jej oczy przyzwyczyły się do mroku na dole, dostrzegła mnie. Starłam się cofnąć poza krąg światła, ale było za późno – na jej twarzy odbiło się zdumienie, gdy nasze oczy się spotkały. Otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć. Gwałtownie szarpnęłam się w tył do cienia. Potem się zawahałam. Tak dużo czasu spędziłam, miotając się tu w ciemnościach jak jakiś szczur kanałowy. Nie chciałam robić tego dalej. Zamknęłam więc oczy, przygotowana na to, że na pewno zostanę ujawniona, i wyobrażając sobie, co się stanie potem. Kiedy znowu otworzyłam oczy, dziewczyna odwróciła wzrok. Nie powiedziała jednak nic.

Westchnęłam, nadal stojąc w odrętwieniu. Po kilku sekundach dziewczyna popatrzyła na mnie znowu i uśmiechnęła się. Był to pierwszy autentyczny uśmiech, jaki widziałam od wejścia do kanałów.

Nasze spojrzenia się spotkały i chociaż nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa, wyglądało na to, że dziewczyna wyczuwa cały mój smutek i zagubienie. Gdy na nią patrzyłam, ogarnęła mnie tęsknota. Przypomniła mi o przyjaciółach, o słońcu, o wszystkim, co utraciłam. Rozpaczliwie pragnęłam wyjść i stanąć obok niej. Wyciągnęłam ku niej rękę. Dziewczyna nie podeszła bliżej, ale spoglądała na mnie z dziwną mieszaniną współczucia i smutku.

Za nią rozległ się jakiś dźwięk, głośnie kroki kogoś idącego w ciężkich butach. Dziewczyna mogła nie powiedzieć nikomu o mnie, ale z pewnością kto inny mógł. Przerazona wślizgnęłam się z powrotem w ciemność i uciekłam spod kratki do naszej kryjówki.

Rozdział 7

Ella

No i dobrze – pomyślałam, gdy dziewczyna skulona pod kratką kanalizacyjną zniknęła, a ja ruszyłam do domu z wiśniami. Jeśli ktoś ukrywał się w kanale, to na pewno z jakiejś poważnej przyczyny. Jeszcze mi tego brakowało, żeby angażować się w czyjeś kłopoty.

Jednak gdy szłam mostem z powrotem do centrum miasta, przyszła mi do głowy Miriam, ciemnowłosa koleżanka z liceum, do którego chodziłam przed wojną. Miriam była cicha i pilna, miała zawsze dokładnie wyprasowaną plisowaną spódniczkę od mundurka i śnieżnobiałe skarpetki. Nie znałam jej przed pójściem do szkoły średniej; była z innej dzielnicy i nie należała do grupy dziewcząt, które nazywałam przyjaciółkami. Jednak czasami pożyczła mi gumkę i na przerwie pomagała w matematyce, więc w ciągu czterech lat nauki zbliżyłyśmy się do siebie. Często siadywałam z nią na obiedzie. Jej ciche, refleksyjne usposobienie przyjemnie odróżniało ją od reszty głośnych, rozplotkowanych dziewcząt.

Pewnego dnia niedługo po wybuchu wojny nauczyciel nagle kazał stanąć Miriam przed całą klasą i oświadczył jej, że ma iść do dyrektora. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu i spojrzała na mnie zmartwiona. Przez klasę przebiegł szmer. Wezwanie do dyrektora oznaczało, że ma się kłopoty. Nie umiałam sobie wyobrazić, co mogła zrobić poważna, lękliwa Miriam. Po jej wyjściu z sali poprosiłam o możliwość pójścia do toalety. W korytarzu widać było grupki uczniów wychodzących z klas, bo inni także zostali wezwani do dyrekcji. Wszyscy byli Żydami. Zobaczyłam, że Miriam idzie korytarzem ze spuszczoną głową, samotna i przestraszona. Chciałam coś powiedzieć albo do niej podejść, żeby zaprotestować przeciwko niesprawiedliwemu potraktowaniu tych uczniów, którzy po prostu chcieli uczyć się jak wszyscy inni. Zamiast tego w milczeniu wróciłam do klasy.

Żydowscy uczniowie nie przyszli więcej do szkoły. Kiedy opowiedziałam Krzysiu, co się stało, zacisnął gniewnie pięści, ale nie wyglądał na zaskoczonego.

– Odbierają Żydom prawa i przywileje – oświadczył. – Jeśli ich nie powstrzymamy, kto wie, co zrobią później?

Jednak dla mnie nieważna była polityka, ale przyjaciółka, którą straciłam. Odejście Miriam ze szkoły spowodowało o wiele większą wyrwę, niż mogłam sobie wyobrazić. Od tamtej pory często o niej myślałam, ciekawa, co się z nią dzieje. Czasem kilkakrotnie odtwarzałam sobie w pamięci tamten dzień. Co by się stało, gdybym jakoś zaprotestowała, spróbowała jej pomóc? To by niczego nie zmieniło. Sama wpadłabym w kłopoty, a oni i tak wydaliliby żydowskich uczniów, ale Miriam przynajmniej wiedziałaby, że ktoś się za nią ujął. Niestety, nie zrobiłam nic.

Zrozumiałam, że dziewczyna w kanale była Żydówką, tak jak Miriam. Na pewno ukrywała się przed Niemcami. Zastanawiałam się, czy jest coś, co mogłabym zrobić, żeby jej pomóc, a jeśli tak, czybym się tego podjęła.

Prawdę mówiąc, nie byłam odważna. Wprawdzie nigdy nie pomagałabym Niemcom – tego byłam pewna – lecz nie miałam tyle odwagi, żeby przeciwstawić się wydaleniu Miriam ze szkoły, a teraz ostrożnie rozważałam, czy pomagać tej obcej dziewczynie. Wojna stanowiła dla mnie lekcję pokory. Tata walczył za ojczyznę i zginął. Ustępuj więc wszystkim z drogi, a będziesz mieć szansę, żeby przejść na drugą stronę.

Teraz gdy zbliżałam się do domu Any Luci (dawno przestałam go uważać za swój dom), nadal myślałam o dziewczynie pod kratką kanalizacyjną. Any Luci nie było, więc dałam wiśnie Hannie.

– To zaledwie połowa potrzebnej ilości – powiedziała. Nie była niewdzięczna, ale obawiała się gniewu Any Luci.

– Jeszcze poszukam dodatkowych – obiecałam. Oczywiście, zanim udałoby mi się znaleźć więcej wiśni, byłoby za późno, żeby dodać je do dzisiejszego deseru.

Hanna mi podziękowała, czego nie zrobiłaby moja macocha, i zabrała się do pracy. Zastanawiałam się, co robić z resztą dnia. Była sobota i mogłabym pójść do sklepu albo nawet na film do któregoś z kin dozwolonych dla Polaków, ale nie chciałam natknąć się na kogoś z dawnych znajomych, a co gorsza na Krzysia. Poszłam więc schodami na małe poddasze na czwartym piętrze naszego domu, które niegdyś należało do Macieja. Była to wąska przestrzeń ze spadzistym dachem i musiałam się pochylić, żeby nie uderzyć głową w sufit. Jednak była to najcichsza część budynku, położona najdalej od pokoju Any Luci, z widokiem na wieże kościołów Starego Miasta i strome dachy domów przy naszej ulicy. Po wyjeździe brata uznałam, że mogę się tu przenieść, spędzałam tu też dużo czasu, malując. Moją ulubioną techniką było malarstwo olejne i mój nauczyciel, pan Łoziński, kilkakrotnie podkreślał, że mogłabym studiować na Akademii Sztuk Pięknych. Oczywiście wyglądało to na bardzo odległe marzenie.

Dzisiaj byłam zbyt rozkojarzona, żeby malować. Patrzyłam przez rzekę w stronę Dębnik, ponownie myśląc o dziewczynie w kanale. Zastanawiałam się, jak długo się ukrywa i czy jest tam sama. Później, gdy zapadła noc i dotarły do mnie odgłosy przyjęcia Any Luci, skuliłam się na starym szeszlangu, który zajmował większość poddasza, owinięta w starą kołdrę, zostawioną przez mojego brata. Byłam zmęczona długim spacerem za rzekę i z powrotem i oczy mi się zamykały. Gdy odpływałam, wciąż widziałam tamtą dziewczynę. Jak ona sypiała w kanale? Czy było jej zimno? Mój dom, który zawsze uważałam za coś oczywistego, nagle wydał mi się pałacem. Spałam w ciepłym łóżku, miałam co jeść. Zrozumiałam, jak cenne jest zaspokojenie takich podstawowych potrzeb. Wtedy postanowiłam, niezależnie od moich obaw i wahań, ponownie zobaczyć się z dziewczyną.

Przynajmniej spróbuję, pomyślałam następnego ranka, gdy się obudziłam i sztywna zwlekłam się z szezlonga, na którym przespałam całą noc. Wrócę do kratki kanalizacyjnej, ale nie ma przecież pewności, że ona tam będzie. Ubrałam się i zeszłam na śniadanie, obmyślając, jak potajemnie wrócić w miejsce, gdzie spotkałam dziewczynę. Wymyśliłam kilka wymówek, które mogłabym przedstawić Anie Luci, gdyby spytała mnie, dokąd idę. Na szczęście jej przyjęcie przeciągnęło się tak długo w noc, że w ogóle nie przyszła na śniadanie.

Włożyłam płaszcz i kapelusz, przygotowując się do wyjścia, ale wtedy jeszcze raz się zatrzymałam. Powinam coś zanieść tej dziewczynie. Uznałam, że to powinno być jedzenie, pamiętając, jak blado i mizernie wyglądała. Poszłam do kuchni. Przypomniałam sobie zapach wspaniałego placka z wiśniami Hanny, w nadziei że może coś zostało z wczorajszej kolacji. Jednak Hanna utrzymywała kuchnię w nieskazitelnym stanie, zgodnie z wymaganiami mojej macochy, i nie było żadnych resztek czy rozsypanych okruchów. Sięgnęłam do pojemnika z chlebem, wydostałam ciasno zawinięty bochenek, oderwałam tyle, na ile się odważyłam, i schowałam ten kawałek do kieszeni. Potem wyszłam z domu.

Na zewnątrz zobaczyłam, że niebo jest przesłonięte szarymi chmurami. Kwietniowe powietrze nadal było raczej mroźne niż wiosenne. Tym razem wsiadłam do tramwaju, bo nie miałam odpowiedniej wymówki, by być poza domem tak długo jak wtedy, gdy szukałam wiśni. Nie chciałam, żeby Ana Lucia zorientowała się, że mnie nie ma, i zaczęła zadawać pytania. Gdy tramwaj włókł się przez most na Wiśle, przyglądałam się nieznaney przemysłowej okolicy na drugim brzegu. Znowu miałam wątpliwości: po co w ogóle wracać i spotykać się z dziewczyną? Nie znałam jej, a było to wielkie ryzyko. Gdyby mnie złapano, mogłabym zostać aresztowana albo nawet gorzej. Jednak z jakichś powodów nie umiałam zawrócić.

Dotarłam na rynek na Dębnikach tuż przed dziesiątą. Kilku mieszkańców, którzy mieli na to dość odwagi, szło do kościoła. Było

ponad godzinę wcześniej niż wczoraj, gdy po spotkaniu z Krzysiem, przyszedłam tu po raz pierwszy. Zganiłam się, że powinnam była poczekać trochę dłużej. Przyjście nad kratkę kanalizacyjną o tej samej porze na pewno dawało większą szansę na ponowne ujrzanie dziewczyny. Poszłam na plac targowy, rozglądając się powoli wokół dla zabicia czasu. Ale to była niedziela i większość stoisk nie działała. Nie mogłam być poza domem tak długo, więc po piętnastu minutach ruszyłam za róg w stronę kratki kanalizacyjnej.

Zerknęłam w dół, ale nie zobaczyłam nic prócz ciemności. Czekałam w niepewności, ale miałam nadzieję, że może dziewczyna wkrótce się pojawi. Zobaczyłam, że kilka osób idących do kościoła ciekawie spogląda w głąb alejki i zauważa mnie, przechodząc. Moje zdenerwowanie rosło. Nie ośmieliłam się stać zbyt długo obok kratki i zaglądać w dół, by ktoś nie dostrzegł mojego niecodziennego zachowania i nie spytał mnie o to albo nie wskazał mnie policji, która zdawała się czyhać na każdym rogu.

Minęło kilka minut, rozległy się kościelne dzwony, oznaczające początek niedzielnej mszy. Przestrzeń pod kratką nadal była pusta. Przygnębiona zamierzałam odejść. Jednak chwilę potem w ciemnościach pod kratką coś się poruszyło. Przyszła! Byłam coraz bardziej podniecona. Sytuacja, którą od wczoraj tylko sobie wyobrażałam, nagle stała się rzeczywistością.

Dziewczyna patrzyła na mnie przez kilka sekund, dwoje ciemnych oczu błyszczało w świetle jak u przerażonego zwierzęcia złapanego w pułapkę. Teraz mogłam przyjrzeć się jej bliżej. Miała na nosie delikatne piegi i wyszczerbiony przedni ząb. Jej skóra była tak blada, że niemal przezroczysta, a żyły tworzyły pod nią coś w rodzaju mapy. Wyglądała jak porcelanowa laleczka, która w każdej chwili może się stłuc.

– Co robisz tam na dole? – spytałam.

Dziewczyna otworzyła usta, jakby miała zamiar odpowiedzieć. Potem, jakby chciała się lepiej zastanowić, odwróciła wzrok. Zagadnęłam znowu.

– Potrzebujesz pomocy?

Nie byłam pewna, co jeszcze powiedzieć. Dziewczyna nie wyglądała na chętną do rozmowy, ale została na miejscu, patrząc na mnie do góry. Pomyślałam sobie: „Daj jej chleb i odejdz!”. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam skibkę, a potem uklękłam obok kratki.

Zacząłam się pochyłać, ale wtedy się zawahałam. Przypomniał mi się widok sprzed kilku lat, gdy znalazłam na ulicy zabłąkanego psa. Przyniosłam go dumna do domu, ale Ana Lucia skrzywiła się. Macocha nie cierpiała zwierząt i bałaganu, więc byłam pewna, że każe mi go zanieść z powrotem. Ku mojemu zdumieniu, nie zrobiła tego.

– Teraz gdy go wzięłaś, będziesz musiała się nim opiekować.

Chociaż macocha była okropna, miała poczucie obowiązku. Kazała mi karmić psa i wychodzić z nim na spacer, aż do czasu, gdy zdechł kilka miesięcy później.

Okropnie było porównywać tę biedną dziewczynę z kanału do zwierzęcia, ale wiedziałam, że jeśli teraz jej pomogę, w jakiś sposób stanę się za nią odpowiedzialna, a to mnie przerażało.

Wepchnęłam chleb przez kratkę.

– Proszę!

Dziewczyna była kilkadziesiąt centymetrów poniżej mnie, a ponieważ chleb leciał trochę na lewo od niej, obawiałam się, że go nie złapie. Jednak poruszała się z zadziwiającą prędkością i rzuciła się, by go schwycić. Gdy zobaczyła, że to jedzenie, oczy rozszerzyły jej się z radości.

– Dziękuję bardzo.

Uśmiechnęła się szeroko, a radość, jaką sprawił jej taki mały kawałek chleba, ugodziła mnie w samo serce.

Spodziewałam się, że natychmiast go pochłonie, ale nie zrobiła tego.

– Muszę się nim podzielić – wyjaśniła, wkładając chleb do kieszeni.

– Ilu was tam jest?

Zawahała się, jakby niepewna, czy odpowiedzieć.

– Pięcioro. Moja mama, ja i jeszcze jedna rodzina.

Wtedy zobaczyłam rozdarcie na jej rękawie, ślad przebiegający równo po obwodzie, tam gdzie zostały wyrwane szwy mocujące materiał. Wstrzymałam oddech. Dziewczyna nosiła opaskę z niebieską gwiazdą, tak jak moja koleżanka szkolna Miriam.

– Jesteście Żydami?

Skinęła podbródkiem na znak potwierdzenia. Oczywiście, domyślałam się tego. Z jakiego innego powodu ktoś ukrywałby się w kanałach?

– Jesteście z getta? – spytałam.

– Nie! – rzuciła, wyraźnie urażona. – Getto to było miejsce, gdzie przebywaliśmy przez kilka okropnych miesięcy, ale to nie był mój dom. Pochodzę z Krakowa, tak jak ty. Przed wojną mieszkaliśmy przy ulicy Meiselsa.

– Oczywiście – odparłam szybko, jakby skarcona. – Chodziło mi tylko o to, że wcześniej przebywałaś w getcie?

– Tak – powiedziała cicho.

Mój wzrok powędrował wzdłuż drogi na wschód. Kilka lat temu Niemcy zbudowali otoczone wysokim murem getto na Podgórzu, w dzielnicy leżącej tylko kilka kilometrów dalej na wschód, na brzegu rzeki, i zmusili wszystkich Żydów z Krakowa i okolicznych wiosek, by

się tam przenieśli. Potem, co aż nieprawdopodobne, opróżnili getto, odsyłając dokądś wszystkich mieszkańców.

– Kiedy Niemcy likwidowali getto, udało nam się uciec do kanału.

– Ale to się zdarzyło ponad miesiąc temu.

Przypomniałam sobie, jak słyszałam, że Niemcy zabierają ostatnich Żydów z getta na Podgórzu. Nie wiedziałam, gdzie ich wysyłają. Ale teraz zrozumiałam, że z tego właśnie powodu ta dziewczyna się ukryła.

– Od tamtego czasu jesteście w kanale?

Dziewczyna skinęła głową. Przebiegł mnie dreszcz. Mieszkanie w kanale było czymś strasznym. Jednak gdziekolwiek Żydów wywieziono, to musiało być jeszcze gorsze. Zejście do podziemi niewątpliwie uchroniło ją od takiego losu.

– Jak długo tu zostaniecie? – spytałam.

– Aż do końca wojny.

– Ale to może trwać lata! – wybuchłam.

– Naprawdę nie mamy dokąd pójść.

Jej głos brzmiał spokojnie; pogodziła się z sytuacją. Podziwiałam jej determinację; nie sądziłam, że mogłabym przetrwać nawet godzinę w kanale, gdyby mnie to spotkało. Wzbierało we mnie współczucie. Chciałam zrobić coś więcej, żeby jej pomóc, ale nie wiedziałam co. Wyjęłam monetę z kieszeni i wsunęłam ją przez kratę. Upadła z brzękiem na ziemię, a dziewczyna skoczyła, by ją podnieść z błota.

– To bardzo miłe, ale nie mamy jak jej wykorzystać tu na dole – powiedziała.

– Nie, jasne, że nie – odparłam, głupio się czując. – Przepraszam, ale nie mam więcej jedzenia.

– Czy ze swojego okna widzisz niebo? – spytała gwałtownie.

– Tak, oczywiście. – Pytanie wydało mi się dziwne.

– I wszystkie gwiazdy?

Kiwnęłam głową.

– Tak bardzo za tym tęsknię! Tu z dołu widzę zaledwie wąski skrawek nieba.

– I co? – Nie chciałam, by to brzmiało niegrzecznie, ale biorąc pod uwagę jej sytuację, nie wydawało mi się to warte zmartwienia. – Czy wszystkie gwiazdy nie są takie same?

– Oczywiście że nie! Każda należy do innego zbioru. Kasjopeja, Wielki Wóz...

Powiedziałabym, że była mądra w sposób, który przypominał mi moją przyjaciółkę Miriam.

– Skąd wiesz tyle na temat gwiazd?

– Lubię całą naukę, ale astronomia jest jedną z moich ulubionych dziedzin. Ojciec i ja często chodziliśmy na dach naszej kamienicy oglądać gwiazdy.

Jej oczy były pełne smutku. Zanim znalazła się w kanale, miała swoje życie, które teraz przepadło.

– A twój ojciec, czy jest tu z tobą w kanale?

Potrząsnęła głową.

– Zmarł zaraz po naszej ucieczce z getta. Utonął w kanale.

– Och! – Nie wyobrażałam sobie, że woda w podziemiach jest na tyle szeroka i głęboka, by w niej utonąć. – Jakie to straszne. Mój tato także zmarł podczas wojny. Przykro mi, że twój też.

– Dziękuję, także współczuję.

– Ella? – rozległ się za mną jakiś głos.

Zrobiłam zwrot, potykając się, bo chciałam się szybko wyprostować. Nie spodziewałam się, że usłyszę swoje imię w tak

odległej części miasta. Zastygłam w bezruchu, modląc się, by dziewczyna zniknęła z pola widzenia.

Potem, gdy się odwróciłam, zobaczyłam Krzysia.

– Krzyś. – Byłam wytrącona z równowagi tym niespodziewanym spotkaniem i od razu zalała mnie fala rozmaitych emocji. Ogarnęło mnie szczęście i poczułam przyływ ciepła jak zawsze, gdy go widziałam, a jednocześnie gniew i smutek, gdy przypominałam sobie, że ze mną zerwał, i to wszystko, czego już nie było między nami. I zdziwienie: jak mnie tu znalazł?

Krzyś pomógł mi utrzymać się na nogach. Wyglądał jeszcze przystojniej niż zwykle, z lekkim zarostem podkreślającym mocną szczękę i błękitnymi oczami błyszczącymi pod głęboko nasuniętą czapką. Położył niezręcznie dłoń na mojej, a przeze mnie przebiegł prąd. Tyle że nie jesteśmy już parą – przypominałam sobie. Raz jeszcze poczułam się odrzucona. Zrobiłam krok w tył. Wyszłam z domu w pośpiechu, więc włosy miałam w nieładzie, a sukienka była ubrudzona na brzegu ziemią, na której klęczałam. Odwróciłam wzrok, nie patrząc mu w oczy.

– To dość dziwna okolica jak na ciebie – zauważył. – Co u licha tu robisz?

– Mogłabym zapytać cię o to samo – powiedziałam, chcąc zyskać na czasie. Wtedy przypominałam sobie cel wczorajszej wyprawy. – Przyszłam kupić wiśnie potrzebne mojej macosze.

Ta wymówka brzmiała nieprawdopodobnie, bo była niedziela, ale nic lepszego nie wymyśliłam.

– Wykonujesz polecenia Any Luci? – Uśmiechnął się. – To dziwne.

Moja niechęć do macochy wielokrotnie stanowiła temat naszych żartów. Teraz ta uwaga była zbyt osobista, nie na miejscu.

– Po prostu staram się być użyteczna – powiedziałam chłodno, nie chcąc już śmiać się razem z nim.

– Mogę pomóc ci poszukać – zaproponował.

– Nie ma potrzeby, dam sobie radę – odparłam dumnie. – Dziękuję.

Kiedyś mogłabym przyjąć jego pomoc, ale teraz było to jak w innym życiu.

Opuścił wzrok, przestępując z nogi na nogę.

– Ella, co do wczorajszego... Chciałbym, żebyś pozwoliła mi wyjaśnić...

– Raczej nie – powiedziałam szybko, przerywając mu.

Długa lista wyjaśnień, dlaczego nie widzi mnie już w swoim dalszym życiu, była ostatnią rzeczą, której bym pragnęła. Krzyś nie zmienił zdania. Raczej próbowałby usprawiedliwić swoją decyzję, dlaczego już nie jest ze mną. Dalsze omawianie tej sprawy sprawiłoby mi tylko niepotrzebny ból.

Staliśmy, przyglądając się sobie nawzajem przez kilka sekund, bez słowa. Jego wzrok powędrował ponad moje ramię. Spojrzałam tam i zobaczyłam na rogu polskiego policjanta, który nas obserwował.

– Musisz uważać, Ella – powiedział Krzyś. – Na ulicach jest niebezpiecznie, a będzie jeszcze gorzej.

Nadal się o mnie niepokoił, przynajmniej to było jasne. Ale to nie wystarczało, żeby chciał być ze mną.

– Powinniśmy stąd iść – powiedziałam.

– Ella... – zaczął. Ale cóż więcej tu było do powiedzenia?

– Żegnaj, Krzysiu. – Odwróciłam się od niego, nie chcąc patrzeć, jak znowu ode mnie odchodzi.

Rozdział 8

Sadie

Kiedy nad kratką zjawiał się jakiś mężczyzna i zaczął rozmawiać z tą dziewczyną na ulicy, odskoczyłam w cień. Nazwał ją Ella. To imię spłynęło z mojego języka jak dźwięk nuty. Nie mogłam usłyszeć ich dalszej rozmowy, ale na podstawie wyrazu jej twarzy i sposobu, w jaki stali blisko siebie, stwierdziłam, że ona dobrze znała tego mężczyznę i lubiła go – albo przynajmniej kiedyś tak było.

Gdy ich obserwowałam, zatrzymałam wzrok na krzyżyku na jej szyi, który nosiła jako Polka-katoliczka, a który podkreślał różnice między nami. Przypomniałam sobie wtedy dokładnie ten moment, gdy jako dziecko zrozumiałam, że nie jesteśmy tacy jak inni. Miałam pięć lat i byłam z mamą na zakupach na placu Nowym, czyli targu pod gołym niebem, obsługującym żydowskich i nieżydowskich mieszkańców Kazimierza. Był koniec kwietnia, trzeci dzień święta Paschy. Usunęliśmy z kuchni *chamec*, chleb i inne produkty na zakwasie, zakazane w ciągu ośmiu świątecznych dni. Jednak gdy mijałyśmy z mamą piekarnię, na wystawie dostrzegłam kuszące świeże bułeczki.

– Przecież jest Pascha – zauważyłam, zdumiona tym widokiem.

Mama wyjaśniła mi, że tylko mały procent obywateli Polski jest Żydami.

– Inni mają własne święta i obyczaje. To dobrze – dodała. – Wyobraź sobie, jak nudny byłby świat, gdyby wszyscy byli tacy sami.

Jednak chciałam być jak inne dzieci w moim wieku i jeść ciastka, kiedy tylko miałabym ochotę, nawet podczas Paschy. Wtedy pierwszy raz zdałam sobie sprawę, jak bardzo my, Żydzi, różnimy się od reszty ludzi; był to wstęp do lekcji, którą aż za dobrze zrozumiałam po inwazji Niemców. Teraz gdy stałam w kanale, gapiąc się na piękną Elle

z krzyżykiem, czułam swoją odmienność bardziej niż kiedykolwiek, nawet mocniej niż podczas prześladowań i wojennych cierpień.

W końcu mężczyzna odszedł. Kilka minut później Ella, rozglądając się ostrożnie wokoło, ponownie zajrzała na dół, wypatrując mnie. Zbliżyłam się do kratki i stanęłam w kręgu światła tak, by mnie widziała.

Uśmiechnęła się.

– O, jesteś. Myślałam, że już poszłaś.

Zdawałam sobie sprawę, że ona także mogła odejść, gdy skończyła rozmowę z mężczyzną na ulicy. Byłoby dla niej bezpieczniej pójść i udawać, że nigdy mnie nie spotkała. Ale nie zrobiła tego.

– Mam na imię Sadie – przedstawiłam się. Coś we mnie mówiło, że lepiej nie podawać imienia, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Ella – jej głos brzmiał melodyjnie, przypominając mi tryl wróbla.

Mówiła inaczej niż ja, zwłaszcza końcówki wyrazów wymawiała starannie. Jednak chodziło o coś więcej – jej akcent świadczył o dobrym wykształceniu, zamożnym domu, pewnie o zagranicznych wakacjach i innych wspaniałościach, których sobie nawet nie wyobrażałam. To w jeszcze większym stopniu niż ładny strój czy krzyżyk dowodziło, jak bardzo różni się ode mnie, i oddalało nas od siebie.

– Wiem, słyszałam, jak ten mężczyzna nazwał cię po imieniu. Kto to był? – Skarciłam się za to pytanie, które było zbyt wścibskie i osobiste, by je zadać komuś, kogo zaledwie poznałam.

Przełknęła ślinę.

– Po prostu chłopak, którego kiedyś znałam. – W jej głosie zabrzmiał ton bólu. Jasne, że był dla niej kimś więcej. – Jak jest tam na dole? – spytała, zmieniając temat.

Jak mogłam wytłumaczyć jej, jak wygląda życie w dziwnym, ciemnym, podziemnym świecie, jedyne, jakie teraz znałam? Próbowałam znaleźć słowa, żeby to opisać, ale nie umiałam.

– Jest strasznie – powiedziałam w końcu.

– Jak udaje wam się przeżyć na dole? Macie jedzenie? – zasypała mnie szybkimi pytaniami, co przypomniało mi, że postępowałam podobnie.

Zamilkłam na chwilę, znowu starając się znaleźć odpowiedź. Nie mogłam wspomnieć o Pawle, nie narażając go na niebezpieczeństwo. Miałyby wielkie problemy, gdyby Niemcy odkryli, że pomaga ukrywać się Żydom.

– Jakoś sobie radzimy.

– Ale jak to wytrzymujecie? – wybuchła, a ja po raz pierwszy zobaczyłam mały wyłom w jej eleganckim zachowaniu.

Nigdy nie roztrząsałam tego problemu.

– Po prostu nie mamy wyboru – powiedziałam wolno. – Najpierw nie sądziłam, że wytrzymam tam minutę. Potem minuta minęła i myślałam, że nie przetrwam godziny. Potem dnia, tygodnia i tak dalej. Zdumiewające, do czego się można przyzwyczaić. I nie jestem tam sama. Jest ze mną mama, a wkrótce będę miała rodzeństwo.

Przez moment zastanawiałam się, czy nie wspomnieć też o Saulu, ale uznałam, że byłoby to głupie.

– Twoja mama jest w ciąży?

– Tak, urodzi za kilka miesięcy.

Na jej twarzy odbiło się niedowierzanie.

– Jak mogłaby mieć dziecko w kanałach?

– Wszystko da się zrobić, jeśli możesz być z tymi, których kochasz – odpowiedziałam, starając się przekonać nie tylko ją, ale i samą siebie.

Ella posmutniała.

– O co chodzi? – spytałam, mając nadzieję, że nie powiedziałam nic, co ją uraziło.

– O nic – odparła szybko.

– Gdzie mieszkasz? – spytałam, zmieniając temat.

– Na Kanoniczej – powiedziała, z lekkim zakłopotaniem podając tak wytworny adres. – To obok Grodzkiej.

– Wiem, gdzie to jest – odparłam, trochę urażona, jakbym nie znała starych uliczek w centrum miasta.

Wielokrotnie spacerowałam po tej eleganckiej dzielnicy. Nawet przed wojną ta porządnie utrzymana ulica z jej okazałymi, wypielęgnowanymi kamienicami, stojącymi rzędem w pobliżu Rynku, należała do innego świata, odległego o lata świetlne od moich skromnych warunków mieszkaniowych. Teraz gdy byłam w kanale, takie miejsca wydawały mi się jak z bajki, prawie nierealne. Stanął mi przed oczami obraz mieszkanka z regałami zapchanymi książkami i błyszczącą kuchnią, pełną najwspanialszej żywności.

– To musi być cudowne. – Nie mogłam nic poradzić na nutę tęsknoty w głosie.

– W gruncie rzeczy nie jest – odparła Ella, czym mnie zdziwiła. – Oboje moi rodzice nie żyją, a mój brat i siostry wyjechali. Została tylko macocha, Ana Lucia. Jest naprawdę okropna. A to był mój były narzeczony Krzysztof.

– Ten mężczyzna, którego spotkałaś na ulicy? – spytałam.

Kiwnęła głową.

– Tak. Właściwie to mój były chłopak, bo nie byliśmy oficjalnie zaręczeni. Zerwał ze mną, zanim poszedł na wojnę. Byłam pewna, że znowu się zejdziemy, ale on wrócił do miasta i nie odezwał się do mnie. I nie mam już także przyjaciół.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego kilka minut temu wyglądała na zboląłą, gdy powiedziałam o możliwości przetrwania wszystkiego

w otoczeniu tych, których się kocha. Pomimo bardzo dobrych warunków bytowych Ella była zupełnie sama.

– Mogłoby być gorzej. Mogłabyś mieszkać w kanale.

Przez moment obawiałam się, że mój żart jest niestosowny. Ale jej twarz się rozjaśniła i obie roześmiałyśmy się.

– Przepraszam – powiedziała. – Uskarżanie się było z mojej strony małostkowe, biorąc pod uwagę wszystko, przez co przechodzisz. Ale nie mam z kim porozmawiać.

– W porządku.

Kanał był brudny i straszny. Ale przynajmniej byłam tu z mamą, która mnie kochała, i miałam towarzystwo Saula. Ella nie miała nikogo. Zrozumiałam, że jest jakby uwięziona w swego rodzaju pułapce.

– Zawsze możesz przyjść porozmawiać ze mną – zaproponowałam.
– Wiem, że to niewiele, odwiedzać brudną dziewczynę, mieszkającą w kanale.

– Dla mnie to dużo. – Ella wsunęła rękę przez kratkę. Stałam na palcach, próbując dotknąć jej dłoni. Jednak odległość była zbyt duża, i nasze ręce zatrzepotały osobno w powietrzu.

– Mogę ci pomóc – powiedziała i przez sekundę serce mi mocno zabiło. – Może spróbuję znaleźć jakiś sposób, żeby cię wydostać, spytam kogoś...

– Nie! – krzyknęłam przerażona, że może wyjawić, że tu jesteśmy.
– Nie wolno ci w ogóle o mnie mówić – dodałam ostrym tonem, starając się nadać głosowi bardziej dojrzałe i stanowcze brzmienie, niż było w rzeczywistości. – Albo już nigdy mnie nie zobaczysz.

Ta groźba była rzucona na wiatr. Z pewnością nie miało to dla niej znaczenia.

Ella skinęła głową.

– Przysięgam – powiedziała uroczyście i zrozumiałam, że chce tu wrócić i ponownie się ze mną spotkać. – Ale czy nie chcesz uciec?

– Nie... To znaczy tak. – Staralam się wymyślić sposób, w jaki mam to wytłumaczyć. – Tu na dole jest okropnie, ale teraz kanały są dla nas najbezpieczniejszym miejscem. Naprawdę nie mamy dokąd pójść.

Chociaż czasami zastanawiałam się, czy to prawda, musiałam zaufać Pawłowi, który nas chronił, i mojemu ojcu, który nas tutaj przyprowadził.

– Mogę tu zostać jeszcze tylko chwilę – powiedziała Ella. – Macocha będzie czekać na mój powrót.

– Rozumiem. – Staralam się ukryć rozczarowanie. Oczywiście, wiedziałam, że w pewnym momencie musi zrobić, co do niej należy. Jednak w rozmowie z Ellą było coś, co sprawiało, że odbierałam ją jak starą znajomą, chociaż dopiero się poznałyśmy.

– Poczekaj tutaj – powiedziała, wstając i znikając mi z oczu.

Po chwili uklękła ponownie i wepchnęła coś przez kratkę. Pochyliłam się, by to złapać, zanim wpadnie do wody płynącej pod moimi nogami. Był to obwarzanek, posypany makiem precelek, sprzedawany przez Polaków na ulicy.

– Jeszcze troszkę jedzenia – stwierdziła.

– Dziękuję. – Schowałam go do kieszeni, żeby podzielić się z mamą.

– Muszę iść – powiedziała Ella po chwili.

Nie mogłam nic na to poradzić, ale poczułam się rozczarowana, że odchodzi.

– Czy jeszcze przyjdiesz?

– Tak, jeśli będę mogła wyjść. Postaram się przyjść w następną sobotę i przynieść więcej jedzenia.

Chciałam powiedzieć jej, że nie musi mi nic przynosić; po prostu pragnęłam, żeby mnie odwiedzała. Ale słowa uwięzły mi w gardle, a potem było już za późno. Odeszła.

Zostałam sama w chłodzie i ciemności. Tak jakbym Ellę tylko sobie wyobraziła. Jednak miałam w kieszeni kawałek chleba i obwarzanek, a w dłoni ścisnęłam monetę, co upewniało mnie, że była tu naprawdę. Modliłam się, żeby miała możliwość ponownie tu przyjść.

– Sadie! – wyszeptał nagle ktoś za mną w ciemnościach.

Był to Saul, który zapewne wyszedł z naszej komory, żeby pospacerować. A może poszedł mnie poszukać. Normalnie ucieszyłabym się na jego widok, ale teraz byłam zaskoczona. Jego wzrok powędrował do kratki kanalizacyjnej, a potem znowu zwrócił się ku mnie. Czy widział Ellę?

– Sadie, nie! – Złapał mnie za ramię i wepchnął do cienia, a jego oczy były pełne niepokoju. – Nie możesz dopuścić, żeby ktoś cię widział. Wiem, że czujesz się samotna. Ale Polacy nie są godni zaufania – dodał z mocą.

– Na pewno nie wszyscy Polacy.

– Wszyscy.

Jego twarz stężała, a stanowczość w jego głosie świadczyła o okropnych rzeczach, które przeżył, ale nie podzielił się tym ze mną.

– A Paweł? – spytałam. – Jest Polakiem i nam pomaga.

Nie odpowiedział.

– Obiecuj mi, że nie przyjdiesz tu znowu.

Tym razem w jego głosie zabrzmiał czuły ton.

– Obiecuję.

Nawet mówiąc te słowa, wiedziałam, że to kłamstwo. Ponownie przyjdę pod kratkę zobaczyć się z Ellą. Było w niej coś, co mówiło mi,

że mogę jej zaufać, mimo że Saul twierdził co innego.

Saul wziął dzbanek z wodą i ruszyliśmy tunelem. Gdy zbliżaliśmy się do naszej kryjówki, drogę zagroziła nam Babi.

– Co to jest?! – krzyknęła, wskazując na moją kieszeń, z której wystawał kawałek obwarzanka.

W ciągu kilku tygodni pobytu w kanale zbliżyliśmy się z mamą do rodziny Rosenbergów i pomimo wspólnego mieszkania w takiej ciasnocie, rzadko dochodziło do trudnych chwil między nami. Jednak Babi, jako starsza osoba, z czasem stawała się coraz bardziej zrzędliva i poirytowana, jakby kumulowało się w niej napięcie związane z życiem w kanałach.

– To moje – powiedziałam, próbując ją ominąć i wejść do komory.

Babi przesunęła się bokiem w tę samą stronę, nie chcąc ustąpić.

– Złodziejka! – krzyknęła, najwyraźniej myśląc, że wzięłam precel z naszych zapasów żywności.

Już otwierałam usta, żeby powiedzieć, że byłoby to niemożliwe. Nie mieliśmy tu obwarzanków – Paweł nie kupował takiego jedzenia, więc jak mogłabym go ukraść?

Zanim się odezwałam, za Babi w wejściu do naszej kryjówki pojawiła się mama.

– Jak śmiesz? – spytała ostro, słysząc wymianę zdań w tunelu, i zbliżyła się do nas.

Mama w ciągu kilku ostatnich tygodni stawała się coraz bardziej ponura i mizerna, w miarę jak przedłużał się nasz pobyt w kanałach i rozwijała jej ciąża. Teraz wyraźnie znalazła siłę, by mnie bronić.

– Ona ma dodatkowe jedzenie – oskarżyła mnie Babi, podstawiając mi pod nos sękaty palec. – Albo je ukradła, albo bez naszej wiedzy wychodzi na zewnątrz.

– To śmieszne! – rzuciła mama.

Chociaż zazwyczaj odnosiła się z szacunkiem do tej starszej kobiety i ustępowała jej, nie mogła ścierpieć oskarżeń pod moim adresem. Jej wzrok powędrował w stronę mojej kieszeni, a kiedy zobaczyła skrawek obwarzanka, oczy jej się rozszerzyły. Widziałam, że przypomina sobie, jak przyglądałam się dziewczynie na ulicy, i że zrozumiała, jak trafił do mnie precel. Przez jej twarz przemknął wyraz niepokoju, a potem gniewu.

Ale nadal mnie broniła.

– Zostaw moją córkę w spokoju.

Podeszła i stanęła pomiędzy Babi i mną. Odepchnęła palec staruszki. Babi rozgniewała się jeszcze bardziej i mocno złapała mamę za nadgarstek.

– Przestańcie! – zaprotestowałam głośno, nie bacząc, że ktoś mógłby usłyszeć.

Jak ona śmiała w ten sposób szarpać moją ciężarną mamę? Spróbowałam wyrwać jej nadgarstek z uścisku Babi, ale trzymała zdumiewająco mocno. Mama uwolniła się sama i szarpnęła się w tył. Poślizgnęła się i całym ciężarem upadła na ziemię, skowycząc jak ranne zwierzę. Szybko pomogłam jej wstać.

– Mamo, nic ci nie jest?

Nie odpowiedziała, ale pokręciła głową, pobladła na twarzy.

Saul stanął pomiędzy mną i swoją babcią.

– Sadie niczego nie zabrała. Wracaj do izby, Babi.

Mówił łagodnym głosem, ale stanowczo. Staruszka wymamrotała coś i cofnęła się.

– Przepraszam za nią – powiedział Saul cicho, gdy ruszyliśmy za jego babcią w stronę naszej komory. – Nie chciała zrobić krzywdy, ale

ma prawie pięćdziesiąt lat i trochę się gubi. Przykro patrzeć, jak starzeją się ludzie, których kochasz.

– I przykro tego nie widzieć – odparłam, myśląc o moim ojcu. Zastanawiałam się, jaki byłby na starość, gdyby miał okazję jej dożyć. Nigdy się tego nie dowiem.

Ruszyłam za Saulem do naszej niszy, ale mama, która szła za nami, przystanęła przed wejściem.

– Obiecuj mi – powiedziała z taką siłą, jakiej nigdy w jej głosie nie słyszałam – że już więcej tam nie pójdziesz.

Odwróciłam się do niej zdziwiona. Nie wyglądała na rozgniewaną, gdy natknęła się na mnie przy kracie kanalizacyjnej. Ale teraz wyprostowała całą swoją szczupłą postać. Pochyliła się nade mną tak blisko, że jej okrągły brzuch napierał na mnie.

– Obiecuj mi, że nie pójdziesz znów się z nią spotkać, że nie pozwolisz sobie na rozmowę z nią ani na to, żeby cię zobaczyła. – W jej słowach brzmiało echo słów Saula. – Wiem, że czujesz się samotna. Ale to zbyt niebezpieczne.

Pomyślałam o Elli i nadziei, jaką mi dała. Ale mama miała rację; narażanie naszego bezpieczeństwa było z mojej strony nieodpowiedzialne.

– Dobrze – powiedziałam w końcu, przywołana do porządku. Złamanie obietnicy danej Saulowi było zupełnie czymś innym niż niedotrzymanie słowa mamie. Czułam, jak w moich myślach blaknie i niknie wyobrażenie mojej nowej znajomej.

Wtedy w tunelu zjawił się Paweł.

– Cześć – powiedziałam, zdziwiona jego widokiem. Była niedziela, żaden ze zwykłych dni jego odwiedzin, a poza tym był tu wczoraj. Ale nie przyniósł wtedy zbyt dużo jedzenia, i widząc jego torbę, miałam nadzieję, że znalazł trochę więcej.

Kiwnął głową, nie odpowiadając na moje powitanie. Jego zazwyczaj pogodna twarz była zacięta i ponura, a oczy straciły ciepły blask. Zastanawiałam się, czy usłyszał naszą kłótnię i rozgniewał się. Poszedł za nami w milczeniu do komory i wręczył torbę z jedzeniem.

– O co chodzi? – spytała mama, instynktownie wyczuwając, że stało się coś złego.

Paweł odwrócił się od nas do pana Rosenberga.

– Obawiam się, że mam wiadomość z Będzina, ale to nic dobrego – powiedział. Gdy wspomniał nazwę miasteczka, pan Rosenberg zeszywniał. – Mała synagoga w getcie... Niemcy ją spalili.

Serce podeszło mi do gardła. Przypomniałam sobie, jak Saul z dumą opowiadał, że jego brat, który został w Będzinie, stworzył w getcie prowizoryczną synagogę obok małego sklepu, żeby ci, którzy musieli tam mieszkać, mieli gdzie się modlić. Chodzenie do synagogi na modlitwę wydawało mi się w tych czasach niewiarygodnie głupie. Z pewnością Bóg może usłyszeć każdego zewsząd.

Spojrzałam na pana Rosenberga, którego twarz zrobiła się biała jak szal pod jego potarganą brodą.

– Tora – powiedział przerażony.

Opanowało mnie niemiłe uczucie. Spalenie synagogi z pewnością było czymś strasznym, ale ponury wyraz oczu Pawła świadczył o czymś gorszym niż zniszczenie modlitewnych zwojów. Czułam, że stojący za mną Saul zdrętwiał ze zdenerwowania, bo zrozumiał. Wzięłam go za rękę. Przez sekundę wahał się i zaczął ją cofać, rozdarty pomiędzy nakazami swojej religii i potrzebą wsparcia. Jednak opuścił rękę i nie protestował, kiedy oplotłam palcami jego palce, pragnąc dodać mu otuchy przed tym, co miało nastąpić.

Paweł mówił dalej:

– Obawiam się, że to nie wszystko. Wie pan, tam był młody rabin, który próbował powstrzymać Niemców i uderzył jednego z nich.

W odwecie Niemcy zamknęli wszystkich pozostałych Żydów w synagodze i ją podpalili.

– Micah! – krzyknął pan Rosenberg, osuwając się. Babi wydała ostry szloch. Saul odskoczył ode mnie, by podtrzymać swoją babcię przed upadkiem. Podprowadził Babi do ojca i wszyscy troje skulili się, kurczowo obejmując się nawzajem. Stałam, obserwując ich smutek, całkowicie bezradna.

– Moja narzeczona... – powiedział Saul, patrząc do góry. – Również była w getcie i często bywała w synagodze.

Paweł pochylił głowę.

– Bardzo mi przykro, ale według mojego rozeznania wszyscy, którzy byli wtedy w synagodze, zginęli.

Saulowi ugięły się kolana i myślałam, że upadnie, podobnie jak jego babcia, ale udało mu się ustać na nogach.

– Chodźmy – powiedziała mama miękko do mnie i Pawła. – Muszą zostać sami ze swym cierpieniem.

Zawahałam się, bo chciałam pocieszać Saula. W końcu niechętnie poszłam za mamą w głąb tunelu.

– Nie wiedziałem, czy im to powiedzieć – stwierdził Paweł ze smutkiem.

– Dobrze zrobiłeś – zapewniła go mama.

Kiwnęłam głową. Nawet w kanale prawda mogła być ukrywana tylko przez pewien czas.

– Paweł... – zawahałam się. W tych czasach lepiej było nie zadawać zbyt wielu pytań. Jednak jedna sprawa nie dawała mi spokoju, a nie znałam wielu odpowiedzi, bo już nie mogłam spytać o nic ojca. Zrozumiałam, że wkrótce może nie być na to czasu. – Jak to się stało, że nam pomagasz? To znaczy, jak mój ojciec cię znalazł?

Paweł uśmiechnął się, był to pierwszy jasny promyk, który ujrzałam w jego oczach od dłuższego czasu.

– Był bardzo serdecznym człowiekiem. Często mijalem go na ulicy i zawsze się ze mną witał, nie tak jak inni eleganccy panowie, którzy ignorowali prostego kanalarza.

Również się uśmiechnęłam, wiedząc, co ma na myśli. Ojciec był uprzejmy dla wszystkich, niezależnie od ich pozycji społecznej.

– Od czasu do czasu rozmawialiśmy o tym i owym. Kiedyś powiedział mi, że gdzieś szukają pracowników, i polecił mnie tam. Innym razem dał mi trochę pieniędzy na zakupy. Pomagał mi bez powodu, tylko dlatego, że byłem jego bliźnim. Jednak zawsze robił to w taki sposób, że wyglądało to tak, jakbym to ja pomagał jemu. Nie chciał urazić mojej godności.

Po chwili mówił dalej:

– Potem pewnego dnia zauważyłem, że nosi opaskę i jest zmartwiony. Nawiązałem rozmowę, a on zaczął podpytywać mnie o jakieś magazyny czy inne miejsca, gdzie mógłby ukryć rodzinę. Wiedziałem, że takie miejsca się nie sprawdzają. Więc powiedziałem mu o kanałach, a później, gdy zostaliście przesiedleni do getta, zaczęliśmy budować wejście.

– A co z Rosenbergami?

– Gdy zaczęli likwidować getto i biegłem na spotkanie z twoim ojcem, zobaczyłem ich na ulicy. To był straszny dzień i zrobiono obławę na wszystkich ubranych tak jak oni, bito ich, golono im brody albo traktowano jeszcze gorzej.

Przerwał, jakby chodziło o coś więcej, ale było to zbyt okropne dla moich młodych uszu.

– Powiedziałem, żeby poszli ze mną.

Takie przypadki ocaliły nam życie, podczas gdy tylu innych ludzi cierpiało i zginęło. Paweł opowiadał dalej:

– Tuż przed zejściem do kanału spotkaliśmy małe dziecko i uciekającą parę. Pomyślałem, że moglibyśmy ich także ocalić.

W jego głosie zabrzmiała nuta smutku.

– Czy zawsze byłeś kanalarzem? – spytałam.

– Sadie, zadajesz zbyt wiele pytań! – skarciła mnie mama.

Ale Paweł uśmiechnął się.

– Nieważne. Przed wojną byłem złodziejem.

Zdziwiłam się. Wyglądał na dobrego człowieka, a w rzeczywistości był zwykłym przestępcą.

– Wiem, że to okropne. Ale bardzo długo nie było pracy dla montera kanalizacji, a musiałem wyżywić żonę i córkę. A potem wy wszyscy się zjawiliście i wiedziałem, że względu na wielką życzliwość twojego ojca, co powinienem zrobić. Ratowanie was to moje życiowe zadanie.

Wtedy zrozumiałam. Ratowanie nas stało się jego misją, jego szansą na zbawienie.

Po krótkiej chwili odszedł, a my z mamą wróciłyśmy do naszej komory. Chciałam podejść do Saula, żeby zobaczyć, jak się trzyma, i spróbować zrobić coś dla niego, o ile bym mogła. Jednak siedział tuż obok babci, która żałośnie płakała, i ojca, który po prostu się modlił. Później w nocy Saul leżał obok ojca, ręką obejmując jego plecy. Byłam pewna, że nie wyjdzie się przejść. Jednak kiedy oddech jego ojca się uspokoił, Saul wstał i ruszył do wyjścia. Poszłam za nim.

– Pozwolisz, że pójdę z tobą? – spytałam, zastanawiając się, czy nie woli być sam.

Skinął potakująco. Poszliśmy razem, a między nami panowała cisza, cięższa niż kiedykolwiek wcześniej.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego brata – powiedziałam po kilku minutach. – I z powodu Szifry.

Chciałam pocieszyć go w smutku także po jej stracie, ale chyba nie byłam właściwą osobą.

Szedł dalej bez słowa. Podjęłam kolejną próbę.

– Rozumiem cię. Kiedy mój ojciec... – Wtedy głos mi się załamał. Chciałam, żeby mój własny żal i poczucie straty dodało mi mądrości i żebym umiała powiedzieć coś, co ulży mu w bólu. Ale każda osoba pogrążona w rozpacz jest samotną wyspą. Mój smutek nie mógł w żaden sposób pomóc Saulowi, podobnie jak ból mojej mamy nie mógł pomóc mnie po śmierci ojca.

Doszliśmy do naszej niszy. Saul nie sięgnął po książkę, ale patrzył gdzieś w dal.

– Opowiedz mi o swoim bracie – poprosiłam.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Po co?

– Myślę, że rozmowa pomaga. Odkąd mój tato umarł, bardzo często chciałam się z kimś podzielić wspomnieniami o nim. Jednak moja mama nigdy o nim nie mówi. Sądzę, że by jej pomogło, gdyby to zrobiła.

Po śmierci taty nie umiałam odkryć się z tej strony, ale teraz robiłam to dla Saula.

Saul początkowo nic nie mówił i zastanawiałam się, czy nie chce, czy nie może opowiadać o swoim bracie. Może było za wcześnie.

– On był wśród nas ostatnią osobą, która nadawałaby się na rabina – powiedział w końcu. – Zawsze wpadał w kłopoty. Kiedyś, gdy byliśmy mali, uznał, że powinniśmy wyczyścić całą podłogę wybielaczem. Mam

była wściekła. – Mimowolnie się uśmiechnął. – Mógł wyjechać, wiesz, odejść wraz z nami, a on został w miasteczku, żeby pomagać tym, którzy nie mogli wyjechać, żeby być z kobietami i dziećmi i nieść im pociechę religijną. Tylko że teraz umarł.

Z jego oczu popłynęły łzy, które musiał powstrzymywać, gdy pocieszał ojca i babcię. Pochyliłam się ku niemu i otoczyłam ramieniem, mając nadzieję, że nie zaprotestuje. W tym momencie drgnął, jakby chciał je strząsnąć, ale nie zrobił tego. Przyciągnęłam go blisko, jakby próbując osłonić od smutku i bólu, a przynajmniej nieść ten ciężar wraz z nim, żeby nie czuł się osamotniony. Oczywiście nie mogłam uzalać się nad nim. Być tutaj to wszystko, co mogłam zrobić.

Saul mówił dalej i przez łzy opowiadał o bracie. Słuchałam w ciszy, wtrącając w przerwach pytanie czy dwa i ściskając jego dłoń, gdy doszedł do najsmutniejszych rzeczy. Zazwyczaj po tym, gdy księżyc schodził tak nisko, że nie oświetlał już niszy, przestawaliśmy czytać i wracaliśmy do naszej komory.

– Powinniśmy wracać – powiedziałam po chwili.

Kiwnął głową. Nasze rodziny mogły się obudzić i zmartwić, że gdzieś poszliśmy. Jednak żadne z nas się nie poruszyło, nie chcąc opuszczać tego cichego miejsca, w którym przebywaliśmy oddzieleni od reszty świata.

– A to było wtedy, gdy Micah wpadł do strumienia – oznajmił Saul, rozpoczynając kolejną opowieść.

W miarę opowiadania jego głos stawał się ochrypły, a wspomnienia coraz bardziej mroczne. Kiedy w końcu nie miał nic więcej do powiedzenia, przechylił głowę ku mojej, oboje zamknęliśmy oczy i zasnęliśmy.

Rozdział 9

Ella

Dwa tygodnie po mojej pierwszej rozmowie z Sadie wyszłam z domu w niedzielny poranek, żeby się z nią zobaczyć. Szłam ulicą i z radością wdychałam świeże powietrze. Był już prawie maj, wiał ciepły wiaterek, przesycony zapachem kwitnących drzew, a ja właśnie minęłam Planty. Wyglądało na to, że tego dnia wyszło na dwór więcej ludzi niż kiedykolwiek od początku wojny, żeby załatwić rozmaite sprawy czy iść z wizytą do przyjaciół lub rodziny. Krakowianie nadal poruszali się szybko i mieli spuszczone oczy, nie witali się ani nie przystawali na pogawędki tak jak dawniej. Jednak w ich postawie był jakiś rodzaj buntu, widoczny w sposobie, w jaki zadzierali podbródki, chociaż na krótko, i patrzyli na ozłocony promieniami słońca Wawel. Jakby mówili Niemcom: Nie odbierzecie nam tego pięknego dnia w naszym mieście.

Poszłam odwiedzić Sadie tydzień temu w sobotę, tak jak jej swego czasu obiecałam, zabierając ze sobą trochę owczego sera, który zdołałam wynieść z kuchni. Ale ona spóźniła się i była zdenerwowana.

– Mogę być tu tylko kilka minut – powiedziała. – Nie będę mogła przychodzić i spotykać się z tobą. Obiecałam, że nie będę.

Ona także musiała się liczyć z innymi, którzy mogliby zauważyć, że wychodzi, i być temu przeciwni.

– Zrozumiem, jeśli już nie będziesz mogła przyjść – odparłam, zaskoczona, że czuję ukłucie żalu. Za pierwszym razem wróciłam do kanału z ciekawości, za drugim – ponieważ współczułam tej dziewczynie i wydawało mi się, że potrzebuje pomocy. Gdyby wtedy nie mogła się ze mną spotkać, w ogóle by mnie to nie obchodziło. A teraz było w jakiś sposób istotne. Lubiłam pomagać Sadie, bo nawet ta drobna rzecz, którą zrobiłam, sprawiała, że czułam, jakbym robiła coś ważnego.

– Oczywiście, że jeszcze przyjdę – powiedziała szybko. – Niedziele będą lepsze – dodała. – Ta druga rodzina, Rosenbergowie, zostaje w soboty przez cały dzień w tej komorze, w której mieszkamy, by obchodzić szabas, więc wtedy bardziej widać, że mnie tam nie ma.

– Zatem w niedziele – zgodziłam się. – Będę starała się przychodzić co tydzień, nawet jutro, jeśli chcesz.

– Tak – powiedziała z uśmiechem. – Takie spotkanie, nawet króciutkie, sprawia, że reszta dnia tu na dole jest trochę łatwiejsza do zniesienia. Czy to brzmi głupio?

– Wcale nie. Także lubię tu przychodzić. Będę jutro. Ale teraz lepiej już wracaj.

Nie chciałam wpaść w kłopoty i nie móc przyjść tu w ogóle.

Jednak następnego ranka Ana Lucia uznała, że czas na wiosenne porządki w domu. Nie tylko zamęczała Hanne, ale także zagoniła mnie do tysiąca drobnych obowiązków, z których nie mogłam się wymigać. Jakby macocha znała moje plany i celowo wymyślała utrudnienia. Tego dnia w ogóle nie udało mi się wyjść i spotkać z Sadie. Wyobrażałam sobie, jak stoi pod kratką i rozczarowana zastanawia się, dlaczego nie przyszłam.

Jednak dzisiaj, tydzień później, postanowiłam wrócić na Dębniki. Wyszłam wcześniej i cicho przemknęłam po schodach, nie chcąc budzić Any Luci. Doszłam do brzegu rzeki i ruszyłam dalej mostem. Na chodniku było pełno przechodniów, więc starałam się manewrować między wolno sunącymi babciami i matkami dźwigającymi zbyt wiele tobołków, z krzyczącymi dziećmi na dokładkę. Niebo na zachodzie robiło się coraz ciemniejsze, pokryła je gruba warstwa chmur i niespodziewanie przesłoniła słońce. Nie pomyślałam, żeby wziąć parasolkę w taki ładny poranek.

Gdy doszłam do połowy mostu, potok ludzi niespodziewanie się zatrzymał. Mężczyzna idący przede mną przystanął tak gwałtownie, że

na niego wpadłam.

– Przepraszam – powiedziałam.

Nie odpowiedział ani się nie poruszył, tylko dalej przeżuwał koniuszek cygara. Zdałam sobie sprawę, że most nie tyle był zatłoczony, co zablokowany. Policja ustawiła barykadę na środku, nie pozwalając nikomu dotrzeć na Dębniki ani wydostać się z nich.

– Co się dzieje? – spytałam mężczyznę, na którego wpadłam.

Zastanawiałam się, czy policja ustawiła taki tymczasowy posterunek po to, by skontrolować kennkarty, jak często robiła. Mojej by nie zakwestionowali, bo miała specjalne oznakowanie, które dostała Ana Lucia od swoich niemieckich znajomych, a które dawało nam swobodę poruszania się po mieście. Jednak przejście przez taki punkt kontrolny mogło potrwać wiele godzin, a ja nie chciałam spóźnić się na spotkanie z Sadie. Niebo było już teraz ciemnoszare, raczej jak o zmierzchu niż w południe. Z oddali dobiegł głuchy odgłos grzmotu.

– To akcja – odpowiedział, nie odwracając się.

– Tutaj? – Zesztywniałam ze strachu. Byłam przekonana, że masowe aresztowania zdarzają się tylko w dzielnicy żydowskiej.

Mężczyzna wyjął cygaro z ust.

– Tak, getto było na Podgórzu, zaraz po sąsiedzku.

– Wiem, ale getto zostało opróżnione.

– Właśnie – w jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie, jakby to było oczywiste. – Oni szukają tych, którym udało się uciec. Ukrywających się Żydów.

Gdy to usłyszałam, jeszcze bardziej zmartwiłam się, co z Sadie. Policja odcięła kordonem okolice wokół wejścia do kanału, szukając Żydów, którzy uniknęli zatrzymania, gdy opróżniano getto. Przepchnęłam się na czoło tłumy. Dalej ujrzałam niemieckie wojskowe i policyjne samochody, ze wszystkich stron obstawiające Rynek

Dębnicki. Była też jedna ciężarówka, która w zwykłych okolicznościach mogłaby służyć do przewozu bydła na targ. Dziwne, ale teraz miała z tyłu ławki przeznaczone dla ludzi. Policja przeczesywała teren, idąc od domu do domu i od warsztatu do warsztatu ze swymi okropnymi psami, które starały wywąchać ukrywające się osoby. Obląłem się zimnym potem. Na pewno przeszukają także kanał i znajdą Sadie i resztę.

Rozpaczliwie rozejrzałam się wokół, zastanawiając się, czy jest jakiś inny sposób, by przedostać się za rzekę, bym mogła ostrzec Sadie. Jednak z boku i z tyłu byłam przyblokowana przez tłum.

Na moście rozległ się nagły krzyk, przebijając głosy Niemców wykrzykujących rozkazy i szczekanie psów. Na ulicy dochodzącej do mostu policja wyciągnęła z budynku dwudziestokilkuletnią kobietę. Jej niegdyś modna rozkloszowana spódnica była poszarpana u dołu na obrębie, a biała bluzka ubrudzona. Ubranie i splątane włosy wskazywały na to, że schowała się w jakimś brudnym miejscu. Przez sekundę zastanawiałam się, czy kobieta nie była jedną z osób ukrywających się wraz z Sadie. Jednak nie miała mokrego ubrania i nie była tak brudna, jakby wyszła z kanału.

Kobieta trzymała w ramionach dwoje dzieci, małe z jednej strony i kilkulatka z drugiej. Nie stawiała oporu, gdy prowadzono ją w stronę czekającej ciężarówki. Jednak kiedy do niej doszła, jeden z Niemców starał się wyjąć dzieci z jej objęć. Kobieta rzuciła się w tył, nie godząc się na ich oddanie. Niemiec powiedział coś do niej, ale zbyt cicho, bym usłyszała. Wyobrażałam sobie, że tłumaczy, dlaczego dzieci muszą jechać osobno – jakieś wyjaśnienie, w które nikt rozsądny by nie uwierzył. Jeszcze raz sięgnął po dzieci, ale kobieta pokręciła głową i odsunęła się. Niemiec krzyknął głośniejszym głosem, każąc jej wykonać rozkaz.

– Nie, proszę, nie! – błagała kobieta, rozpaczliwie tuląc do siebie dzieci. Oskoczyła od Niemca i pobiegła w kierunku mostu.

Jednak most był zabarykadowany przez policję i zakorkowany przez tłum ludzi. Kobieta nie miała dokąd uciec. Jeden z Niemców

wyciągnął pistolet i wymierzył w nią.

– Stój!

Wszyscy świadkowie wydarzenia stojący wokół mnie wstrzymali oddech.

– Nie! – krzyknęłam głośno. Kula mogła zabić nie tylko kobietę, ale także jej dzieci. Modliłam się, żeby się zatrzymała i usłuchała rozkazu Niemca.

– Ciii! – skarcił mnie mężczyzna przede mną. Upuścił cygaro, które teraz leżało zgniecione, tłąc się na moście. – Nie możesz nic zrobić. Jeszcze doprowadzisz do tego, że wszystkich nas zabiją.

Mężczyźni nie zależało na moim bezpieczeństwie, tylko na własnym. Niemcy od ręki stosowali surowe represje wobec polskich mieszkańców i dziesiątki ludzi mogły zginąć w odwecie za pojedynczy akt sprzeciwu czy przejaw buntu.

Kobieta nadal biegła w stronę mostu. Jednak jej kroki były wolne i niezgrabne, bo dźwigała dzieci. Poruszała się jak ranne zwierzę, które mimo wszystko stara się uciec. Rozległ się strzał i kilka osób obok mnie ukucnęło, jakby to one stanowiły cel. Kobieta nie została trafiona. Czy Niemiec specjalnie strzelił obok, tylko ostrzegawczo, czy po prostu spudłował? Tłum wokół mnie stał w ciszy jak zahipnotyzowany tym makabrycznym spektaklem. Kobieta przebiegła w poprzek mostu. Potem, widząc, że drogę blokuje jej barykada i tłum, odwróciła się w stronę filaru i zaczęła na niego wspinać. Niemiec wycelował znowu i po wyrazie jego twarzy widziałam, że tym razem nie zamierza chybić.

Kobieta nie obejrzała się, ale bez wahania wraz z dziećmi rzuciła się z mostu. Tłum wydał zbiorowe westchnienie; kobieta i jej dzieci uderzyli o wodę kilka metrów niżej z paskudnym głuchym odgłosem.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy Niemcy lub policja ruszą za nią. Najwyraźniej wystarczyło im, że kobieta i dzieci nie mogli przeżyć takiego skoku, bo funkcjonariusze odwrócili się od rzeki, a tłum zaczął

się rozchodzić. Jednak barykady i kilku policjantów zostało, tworząc prowizoryczny posterunek i uniemożliwiając przejście mostem. Wiedziałam, że dziś nie uda mi się zobaczyć z Sadie. Nawet gdybym przedostała się przez most, nie byłoby bezpiecznie iść nad wejście do kanału. Ze smutkiem ruszyłam z powrotem w stronę domu.

Gdy szłam przez centrum miasta, zaczęły padać gęste krople deszczu, mocząc bruk, który wydawał zastarzałą ziemistą woń. Przechodnie i handlarze spieszyli teraz do domów pod parasolami, które wyglądały jak morze podskakujących czarnych grzybów. Miałam przemoczone włosy i ubranie, ale byłam tak wstrząśnięta tym, co widziałam, że nie zwracałam na to uwagi. Przed oczami stał mi obraz kobiety i dzieci skaczących z mostu. Czy zginęli w chwili upadku, czy utonęli? Jakaś część mnie wyobrażała sobie, że bezpiecznie gdzieś dopływają, wychodzą na brzeg i są wolni. Jednak zdawałam sobie sprawę, że w rzeczywistości w biały dzień na moich oczach kobieta zabiła siebie i dzieci, nie chcąc, żeby Niemcy je zabrali i rozdzielili z nią. A ja wraz z dziesiątkami innych ludzi stałam obok i przyglądałam się.

Moja nieudana wyprawa na spotkanie z Sadie zajęła mi więcej, niż się spodziewałam, i gdy wróciłam do domu, było już prawie południe. Ana Lucia znowu wydawała przyjęcie, ale tym razem był to niedzielny obiad w mniejszym gronie. Rano nie zjadłam śniadania, spiesząc się do Sadie, i gdy wyobraziłam sobie wędliny i sery stojące na kredensie, ślinka mi pociekła. Ale wolałabym zjeść ziemię, niż się do nich przyłączyć.

Staralam się niezauważona przemknąć przez korytarz na górę do swojego pokoju i zmienić mokre ubranie. Ale kiedy podeszłam do schodów, jakiś niemiecki oficer wyszedł z toalety do sieni i stanął mi na drodze.

– Dzień dobry, *Fraülein* – przywitał się niezdarnie, mieszając język polski i niemiecki. Poznałam, że to Oberführer Maust.

Był wysokim oficerem SS, niedawno przeniesionym do Krakowa. Słyszałam, jak Ana Lucia mówiła o tym jednemu ze znajomych kilka tygodni temu. Zainteresowana jego władzą i wpływami, szybko zaczęła się do niego wdzięczyć, a on został jej stałym towarzyszem.

W dodatku nie tylko bywalcem jej proszonych obiadów czy kolacji – zeszłej nocy, kiedy dotarłam do domu, wieczorne przyjęcie Any Luci już dobiegło końca, ale jeden z gości pozostał na miejscu. Słyszałam, że szedł za nią po schodach do sypialni. Powiedział coś cichym i przymilnym głosem, a moja macocha zachichotała w sposób zbyt młodzieńczy, niepasujący do kogoś w jej wieku. Uznałam, że to odrażające. Czym innym było goszczenie Niemców, a zupełnie czym innym sypianie z którymś z nich w łóżku, które Ana Lucia kiedyś dzieliła z moim ojcem. Jeszcze nigdy tak jej nie nienawidziłam. Tamtego ranka, gdy mijałam sypialnię, słyszałam na korytarzu dwa rodzaje chrapania, jej głośnie i bulgoczące, a drugie ciągłe i głębokie.

To jej nowy przyjaciel. Przyglądałam się tej bestii. Wyglądał jak pozostali, z tęgim karkiem i rumianymi policzkami, ale był wyższy i brzuchaty, z rękami jak łapy niedźwiedzia. Spoglądał na mnie z góry jak wąż, który zaraz pożre mysz.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, Ana Lucia wyszła z jadalni.

– Fritz, zastanawiałam się, gdzie... – Widząc, że rozmawia ze mną, przystanęła i zmarszczyła brwi.

– Ella, co ty tu robisz? – spytała, jakbym wtargnęła z ulicy i nie mogła wejść do własnego domu. Jej suknia, ostatni krzyk mody z Mediolanu, zanadto opinała się na jej tłustawej figurze. Na szyi miała perły, które przedtem należały do mojej mamy.

– Twoja córka jest naprawdę miła – powiedział Niemiec. – Nigdy o niej nie wspominałaś.

– To pasierbica – sprostowała Ana Lucia, chcąc jak najbardziej podkreślić dystans między nami. – To córka mojego zmarłego męża.

I całkiem przemokła.

– Powinna dołączyć do nas podczas obiadu – powiedział.

Widziałam, że Ana Lucia walczy ze sobą, z jednej strony chcąc spełnić życzenie swego niemieckiego gościa, a z drugiej jeszcze bardziej pragnąc, żebym sobie poszła. Jednak ton głosu pułkownika Mausta świadczył o tym, że to, co powiedział o mojej obecności na obiedzie, to coś więcej niż prośba.

– Dobrze – zgodziła się w końcu; jej ustępliwość zwyciężyła niechęć.

– Przepraszam, ale naprawdę nie mogę – odparłam, starając się wymyślić jakąś wymówkę.

– Ella – rzuciła macocha przez zaciśnięte zęby – jeśli Oberführer Maust jest tak miły, by cię zaprosić do naszego towarzystwa, to właśnie to zrobisz. – Z jej wzroku mogłam wywnioskować, że jeśli sprawię jej kłopot, odmawiając, konsekwencje będą surowe. – Przebierz się i przyjdź do nas.

Dziesięć minut później niechętnie weszłam do jadalni w świeżej błękitnej sukience i nadal z wyzywająco mokrymi włosami. Było tam czworo innych gości, dwóch mężczyzn w niemieckich mundurach i jeden w garniturze oraz jakaś kobieta w wieku Any Luci, której nie znałam. Nie przerwali rozmowy, by mnie przywitać czy w ogóle zwrócić na mnie uwagę, gdy weszłam. Na widok tych obcych ludzi, siedzących wokół stołu, który był niegdyś naszym rodzinnym stołem, używających ślubnej porcelany i kryształów mojej matki, zrobiło mi się niedobrze. Zająłam jedyne wolne miejsce obok pułkownika Mausta, w pobliżu macochy. Hanna nałożyła mi na talerz szarlotkę, ciepły placek, wspanialszy niż wszystko, co jadłam od wybuchu wojny. Jednak kawałek ugrzązł mi w gardle.

Odłożyłam widelczyk.

– Widziałam dziś, jak jakaś kobieta skoczyła z mostu Dębnickiego – wyrzuciłam z siebie. Jeśli musiałam tu być, mogłam równie dobrze sprawić, by to było interesujące.

Rozmowy przy stole ucichły i wszystkie głowy skierowały się w moją stronę. – Policja próbowała ją zatrzymać, ale ona skoczyła wraz ze swymi dziećmi.

Kobieta siedząca obok Any Luci i mnie z przerażoną miną zakryła sobie usta serwetką.

– To musiała być Żydówka – powiedział lekceważąco pułkownik Maust. – Przeprowadzono akcję, starając się wytępić te resztki, które się ukrywają.

Wiedział dokładnie o aresztowaniach, które nastąpiły wtedy, gdy siedział w naszej jadalni przy ciastkach.

– Ukrywają? – spytała nieznajoma przy stole.

– Tak – odpowiedział pułkownik Maust. – Niewielkiej liczbie Żydów udało się uciec, gdy likwidowano getto, na ogół na tereny wzdłuż rzeki.

– Tak blisko mojego mieszkania! – sapnęła kobieta.

Wtedy zrozumiałam, że jej przerażenie nie było wywołane niepokojem o los uwięzionych, ale bardziej chodziło jej o własny spokój.

– To bardzo niebezpieczne! – Z tonu jej głosu można by wywnioskować, że rozmowa dotyczy zatwardziałych przestępców.

To matka z dwojgiem dzieci – chciałam powiedzieć. – Zagrożenie dla samego istnienia naszego miasta.

Oczywiście nie odezwałam się. Zamiast tego spytałam:

– Co się z nimi stało?

– Z kobietą, która skoczyła? Przypuszczam, że ona i jej dzieci będą karmić rybki. – Pułkownik Maust zaśmiał się z własnego okrutnego

żartu, a inni mu zawtórowali. Chciałam wyciągnąć rękę i trzasnąć go w tłustą gębę.

Przełknęłam gniew.

– Chodzi mi o Żydów, którzy zostali aresztowani. Getto zostało zlikwidowane. Więc dokąd oni pójdą?

Ana Lucia przeszła mnie ostrym jak sztylet wzrokiem, ale jeden z Niemców siedzących naprzeciwko przy stole odpowiedział.

– Silni mogą na pewien czas znaleźć się w Płaszowie – wyjaśnił z ustami wypchanymi szarlotką. Był wysokim, muskularnym mężczyzną z ciemnymi, wąskimi oczami i twarzą jak u fretki. – To obóz pracy zaraz pod miastem.

– A co z innymi?

Przerwał na moment.

– Zostaną wysłani do Auschwitz.

– Co to znaczy?

Znałam Oświęcim, około godziny jazdy na zachód od Krakowa. Słyszałam o tamtejszym obozie, nazwanym tak jak niemiecka nazwa miasta, o którym szeptano, że jest miejscem jeszcze straszniejszym dla Żydów niż dla innych. Tyle że nie można było potwierdzić plotek przekazywanych przez ludzi, bo nikt stamtąd nigdy nie wrócił. Zajrzałam Niemcowi w oczy, prowokując go do powiedzenia wszystkim prawdy.

Nie zawahał się.

– Powiedzmy, że już nie wrócą i nie zanieczyszczą ponownie pani okolicy.

– Nawet kobiety i dzieci? – spytałam.

Wzruszył obojętnie ramionami.

– To wszystko są dla nas tylko Żydzi.

Spojrzał na mnie bez zmruczenia powieki, a ja, widząc ciemną głębię w jego oczach, zobaczyłam wszystko, czego nie powiedział wprost, o czekającym Żydów uwięzieniu i śmierci. Kobieta na moście wołała skoczyć, niż narazić siebie i dzieci na taki los.

Ana Lucia znowu sztyletowała mnie wzrokiem.

– Dostyc tych pytań. – Położyła dłoń na ramieniu pułkownika Mausta. – Kochanie, nie mówmy więcej o takich sprawach w miłym towarzystwie i nie psujmy sobie obiadu. Moja pasierbica właśnie wychodzi.

– Ja także muszę iść – odparł pułkownik Maust, składając serwetkę.

– Naprawdę? – spytała Ana Lucia, jakby tracąc animusz.

– Przepraszam.

Nie chcąc obserwować ich pożegnania, gwałtownie się podniosłam i przystawiłam krzesło do stołu tak mocno, że filiżanki zagrzechotały. Szybko wyszłam z pokoju i ruszyłam po schodach na poddasze. Dziwnie dzwoniło mi w uszach to, co powiedział ten Niemiec. Żydzi zostali zabrani do obozów – wszyscy. Co sobie myślałam? Skarciłam samą siebie. Wiedziałam, że getto zostało opróżnione. Ale jednak łatwiej było powiedzieć sobie, że żydowscy mieszkańcy zostali po prostu „przesiedleni” gdzieś indziej, albo w ogóle się nad tym nie zastanawiać. Teraz prawda stanęła mi przed oczami i nie mogłam tego zignorować. Żydzi zostali uwięzieni i pracowali jako robotnicy przymusowi albo spotkało ich coś jeszcze gorszego.

Przemknęła mi przez myśl Sadie. Uciekła podczas likwidacji getta, tak jak na pewno zrobiła to ta kobieta, którą widziałam skaczącą z mostu. A gdyby została złapana, czekałyby ją te same okropieństwa, o których mówił Niemiec. I chociaż poznałam ją zaledwie kilka tygodni temu, czułam, jakbyśmy znały się od dawna, i nie chciałam, żeby stało się jej coś złego. Straciła już bardzo dużo, i nie mogłam znieść myśli, że mogłaby zostać schwyta i wywieziona.

Trochę później usłyszałam, że przyjęcie się skończyło i reszta jego nędznych uczestników wyszła. Jednak zostałam na górze przez resztę dnia, chcąc uniknąć gniewu Any Luci. Patrząc nad dachami domów w kierunku odległego brzegu rzeki, wyobrażałam sobie Sadie i modliłam się, by była bezpieczna. Dopiero za tydzień będę mogła iść ją odwiedzić i upewnić się, czy ma się dobrze.

Kiedy następnego ranka zeszłam na śniadanie, Ana Lucia już siedziała przy stole. Rzadko się zdarzało, byśmy spotykały się rano; zazwyczaj zależało mi, by wrócić na górę i wyjść, zanim ona zjawiała się na dole, co nie było trudne, bo rzadko wstawała przed południem. Żadna z nas nie powiedziała „dzień dobry”, gdy usiadłam u szczytu stołu.

– Ella – odezwała się Ana Lucia po tym, jak Hanna przyniosła mi śniadanie.

Ton jej głosu, wyrażający większe niezadowolenie niż zazwyczaj, wskazywał, że rozmowa nie będzie przyjemna. Czy chodziło o to, że wczoraj tak szybko wyszłam z jej przyjęcia, czy że zadałam zbyt wiele pytań? A może o coś zupełnie innego. Nastawiłam się na wysłuchanie jej tyrady.

– Co robiłaś na targu na Dębnikach? – spytała nagle.

Jakaś gruda stanęła mi w gardle.

– Kupowałam wiśnie do twojego deseru, pamiętasz?

– Nie, chodzi mi o ten drugi raz – powiedziała ostro. Czyli Ana Lucia wiedziała, że poszłam na Dębnyki więcej niż raz. Mówiła dalej: – Moja kolacja z plackiem z wiśniami była kilka tygodni temu w sobotę. A ktoś widział cię tam później.

Ana Lucia często wyglądała na osobę mało rozgarniętą. Jednak jej pamięć okazała się teraz ostra jak brzytwa. Zrozumiałam, że jej nie doceniłam. Utkwiła we mnie wzrok, żądając odpowiedzi. Nasza biedna służąca, Hanna, wyślizgnęła się z pokoju z wyrazem przerażenia na twarzy.

– No cóż, może pamiętasz, że nie udało mi się kupić wystarczającej ilości na to przyjęcie – powiedziałam, usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie.

Ana Lucia uśmiechnęła się, jakby obserwując krętacza, który wpadł w zastawioną przez nią pułapkę.

– Ale sprzedawca powiedział, że powinien niedługo mieć więcej wiśni, więc poszłam tam jeszcze raz, na wypadek gdybyś chciała, żeby Hanna znowu upiekła takie ciasto – mówiłam cicho, wymówka była mało prawdopodobna.

– Musisz uważać na to, co robisz – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała wyraźna groźba. – Nie wiem, co kombinujesz – tu odetchnęłam z ulgą – ale nie będę tolerować niczego, co by naraziło naszą pozycję. – Pochyliła się nade mną, oczy jej błyszczały, nie hamowała się. – Wtargnęłaś na moje przyjęcie bez zaproszenia. – Chciałam sprostować, że to jej niemiecki przyjaciel mnie zaprosił, ale nie śmiałam. – A potem zepsułaś nastrój, opowiadając o Żydach.

– Jak możesz to znieść? – wybuchłam. – To, co oni robią z tymi biednymi, niewinnymi ludźmi...

– Miasto bez nich jest lepsze. – Popatrzyła na mnie bez zmrużenia powieki.

Przypomniałam sobie wtedy, jak w Austrii, ojczyźnie Any Luci, przyjęto Anschluss, czyli aneksję do Niemiec. Ana Lucia nie tylko dlatego utrzymywała z Niemcami stosunki towarzyskie, by podnieść swój status czy zyskać ich przychylność, ale po prostu się z nimi zgadzała.

Wstałam od stołu chora. Gdy wychodziłam z pokoju, mój umysł pracował bardzo szybko. Ana Lucia wiedziała, że poszłam ponownie za rzekę. Na szczęście wyglądało na to, że nie wie po co – przynajmniej na razie.

Z poddasza spojrzałam na zasnutą deszczem monotonną szarą okolicę daleko za mostem. Nie powinnam wracać nad kanał. Skoro Ana Lucia mnie o coś podejrzewała, będzie mnie obserwować uważniej niż przedtem. Nie znałam Sadie dobrze. Rozmawiałam z nią tylko kilka razy i nie było sensu ryzykować wszystkiego dla obcej w zasadzie osoby. Ale chociaż tak myślałam, wiedziałam, że i tak ponownie pójde nad kratkę kanalizacyjną. Dla tej kobiety na moście nie można było nic zrobić – stałam bezsilnie, gdy zabiła siebie i dzieci. Nic nie zrobiłam również wtedy, gdy Miriam i inni żydowscy uczniowie zostali wyrzuceni ze szkoły. Jednak Sadie nadal przebywała w kryjówce i w jakimś drobnym zakresie mogłam jej pomóc. Więc przysięgłam sobie, że – nie tak jak inni – nie pozwolę jej zginąć.

Rozdział 10

Sadie

W pewien niedzielny poranek przysłuchiwałam się coraz donioślejszym odgłosom modłów dobiegających z kościoła św. Stanisława Kostki znajdującego się ponad kanałem. Ksiądz odprawiał znane mi już modlitwy mszalne, wierni – których z tygodnia na tydzień było chyba coraz mniej – odpowiadali na jego wezwania. Chociaż nie miałam zegarka, wiedziałam z przebiegu mszy, że jest piętnaście po dziesiątej i nadchodzi pora spotkania z Ellą. Wyczekiwałam coraz bardziej niecierpliwie, ale starałam się obniżyć napięcie, nie chcąc robić sobie zbyt wielkich nadziei. Ella obiecała, że będzie przychodzić co niedzielę, ale w ciągu minionych sześciu tygodni zdarzały się takie, kiedy się nie pojawiła.

– Idę przynieść wody – oznajmiłam, kiedy uznałam, że już dochodzi jedenasta.

Mama wskazała na pełny dzbanek.

– Saul już był. Mamy duży zapas.

Rozejrzałam się po naszej niszy w poszukiwaniu jakichś śmieci, które należałoby wynieść. Nic nie znalazłam.

– Więc pójdę się przejść – powiedziałam, oczekując sprzeciwu mamy.

Nie odpowiedziała. Przyjrzałam się jej twarzy, zastanawiając się, czy coś podejrzewa. W pierwszych tygodniach po tym, jak obiecałam jej nie spotykać się z Ellą, obserwowała mnie jak jastrząb. Jednak teraz robiła wrażenie rozkojarzonej i zmęczonej powiększającym się brzuchem i walką o to, by utrzymać nas przy życiu w kanale. Nie protestowała, gdy wyszłam szybko z komory. Rozmowa z mamą

sprawiła, że byłam spóźniona o kilka minut i gdy zbliżałam się do kratki, miałam nadzieję, że Ella już na mnie czeka.

– Głupia! – wysyczał za mną jakiś głos, gdy podeszłam do kratki.

Odwróciłam się i zobaczyłam Babi Rosenberg, która musiała widzieć, jak wychodzę z naszego pomieszczenia i poszła za mną. A może po prostu bez celu włóczyła się po tunelach. Wyglądała ostatnio na coraz bardziej zagubioną i skłoną do wędrówek. Saul kilkakrotnie wychodził po nią, gdy nocą błąkała się gdzieś poza naszą komorą, i przyprowadzał ją z powrotem. Często kładł się obok, przytrzymując ją podczas snu, żeby się nie zgubiła albo nie wpadła do wody i nie utonęła jak tata.

– Wszyscy przez ciebie zginiemy – powiedziała teraz.

Zastanawiałam się, czy wcześniej widziała, jak rozmawiam z Ellą, czy Saul jej o tym powiedział.

– Podejź jeszcze raz do kraty, a cię stąd wyrzucę.

Nie byłam pewna, czy mogłaby to zrobić albo czy naprawdę by tego chciała. Ale wolałam nie sprawdzać.

– Dosyć – powiedziałam niegrzecznie.

Gdyby mama to usłyszała, zawstydziłoby ją moje grubiaństwo, ale po prostu nie mogłam tego znieść.

Babi wymamrotała coś niezrozumiałego. Miałam nadzieję, że wróci do komory. Powłokła się tunelem, mamrocząc coś do siebie. Więc zostałam w cieniu w pobliżu kratki, nie śmiać nie posłuchać jej nakazu. Nie chciałam, żeby zrobiła scenę i wszystkich zaalarmowała. Wyobraziłam sobie, że Ella czeka na mnie na górze.

Kiedy staruszka w końcu poszła, przysunęłam się szybko do kraty.

– Cześć – zawołałam cicho.

Nie widziałam Elli. Zastanawiałam się, czy była tu i poszła, bo za długo zwlekałam, czy w ogóle nie przyszła. Może o mnie zapomniała. Ale to wydawało się nieprawdopodobne; Ella zawsze była taka chętna do pomocy i miła. Na ulicy nade mną panowała dziwna cisza i nie widziałam tam nikogo. Zdenerwowana pomyślałam, że dzieje się coś złego. Niebezpiecznie było czekać tu dłużej.

Wtedy zaczął padać deszcz, ciężkie krople wpadały przez kratkę i tworzyły kałuże na i tak mokrej ziemi w kanale. Smutna ruszyłam z powrotem.

Gdy zbliżałam się do komory, w wejściu pojawiła się mama.

– Dzięki Bogu! – powiedziała cicho.

Jej twarz była bardziej ponura niż zwykle. Zastanawiałam się, czy Babi jej powiedziała, że znowu poszłam pod kratkę kanalizacyjną.

– Już miałam wysłać Saula, żeby cię szukał. Wchodzi szybko do środka.

– O co chodzi?

Mama nie odpowiedziała, ale wepchnęła mnie do komory. Uniosła brodę. Dźwięk modlitw już ucichł, ale dobiegał inny hałas, głośniejszy i bardziej złowieszczy, otwieranych i zatraskiwanych drzwi i męskich głosów, mówiących po niemiecku.

– Szukają Żydów – wyszeptał złowróźnie pan Rosenberg z drugiej strony komory.

Oczywiście, nie po raz pierwszy o tym słyszałam, ale przeraziłam się, gdy zdałam sobie sprawę, że szukają Żydów tak blisko naszej kryjówki.

– Czy przyjdą po nas? – spytałam.

Mama pokręciła głową.

– Szukają Żydów ukrywających się na ulicach i w domach. Nie wiedzą o kanałach, przynajmniej jak dotąd.

Przygarnęła mnie do siebie i usiadłyśmy na posłaniu. Siedzący po drugiej stronie komory Saul spojrzął mi w oczy, a na jego twarzy malowała się jednocześnie życzliwość i niepokój. Staliśmy się sobie bliżsi od chwili, gdy kilka tygodni temu dostał tę straszną wiadomość o śmierci swego brata i Shifry, a ja go pocieszałam. Wspólne mieszkanie w tak małej przestrzeni także sprzyjało większej zażyłości i zacieśniało więzy. Wiedziałam, w jaki sposób je i śpi, znałam wyraz jego twarzy, gdy był zły, smutny lub zmartwiony.

Mama otoczyła mnie ramionami i starałyśmy się być tak malutkie i ciche, jak to tylko możliwe. Chociaż nie miało to sensu. Gdyby Niemcy przeszukiwali tunele i odkryli naszą komorę, i tak nie miałybyśmy się gdzie schować. Powinnyśmy wyjść – pomyślałam nie po raz pierwszy. Lepiej stąd wyjść, niż zostać złapanym tutaj jak zwierzęta w pułapce. Tyle że bez Pawła, który mógłby nas wyprowadzić, po prostu nie wiedziałyśmy jak.

Siedziałyśmy w milczeniu, zdawało się godzinami, nasłuchując dźwięków na górze i oczekując, że w kanale rozlegną się kroki zwiastujące nieszczęście. W pewnym momencie usłyszałam krzyk kobiety i zastanawiałam się, czy kogoś złapano. Deszcz zaczął padać jeszcze intensywniej, tłumiąc odgłosy policyjnej obławy na nieszczęsne ofiary.

W końcu hałasy ucichły, chociaż nie wiedziałam, czy Niemców odstraszył deszcz, czy zaniechali poszukiwań. Odgłosy niemieckiej akcji zostały zastąpione przez powtarzające się regularnie grzmoty, przypominające miarowy marszowy krok, gdy deszcz przybierał na sile. Woda zbierająca się na zewnątrz naszego pomieszczenia zaczęła płynąć potężnym strumieniem.

– Wiosenna powódź – stwierdziła Babi złowrogo.

Zobaczyłam, że jakiś cień przemknął po twarzy mamy. Ta uwaga była niemal tak przerażająca jak myśl o szukających nas Niemcach. Zawsze wiedzieliśmy, że gdy w końcu nadejdą obfite wiosenne deszcze, będzie to oznaczało kłopoty. W ciągu minionych kilku tygodni często padało i woda w kanale wezbrała, zbiorniki były pełne. Ilekroć na ulicach nad nami padał deszcz, poziom ścieków w głównym burzowcu wzrastał, wypychając wodę w boczne kanały i wywołując niewielkie fale, które obmywały wejście do naszej wnęki. Zazwyczaj opady szybko ustawały i woda opadała.

Jednak dziś deszcz nie ustawał. Na górze lały się prawdziwe ściany wody. Wyobraziłam sobie strumienie wlewające się przez kratkę kanału, tam gdzie poszłam rano, żeby zobaczyć się z Ellą, i wypełniające rury. Teraz gdy Niemcy zaprzestali przeszukiwania ulic, rozeszliśmy się z miejsca, gdzie przedtem przycupnęliśmy. Staraliśmy się jakoś spędzić czas, a mama szykowała spóźniony obiad, odgrzewając zupę pomidorową. Deszcz padał przez cały dzień, a gdy nadszedł wieczór, woda zaczęła przelewać się przez wejście do komory. Zasnąłam obok mamy i śniło mi się, że poziom rzeki podniósł się tak, że porywa nasze zbite z desek łóżko jak dziecinną łódeczkę.

Następnego ranka odkryłam, że nie do końca był to tylko sen.

– Sadie, obudź się – wyrwała mnie mama ze snu.

W pomieszczeniu stała woda po kostki. Włożyliśmy przemoczone buty, zebrałyśmy w pośpiechu nasze rzeczy i przeniosłyśmy się na wyższy teren. Mama przebrnęła przez komorę, żeby uratować zapasy jedzenia. Zauważyłam, że Saul robił to samo naprzeciwko nas. Chciałam zwrócić na siebie jego uwagę, ale nie mogłam. Woda z burzowca wlewała się do pomieszczenia i zaczęła je zatapiać. Wkrótce, wirując wokół moich kostek, stała się wartka i sięgnęła kolan. Gdy jej poziom się podniósł, wszystko – dzbanki, butelki i talerze – zaczęło pływać dokoła, jakby na jakimś dziwnym podwodnym przyjęciu.

– Co zrobimy, jeśli nie przestanie? – spytałam.

– Przystanie – odparła mama, niezupełnie odpowiadając na moje pytanie. Zaprowadziła mnie na najwyższy skraj naszego pomieszczenia, starając się, byśmy pozostały na tyle suche, na ile to było możliwe. Jednak były to daremne wysiłki. Deszcz wciąż padał, woda wypełniała naszą kryjówkę, jakby była to wielka wanna. Wkrótce sięgała nam do pasa, ubrania całkiem nam przemokły. Było tak, jakbyśmy pływały w zimnym, brudnym basenie czy jeziorze, i w ogóle nie mogły z niego wyjść.

Popatrzyłam na Saula, który pomagał babci wejść na wyżej położone miejsce. Jego spojrzenie spotkało się z moim. Przez sekundę wydawało się, że chce do mnie podejść tak samo jak ja do niego. Potem odwrócił się, by dalej pomagać rodzinie. Pomyślałam poniewczasie, że powinniśmy byli opuścić komorę i poszukać jakiegoś miejsca wyżej. Teraz było to już niemożliwe. Gdy woda w kanale wezbrała, zatopiła wąski występ muru, którym zawsze chodziliśmy wzdłuż brzegów. Gdybyśmy ośmielili się na nim stanąć, na pewno prąd by nas porwał. A ten sam wysoki poziom wody i szybki nurt, który nas zatrzymywał na miejscu, uniemożliwiał Pawłowi przyjście nam z pomocą.

Woda niebezpiecznie zaczęła sięgać mi do ust. Uniosłam wyżej głowę, walcząc o oddech. Narastała we mnie panika. Za kilka minut będzie zbyt głęboko, by móc stać. Zawsze w wodzie czułam się jak przerażone zwierzątko; gdy próbowałam pływać, poruszałam kończynami niezdarnie i nieskutecznie. Jak uda mi się przetrwać, jeśli będziemy musieli pływać?

Pomacałam ścianę u góry i wyczułam prowizoryczną półeczkę, na której zwykle trzymaliśmy chleb. Łapiąc się tego występu, podciągnęłam się tak, że byłam o kilkadziesiąt centymetrów wyżej i głową niemal dostawałam do sklepienia komory. To dało mi kilka minut i trochę dodatkowego powietrza. Jednak nie rozwiązywało problemu, jeśli woda nadal by się podnosiła.

Wyciągnęłam rękę do mamy, chcąc jej pomóc. Zawsze świetnie pływała i nawet teraz, pomimo dodatkowego ciężaru, zdawała się bez wysiłku unosić na powierzchni. Z drugiej strony pomieszczenia zobaczyłam Saula, który jednym ramieniem podtrzymywał babcię, a drugim ojca, usiłując utrzymać się na wodzie.

Wydawało się, jakby ta powódź miała trwać wieki. Ręce mi ścierpły od tego trzymania się póleczki. Nie mogłam trwać tak w nieskończoność, a nie miałam szans, jeśli musiałabym pływać. W końcu puściłam ją, przygotowana na to, że utonę i woda zabierze mnie do taty. Mama złapała mnie za kołnierz i utrzymywała na powierzchni, ale byłam za ciężka i obie zaczęłyśmy się topić. Próbowałam strącić jej rękę, lecz trzymała mocno, nie chcąc mnie puścić. Blond włosy tworzyły wokół jej twarzy rodzaj aureoli. Gdy poziom wody się podnosił, brałam głęboki wdech, który miał mi wystarczyć na tak długo, jak długo musiałam wytrzymać pod powierzchnią.

Nagle w dali rozległ się potężny zgrzyt i chociaż na górze nadal lał deszcz, woda w komorze wydawała się wolno stabilizować.

– Jakaś zastawka – powiedział ktoś. – Musieli otworzyć inne ujście dla wody, żeby spłynęła.

Byłam zbyt zmęczona, by dotarła do mnie ta dobra wiadomość albo by zastanawiać się, czy to prawda. Z pewnością musiałoby minąć wiele dni czy nawet tygodni, by woda naprawdę ustąpiła, a tak długo nie mogłam przetrwać.

– Trzymaj się – usłyszałam słowa mamy, ale jej głos rozbrzmiewał gdzieś w oddali, a ja zaczęłam osuwać się pod powierzchnię.

Walczyłam o oddech, a potem znowu wpadłam pod wodę. Wląda mi się do ust i nosa, wywołując kaszel i krztuszenie się. Powieki mi ciążyły, jakbym zaraz miała zasnąć. Wtedy straciłam świadomość.

Ocknęłam się jakiś czas później na ziemi, niedaleko ściany, do której przedtem przywarłam.

– Co się stało?

Woda ustąpiła, zniknęła jeszcze szybciej, niż się pojawiła, pozostawiając czarny muł na mokrej ziemi, usianej naszymi przemoczonymi rzeczami. Ostatni widok, który zapamiętałam, to była komora pełna wody i moja walka o zaczerpnięcie tchu.

– Sadele! – Mama siedziała obok mnie. – Na szczęście wszystko w porządku. Kiedy woda podniosła się zbyt wysoko, zemdlałaś. Próbowałam cię utrzymać na powierzchni, ale sama nie dałam rady. Saul cię podtrzymawał, aż woda opadła.

Saul. Spojrzałam na drugą stronę komory, gdzie siedzieli jego ojciec i babcia, usiłując dojść do siebie po powodzi. Jednak nie widziałam go.

– Jestem tutaj.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że przycupnął tuż za mną. Nasze oczy się spotkały. Świadomość, że mnie uratował, zdawała się nas zbliżać do siebie.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz.

Wyciągnął ku mnie rękę i przez sekundę zastanawiałam się, czy mnie dotknie. Jednak nie mógł tego zrobić w obecności innych osób. Wstał i podszedł do swej rodziny.

– Był cały czas obok ciebie, dopóki się nie przekonał, że jesteś bezpieczna – powiedziała mama cicho. Poczułam w środku falę ciepła.

– A teraz znajdziemy sposób, by się wysuszyć.

Spróbowałam się podnieść, ale ciągnęło mnie w dół ubranie, ciężkie i przemoczone lodowatą wodą z kanału.

– Chodź – powiedziała mama, wstając z trudem. Wyciągnęła rękę, by mi pomóc. Miała w oczach stalowy błysk zdecydowania. Nie chciała dopuścić, by nas to pokonało. Powoli obie zaczęłyśmy porządkować naszą wnękę.

Gdy to robiłyśmy, myślałam o wszystkim, co zdarzyło się poprzedniej nocy. Powódź przyszła nagle, bez ostrzeżenia. Gdyby woda się nie cofnęła, wszyscy byśmy utonęli. A to nie było jedyne niebezpieczeństwo; dopóki przebywaliśmy w tej komorze, nie mając innej kryjówki ani możliwości wyjścia, stale byliśmy narażeni, znajdowaliśmy się w pułapce. Przypomniałam sobie noc, gdy znaleźliśmy się w kanale, ten labirynt tuneli, przez które przeprowadził nas Paweł. Musieliśmy znaleźć inne miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć, gdyby coś poszło źle, a może nawet jakieś wyjście na zewnątrz.

Rozejrzałam się za Saulem, chcąc podzielić się z nim tymi przemyśleniami. On częściej niż ja przemierzał tunele i może natknął się na jakieś zakamarki, które mogłyby się nam przydać. Ale była mała szansa, żeby w ciągu dnia znaleźć się z nim sam na sam.

Tego wieczoru, kiedy reszta szykowała się do snu na swych jeszcze wilgotnych legowiskach, Saul przywołał mnie gestem i wskazał głową tunel. Gdy mama zasnęła, wyślizgnęłam się z komory i zobaczyłam, że na mnie czeka. Poszliśmy w milczeniu wzdłuż kanału.

– Saul, chciałam z tobą o czymś porozmawiać – zawahałam się, niepewna, jak przejść do tematu. – Ten przybór wody... prawie nas zabił.

– To było straszne – przyznał.

– Nawet więcej. Musimy znaleźć wyjście z kanału na wypadek, gdybyśmy musieli uciekać.

– Na zewnątrz? – Spojrzał na mnie, jakbym postradała zmysły. – Ale tutaj jesteśmy bezpieczni.

Zacisnął szczękę. Był tak przerażony utratą brata i narzeczonej, że nie potrafił sobie wyobrazić, gdzie jeszcze, poza tym kanałem, mógłby przeżyć.

– Na razie tak. Ale co będzie, jeśli znowu się rozpada? Następnym razem może nie przestać. Albo gdyby Niemcy przeszukiwali tunele. – Nie odpowiedział. – Jesteśmy tutaj jak w pułapce, stanowimy łatwy cel. Może być tylko gorzej. Nie będziemy przecież mogli zostać tu na zawsze.

– Chcesz, żebyśmy wyszli?

– Nie – powiedziałam łagodnie.

W rzeczywistości sama również nie byłam przygotowana na wyjście z kanału – przede wszystkim dlatego, że nie wyobrażałam sobie żadnego bezpiecznego schronienia, do którego moglibyśmy pójść. – Niezupełnie. Nie teraz. Ale musimy wiedzieć, jak się stąd wydostać i gdzie pójść, jeśli zdarzy się coś złego.

Prowadziliśmy wojnę z głodem, z przyborem wody, z upływem czasu i z możliwością wykrycia nas – a w kanale zwyciężaliśmy.

– Musi być jakieś wyjście. Powinniśmy o nim wiedzieć, bo gdybyśmy kiedyś musieli uciekać, będziemy znali drogę.

– Może jeżeli poprosimy Pawła... – zaproponował Saul.

Pokręciłam głową.

– Paweł już dosyć dla nas robi. On nie pomoże nam uciec.

Paweł poświęcił niemal wszystko, żeby nas tu przyprowadzić i ukrywać. Uważał, że kanał jest dla nas jedynym bezpiecznym schronieniem, a gdybyśmy chcieli stąd wyjść, zepsujemy to i zostaniemy złapani jak tamta rodzina, która uciekła pierwszej nocy, zaraz po naszym przybyciu tutaj. Nie zamierzał pokazywać nam, jak się stąd wydostać i ryzykować naszego życia – i jego życia również.

– A co, jeśli Paweł nie będzie mógł dostać się do nas, tak jak wczoraj podczas powodzi? Powinniśmy wiedzieć, jakie w takim wypadku mamy możliwości wyjścia, i powinniśmy sami je znaleźć.

– Dokąd pójdziemy, jeśli naprawdę opuścimy tę kryjówkę?

Zawahałam się.

– Nie wiem – przyznałam w końcu. – Powinniśmy przynajmniej sprawdzić. Tak żebyśmy znali drogę, gdyby do czegoś doszło. Gdyby stało się to, co najgorsze...

Próbowałam sobie wyobrazić, co by to mogło być, ale nie potrafiłam.

– Saul, możemy to zrobić, ale potrzebuję twojej pomocy.

Spodziewałam się, że dalej będzie się ze mną kłócił, ale on ustąpił.

– Dobrze – powiedział.

– Więc mi pomożesz? – spytałam.

Niechętnie skinął głową, nie patrząc mi w oczy.

– Pójdę z tobą jutro wieczorem i zobaczymy, czy jest jakieś wyjście.

Opuszczenie kryjówki było czymś przeciwnym temu wszystkiemu, czego Saul pragnął i w co wierzył, a jednak – ze względu na mnie – zgodził się poszukać drogi prowadzącej na zewnątrz.

– Ale tylko żeby sprawdzić, na wypadek gdybyśmy pilnie musieli stąd odejść. Teraz nie wychodzimy – rzekł stanowczo.

Następnego wieczoru spotkaliśmy się w tunelu.

– A co z tą kratką kanalizacyjną nad wnęką, gdzie czytaliśmy? – spytałam.

Potrząsnął głową.

– Jest zaspawana.

– Próbowaleś ją otworzyć? Jestem zdziwiona.

Uśmiechnął się.

– Zdziwiłoby cię bardzo wiele rzeczy związanych ze mną, Sadie Gault. – Potem znowu spowaźniał. – Ale kiedyś poszedłem innym tunelem, kiedy minąłem tę wnękę.

Ruszył w tamtą stronę, a ja poszłam za nim; nasze ramiona przypadkowo się stykały, gdy wędrowaliśmy tak obok siebie.

– Możemy spróbować tutaj.

Poprowadził mnie dalej rurą kanalizacyjną, ale był to ślepy zaułek zakończony murem.

– Musimy iść tak, jak płynie woda – powiedziałam.

Sprawdziliśmy inny tunel, ale biegł on po okręgu i zaprowadził nas z powrotem do komory. Kolejne niepowodzenie. W końcu poszliśmy tunelem do miejsca, gdzie się rozszerzał i gdzie woda płynęła z większą siłą. Po raz pierwszy od chwili, gdy zamieszkaliśmy w kanale, widziałam te przerzucone przez wodę deski, z których spadł tata i utonął. Zatrzymałam się, a łzy napłynęły mi do oczu.

Saul podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu, jakby odczuwał mój ból.

– Twój tata byłby z ciebie bardzo dumny – stwierdził. – Z tego, jak radzisz sobie w kanale i jak troszczysz się o mamę.

Nie odpowiedziałam. Staliśmy tak przez kilka sekund, nic nie mówiąc.

– Chodź – powiedział w końcu. – Myślę, że rzeka jest tutaj.

Przez chwilę sądziłam, że chodzi mu o rzekę ścieków, co było bez sensu, bo już staliśmy na jej brzegu. Ale kiedy zaprowadził mnie w inną stronę, a woda zaczęła płynąć szybciej, bardziej wartko, zdałam sobie sprawę, że miał na myśli Wisłę i świat zewnętrzny.

Gdy szłam dalej, zaczęłam rozpoznawać drogę. Wędrowaliśmy tą samą trasą, którą Paweł przyprowadził nas tutaj, tylko w przeciwnym kierunku. Zobaczyłam wąską rurę, przez którą musieliśmy się przeciskać, i miałam nadzieję, że teraz nie będziemy musieli tego robić ponownie.

Na szczęście Saul poprowadził mnie z dala od niej.

– Patrz, tu jest inna droga. – Pokazał tunel tak wąski, że trudno by było nim przejść, wyglądał raczej jak pęknięcie w murze.

Musieliśmy iść nim pojedynczo i ruszyłam pierwsza, wciskając się w ciasne przejście. Tunel prowadził skosem do góry, niemal sięgając ulicy. W końcu zobaczyliśmy szeroki otwór, a za nim kawał nieba. Widok otwartej przestrzeni, największej, jaką widziałam, od kiedy trafiłam do kanału, przyciągał jak magnes. Zrobiłam krok w przód, chcąc zobaczyć gwiazdy rozrzucone po bezchmurnym niebie. Zdałam sobie sprawę, że moglibyśmy wyjść. Saul i ja mogliśmy po prostu pójść dalej i wyjść na swobodę.

Nagle nad nami rozległ się głośny stukot. Saul złapał mnie w ramiona i odciągnął od otworu. Słyszeliśmy owczarki niemieckie, szczekające na brzegu rzeki, a potem ludzi wydających im ostrym tonem komendę: „Szukaj”. Zamarłam w bezruchu. Czy Niemcy nas wykryli? Saul wciągnął mnie za załom muru, przyciskając do siebie tak mocno, że przez warstwy ubrań czułam bicie jego serca. Nie ruszaliśmy się, prawie nie oddychaliśmy.

Po kilku minutach szczekanie ucichło. Saul jednak nadal ciasno mnie obejmował. Ogarnęła mnie fala gorąca. Zrozumiałam wyraźniej niż dotychczas, że lubię go tak bardzo, jak nie lubiałam wcześniej żadnego chłopca. Przez sekundę, gdy czułam bicie jego serca przy moim, zastanawiałam się, czy on odczuwa to samo. Chociaż nawet tak pomyślałam, byłam bardziej pewna niż kiedykolwiek, że to niemożliwe. Jak mógłby się zainteresować mną w ten sposób, wśród tego całego brudu, paskudztwa i strachu. Jednak czułam, że coś się między nami

zmieniło, bo powódź i obecna chwila zbliżyły nas do siebie. Saul wypuścił mnie z objęć i w milczeniu ruszyliśmy z powrotem do naszej kryjówki.

– No więc widzisz – powiedział, gdy już byliśmy dość daleko od wylotu kanału – że nie ma innego wyjścia, tylko na rzekę, a nie możemy...

Podniosłam rękę, uciszając go. Usłyszałam z góry jakiś pogłos, dobiegający gdzieś z małego tunelu prowadzącego w prawo, którego wcześniej nie zauważyłam.

– Tędy. – Kiwnęłam na niego, by poszedł za mną.

Tunel prowadził do głębokiej komory, właściwie do betonowego zbiornika głębokości co najmniej dwóch metrów. Był teraz pusty, ale ślady wilgoci świadczyły, że gromadziła się w nim woda, kiedy rury były przepełnione. W przeciwległej ścianie znajdował się duży wylot innej rury.

– Chodź – powiedziałam, wskakując szybko do zbiornika.

– Sadie, poczekaj. Co robisz? Nie wydestaniesz się z powrotem.

Jednak szłam dalej przez zbiornik, nie słuchając go.

– Muszę spróbować.

– No tak, oczywiście – w jego głosie była nuta czułości.

– Musisz podnieść mnie do tej rury w ścianie, żebym mogła zobaczyć, czy jest tam miejsce, żebyśmy mogli się ukryć lub uciec.

Spojrzał na mnie, jakbym postradała zmysły. Myślałam, że zaprotestuje, ale poszedł za mną przez zbiornik.

– Pomóż mi – poprosiłam.

Zawahał się. Potem niechętnie złapał mnie w pasie, tylko na chwilę, by mnie podnieść i pomóc stanąć na wąskim gzymsie. Szybko cofnął ręce, ale ich ciepło pozostało w miejscu, którego dotknął.

Zajrzałam w głąb rury. Dalej widać było wąski, niski korytarzyk i tunel prowadzący w górę. Na jego końcu ujrzałam otwarte niebo i kawałek zamku górującego nad rzeką.

– Tam jest wyjście – powiedziałam bez tchu. – To strome podejście, ale może dalibyśmy radę, gdybyśmy musieli.

Ten wylot kanału, chociaż także niebezpiecznie widoczny, nie leżał w zasięgu takich tłumów ludzi, jak ten na targu, gdzie spotkałam Elle.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Saul z uporem trwał w przeświadczeniu, że w kryjówce nic nam nie zagraża, ale ja zbyt często przekonywałam się, że wojna odbiera nam wszystko, co znamy, i całkowicie usuwa grunt spod nóg.

Saul pomógł mi zejść i przez chwilę staliśmy w zbiorniku zbyt blisko siebie, a jego ręce obejmowały mnie w talii.

Potem gwałtownie się cofnął.

– Przepraszam – powiedział. – Taki dotyk...

– Jest niedozwolony, rozumiem.

– To nie to. Wiesz, Shifra...

– Jasne. – Odłożyłam na bok ból. Nadal miał w sercu swoją narzeczoną, zmarłą przed miesiącem. Nie miałam żadnego prawa występować przeciwko temu. – To zbyt wcześnie.

– Nie, musisz zrozumieć. Zaręczyny Shifry ze mną zostały zaaranżowane przez naszych rodziców, to znaczy, zaplanowano nasz ślub, gdy byliśmy bardzo mali.

– Och! – Słyszałam o takich zwyczajach, ale nie miałam pojęcia, że istnieją do tej pory.

– Więc tak naprawdę wcale się nie znaliśmy. Była śliczna i założyłem, że poznamy się z czasem, a z upływem lat pojawi się uczucie. A teraz jestem tu z tobą... Lubię cię, Sadie, a nie powinienem.

To, co czuję do ciebie, jak bliscy się sobie staliśmy, jest niedozwolone, nawet w tych warunkach. – Zająknął się. – Shifra była moją narzeczoną, cierpiała i zginęła. Powiniennem był zostać tam na górze, żeby ją chronić, a nie kryć się jak tchórz.

– Nie, uciekłeś z miasteczka, żeby chronić swojego ojca. Myślałeś, że Shifra jest bezpieczna. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że takie straszne rzeczy mogą stać się z kobietami i dziećmi.

– Czy to ważne? – Uparcie kręcił głową. – Nie, liczy się tylko to, że ona nie żyje, a ja jestem tutaj z tobą. Nie zasługuję na szczęście, nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Więc rozumiesz, że nie możemy być razem.

Pokiwałam głową, przytłoczona jednocześnie dwoma różnymi uczuciami: radością, że Saul czuje to samo co ja, i smutkiem, że nic z tego nie wyniknie.

– Rozumiem – powiedziałam w końcu.

Znowu ruszyliśmy powoli. Dotarliśmy do wejścia do komory.

– Przynajmniej teraz znamy miejsce, gdzie możemy pójść, gdybyśmy musieli – podkreśliłam.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Obiecuj mi, Sadie, że nie będziesz próbowała wyjść. – Jego głos był pełen niepokoju. – Jesteśmy tutaj razem bezpieczni.

– Na razie – odpowiedziałam. W głębi serca wiedziałam, że kanał nie będzie nas chronił zawsze.

– Zatem niech to na razie wystarczy.

Pomimo tego, co powiedział przedtem, ujął moją dłoń i zaplótł palce wokół moich. W milczeniu wróciliśmy do komory, która była jednocześnie naszym więzieniem i naszym wybawieniem.

Rozdział 11

Ella

Pewnego niedzielnego ranka w końcu czerwca obudziłam się wcześnie. Miałam ochotę zobaczyć się z Sadie i sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku. Umyta i ubrana schodziłam po schodach i wywnioskowałam z ciszy panującej na drugim piętrze, że Any Luci nie ma w domu. Poprzedniego wieczoru wyszła na koktajl party z pułkownikiem Maustem, więc przypuszczałam, że została u niego na noc, ale nie byłam pewna.

Szybko zjadłam, potem wzięłam koszyk i weszłam do kuchni, szukając czegoś, co mogłabym zabrać dla Sadie. Przynoszenie jej co tydzień odrobiny jedzenia wydawało się drobnym gestem i czułam, że powinnam robić coś więcej. Jednak ona potrzebowała żywności i cieszyła się z niej. I naprawdę było to wszystko, co byłam w stanie zrobić.

Zajrzałam do spizarki. Stał tam talerz ze świeżo pokrojonymi, ładnie ułożonymi plasterkami kiełbasy i sera, ale nie mogłam tego zabrać niepostrzeżenie. Na niższej półce leżała resztką quiche'u, który został z wczorajszego przyjęcia Any Luci, typowy przykład szpanerskiego francuskiego dania, które lubiła podawać. Wyobraziłam sobie radość Sadie, gdyby dostała kawałek takiego smakołyku. Postanowiłam, że wezmę trochę z boku, sięgnęłam i podniosłam opakowanie, które głośno zaszeleściło. Odkroiłam kawałek, zawinęłam go w papier śniadaniowy i włożyłam do koszyka. Gdy odstawiałam talerz, usłyszałam z tyłu kroki. Zamknęłam lodówkę i odwróciłam się. Za mną stała Hanna.

– Hanno, nie słyszałam cię. Ja właśnie... – głos mi się załamał, gdy szukałam wytłumaczenia, ale nic nie przyszło mi do głowy. – Jeszcze jestem głodna – dokończyłam niezręcznie. Wzrok Hanny powędrował do koszyka, w którym umieściłam jedzenie. Serce mi waliło. Hanna

pracowała u Any Luci, która – niezależnie od tego, jak okropnie ją traktowała – była jej jedynym źródłem utrzymania. Na pewno Hanna ją poinformuje.

Ale Hanna ominęła mnie bez słowa i sięgnęła do lodówki. Wyjęła tackę z serem, wzięła parę plasterków i zawinęła je w papier. Ułożyła sery na tacce tak, żeby zamaskować, że ubyło kilka kawałków, i wstawiła tackę z powrotem do lodówki. Potem wręczyła mi pakunek.

Zawahałam się, zanim go przyjął.

– Nie, Hanno.

Nie byłam pewna, czy wie, co robię, i chce mi pomóc, czy po prostu myśli, że naprawdę jestem głodna. Jeśli Ana Lucia odkryje ubytek, zwolni Hannę i wyrzuci ją na ulicę.

Po chwili jednak ustąpiłam, myśląc o Sadie.

– Dziękuję. Wezmę to ze sobą i zjem później.

Hanna nadal przyglądała mi się z niedowierzaniem. Potem odwróciła się i wyszła z kuchni.

Przed domem na chodniku przystanąłam, tak jak zawsze, zanim poszłam na spotkanie z Sadie. Chociaż upłynęło już parę tygodni, odkąd Ana Lucia wyraziła swoje podejrzenia dotyczące moich spacerów na Dębniaki, nadal bałam się, że może mnie śledzić. Ale nie było jej w domu, a nawet gdyby była, nie mogłaby osobiście iść za mną do odległej robotniczej dzielnicy. Obiecałam Sadie, że znowu przyjdę, chciałam przynieść jej coś do jedzenia i upewnić się, że wszystko w porządku.

Po czterdziestu minutach wysiadłam z tramwaju na rogu Rynku Dębnickiego. Ruszyłam wokół placu w stronę studzienki kanalizacyjnej. Gdy doszłam do końca uliczki, przy której się znajdowała, zamarłam, przystanąwszy jak wryta.

Nad kratką, przy której spotykaliśmy się z Sadie, stało dwóch niemieckich żołnierzy.

Znaleźli ją.

Panika mnie sparaliżowała. Już wcześniej sobie wyobrażałam odsuniętą kratę, żołnierzy wyprowadzających Sadie i innych z podniesionymi rękami i aresztujących ich, tak jak próbowali to zrobić z kobietą z dwojgiem dzieci, których widziałam skaczących z mostu. Często zastanawiałam się, co bym zrobiła, gdyby złapano Sadie. Czy starałabym się jakoś ją uratować, czy stałabym w milczeniu, tak jak w przypadku Miriam w szkole i tej kobiety z dziećmi?

Spokojnie – powiedziałam sobie, chociaż serce mi waliło. Z bliższej odległości zobaczyłam, że tych dwóch niemieckich żołnierzy po prostu stoi na ulicy i rozmawia. Kratka nadal jest nienaruszona. Jeszcze nie odkryli, że w kanałach są ludzie. Jednak jeden z żołnierzy kopał studzienkę podczas rozmowy i czubkiem buta unosił w górę jej krawędź w miejscu, gdzie się otwierała. Spojrzał w dół, mówiąc coś do kolegi. Nie słyszałam go, ale wyobraziłam sobie, że zwraca uwagę, że ta pokrywa jest obluzowana.

Sadie na pewno już szła spotkać się ze mną i lada moment mogła tu być. Żołnierze stali dokładnie przy kracie, a ona nie miała o tym pojęcia. Jeśli nie będzie ostrożna, może niechcący znaleźć się w ich polu widzenia. Musiałam odwrócić ich uwagę.

Zebrawszy się na odwagę, podeszłam do Niemców i zmusiłam się do uśmiechu. Młodszy z dwójki, krótko ostrzyżony blondyn w czapce, zauważył mnie i ruszył w moją stronę.

– Dzień dobry pani – powiedział z trudem po polsku, kalecząc język.

Oszacował mnie wzrokiem i uśmiechnął się, ukazując szeroką szczerbę między przednimi zębami. Kierując się wskazówkami Any

Luci, puściłam oko do żołnierza, chociaż zrobiło mi się przy tym niedobrze.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się do drugiego z Niemców w nadziei, że także odejdzie znad kratki.

Jednak pozostał na miejscu jak przyspawany.

– *Ja*, czego chcesz? – spytał opryskliwie, najwyraźniej nie mając nastroju do wymiany uprzejmości. Na widok belek i medali na jego mundurze uznałam, że jest wyższy rangą od swego kolegi.

– Piękny dzień dzisiaj – zaczęłam, kombinując, co powiedzieć tym potworom, i grając na czas. Słyszałam, jak kiedyś Ana Lucia mówiła jednej ze swoich znajomych, że mężczyźni lubią jedzenie i walkę.

– Szukam dobrej kawiarenki, gdzie dają kawę i desery – powiedziałam.

– Nie znajdziesz jej tutaj – odparł młodszy żołnierz.

– Nie? – Udałam, że nie znam miasta, w którym mieszkałam przez całe życie.

– Musisz pójść na Rynek Główny na Starówce. W restauracji „Wierzynek” mają tort Sachera, prawie tak pyszny jak u mnie w Heidelbergu.

– Z największą chęcią bym go skosztowała.

Sadie musiała już być blisko kratki, więc mówiłam głośniejszym głosem niż zwykle, żeby mnie usłyszała i pozostała w ukryciu.

– Może mógłbyś mnie zaprosić na kawę. – Oczywiście, nie chciałam z nim iść ani zostawić Sadie, ale chciałam odciągnąć stąd tych facetów.

Młodszy uśmiechnął się, jakby mile polechtany tą propozycją. Jednak starszy, stojący za nim, popatrzył spode łba.

– Nie mamy na to czasu, Kurt.

– Może więc później – powiedziałam.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na studzienkę. Sadie się nie zjawiała. Modliłam się, by usłyszała naszą rozmowę i trzymała się z dala.

– Powinnam ruszyć w swoją stronę. – Odsunęłam się od Niemców. Nadal chciałam zobaczyć się z Sadie, ale póki żołnierze tutaj tkwili, było to niemożliwe.

Starszy z Niemców spojrział na mój koszyk.

– Co tu niesiesz?

– Tylko trochę żywności dla rodziny. Kupiłam w sklepie.

Natychmiast połapałam się, że popełniłam błąd. Była niedziela i sklepy były zamknięte.

– Pokaż – zażądał.

Gdy wyciągnął rękę z stronę koszyka, wpadłam w panikę.

– Kochanie! – zawołał ktoś za mną.

Jeszcze zanim się odwróciłam, poznałam znajomy głos Krzysia. Podszedł bliżej i szybko zabrał mi koszyk. Pokazał kennkartę i kartki na żywność starszemu z żołnierzy.

– Tak bardzo się martwiliśmy. Matka mojej narzeczonej jest chora, a ona musiała zdobyć jedzenie dla nas wszystkich, kiedy się nią opiekowałam – zwrócił się do Niemców, kłamiąc jak z nut.

Nawet mimo paniki to, że nazwał mnie swoją narzeczoną, ugodziło mnie prosto w serce. Przez chwilę czułam, jakby między nami było jak dawniej. Szkoda, że chodziło tylko o to, by oszukać Niemców.

– Moja matka, Ana Lucia Stepanek, przyjaźni się z Oberführerem Maustem – dodałam, mając nadzieję, że nazwisko macochy pomoże zyskać ich przychylność.

Miałam rację – wyraz ich twarzy natychmiast się zmienił.

– Oczywiście, *Fräulein* – powiedział starszy, teraz skruszony. Oddał Krzysiowi kartki żywnościowe.

– Bardzo przepraszam.

Mężczyźni odsunęli się, robiąc nam przejście. Ale kiedy już prawie ich mijałam, zauważyłam w kanale znajomą twarz. Była to Sadie. Przyszła, wypatrywała mnie i niechcący znalazła się w polu widzenia. Modliłam się, żeby się cofnęła. Jednak stała bez ruchu, z twarzą zastygłą w przerażeniu. W każdej chwili Niemcy mogli ją zobaczyć.

– Chodź – ponaglił mnie Krzyś, nie rozumiejąc, dlaczego nie ruszam za nim. Byłam jak sparaliżowana i nie wiedziałam, co robić. Potem usłyszałam jakiś chrobot z dołu, gdy kroki umykającej Sadie odbiły się echem w kanale. Zaczęłam głośno kaszleć, by zagłuszyć ten dźwięk.

Jeden z Niemców spojrzał przez ramię.

– Co to było?

– Proszę mi wybaczyć – odparłam. – To wiosenna alergia.

Pozwoliłam Krzysiowi poprowadzić się dalej, z nadzieją, że żołnierze już o nic nie pytają.

– Czeka! – zawołał starszy Niemiec.

Czy coś podejrzewał? Odwróciłam się i zobaczyłam, że dziwnie przygląda się Krzysiowi.

– Kogoś mi przypominasz – powiedział.

– Jestem dostawcą – odparł Krzyś, zachowując obojętny ton głosu.
– Pewnie widział mnie pan gdzieś w mieście.

Odwrócił się do mnie.

– Chodź już. Twoja mama czeka.

Gdy mnie prowadził, z trudem odwracałam wzrok od studzienki. Serce mi waliło. Cały czas czułam, że Niemcy nam się przyglądają,

i niemal oczekiwałam, że pójdą za nami i zatrzymają nas, żeby przeprowadzić przesłuchanie albo jeszcze gorzej.

Jednak nie zrobili tego.

– To znowu ty – zwróciłam się do Krzysia, gdy odeszliśmy już daleko. Starłam się, żeby zabrzmiało to, jakbym była zdenerwowana. – Czy za mną chodzisz?

– Raczej nie – odparł. – Pracuję w pobliżu, w dokach, razem z ojcem, i jeszcze w kawiarni w zamian za mieszkanie nad lokalem, z którego korzystam. Ale to nie twoja część miasta. Znowu sprawa wiśni?

Starł się być dowcipny, ale się nie uśmiechał.

– Coś w tym rodzaju. Czasem przychodzę tu po sprawunki na rynek.

– Nie powinnaś – odpowiedział ostro. – Łażenie po mieście jest niebezpieczne. Musisz być ostrożniejsza – skarcił mnie, jakbym była dzieckiem.

Stanęłam i odwróciłam się do niego.

– A co ci do tego? – wybuchłam. – Porzuciłeś mnie. Nawet nie powiedziałaś mi, że wróciłeś z frontu.

Nie chciałam się z nim kłócić, ale te słowa padły i oczekiwałam odpowiedzi.

– Dlaczego?

– Ciii. Nie tutaj.

Złapał mnie za ramię i poprowadził dalej od ruchliwej ulicy, z dala od sklepów i domów, w kierunku zabudowy przemysłowej i warsztatów nad brzegiem rzeki.

– Chciałem przyjść zobaczyć się z tobą – powiedział w końcu, gdy znaleźliśmy się sami nad Wisłą i nikt nas nie słyszał. – Starłem się to

wyjaśnić, kiedy cię tu spotkałem kilka tygodni temu, ale uciekłaś.

Stałem z nim twarzą w twarz z rękami na biodrach.

– Ale teraz jestem, więc powiedz.

Zanim zaczął mówić, spojrział przez ramię, jakby nawet tutaj, na brzegu rzeki, gdzie nie było nikogo poza siedzącymi obojętnie kaczkami, ktoś mógł podsłuchiwać.

– Ella, nie było mnie tyle czasu nie z powodu służby w wojsku. Przynajmniej nie w takim wojsku, jakie znasz.

– Nie rozumiem. – Czy on kłamał na każdy temat?

– Naprawdę dostałem powołanie i poszedłem walczyć.

W wyobraźni widziałam go na dworcu Kraków Główny tego dnia, gdy wyjeżdżał, dumnego i pełnego nadziei w nowym mundurze, jak puszczał do mnie oko, zanim wszedł do pociągu.

– Ale potem Polska została pokonana i coś jeszcze się stało. Słyszałaś o Armii Krajowej?

Kiwnęłam potakująco. Chodziły słuchy już na początku wojny, że grupa ludzi powołała jakąś organizację do walki z Niemcami, a potem słyszałam, że dokonują aktów dywersji. Jednak w miarę jak okupacja się stabilizowała, opór zdawał się czymś nierealnym, kwestią bajek czy legend.

– Widzisz, gdy stało się jasne, że Polska przegrała wojnę, pewien żołnierz powiedział mi, że tworzy się podziemna armia. Słyszałem o ich zamiarach i wiedziałem, że chcę być jednym z nich. Nie można już było nic zrobić w otwartej walce i tajne działania były naszą jedyną nadzieją. Zacząłem więc działać w małym oddziale do walki z Niemcami. Później połączyliśmy siły z innymi podobnymi ugrupowaniami i stworzyliśmy Armię Krajową.

Nadal nie całkiem rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego powstrzymywało go to od powrotu do mnie.

– A co dokładnie robisz?

Pokręcił głową.

– Nie mogę powiedzieć. To bardzo niebezpieczna robota, ale walczyliśmy z Niemcami na różne sposoby. Właśnie dlatego musiałem trzymać się od ciebie z daleka, nawet po powrocie do miasta. Wiesz, większość zaangażowanych w to ludzi nie żyje zbyt długo.

– Nie... – powiedziałam, przejęta myślą, że coś mogłoby mu się stać. Przysunęłam się do niego, a on otoczył mnie ramieniem.

– Nie chciałem sprawić ci bólu. I nie chciałem wystawiać cię na niebezpieczeństwo. Nie martwię się o siebie. Ale gdyby mnie złapali, wzięliby się do wszystkich, których kocham. Nie wróciłem, ponieważ musiałem cię chronić. Nadal najbardziej zależy mi na tobie. Ale nie mogę patrzeć, jak cierpisz. Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogliśmy być razem. – I dlaczego nadal nie możemy.

Wyprostowałam się, odsuwając od niego.

Pokiwał smutnie głową.

– To jedyna możliwość.

– Sądysz, że możecie pokonać Niemców? – spytałam z niedowierzaniem.

– Nie – powiedział głuchym głosem. – Nie dorównujemy im uzbrojeniem ani liczebnością.

– Więc po co to robić?

Rezygnował ze swojej przyszłości – i z naszej wspólnej – w imię czegoś nierealnego. Jak można było poświęcać się w całości walce, która w rezultacie nie mogła nic zmienić?

– Bo kiedy ludzie spojrzą wstecz na historię tych czasów, na to, co się działo, powinni dostrzec, że próbowaliśmy coś zrobić – powiedział z przekonaniem.

Staralam się wyobrazić sobie, że ten straszny czas już minął, jakby z perspektywy chwili, gdy na świecie ponownie zapanuje pokój, ale nie potrafiłam.

– Nie możemy tu siedzieć beczynnie i czekać na pomoc z zewnątrz, podczas gdy tysiące ludzi umierają. – Oczy mi pociemniały i błysnęły gniewem. – Jest o wiele gorzej, niż wszyscy sądzą, Ella. Ludzie tysiącami są aresztowani i więzieni w obozach pracy.

– Mówisz o Żydach.

– Tak, w większości, ale nie tylko o nich. Niemcy zamykają księży, naukowców, Cyganów i homoseksualistów.

Omam nie krzyknęłam na myśl o Macieju. Na pewno w Paryżu sprawy nie mogły wyglądać aż tak źle. Tylko że kiedyś to samo myślałam o Krakowie, ale po tych wszystkich strasznych rzeczach, których ostatnio byliśmy świadkami, zrozumiałam, że nigdzie nie jest bezpiecznie.

Krzyś mówił dalej:

– Oni nie są w rzeczywistości wysyłani do obozów pracy, tak jak mówią Niemcy. Są rozstrzeliwani w kamieniołomach i lasach albo wysyłani do obozów zagłady na terenie Polski, gdzie masowo są zabijani za pomocą gazu.

Z trudem łapałam oddech. Widziałam to okrucieństwo na własne oczy, gdy kobieta z dziećmi skoczyła z mostu, i słyszałam o obozach od jednego z Niemców podczas przyjęcia u Any Luci. Jednak to nie przygotowało mnie na takie potworności, o których mówił Krzyś.

– Ale na pewno alianci ich powstrzymają.

Pokręcił głową.

– Próbują. Ale potrzebujemy pomocy szybciej, niż zdołają dotrzeć. Tak wielu ginie w trakcie tego oczekiwania. A co się stanie, jeśli im się nie uda?

Taka myśl, która często przychodziła mi do głowy podczas ponurych nocy, była czymś gorszym, niż mogłam znieść. Nie umiałam sobie wyobrazić, że tak jak teraz będzie już zawsze.

– Musimy coś zrobić – dokończył.

Jego ciemnoniebieskie oczy nabrały stalowego wyrazu i zobaczyłam, że znalazł dla siebie prawdziwy cel, nowo odkrytą siłę. Nienawidziłam jej za to, że oddała go ode mnie, ale wiedziałam, że robi to, co uważa za słuszne. Popatrzyłam na Krzysia z podziwem. On nie pozwoliłby wyrzucić z klasy Miriam i innych żydowskich uczniów. Zrobiłby coś, żeby pomóc tej kobiecie na moście. A teraz pomógłby Sadie. Chciałam mu o niej powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle.

– A może teraz mi powiesz, czemu się kręcisz po tej okolicy? – spytał, zmieniając bez ostrzeżenia temat rozmowy.

Zawahałam się. Tak dużo mi wyjawiał. Powinnam być wobec niego równie uczciwa. Jednak to była tajemnica Sadie, nie moja.

– Po prostu przyszłam coś załatwić – stwierdziłam.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem i poczułam, że znowu wyrasta między nami bariera.

– Teraz gdy wiesz, co robię, mogłabyś nam pomóc – powiedział.

– Ja? – zdziwiłam się.

– Tak. Kobiety bardzo się przydają w Armii Krajowej, bo mogą działać jako kurierki i docierać w więcej miejsc bez wzbudzania podejrzeń. Są rozmaite sprawy w samym mieście i poza nim. Albo moglibyśmy wykorzystać bliskie stosunki Any Luci z Niemcami w celu zdobywania informacji dla AK. Mogłabyś naprawdę wiele zmienić, Ella.

Pochlebiało mi, że Krzys w ten sposób o mnie myśli.

– Powiedziałaś, że to niebezpieczne.

– Bo jest niebezpieczne – przyznał. – Właśnie dlatego próbowałem trzymać się z dala od ciebie i nie mówić nic na temat mojej działalności. Ale teraz już wiesz. A Armia Krajowa bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje wsparcia. Może moglibyśmy działać razem – dodał. – Co ty na to?

Rozpaczliwie chciałam powiedzieć „tak”, żeby znowu stać się częścią jego życia. Jednak coś mnie powstrzymywało. Nie byłam tak odważna jak on. Trochę się bałam. Przemycanie jedzenia, by pomóc komuś ukrywającemu się, było zupełnie czymś innym niż ryzykowanie życia dla Armii Krajowej. Nie odważyłabym się narażać na gniew mojej macochy jeszcze bardziej niż teraz, chodząc na spotkania z Sadie.

– Nie mogę – odpowiedziałam w końcu. – Naprawdę bym chciała. Przykro mi.

Krzyś zbladł.

– Mnie też. Rozumiem, jak okropnie to wszystko musi brzmieć. Jednak myślałem, że się zgodzisz. Myślałem, że jesteś inna.

Chciałam mu powiedzieć, że jestem inna i mam własne tajemnice. Ale nie mogłam tego wyjaśnić, nie zdradzając Sadie. Czułam, że coraz bardziej oddalamy się od siebie i wyrasta między nami ściana wielka jak góra lodowa. Chwila bliskości minęła.

– Wszystko jest niebezpieczne, Ella.

Była to znacząca uwaga i zastanawiałam się, czy może jednak wie coś na temat Sadie.

– Równie dobrze moglibyśmy się przeciwstawić i odegrać jakąś rolę.

Milczałam.

– Powiniennem już iść – powiedział.

– Do widzenia, Krzysiu – odparłam.

Nie chciałam, żebyśmy znowu rozstawali się w niezgodzie, ale on miał swoje powody, a ja swoje. Odwróciłam się i ruszyłam brzegiem rzeki, zanim on zdążył odejść, bo to ja chciałam być tą, która odchodzi.

Jednak nie poszłam do domu. Udawałam, że idę w stronę mostu, ale kiedy się obejrzałam, a Krzysia za mną nie było, skręciłam na Dębniki. Zbliżając się do placu, myślałam o wszystkim, co mi powiedział. Znalazł swój życiowy cel, ale w świecie, który nie pozwalał nam być razem. Zrobiłam dużą pętlę po okolicy i ponownie weszłam w uliczkę, upewniając się, że Krzyś nie idzie za mną i że Niemcy odeszli. Potem, pomimo tego, co zaszło, wróciłam nad studzienkę kanalizacyjną.

Upłynęła już ponad godzina od czasu, gdy zwykle spotykałyśmy się z Sadie. Na szczęście jeszcze tam była i czekała na mnie.

– Cześć – powiedziałam radośnie.

Niezależnie od wszystkiego ucieszyłam się na jej widok. Ale gdy zobaczyłam jej poważną minę, zaniepokoiłam się.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, w porządku. Tylko nie możesz już tu przychodzić – powiedziała i zrozumiałam, że widziała tych Niemców i słyszała naszą rozmowę. – To zbyt niebezpieczne, żeby przychodzić nad studzienkę w biały dzień, gdy wokół jest tylu ludzi. Ktoś cię zobaczy.

– Tak – potwierdziłam.

Miała rację. Wystawanie nad kratką kanalizacyjną i rozmawianie z Sadie w środku dnia było zbyt ryzykowne dla nas obu. Nawet gdybym nie natknęła się na Niemców, jacyś ludzie mogliby zobaczyć, że spoglądam w dół, a nawet mogliby zauważyć Sadie, gdyby przechodzili dość blisko. Przypomniałam sobie, co Krzyś mówił o tych strasznych rzeczach, które robią z Żydami. Całe życie Sadie zależało od tego, czy pozostanie w ukryciu, niewidoczna dla innych.

Przez jej twarz przemknął cień smutku.

– Twoje wizyty są takim jasnym momentem.

– Wiem. Ja także lubię tu przychodzić. Ale nie byłoby to wiele warte, gdyby miało ci zaszkodzić.

Chyba chciała zaprzeczyć, ale nie była w stanie. Nie, nie mogłam tu więcej przychodzić, a przecież nie mogłam też zostawić jej samej. Musiał istnieć inny sposób. Pomyślałam o kanale, który kiedyś Sadie opisała mi jako labirynt tuneli. Rozprzestrzenił się on pod całą okolicą, ograniczoną linią południowego brzegu rzeki. Z pewnością musiało być inne miejsce, w którym kanał zbliżał się do powierzchni i w którym mogłybyśmy się spotykać.

– Musimy znaleźć inne miejsce, może gdzieś blisko rzeki?

Twarz Sadie pojaśniała, jakby światło zapłonęło jej w oczach.

– Jest takie – powiedziała. – Znalazłam je, gdy przechadzaliśmy się z Saulem.

Wcześniej nie wspominała o Saulu i nie wiedziałam, kto to jest. Na podstawie tego, w jaki sposób wymówiła jego imię, wywnioskowałam, że go lubi.

– Tam jest taki występ, po którym mogę się wspiąć i dojść do wylotu na brzegu rzeki. Nie jestem pewna, gdzie to dokładnie jest, ale gdzieś na Podgórzu, blisko getta.

– Znajdę – obiecałam. – Spróbujmy się tam spotkać następnym razem.

Perspektywa innego miejsca spotkań poprawiła mi nastrój, bo nie musiałam przestać widywać się z Sadie. Nie była tylko jakąś biedną dziewczyną, której starałam się pomóc. W pewnym momencie stałyśmy się przyjaciółkami.

– Ale to także może być dla ciebie niebezpieczne – zaniepokoiła się.

– Dla mnie? Martwię się, że to może być niebezpieczne dla ciebie.

Obie roześmiałyśmy się cicho i z ironią.

– Boisz się? – spytałam, już poważnie. Fakt, że policja niemal odkryła naszą studzienkę, sprawiał, że zagrożenie jej życia stało się bardzo realne. – To znaczy, nie chodzi mi o samo przychodzenie pod kratkę, ale w ogóle, tego życia w kanałach...

– I odczuwania ciągłego niepokoju, że w każdej chwili mogą mnie złapać? – dokończyła niedopowiedziane przez mnie zdanie.

Skinęłam głową.

– Tak, oczywiście. Ale czy mam jakiś wybór? Życie w nieustannym strachu, smutku czy w innym napięciu byłoby paralizujące. Więc stawiam krok za krokiem, oddycham i składam dni w całość. Ale to nie wystarcza – mówiła dalej, dodając siły swoim słowom. – Pragnę, żeby życie było czymś więcej. Ale taka jest rzeczywistość.

Twarz jej posmutniała.

– Na razie – dodałam, podziwiając jej odwagę. Pożałowałam swojego pytania, które chyba pogorszyło jej nastrój, i szybko zmieniłam temat: – Następnym razem wypróbujemy inną kratkę.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedziała Sadie, marszcząc brew, jakby kwestionując sens własnej sugestii. – Kiedy znaleźliśmy tę drugą kratkę, w pobliżu rzeki byli Niemcy z psami. Ale to jest spokojniejsze miejsce i jeśli poczekaasz na moment, kiedy nie ma tam ludzi, może się udać.

– Dam sobie radę – zapewniłam, chociaż nie wiedziałam, w jaki sposób.

Brzeg rzeki był otwartą, wyeksponowaną przestrzenią. Raczej nie mogłybyśmy się tam spotykać w ciągu dnia, kiedy moje działania byłyby dobrze widoczne.

– Dlaczego dla odmiany nie mogłybyśmy się spotkać w nocy?

– Czy sądzisz, że tak będzie bezpieczniej? – spytała powątpiewająco.

– Możliwe.

Nie byłam wcale pewna, czy to prawda. Musiałabym wymknąć się z domu i naruszyć godzinę policyjną, ale chciałam spróbować.

– Będę musiała poczekać do następnej soboty – powiedziałam z myślą o Anie Luci. Wyślizgnięcie się nocą nie będzie proste, a łatwiej mi będzie wyjść, gdy macochy nie będzie w domu lub gdy będzie podejmować gości, a potem mocno zaśnie po alkoholu. – O dziesiątej wieczorem?

Skinęła głową posępnie.

– Powinno się udać.

– Będę tam, zaufaj mi.

– Ufam – powiedziała poważnie. – Czekać przez dwadzieścia minut – dodała. – Jeśli mnie nie zobaczysz, to znaczy, że nie mogłam przyjść.

Zdałam sobie sprawę, że dla żadnej z nas nie było to bezpieczne. Wtedy naprawdę się zlekłam. Chciałam jej powiedzieć, że to kiepski pomysł i że raczej nie uda nam się go zrealizować. Ale było już za późno.

– Spotkam się tam z tobą – powiedziała Sadie, a jej oczy były pełne nadziei.

– Bądź ostrożna – dodałam, jeszcze bardziej niepokojąc się o nią.

Po chwili zniknęła w kanale. Ruszyłam przygnębiona w stronę domu. Teraz spotkanie z Sadie miało oznaczać wymykanie się z domu nocą i łamanie zasad godziny policyjnej, nie wspominając już o tym, że dziś prawie mnie przyłapano. Jak to wszystko się mogło stać? Dawniej zachowywałam się pokornie i zamierałam przetrwać wojnę bez zwracania na siebie uwagi. Teraz z dnia na dzień wszystko się zmieniło i nie było już odwrotu. Nie mogłam zostawić Sadie samej.

Rozdział 12

Sadie

Po rozstaniu z Ellą ruszyłam z powrotem w kierunku naszej komory. Wcześniej, po tym jak Niemcy zjawili się na ulicy, myślałam, że pewnie już w ogóle nie uda jej się przyjść na spotkanie. Jednak chciała wypróbować nowe miejsce. Nie zrezygnowała z widzenia się ze mną – i byłam jej za to wdzięczna.

Gdy wychodziłam z za rogu, usłyszałam nagły stukot. Ktoś był w tunelu. Cofnęłam się. Potem rozpoznałam głos Pawła. Trochę się odprężyłam. Była niedziela, a to nie był dzień, w którym Paweł zazwyczaj nas odwiedzał. Jednak czasami przychodził bez zapowiedzi, przynosząc nieoczekiwanie dużo jabłek lub sera, które gdzieś zdobył. Z kim on rozmawiał? – zastanawiałam się. Usłyszałam nieznamy głos żądający odpowiedzi na pytania, a następnie jakieś wyjaśnienia Pawła.

Wyjrzałam z za rogu. Paweł stał otoczony przez trzech polskich policjantów. Serce mi zamarło. Znaleźli go, gdy przyszedł do kanału, żeby nam pomóc.

– Dokąd idziesz z tym jedzeniem? – spytał jeden z funkcjonariuszy.

– To mój obiad – odparł Paweł, chociaż wielkość torby, którą niósł, wskazywała, że to nieprawda. Policjanci nadal zadawali ostrym tonem pytania, ale Paweł nie odpowiadał. Chciałam podejść i mu pomóc, ale to tylko pogorszyłoby sprawę. Zobaczył mnie za plecami policjantów i oczy mu się rozszerzyły, potem dał mi dyskretnie znak, bym uciekła.

Cofnęłam się za róg. Powinam była pobiec do naszej kryjówki i ostrzec pozostałych, ale nie było jak prześlizgnąć się obok policjantów, a nie śmiałam ryzykować dekonspiracji. Wcisnęłam się w szczelinę muru, z całych sił pragnąc być niewidzialna.

Policjanci nadal przesłuchiwali Pawła i usłyszałam okropny dźwięk, gdy jeden z nich go uderzył. Zrozumiałam, że nas nie wyda. Bardzo chciałam podbiec do niego i ochronić go, tak jak on chronił nas. Nastąpiły odgłosy szamotaniny, a potem krzyk Pawła, który protestował, gdy funkcjonariusze zaczęli wyciągać go z tunelu. W tym momencie zrozumiałam, że już go więcej nie zobaczymy. Zacisnęłam wargi, próbując nie krzyczeć.

Gdy policja siłą zabrała Pawła, torba z jedzeniem, którą niósł, wypadła mu z rąk i z pluskiem wpadła do wody. Nie wiedziałam, czy policjanci mu ją wyrwali, czy Paweł, rozpaczliwie chcąc nam pomóc, sam ją tam wrzucił z nadzieją, że wyląduje obok mnie. Ale torba szybko płynęła z prądem, a jej zawartość się rozproszyła. Chciałam ją wyciągnąć, lecz nawet gdybym odważyła się wyjść z ukrycia, była zbyt daleko, by ją złapać. Obserwowałam z rosnącym żalem, jak ostatni ziemniak znika za rogiem.

Po tym jak w tunelu zapadła cisza, stałam bez ruchu w ukryciu, przepełniona żalem. Serce mi pękało, jak tej nocy, gdy utonął tata. Nasz wybawca Paweł został aresztowany. Narastał we mnie strach połączony ze smutkiem. Paweł nie tylko stworzył nam azyl, ale także przynosił pożywienie, które trzymało nas przy życiu. Nie moglibyśmy przetrwać bez niego.

Wróciłam do naszej wnęki zdruzgotana. Zastanawiałam się, czy przekazać tę straszną nowinę pozostałym, chcąc oszczędzić mamie utraty resztek nadziei. Jednak nie mogłam ukryć tego, że Paweł już więcej nie przyjdzie. Krzyknęłam:

– Paweł został aresztowany!

Babi, drzemiąca w kącie komory, otrząsnęła się. Mama popatrzyła w osłupieniu.

– Jesteś pewna?

Kiwnęłam głową.

– Przed chwilą, w tunelu. Widziałam na własne oczy.

Pan Rosenberg podniósł się ze swego miejsca.

– Niemcy są w tunelu? – spytał, błędąc.

– To w zasadzie jest policja, nie Niemcy.

Moje wyjaśnienie stanowiło niewielką pociechę.

– Przyszli po nas. Paweł ostrzegał, że tak może się stać.

– Już sobie poszli – powiedziałam, starając się go uspokoić niezależnie od moich własnych obaw. – Nie wiedzą o nas.

– Ale mogą nas znaleźć. – Rosenberg wpadł w panikę, jego oczy biegały na wszystkie strony. – Musimy natychmiast stąd iść, zanim wrócą – podniósł głos niemal do krzyku.

– Paweł nikomu o nas nie powie, tato – odezwał się Saul, chociaż w jego głosie słychać było powątpiewanie. Miał w oczach strach, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej.

– Jestem pewna, że nie – przytaknęła szybko mama.

– Paweł nas nie wydał – potwierdziłam. – Jesteśmy tutaj bezpieczni.

Całe ciało pana Rosenberga rozluźniło się. Jednak nad jego ramieniem widziałam oczy Saula, który pytał mnie wzrokiem, czy to prawda. Paweł był lojalny i silny, ale kto mógł wiedzieć, co Niemcy mogli mu zrobić, i czy się nie załamie.

– Nie będziemy mieli nic do jedzenia.

Nie wiedziałam, że Babi słucha, a teraz usiadła prosto na posłaniu. Chociaż nie miała tak przerażonego głosu jak jej syn, to jej oczy były pełne troski.

– Jak nam się uda przeżyć bez Pawła?

Zadane przez nią pytanie zawisło w powietrzu.

Policja nie wróciła. Ale minęło kilka dni i nasz niepokój narastał. Chociaż nadal byliśmy tu względnie bezpieczni, to nasze jedyne źródło wyżywienia przepadło. Jedliśmy jeszcze mniej niż zwykle. Dzieliliśmy się okruszkami, jakby to były smakołyki, a każdy uważał, żeby nie wziąć więcej niż inni.

Jednak pomimo naszych wysiłków po trzech dniach od aresztowania Pawła skończyły nam się ostatnie resztki jedzenia.

– I co teraz zrobimy? – spytałam.

– Musimy coś wymyślić – powiedziała mama, usiłując stłumić niepokój w głosie. – Musimy znaleźć jakiś sposób, żebyśmy sami się wyżywili.

– Ale jak? – spytałam.

Pan Rosenberg w zamyśleniu głaskał brodę palcami.

– Kiedy byliśmy w getcie, rozeszły się pogłoski, że ktoś z naszej kamienicy przechowuje ziemniaki za murem.

– Jeśli mi pan powie, gdzie dokładnie, mogę pójść poszukać – zaproponowałam bez zastanowienia.

– Chcesz wyjść na ulicę? – spytała mama z niedowierzaniem. Wyglądała na przerażoną.

– Potrzebujemy jedzenia, mamó. Dam radę.

– Nigdy – odpowiedziała mama z całą mocą, na jaką mogła się zdobyć. – Żadne z nas, a zwłaszcza moja córka, nie wyjdzie z kanału w poszukiwaniu żywności. Musimy wymyślić coś innego.

Minął dzień, a potem następny, i robiliśmy się coraz bardziej głodni. Piliśmy wodę małymi łydkami, by złagodzić bóle żołądka. Nawet wyobrażałam sobie bobaska w łonie mamy, który cicho płakał, na próżno czekając na dostawę pokarmu.

Jeszcze jedna noc minęła bez jedzenia. Saul i ja wyszliśmy z komory, chociaż byłam właściwie zbyt osłabiona głodem, żeby się podnieść i czytać.

– Mój ojciec ma rację – powiedział, kiedy zbliżyliśmy się do wnęki.
– W jednej z piwnic w getcie jest ukryta żywność. Nie są to tylko ziemniaki, ale też suche mięso. Pamiętasz, jak czasem w getcie dawali nam suszoną wieprzowinę?

Skinęłam głową. Był to okrutny niemiecki żart – dawanie Żydom jedzenia, które nie było koszerne.

– Nie mogliśmy jej zjeść, ale ja ją przechowałem, na wszelki wypadek. Jest tam również kilka worków ziemniaków, które mogą być do uratowania. Wszystko znajduje się w kamienicy, w której mieszkaliśmy przy Lwowskiej pod numerem dwanaście, za ścianą piwnicy. Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby to wydostać.

– Może moja przyjaciółka Ella będzie mogła pomóc to znaleźć – powiedziałam, zanim zdążyłam się zastanowić lub powstrzymać.

– Ta dziewczyna, która stała na ulicy? Nadal się z nią spotykasz? – w jego głosie brzmiało przerażenie. Nie odpowiedziałam. – Ale Sadie, przecież mi obiecałaś.

– Wiem.

Szukałam w myślach usprawiedliwienia, ale bez skutku.

– Przepraszam. Jeśli ją poproszę, może będzie mogła pomóc w dotarciu do jedzenia.

– To mi się nie podoba. Nie możemy jej zaufać.

– Sądzę, że możemy. Ona wie o mnie od tygodni i nikomu nie powiedziała. Dlaczego by teraz miała nas wydać?

Saul milczał. Wiedziałam, że się zgodzi, a może zobaczy w Elli przyjaciółkę tak jak ja.

– W każdym razie naprawdę nie ma innej możliwości.

– W porządku – ustąpił Saul. – Jeśli powiem ci dokładnie, gdzie zostało ukryte jedzenie, możesz ją tam wysłać.

Rozważałam ten pomysł. Starłam się wyobrazić sobie Ellę, która spędziła większą część życia w eleganckim centrum miasta, jak kręci się po ruinach getta. Nigdy nie zdoła tego zrobić.

– Ona zanadto rzucałaby się w oczy – powiedziałam. – I nie wiedziałyby, dokąd iść. Gdybym wyszła na ulicę, mogłabym sama tam pójść.

Oczy Saula rozszerzyły się.

– Sadie, nie mówisz poważnie.

Kanał był naszą jedyną szansą na pozostanie przy życiu. Pomysł wyjścia na ulicę oznaczał ryzyko pojmania albo śmierci.

– To jedyny sposób – powiedziałam.

– Ja mógłbym pójść – powiedział Saul.

Ale nawet kiedy to mówił, oboje wiedzieliśmy, że to niemożliwe. W jarmulce i z brodą byłby natychmiast rozpoznany. Podobało mi się, że to zaproponował, ale było to nierealne. Tylko ja dawałam jakąś nadzieję.

Jednak on nie chciał o tym słyszeć.

– Obiecaj mi, że nie wyjdiesz – powiedział, a ton jego głosu był na poły rozkazujący, na poły błagalny. Zastanawiałam się, dlaczego miałby mi zaufać, skoro złamałam poprzednio dane słowo, rozmawiając z Ellą. Zmarszczył mocno brwi z niepokoju. – Nie mogę dopuścić, żeby coś ci się stało.

Wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka. Wtedy zrozumiałam, że jego uczucie do mnie się pogłębia, co znalazło odbicie w jego oczach. Znaliśmy się naprawdę od niedawna i wydawało się niemal niemożliwe, że staliśmy się sobie tak bliscy. Życie podczas wojny biegło

najwyraźniej w innym tempie, szczególnie tutaj, a każda chwila mogła być dla nas ostatnią. Wszystko było znacznie bardziej intensywne.

Kiwnęłam głową. Saul odsunął się, widocznie usatysfakcjonowany moją obietnicą. Jednak mój umysł cały czas pracował. Wiedziałam doskonale, jak niebezpieczne jest wyjście na ulicę, ale jeśli tego nie zrobię, wszyscy umrzemy: mama, moje nienarodzone rodzeństwo, Rosenbergowie i ja. Nie było innego sposobu.

Następnej nocy czekałam niecierpliwie, planując, jak wyślizgnąć się z naszej kryjówki. Nie powiedziałam Saulowi ani nikomu innemu, że zamierzam spotkać się z Ellą. Niebo nad studzienką kanalizacyjną wcześniej poszarzało i miałam nadzieję, że będzie zbyt pochmurnie i za ciemno, żeby Saul wybrał się poczytać we wnęce i chciał mnie zabrać ze sobą. Ale kiedy reszta szykowała się do snu, podszedł do mnie.

– Masz ochotę pójść ze mną?

W tych dniach częściej niż zwykle szukał mojego towarzystwa, czasem gdy szliśmy tunelami, opowiadał coś o swoim dzieciństwie, a czasem w nocy po prostu szedł powoli obok mnie w pełnym zadumy milczeniu.

Teraz jego zaproszenie, które normalnie sprawiłoby mi radość, mocno mnie przestraszyło.

– Bardzo bym chciała, ale jestem wyczerpana – odparłam, nienawidząc się za to, że muszę go oszukiwać. Chociaż niezupełnie było to kłamstwo – brak jedzenia pozbawiał nas wszystkich energii.

Po twarzy przemknął mu wyraz zdziwienia, a potem rozczarowania.

– W takim razie też nie pójdę.

Odetchnęłam w duchu.

– Jutro wieczorem?

– Chętnie. – Saul wrócił do swojej części komory.

Patrząc, jak idzie, poczułam ukłucie żalu. Wyglądałam wspólnych przechadzek, więc bolała mnie ta odmowa i odrzucenie jego propozycji.

Czekałam, aż wszyscy zasną. Mama rzucała się i wierciła niespokojnie, bo w ciąży nie mogła znaleźć sobie wygodnej pozycji, i bałam się, że zanim zaśnie, może być za późno. W końcu, gdy przestała się przewracać, a jej oddech stał się głęboki i zaczęła nawet pochrapywać, wymknęłam się z niszy.

W ciemnościach szłam tunelem po omacku. Do wyjścia, które odkryliśmy z Saulem, prowadziła najdłuższa droga, jaką przemierzyłam podziemnymi korytarzami od dnia, kiedy się tu znaleźliśmy. Gdy tak wędrowałam przez podziemia, w ciszy zakłócanej jedynie szumem płynącej w kanale wody, wydawało mi się, że w każdej chwili mogę zostać złapana. Skóra mnie paliła. Widziałam duchy mojego taty, a potem Pawła. Nie straszyły mnie, ale raczej prowadziły, jakby tworząc w głębi tunelu jasną poświatę.

W końcu dotarłam do znajomego zbiornika. Rura prowadząca na ulicę była umieszczona wysoko na przeciwległej ścianie. Zdałam sobie sprawę, że sama się tam nie podciągnę. Poprzednio Saul mi pomógł, ale nie przemyślałam, w jaki sposób tym razem uda mi się do niej dostać, jeśli on mnie nie podsadzi. Miotałam się na dnie zbiornika. Moje oczy już się przyzwyczyły i w półmroku dostrzegłam na ziemi kilka desek. Zebrałam je i ułożyłam z nich stos pod ścianą, na którą chciałam się wspiąć, mając nadzieję, że to wystarczy. Próbowałam dosięgnąć do rury, która wciąż była za wysoko. Nie udało mi się i spadłam, a stos się rozsypał. Spojrzałam w górę. Nie było sposobu, żebym sama dała sobie radę. Ale jeśli się tam nie dostanę, nie spotkam się z Ellą ani nie będę mogła przynieść jedzenia, które było nam niezbędne. Ponownie ustawiłam deski i z całej siły, zdecydowanie, starałam się podciągnąć w górę po ścianie. Jednak moje kończyny były osłabione z głodu i wydawało się, że to niemożliwe. Wzięłam głęboki wdech i zebrałam wszystkie siły, żeby doskoczyć do rury. Złapałam się za krawędź i podciągnęłam, przerzucając kolana przez jej ostry metalowy brzeg.

Poczołgałam się przez rurę i po kilku sekundach dotarłam do jej wylotu. Wyrzłam przez prostokątną kratkę, większą od tej, która znajdowała się na ulicy w Dębnikach. Nie widziałam Elli. Zastanawiałam się, czy nie udało jej się wyjść z domu. A może wcale nie będzie mogła przychodzić? Byłam coraz bardziej zaniepokojona. Kiedy planowałyśmy, że się tu spotkamy, po prostu miałam nadzieję, że się z nią zobaczę. Ale teraz, kiedy Paweł przepadł, a wraz z nim nasze dostawy żywności, potrzebowałam jej pomocy. Nie mogłam opuścić kanałów bez niej. A bez zapasów jedzenia, o których mówił Saul, wszyscy umrzemy z głodu.

W końcu usłyszałam zbliżające się kroki. Ponownie stanęłam w cieniu, na wypadek gdyby to był kto inny. Po upływie minuty pojawiła się Ella.

Widziałam przez kratkę jej twarz, pełną wyczekiwania i poważną, gdy rozglądała się za mną.

– Tutaj! – szepnęłam.

Ella się uśmiechnęła.

– Udało ci się!

Przysunęłam się bliżej. Przy kratce było mało miejsca i musiałam na wpół siedzieć, na wpół leżeć, żeby się tam zmieścić.

– To działa! – potwierdziłam ucieszona.

Moje zadowolenie zgasło, gdy spojrzałam na jej rękę, żeby zobaczyć, czy ma jakąś żywność, ale nie dostrzegłam niczego.

– Musiałam szybko się wyslizgnąć – powiedziała, jakby czytając w moich myślach. – Więc nie mogłam pójść do kuchni, przepraszam.

– Nie szkodzi – odparłam, chociaż burczało mi w pustym żołądku.

– Jak się czujesz? – spytała.

Zamilkłam, niepewna. Często martwiłam się, że jeśli powiem Elli o moich problemach, uzna, że jestem nudna, i nie zechce więcej przyjść na spotkanie. Ale głód, który we mnie narastał, stał się zbyt wielki i groźny, by mu zaprzeczać.

– Prawdę mówiąc, niedobrze. Nie mamy już nic do jedzenia. Kanalarz, który nam pomagał, został aresztowany.

Zobaczyłam na jej twarzy niepokój, jakby po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę z niebezpieczeństw, które mogą grozić jej za przyjście mi z pomocą.

– Muszę znaleźć jedzenie.

Nawet nie śmiałam jej prosić. Tyle już dla nas zrobiła.

– Zobaczę, czy będę mogła zdobyć trochę więcej – odpowiedziała szybko Ella.

– Nie, nie, nie to miałam na myśli. Tyle mi dałaś i nie chcę, żeby to wyglądało na niewdzięczność. Ale w kanale jest nas pięcioro. Musimy zdobyć większy zapas żywności, który utrzyma nas przy życiu aż do... – zacięłam się, bo nie byłam pewna, na co mamy czekać: Na powrót Pawła? Na koniec wojny? Niestety, ani to, ani to nie wydawało się w tej chwili prawdopodobne. – Aż coś się zmieni – dokończyłam słabym głosem.

– Nie mam nic przy sobie – zmartwiła się Ella. – Jeśli możesz dać mi kilka dni, spróbuję przynieść coś z jakiegoś targu za miastem.

Pomyślałam o mamie, która była tak osłabiona z głodu, że prawie mdlała.

– Przykro mi, ale to nie wystarczy – stwierdziłam bez ogródek. – To znaczy, naprawdę doceniam wszystko, co robisz, ale jeśli dłużej poczekamy na jedzenie, może być za późno. Nie mamy już czasu.

– Co chcesz, żebym zrobiła?

– Wiem o żywności zostawionej w getcie. Muszę się do niej dostać.

– Jeśli mi powiesz, gdzie to jest, pójde poszukać – zaoferowała się bez wahania. Pomimo niebezpieczeństwa związanego z moją propozycją chciała spróbować.

– Nie umiem ci powiedzieć. Będzie ci to trudno znaleźć, a poza tym byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Wzięłam głęboki oddech, zbierając się na odwagę i powiedziałam:

– Muszę ją znaleźć sama i potrzebuję twojej pomocy, żeby się stąd wydostać i móc tam pójść.

– Kiedy?

Przełknęłam ślinę.

– Teraz.

Zamilkła na chwilę.

– Kiedy się po raz pierwszy zobaczyliśmy, mówiłaś, że wyjście na ulicę jest dla ciebie zbyt niebezpieczne.

– Bo jest. Ale potrzebujemy jedzenia i jeśli istnieje jakaś szansa, że je zdobędę, muszę spróbować. Nie ma innej możliwości.

Ryzyko, że zostanę zatrzymana, było realne, lecz groźba śmierci głodowej wydawała się teraz o wiele gorsza.

– Pomóż mi.

Spodziewałam się, że odmówi. Ale kiwnęła głową z powagą, pragnąc zrobić, o co ją proszę. Chwilę później zaczęła szarpać kratkę od kanału, która się zablokowała, bo najwidoczniej zamknięcie zardzewiało. Serce mi zamarło. Nie da się tędy wyjść. Zaczęłam pchać, a Ella ciągnęła. W końcu kratka ustąpiła. Ella podniosła ją z wysiłkiem i odsunęła do tyłu. Potem wyciągnęła do mnie rękę, która zawisała w rozdzielających nas ciemnościach. Nasze palce się splotły, dotykając po raz pierwszy, odkąd się znałyśmy, i zaczęła mnie ciągnąć z większą

siłą, niżbym ją o to podejrzewała. Rozprostowałam się i stanęłam, uwolniona z kryjówki.

Tak po prostu znalazłam się na otwartej przestrzeni.

Oddychałam głęboko, chwytając powietrze wielkimi haustami, a było tak świeże i chłodne, że aż mnie parzyło, schodząc do płuc. Stałyśmy na łagodnym, trawiastym zboczu prowadzącym na brzeg rzeki. Mój wzrok natychmiast powędrował ku nocnemu niebu, usłanemu dywanem z gwiazd ponad katedrą na Wawelu. Po raz pierwszy od miesięcy miałam przed oczami ten obraz, który jako dziecko dziesiątki razy oglądałam podczas spacerów z tatą. Mieliśmy wówczas znacznie szerszy widok niż ten, który mogliśmy zobaczyć z wąskich okien naszego mieszkania. Kiedyś uważałam za pewne, że te gwiazdy zawsze będą świeciły. Potem zostały mi odebrane, tak samo jak tata. Teraz patrzyłam w górę, napawając się tym magicznym widokiem, nawet jeszcze piękniejszym niż ten, który zapamiętałam.

Byłam poza kanałem. Chciało mi się tańczyć, biegać, krzyczeć. Stałyśmy na nabrzeżu, w pobliżu betonowego bulwaru prowadzącego do ulicy. Chociaż nie było tu teraz nikogo, teren był wyeksponowany. W każdej chwili mogli nas zobaczyć Niemcy lub policjanci.

– Nie możemy tu zostać – powiedziałam.

– Nie – potwierdziła Ella.

Stałam wyprostowana obok niej i po raz pierwszy zauważyłam, o ile jest ode mnie wyższa. Przyglądała mi się, a ja zastanawiałam się, czy to z powodu mojego zaniedbanego wyglądu.

– O co chodzi? – spytałam.

– Po prostu dziwnie jest widzieć cię na wysokości wzroku – odpowiedziała i obie cicho się roześmiałyśmy.

– Powinnaś wytrzeć twarz z brudu – dodała poważniej.

Rozejrzała się za czymś, czego mogłabym użyć, a ponieważ nic nie znalazła, zdjęła swój ładny jedwabny szalik i dała mi go. Czułam, jak ta breja z mojej twarzy przesącza się przez materiał i brudzi go. Ella nie narzekała. Oddałam szalik, chociaż chciałabym móc go przedtem wyprać. Ella rąbkiem szalika wytarła jeszcze do czysta miejsce, które ominęłam. Potem luźno zawiązała mi go na głowie jak chustę.

– Tak jest lepiej. – Uśmiechnęła się promiennie, jakby wszystko zostało załatwione.

– Dziękuję.

Poczułam przypływ wdzięczności i pod wpływem impulsu przytuliłam się do niej. Myślałam, że się odsunie ze wstrętem ze względu na mój zapach, ale nie zrobiła tego. Przeciwnie, sama uścisnęła mnie jeszcze mocniej. Stałyśmy objęte bez ruchu przez kilka sekund.

Kiedy się od siebie odsuwałyśmy, zaczepiłam naszyjnikiem o górny guzik jej sukienki. Odplątałam go delikatnie.

– Co to jest? – spytała Ella, wskazując na zawieszkę.

– To od mojego ojca.

– Śliczne. Ale co to znaczy?

Dotknęłam palcem hebrajskich literek, złotych i błyszczących w świetle księżyca. Ojciec zamówił wisiołek, gdy byłam dzieckiem, i wyjaśnił mi znaczenie napisu. Niemal czułam, że trzyma mnie za rękę i dokądś prowadzi.

– *Chai*. To znaczy życie.

– Piękne. Ale będziesz musiała go zdjąć.

Przypomniałam sobie, że Saul także ostrzegał mnie przed noszeniem naszyjnika. Przebywając w kanale, mogłam nie zwracać uwagi na jego obawy. Jednak noszenie wisiora, który wskazywał, że jestem Żydówką, na ulicy, mogło oznaczać wykrycie i śmierć. Odpięłam go i włożyłam do kieszeni.

– Chodź – powiedziała Ella.

Ruszyliśmy brzegiem rzeki na wschód w stronę Podgórza, dzielnicy, gdzie znajdowało się getto. Ulice wyglądały na szersze, niż zapamiętałam, a wszystko wydawało się bardzo przerażające i złowróżbne. Nie powinno mnie tu być. Opanowała mnie chęć wpełznięcia z powrotem pod ziemię.

Szliśmy w kierunku getta, wybierając boczne zaułki i trzymając się cienia budynków. Kuliłam się na dźwięk naszych butów, stukających głośno po bruku. Już samo przebywanie na dworze o tej godzinie było przestępstwem i gdyby nas zobaczono, zostalibyśmy zatrzymane i przesłuchane. Nigdy nie ujrzałabym już mamy. Szłam niepewnie, bojąc się, że każdy krok może być ostatnim. Jednak Ella poruszała się po ulicach z poczuciem pewności siebie, którego jej zazdrościłam. Nagle ogarnął mnie gniew. To było tak samo moje miasto jak jej, przynajmniej wcześniej. Ale teraz byłam wyrzutkiem, goszczącym tutaj tylko dzięki jej dobrej woli. Stłumiłam te uczucia. Jediną istotną sprawą było teraz znalezienie jedzenia. Pomyślałam o tych, którzy zostali w kanale i liczyli na mnie, a także o tym, co by się z nimi stało, gdyby nie udało mi się nic zdobyć albo gdybym nie wróciła.

Wkrótce dotarliśmy do Rynku Podgórskiego, głównego placu targowego dzielnicy, znajdującego się tuż przy murze getta. Nikogo tu teraz nie było poza kilkoma szczurami buszującymi w pojemnikach na śmieci w poszukiwaniu pokarmu. Okrążyliśmy z boku kościół św. Józefa, wielką neogotycką świątynię górującą nad placem, i dotarliśmy do muru getta. Chociaż nikt tam już nie mieszkał, bramy były nadal zamknięte. Szliśmy wzdłuż wysokiej ceglanej ściany, aż znalazłyśmy fragment, gdzie była rozwalona, i ostrożnie, po kamieniach i gruzach, weszłyśmy do środka. Zniszczenia były o wiele większe, niż sądziłam na podstawie wiadomości, które do nas docierały; każdy mijany budynek był wypalony, okna powybijane, a po mieszkaniach, w których żyli ludzie, pozostały tylko skorupy. Popatrzyłam na Ellę, która się zatrzymała. Znałam getto bardzo dobrze, ale ona widziała je po raz

pierwszy. Jej twarz wykrzywiła się w przerażeniu, gdy zobaczyła, w jak strasznych warunkach tu mieszkaliśmy – i jak to się wszystko skończyło.

– Chodź – ponagliłam ją.

Teraz musiałam ją prowadzić, klucząc po ulicach getta w stronę domu przy ulicy Lwowskiej, o którym mówił mi Saul. Powietrze było przesycone zapachem węgla i czegoś jeszcze bardziej drażniącego, może spalonych śmieci. Przystanąłam na rogu ulicy Józefińskiej i spojrzałam w kierunku domu, w którym mieszkaliśmy. I chociaż do getta trafiliśmy pod przymusem i było to najgorsze ze znanych mi miejsc, to byłam tu razem z rodzicami. Opadły mnie wspomnienia i pewien rodzaj nostalgii, której zupełnie się nie spodziewałam. Jakaś spora częśćka mnie chciała iść i jeszcze raz zobaczyć nasze tutejsze mieszkanie.

Ale nie było na to czasu. Szliśmy naprzód. Wśród ruin stało kilka domów, które zostały odnowione, miały wstawione nowe szyby w oknach, a w kilku przypadkach puste otwory okienne były zaklejone nasmołowanym papierem. Ze zdziwieniem przekonałam się, że getto jest zamieszkane. Już nie przez Żydów, ale najwyraźniej przez Polaków z niższych warstw społecznych, którzy albo zostali tu skierowani przez władze Generalnego Gubernatorstwa, albo sami zasiedlili puste domy. W jakimś stopniu byłam na nich zła. Pomyślałam, że nie mogą to być dobrze sytuowani ludzie, którzy wykorzystywaliby własność Żydów, żeby się wzbogacić, ale raczej miejscowi, którzy widząc okazję, robili z konieczności coś dla swoich rodzin. Nikt, kto miałby wybór, nie zamieszkałby tutaj.

Jednak ci mieszkańcy na pewno poinformowaliby policję, gdyby nas zobaczyli. Zastanawiałam się, czy nie zawrócić. Spodziewaliśmy się, że getto będzie puste. Nie było bezpiecznie szwendać się tutaj. Ale potrzebowałyśmy żywności. Gdy skręcałyśmy w ulicę Lwowską, pomyślałam, że dom pod adresem, który dał mi Saul, również może być zajęty. Nie miałam pojęcia, jak mogłybyśmy szukać jedzenia, gdyby tak rzeczywiście było.

W domu pod numerem dwanaście okna były wybite, a ściany popalone. Miałam tylko nadzieję, że ogień nie zniszczył zapasów żywności w piwnicy. Saul opowiadał mi, że wraz z ojcem przybyli do getta niedługo po opuszczeniu swojego miasteczka, ale aż do tej pory nie uświadamiałam sobie, że mieszkał tutaj w odległości tylko kilku przecznic ode mnie. Podeszłam do budynku, o wiele mniejszego i znacznie bardziej zniszczonego niż ten, w którym mieszkałam, i usiłowałam sobie wyobrazić, jak zdołali tu żyć, tłocząc się we wspólnych pomieszczeniach z innymi rodzinami.

Próbowałam otworzyć drzwi wejściowe. Pomimo fatalnego stanu domu były zamknięte. Przestraszyłam się, że będziemy musiały przebrnąć przez rozbite szkło i wejść przez jedno z okien.

– Obejdźmy go od tyłu i poszukajmy drzwi do piwnicy – zasugerowała Ella.

Przemknęłyśmy przez zaułek między domami, kucając, żeby nikt nas nie zobaczył. Znalazłyśmy drzwi i wyważyłyśmy je. Zeszłam po drabinie do piwnicy pierwsza, modląc się, by nadgniłe szczeble wytrzymały. Ella zeszła za mną. Przystanąłam, zaskoczona brzydkim, duszącym odorem getta, który wypełniał mi płuca przez wiele miesięcy, gdy tu mieszkaliśmy, a który nadal wisiał w powietrzu. Ale ponieważ przez tak długi czas oddychałam smrodem kanału, w porównaniu z nim tutejszy zapach wydawał się prawie przyjemny.

W pośpiechu podeszłyśmy do ściany, o której powiedział mi Saul, szukając ukrytej komory. Zgodnie z tym, co mówił, znalazłyśmy odsuwaną deskę, za którą ukazała się duża przestrzeń przeznaczona na schowek. Tyle że to opisane przez Saula miejsce było puste.

Obiecanych przez niego zapasów nie było.

Rozdział 13

Ella

Serce mi zamarło, gdy stanęłam obok Sadie, spoglądając w pustą przestrzeń, w której powinna znajdować się żywność.

– Przykro mi – powiedziałam, czując, jak bardzo jest rozczarowana.

Sadie nie odpowiedziała. Stała, milcząc, a w oczach miała smutek i pustkę.

– Musimy iść – odezwałam się po upływie kilku minut. Nie było bezpiecznie przebywać w zabudowaniach getta.

Sadie pokręciła głową.

– Musi tu być. Nie mogę wrócić bez jedzenia.

Co dalej? Miałam gonitwę myśli.

– Możemy poszukać – powiedziałam, chociaż nie miałam pomysłu gdzie. Niezależnie od wojny Ana Lucia nie przechowywała w domu zapasów żywności, bo bała się, że przyciągną myszy. Raczej wierzyła, że jej pieniądze i kontakty zawsze zapewnią nam wystarczającą ilość jedzenia. Więc nawet nie mogłabym jej ukraść niczego dla Sadie. Pomyślałam o Krzysiu. Nie rozstaliśmy się w zgodzie i nie byłam pewna, czy mi pomoże. Jednak była to moja jedyna szansa i gdzieś w głębi czułam, że nie odmówi, jeśli będzie mógł coś dla mnie zrobić.

– Mam znajomego, który może mógłby ci pomóc.

Natychmiast pożałowałam, że to zaproponowałam. Nie miałam wielkich nadziei, by Krzys mógł znaleźć żywność w tak krótkim czasie. Jednak musiałam spróbować.

Przypomniałam sobie, że mieszka nad kawiarnią.

– Chodź.

Wymknęłyśmy się z piwnicy przez wypalone gruzy. Kiedy mijaliśmy ruiny niegdysiejszego getta, przyspieszyłam kroku, żeby jak najszybciej odciągnąć Sadie od bolesnych wspomnień.

Prowadziłam ją brzegiem rzeki z Podgórze na Dębiki. Chociaż nie znałam dobrze tych dzielnic łączących się bez wyraźniej granicy, wiedziałam, że Dębiki leżą kilka kilometrów na zachód od Podgórze, na południowym, uprzemysłowionym brzegu Wisły. Gdy zbliżyłyśmy się do Dębik, oddaliśmy się od rzeki i poszłyśmy w kierunku ulicy Barskiej i kawiarni. Spojrzałam w okna mieszkań nad kawiarnią, zastanawiając się, jak mogłabym rozpoznać to, w którym mieszka Krzyś. Było po jedenastej i przypuszczałam, że kawiarnia jest od dawna zamknięta ze względu na godzinę policyjną. Jednak przez zamazaną szybę zobaczyłam, że nadal tkwi tam kilku klientów. Nie widziałam Krzysia, ale może jeśli zapytam, ktoś powie mi, gdzie mogłabym go znaleźć.

Ruszyłam w stronę drzwi. Potem popatrzyłam na Sadie i ponownie przystanęłam. Ona nie mogła wejść do kawiarni. Jej ubłocone ubranie i wynędzniała, trupio blada twarz z pewnością zwróciłyby uwagę. Pomiędzy lokalem a przylegającym budynkiem znajdowały się arkadowe podcienia, prowadzące z ulicy do zaułka na tyłach kamienicy. Zaprowadziłam tam Sadie i ukryłam ją za jakimiś kubłami na śmieci.

– Musisz tu poczekać.

– Zostawiasz mnie samą? – Wyglądała na przerażoną.

Poklepałam ją po ręce.

– Będę za kilka minut.

Zanim zdążyła zaprotestować, pospieszyłam do kawiarni. Była prawie pusta, z wyjątkiem stolika w głębi, przy którym jacyś starsi mężczyźni grali w karty. Gdy oczy przyzwyczały mi się do przyćmionego światła, rozpoznałam kobietę za barem. Na chwilę przystanęłam. To ją widziałam z Krzysiem tego dnia, gdy go tu

spotkałam. Miałam ochotę odwrócić się i wyjść. Ale musiałam odnaleźć Krzysia.

Podeszłam do niej zdecydowanym krokiem.

– Cześć, szukam Krzysia Lewakowskiego – zaczęłam bezceremonialnie, oczekując błysku rozpoznania. Jednak wyraz jej twarzy się nie zmienił. – Widziałam was razem – dodałam. – Wiem, że pani go zna. Mówił, że tu mieszka.

– Nie ma go – powiedziała chłodno.

– Muszę go znaleźć. To ważne.

Przyglądała mi się przez chwilę, potem odwróciła się i zniknęła na zapleczu kawiarni. Rozczarowana zastanawiałam się, co mam robić dalej i czy mogę sprawdzić w domu jego rodziców o tak późnej porze.

– Ella? – Krzyś nagle wyszedł przez drzwi za barem. Kobieta zatem kłamała. Podeszedł szybko do mnie. – Co się stało? Wszystko w porządku?

Martwiłam się, że może nadal gniewać się na mnie z powodu naszego ostatniego spotkania, ale jego twarz wyrażała tylko zdziwienie i niepokój.

– Tak... To znaczy nie – przerwałam, starając się wymyślić, w jaki sposób przedstawić mu moją tajemnicę. Zniżyłam głos. – Kiedy oczyszczali getto, garstka Żydów zdołała uciec i ukryć się.

Skinął głową.

– Słyszałem plotki na ten temat.

– Kilku uciekło do kanału.

– Do kanału? Ale nawet jeśli tak było, dokąd by poszli?

– Nigdzie nie poszli. To znaczy, nadal są w kanałach w pobliżu rynku na Dębnikach. Pomagam jednej z tych osób, dziewczynie.

Oczy mu się rozszerzyły.

– To dlatego tam cię widywałem?

– Tak. Ale teraz ich główne źródło zaopatrzenia w żywność przypadło. Muszę zdobyć dla niej trochę jedzenia, żeby mogła je zanieść pozostałym.

Pamiętając, że odmówiłam mu pomocy w działalności w Armii Krajowej, myślałam, że może powiedzieć „nie”.

– Ile jest z nią osób?

– Chyba cztery.

Przyglądałam się, jak analizuje tę wiadomość.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej.

Spodziewałam się, że może być na mnie zły. Pocierał dłonią tył głowy jakby w zamyśleniu.

– Na kiedy jej potrzebujesz?

– Dziś w nocy. Możesz mi pomóc?

– Nie wiem. W mieście jest w ogóle mało żywności.

Pokiwałam głową, bo wiedziałam, że to prawda. Twarze ludzi na rynku z dnia na dzień wyglądały na coraz bardziej wychudzone i odchodzili stamtąd z niemal pustymi koszykami.

– Na pewno poprzez twoje wojskowe kontakty będziesz mógł coś zdobyć.

– Spróbuję, ale jest to bardzo trudne. Armia Krajowa to skomplikowana struktura. Duża, skupiająca wielu ludzi z różnymi zadaniami. Ale jest pewien spekulant, który czasem pomaga AK w zaopatrzeniu.

– Sądziś, że mógłby pomóc i nam?

Krzyś ponuro pokręcił głową.

– Nie wiem, ale raczej się nie dowiem. To facet bez skrupułów, który zrobiłby interes z każdym – także z Niemcami – dla zysku.

– Jeśli to kwestia pieniędzy... – zaczęłam, wyobrażając sobie wspaniałe drobiazgi należące do Any Luci i zastanawiając się, które z nich mogłabym wykraść i najłatwiej zastawić za gotówkę.

– To nie tak. Ten typ zrobił kilka strasznych rzeczy i nie chcę z nim wchodzić w układy, przynajmniej jeśli nie będę musiał. Spróbuję znaleźć inny sposób. Muszę skontaktować się z moimi ludźmi i wymyślić coś, żeby zdobyć dodatkową żywność bez zwracania na siebie uwagi. To zajmie kilka dni, najwyżej tydzień.

Zgarbiłam się.

– Nie mamy tyle czasu. Oni już teraz jej potrzebują, a Sadie nie może wracać do kanału z pustymi rękami.

Po raz pierwszy wymieniłam na głos jej imię i poczułam, jakbym ją wystawiała na cios.

– Wyszła z kanału?

Kiwnęłam głową. Wyraz niepokoju przemknął mu po twarzy.

– Gdzie ona jest?

– Ukryłam ją w zaułku.

– Czy chcesz, żebyśmy wywiózł ją z Krakowa?

Zastanowiłam się nad tym pomysłem. Sadie była teraz poza kanałem i to mogła być dla niej jedyna szansa na odzyskanie wolności. Wiedziałam, że to wspaniała propozycja. Wywiezienie Żyda z Krakowa nie byłoby łatwe i czułam wdzięczność dla Krzysia, że to zasugerował. Jednak wiedziałam, że Sadie nie przyjmie tej oferty.

– Zapytam ją, ale wątpię, żeby się zgodziła. Jej mama jest na dole w kanale. Ona musi tam wrócić. Innymi słowy, nie porzuci pozostałych i nie skaże ich na śmierć głodową. Muszę tylko dostarczyć jej jedzenie.

– Tylko? Chciałbym, żeby to było takie proste.

– Jeśli nie możesz tego zrobić, zrozumiem. – Staralam się z całych sił, żeby mój głos nie zdradził rozczarowania. Krzyś nie był mi nic winien. – W każdym razie dziękuję. – Ruszyłam do wyjścia, zastanawiając się, jak mam powiedzieć Sadie, że ją zawiodłam.

– Poczekaj – zawołał Krzyś. Odwróciłam się. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Naprawdę?

– Nie obiecuję, ale postaram się.

Poczułam, że rośnie we mnie nadzieja i wdzięczność. Pomimo naszych kłótni i trudności w zdobyciu żywności Krzyś zamierza spróbować. Widziałam, że głowi się nad tym, jak dokonać niemożliwego.

– Daj mi kilka godzin.

Spojrzałam na nocne niebo, żeby obliczyć, ile mamy jeszcze czasu.

– Ona musi wrócić przed świtem.

– Gdzie schodzi pod ziemię?

– W pobliżu Podgórze są betonowe schody prowadzące do rzeki. Kilka metrów od nich zobaczysz kratę od kanału. Czy chcesz, żebym poszła z tobą po to jedzenie?

– Tak – powiedział otwarcie, a w jego głosie zabrzmiała czuła nuta.

Kobieta, która na moją prośbę go zawołała, znowu stała za barem i chociaż byliśmy od niej zbyt daleko, żeby słyszała naszą rozmowę, czułam, że nas obserwuje.

– Ale nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł. Idź ze swoją przyjaciółką i ukryj ją gdzieś, gdzie będzie bezpieczna. Spotkamy się przed piątą przy kracie, niezależnie od tego, co będę miał. O ile w ogóle coś zdobędę.

Odwrócił się i wyszedł drzwiami za barem, zanim zdążyłam mu podziękować. Pospieszyłam do wyjścia, żeby odnaleźć Sadie.

Kiedy zobaczyła, że się zbliżam, wynurzyła się zza pojemników na śmieci.

– Udało się?

Widziałam, jak mi się przygląda, wypatrując żywności, której rozpaczliwie potrzebowała.

– Nic nie masz – powiedziała zawiedziona.

– Ale będzie – obiecałam pospiesznie, a jej twarz się rozpuściła.

– A przynajmniej mój znajomy będzie się starał – sprostowałam, nie chcąc, by robiła sobie nadmierne nadzieje na wypadek, gdyby mu się nie udało.

– Powiedziałaś mi o mnie? Ella, przecież obiecałaś!

– Wiem. Przepraszam. To była jedyna możliwość. Jemu można zaufać.

Jednak pomimo mojego zapewnienia jej panika nie mijała.

– On może komuś powiedzieć. Muszę wracać i ich ostrzec.

Ujęłam jej dłonie w swoje.

– Sadie, przestań. Ufasz mi, prawda?

– Tak, oczywiście – odparła bez wahania.

– Więc możesz mi teraz uwierzyć. Krzyś nic nie powie. On należy do Armii Krajowej – dodałam, zdradzając również jego tajemnicę, bo chciałam, żeby nabrała zaufania. – Walczy z Niemcami. Przysięgam, że nic nie powie. I zdobędzie to, czego potrzebujesz. – Przynajmniej miałam nadzieję, że mu się uda.

To wyjaśnienie zdawało się ją uspokajać.

– Kiedy?

– To zajmie mu kilka godzin. Pozwól, że odprowadzę cię teraz do kanału i przyniosę ci jedzenie natychmiast, gdy tylko je dostanę.

– Dobrze – powiedziała zgodnie. Wyszliśmy z zaułka. – Czekaj. – Zatrzymała się ponownie. – Jeśli to ma być tylko kilka godzin, dlaczego nie mogłabym pozostać na powierzchni i poczekać tutaj?

– No nie wiem, Sadie... – Jej prośba mnie zaskoczyła. – To byłoby bardzo niebezpieczne.

– Wiem, że to nie jest dobry pomysł, ale od tyłu miesięcy nie byłam na górze. Chciałabym tylko pobyc tu trochę dłużej i pooddychać świeżym powietrzem. Będę uważać i pozostanę niewidoczna.

Zawahałam się i nie odpowiedziałam od razu. Widziałam, że upaja się wolnością i rozpaczliwie pragnie tu zostać.

– Ale to bardzo niebezpieczne – powtórzyłam. – A poszukiwanie może zająć Krzysiovi więcej niż kilka godzin.

– Wrócę na dół przed świtem – powiedziała niemal błagalnym tonem. – Niezależnie od tego, czy będzie miał jedzenie, czy nie.

Przyglądała mi się, gdy rozważałam jej prośbę. Pozostanie na powierzchni było głupotą. W każdej chwili mogła zostać złapana. Jednak widziałam, jak bardzo tego potrzebuje. Poza tym cieszyłam się z jej towarzystwa i nie chciałam, żeby tak szybko wracała.

– Dobrze – ustąpiłam. – Ale nie tutaj.

Dębniaki, gdzie znajdowała się kawiarnia, leżały niedaleko terenu byłego getta i były często patrolowane przez policję.

Wyszliśmy z zaułka i ruszyliśmy w stronę rzeki. Ulice były puste, a nasze kroki zbyt głośno rozbrzmiewały na chodniku. Gdy dotarliśmy do mostu, zauważyłam samochód policyjny zaparkowany przy filarze.

– Schowaj się! – szepnęłam, wpychając Sadie za niski murek, biegnący wzdłuż rzeki.

Przycupnęliśmy obok siebie bez ruchu. Byliśmy przytulone tak mocno, że czułam bicie jej serca. Miałam nadzieję, że policja nie zorganizowała przy moście punktu kontrolnego, co zmusiłoby nas do znalezienia innej drogi przez rzekę. Sadie była sztywna ze strachu. Nie miała dokumentów, które mogłaby pokazać, gdyby ją zatrzymano, więc natychmiast zostałaby aresztowana. Zastanawiałam się, czy zrobiłam błąd, ulegając jej prośbie, czy powinnam była naciskać, żeby od razu wróciła do kanału. Było już za późno. Oplotłam palcami jej palce, zdecydowana czuwać nad jej bezpieczeństwem przez całą noc.

Po upływie kilku minut samochód odjechał. Gdy podniosłyśmy się z naszej kryjówki, Sadies złapała mnie za ramię.

– Dokąd idziemy?

– Do mnie do domu – powiedziałam, zanim natychmiast sama tego pożałowałam. Pójście tam oznaczało długą wędrówkę po ulicach miasta po godzinie policyjnej, związaną z ryzykiem wykrycia albo jeszcze gorzej. Ale przypomniałam sobie, że Ana Lucia była nocą poza domem. Poszła na kolację z pułkownikiem Maustem do restauracji leżącej w odległej części miasta, bliżej jego mieszkania, i nie wróci do rana. Mój dom był najlepszą kryjówką dla Sadies.

Popatrzyła na mnie z przerażeniem.

– Czy to możliwe?

– Bezpieczne – powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał pewnie. – Obiecuję.

Sadies wyglądała, jakby nadal chciała oponować. Ale jeśli pragnęła zostać na powierzchni w czasie, gdy Krzyś będzie szukał jedzenia, nie miała wyboru.

Gdy szliśmy mostem w kierunku śródmieścia i mojego domu, Sadies patrzyła w przód tak uporczywie, że zapomniała o spoglądaniu pod nogi i lekko się potknęła. Złapałam ją za ramię, żeby nie upadła, i popatrzyłam w ślad za jej spojrzeniem. Początkowo myślałam, że stara

się zobaczyć Wawel leżący na wzgórzu, częściowo przysłonięty zakolem rzeki, ale ona wpatrywała się w niebo.

– Dziś w nocy są niemal błękitne – powiedziała pełnym zdumienia głosem.

Wtedy przypomniałam sobie, że tego dnia, gdy się spotkałyśmy, jedną z pierwszych rzeczy, o które mnie spytała, były gwiazdy.

– Który gwiazdozbiór widzisz?

– Tam – powiedziała gwałtownie, wskazując na północ. – To Wielka Niedźwiedzica. Mój ojciec mawiał, że dopóki potrafisz ją znaleźć, nie zgubisz się.

Jej słowa odbiły się głośnym echem. Odwróciła się.

– A tam, ten wydłużony czworokąt z ogonem to fragment Gwiazdozbioru Smoka.

Starłam się wędrować za jej palcem, kreślącym w powietrzu linie łączące gwiazdy, ale nie widziałam tych figur.

Przeszłyśmy szybko przez most i skierowałyśmy się w stronę Starego Miasta. Sadie nic nie mówiła, ale gdy zbliżyłyśmy się do centrum, widziałam, że chłonie widok znajomych ulic, których nie widziała od kilku miesięcy.

Po chwili skręciłyśmy w Kanoniczą.

– Tu mieszkasz? – spytała Sadie z niedowierzaniem, gdy zaprowadziłam ją na tyły domu.

– Tak.

Wtedy ujrzałam nasz dom oczami Sadie i zrozumiałam, jak wspaniale musi wyglądać w porównaniu z tymi strasznymi miejscami, w których mieszkała. Przez moment zastanawiałam się, czy może mieć do mnie o to żal. Jednak nie było czasu, żeby się tym martwić. Położyłam palec na ustach, dając do zrozumienia, że ma być cicho, żeby

sąsiedzi nas nie usłyszeli. Otworzyłam drzwi od podwórza i wprowadziłam ją do domu.

Ruszyłam w górę schodami dla służby, ale Sadie zatrzymała się za mną.

– Ella, to niebezpieczne, żebym była tutaj – wyszeptała zbyt donośnym szeptem.

– Moja macocha wyszła na cały wieczór – zapewniłam ją, ponaglając, by weszła za mną na piętro i dalej na poddasze. – Usiądź – powiedziałam.

Sadie zawahała się, rozglądając się z zakłopotaniem po moim pokoju, a ja zdałam sobie sprawę, że nie chce niczego zabrudzić swoim ubraniem. Położyłam narzutę na fotelu, na którym lubiłam rysować i czytać.

– Proszę.

Wtedy zauważyłam, jak jest blada i zmęczona.

– Kiedy ostatnio jadłaś?

Nie odpowiedziała, a ja zastanawiałam się, czy nie może sobie przypomnieć, czy nie chce powiedzieć.

– Zaraz wrócę.

Zbiegłam na dół po schodach do kuchni i wyciągnęłam talerz z wędlinami i serem z lodówki. Zanadto się teraz spieszyłam, żeby myśleć o tym, czy Hanna zauważy, że czegoś ubyło, i zaniosiłam jedzenie na górę.

Sadie przysunęła fotel do okna i znowu wpatrywała się w niebo.

– Masz śliczny pokój – zauważyła. – A ten widok najbardziej lubię. Malujesz? – spytała, widząc moje przybory malarskie w kącie. Płótno stało oparte o ścianę. Była to panorama miasta, którą zaczęłam malować jakiś czas temu, ale nie dokończyłam.

Wzruszyłam ramionami.

– Trochę.

Zakłopotana starałam się zabrać płótno z zasięgu jej wzroku, ale przysunęła się bliżej, żeby je obejrzeć.

– To świetne, Ella. Masz prawdziwy talent.

– Trudno myśleć o sztuce w czasie wojny. Tak jakby się poddałam.

– Och, nie powinnaś. Musisz teraz malować jeszcze więcej. Nie możesz pozwolić, żeby wojna zniszczyła twoje marzenia. – Cień smutku przemknął jej po twarzy. – Ale kim jestem, żeby ci to mówić?

– A ty kim chcesz być?

– Lekarzem.

– A nie astronomem? – zażartowałam, przypominając sobie, jak bardzo była zafascynowana gwiazdami.

– Lubię astronomię, a właściwie całą naukę, naprawdę – odpowiedziała gorliwie. – Ale najbardziej interesuje mnie leczenie ludzi i dlatego chciałam zostać lekarzem. Nadal chcę.

Popatrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem.

– O ile znajdę miejsce, gdzie po wojnie będę mogła studiować.

Podziwiałam siłę jej marzeń, niewzruszoną mimo wszystko, co się zdarzyło.

– Znajdziesz – powiedziałam, chcąc utwierdzić ją w dążeniach, tak jak ona mnie. Postawiłam talerz z jedzeniem na stoliku obok fotela. – To dla ciebie.

Nie wzięła nic, tylko wpatrywała się w talerz.

– Bardzo ładna porcelana.

Po raz pierwszy przyjrzałam się kwiatowemu wzorkowi na brzegu naczynia. Był to jeden z naszych codziennych talerzy i nigdy nie

poświęcałam mu uwagi. Patrząc teraz na niego oczami Sadie, przypominałam sobie, że była to część serwisu, który mama dostała w prezencie ślubnym od swoich rodziców, rodzaj łącznika z utraconym światem.

– Powinnaś coś zjeść – powiedziałam.

Jednak nadal nic nie wzięła.

– Ale oni... Powinnam zabrać to do kanału i podzielić się z nimi – powiedziała z poczuciem winy.

– Będzie dla nich więcej. Musisz mieć siłę, żeby im to zanieść – nalegałam.

Niechętnie wzięła kawałek sera i wsunęła do ust.

– Dziękuję – powiedziała, gdy podałam jej więcej. Odwróciła się w stronę zdjęcia na moim biurku, przedstawiającego moich rodziców, rodzeństwo i mnie nad morzem.

– To twoja rodzina?

Skinęłam potakująco i pokazałam niemowlę w ramionach mamy.

– To ja. A to – dodałam, wskazując na Macieja – mój brat, który mieszka w Paryżu. Mam nadzieję, że z nim zamieszka.

– Wyjeżdżasz? – W jej głosie zabrzmiał ton smutku i zdumienia.

– Nie teraz – odpowiedziałam pośpiesznie. – Może po wojnie.

Sadie wyciągnęła rękę i wyjęła inną fotografię zza rodzinnego zdjęcia.

– To Krzyś, prawda?

Kiwnęłam potakująco głową. Powinnam była usunąć fotografię Krzysia w wojskowym mundurze, zrobioną tuż przed jego wyjazdem na front.

– Przed wojną niemal się zaręczyliśmy. Wyjechał na front, a kiedy wrócił, już mnie nie chciał.

Chociaż Krzyś powiedział mi o prawdziwych powodach, dla których trzymał się ode mnie z daleka, odrzucenie nadal bolało.

– Przykro mi – powiedziała Sadie, kładąc mi dłoń na rękę.

Poczułam się głupio, nawet beznadziejnie, że to ona starała się mnie pocieszyć, skoro sama tak cierpiała. Jednak po raz pierwszy, odkąd się to stało, mogłam wyznać komuś, co czuję.

– Jestem pewna, że to nie może być prawda – dodała.

– On mówi, że nie – sapnęłam, pozornie uspokojona. – Powiedział mi, że działa na rzecz walki z Niemcami i musi trzymać się z dala, bo to niebezpieczne.

– No widzisz? Po prostu stara się ciebie chronić. Słyszałam go wtedy na ulicy i w jego głosie brzmiał niepokój. Kiedy wojna się skończy i niebezpieczeństwo minie, wróci do ciebie i będziecie mogli znowu być razem.

Obie wiedziałyśmy, że obietnice dotyczące życia po wojnie były zbyt niepewne, żeby mogły naprawdę mieć znaczenie, ale Sadie próbowała mnie pocieszyć, jak umiała.

– Nigdy nie miałam chłopaka – wyznała.

– Nie?

Pokręciła głową.

– Prawdę mówiąc, zawsze byłam niezręczna i lepiej się czułam w otoczeniu księżek niż chłopców.

– Na pewno jest ktoś...

– Wcale nie!!! – zaprzeczyła, ale coś w jej głosie podpowiedziało mi, że jest zupełnie inaczej.

– Saul? – drążyłam, przypominając sobie imię, które wymieniła.

– Tak – przyznała. – Ale to coś innego.

– Dokładnie tak. Widzę po twojej minie – droczyłam się.

Roześmiałyśmy się.

– Nie, naprawdę – zaprzeczyła, rumieniąc się. – Jego rodzina jest bardzo religijna, a on jest kilka lat starszy i nie myśli o mnie w taki sposób. To tylko ja się zakochałam. Przed wojną był zaręczony, jego narzeczona została zabita, teraz przeżywa żałobę. Nie jestem dla niego nikim więcej niż znajomą. To się nigdy nie ziści.

– Nigdy nie mów nigdy.

– Jestem pewna, że on nie patrzy na mnie w ten sposób.

– Musisz patrzeć na siebie tak, jak chcesz, żeby widzieli cię inni – powiedziałam, przytaczając słowa Any Luci z czasów, gdy byłam młodsza. To była jedna z tych nielicznych pożytecznych rzeczy, które mi przekazała.

Podeszłam do szafy i wyjęłam świeżo wyprasowaną sukienkę.

– Proszę, przymierz.

– Teraz? Och, Ella, nie mogłabym! Nie chciałabym jej ubrudzić.

– Więc się umyj.

Wyglądała na zdziwioną tą propozycją.

– A dlaczego nie? Mamy czas. Chodź, odświeżysz się.

Zaprowadziłam ją do łazienki na trzecim piętrze.

– Możesz się tu umyć.

Sadie spojrzała tęsknie na wannę na nóżkach.

– Śmiało. Poczekam tu na ciebie. Masz czas na kąpiel, jeśli nie będziesz siedzieć długo.

Zamknęłam drzwi, żeby zapewnić jej trochę prywatności. Po chwili usłyszałam lecącą z kranu wodę.

Gdy stałam przed drzwiami łazienki, wróciłam myślami do Krzysia. Zastanawiałam się, w jaki sposób zdobędzie jedzenie, i modliłam się, żeby mu się udało. Byłam też ciekawa, dlaczego spędza tyle czasu w kawiarni. Czy ma to jakiś związek z jego pracą, czy po prostu dlatego, że ma pokój nad tym lokalem? A może bywa tam tak często ze względu na kobietę z ciemnymi lokami?

Po upływie kilku minut Sadie wyszła z łazienki, do czysta wyszorowana i w sukience, którą jej dałam. Była na nią za duża i wyglądało, że Sadie jest nieco skrepowana, jakby nosiła jakiś rodzaj przebrania.

– Ślicznie wyglądasz – powiedziałam.

Było tak naprawdę. Jej jasna, czysta skóra błyszczała. Piwne oczy jaśniały ze szczęścia. Uśmiechała się, gładząc rękoma materiał.

– Wspaniale się czuję. Dziękuję.

Zaprowadziłam ją z powrotem do pokoju.

– Pozwól, że wyszczotkuję ci włosy – zaproponowałam, a ona z ochotą usiadła na krześle.

Siedziała zupełnie cicho, gdy układałam jej włosy w rodzaj koka, a potem przypudrowałam jej nos.

– Jesteś gotowa na wieczór w operze.

Obie zachichotałyśmy.

– Wyglądasz na zupełnie inną osobę – wymknęło mi się mimowolnie. – Nie to miałam na myśli – poprawiłam się natychmiast.

Uśmiechnęła się szczerze.

– Rozumiem. To takie miłe uczucie być czystym. Oczywiście, to nie przetrwa długo...

– Nie martw się o zabrudzenie tej sukienki – powiedziałam. – Zatrzymaj ją, jest twoja.

– Dziękuję, ale nie mówię tylko o sukience. Cała ta noc jest jak sen. Sen, który musi się skończyć.

Jej pobyt tutaj był chwilowym oderwaniem się od smutku i cierpienia. Złapała mnie za rękę i uścisnęła ją.

– Cieszę się, że to zrobiłam. Miło mi, że jesteś tutaj.

Naprawdę tak było, nawet jeśli miało trwać krótko.

– Nadal potrzebujesz butów.

Buty, które miała, niemal się rozpadły wskutek ciągłego przemakania.

– Noszę je, odkąd wyszliśmy z getta. Są niewygodne – wyznała. – Ale daję radę.

Sięgnęłam ponownie do szafy, nagle zdając sobie sprawę, że przez lata zgromadziłam tam mnóstwo obuwia, nie poświęcając temu uwagi. Wyjęłam parę czarnych, mocnych skórzanych butów.

– Mogą być za duże – zaniepokoiłam się.

– Są wspaniałe – powiedziała Sadie, gdy je włożyła, i nie umiałabym powiedzieć, czy to prawda, czy tylko grzeczność. Jednak były ciepłe i suche, a Sadie patrzyła na nie, jakby nigdy nie widziała nic piękniejszego. – Dziękuję – powtórzyła.

Zaraz potem z dołu dobiegł jakiś dźwięk, odgłos otwieranych drzwi. Serce mi zamarło.

– Co to? – spytała Sadie, widząc wyraz mojej twarzy.

Potrząsnęłam głową, prawie nie mogłam mówić, bo w gardle urosła mi gęsia skóra.

– Ana Lucia wróciła do domu.

Rozdział 14

Ella

– To moja macocha – wyjaśniłam szeptem. – Wróciła.

Musiła zmienić plany. I przypuszczałam, że nie jest sama, bo usłyszałam cięższy krok drugiej osoby, wchodzącej za nią po schodach. Nie wspomniałam o tym, nie chcąc straszyć Sadie.

Ale to nie miało sensu; jej twarz pobladła z przerażenia.

– Powiedziałaś, że nikogo nie ma w domu, że ona wyszła gdzieś na noc.

– Tak myślałam. Musisz się schować.

– Ale gdzie?

Uchyliłam drzwi od mojego pokoju i nasłuchiwałam. Usłyszawszy głosy pułkownika Mausta i Any Luci, szybko je zamknęłam.

– Musisz być bardzo cicho. Moja macocha ma towarzystwo.

Nie można było ukrywać tego dłużej.

– Ella, czy gość twojej macochy jest Niemcem? – wyszeptała Sadie.

Chciałam skłamać, ale akcent pułkownika Mausta nie pozostawiał wątpliwości.

– Tak. – Serce mi zamarło. – Musisz zrozumieć. Ja wcale nie jestem taka. Nienawidzę tego, że ona przyjmuje Niemców, tym bardziej w domu mojego ojca. Rzecz jasna, nie spodziewałam się, że będą tu dziś w nocy. A nie wiedziałam, gdzie indziej cię ukryć.

Jednak moje tłumaczenia były dla niej niewielką pociechą.

– Nie powinnaś przyprowadzać mnie tutaj – w głosie Sadie zabrzmiał ton oskarżenia.

– Przepraszam. Zrobiłam błąd. Próbowałam pomóc. Nie chciałam sprowadzić na ciebie niebezpieczeństwa.

Rozpaczliwie rozglądałam się za miejscem, gdzie mogłaby się ukryć.

– Tutaj – powiedziałam, pokazując na szafę.

Stała jak skamieniała.

– To jedyne wyjście. Dopóki nie zasną. Potem będę mogła wyprowadzić cię z domu.

Sadie weszła do szafy, a ja zasłoniłam ją ubraniami.

Zaraz potem rozległo się stukanie do drzwi.

– Ella, to ty? – odezwał się bełkotliwy głos w korytarzu.

Ogarnął mnie niepokój; Ana Lucia nigdy nie wchodziła na czwarte piętro.

– Tak, Ano Lucio – starałam się nadać głosowi normalne brzmienie.

– Myślałam, że słyszę rozmowę.

– Ja tylko przesłuchiwałam płyty gramofonowe. Już kończę.

Nie życząc mi dobrej nocy, Ana Lucia odwróciła się i zeszła piętro niżej, prawie spadając ze schodów. Usłyszałam, jak drzwi do jej sypialni się zamykają. Nadal bałam się otworzyć szafę. Rury przenosiły okropne odgłosy łóżkowych igraszek Any Luci i pułkownika. Modliłam się zakłopotana, żeby Sadie zamknięta w szafie ich nie usłyszała.

Po chwili w sypialni niżej zapanowała cisza. Odczekałam, żeby nabrać pewności, że oboje zasnęli. Potem otworzyłam drzwi szafy i pomogłam Sadie wyjść. Wyglądała na zagniewaną i przestraszoną. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zatkałam je dłonią, żeby nie obudziła Any Luci ani jej żalosego gościa.

– Ciii... – powiedziałam. – Nie teraz.

Wyprowadziłam ją szybko z pokoju i w dół po schodach. Deski podłogowe skrzypiały, przy każdym kroku grożąc nam zdemaskowaniem.

W końcu dotarliśmy na parter.

– Czy już czas wracać? – spytała Sadie, gdy wychodziłyśmy z zaułka za moim domem na ulicę Kanoniczą.

Pokręciłam głową.

– Mamy jeszcze przynajmniej dwie godziny.

Był środek nocy, a nie znałam innego miejsca, gdzie mogłybyśmy przeczekać lub się ukryć.

– Czy możemy się trochę przejść? – spytała. – Chciałabym jeszcze raz zobaczyć miasto.

Zamierzałam powiedzieć „nie”. Powinnyśmy pójść wprost nad rzekę i znaleźć jakąś kryjówkę w pobliżu kraty od kanału. Kręcenie się po mieście nie było bezpieczne, byłyśmy na ulicy, naruszając godzinę policyjną, i mogłyśmy zostać aresztowane, gdyby nas schwytano. Sadie przecież o tym wiedziała.

– Ella, proszę. Chcę być na wolności troszkę dłużej. Kto wie, kiedy znowu będę miała taką okazję?

Przyjrzałam się sytuacji jej oczami. Dla niej były to upragnione chwile swobody, może ostatnie. Ruszyłam w kierunku zaciemnionych uliczek za Rynkiem, przekonana, że Sadie chce zobaczyć Starówkę, ale złapała mnie za ramię, ciągnąc w inną stronę. Poprowadziła mnie na południe w kierunku Kazimierza, dzielnicy, gdzie niegdyś znajdował się jej dom.

Chociaż kilka razy przechodziłam obok Kazimierza w drodze do mostu, od wybuchu wojny tu nie zaglądałam. Była tam płatanina wąskich uliczek i kilkanaście synagog. Wśród mnóstwa sklepów uwijali się kupcy, na ulicach słyszało się częściej jidisz niż polski. Teraz

wszyscy Żydzi zniknęli, budynki były spalone, miały wybite szyby. Jednak resztki tego świata nadal istniały – żydowskie napisy na kawałkach potłuczonych szyb, wyraźne ślady mezuz zawieszonych niegdyś na drzwiach.

Szłyśmy przez wymarłe ulice bez słowa, ciszę mącił tylko trzask szkła, kruszonego pod naszymi stopami. Kątem oka obserwowałam Sadie. Z każdym mijanym domem była coraz bardziej przygnębiona. Po raz pierwszy widziała, co się stało z jej dzielnicą, i zastanawiałam się, czy nie żałuje, że tu przyszła.

– Możemy zawrócić – zaproponowałam. – Pójść inną drogą.

Oglądanie tego, co już nie istnieje, na pewno sprawiłoby jej tylko więcej bólu. Jednak szła dalej, ponura i zdeterminowana.

Sadie skręciła w mniejszą uliczkę i zatrzymała się przed rzędem kamienic. Nie wyglądały na tak bardzo zniszczone jak tamte, które mijaliśmy. Robiły wrażenie, że mogliby tam mieszkać ludzie. Sadie nic nie mówiła, patrząc na budynek, zatopiona we wspomnieniach.

– To wasz? – spytałam.

Pokiwała głową.

– Nasze mieszkanie było na trzecim piętrze.

Zrozumiałam, że jej rodzina zajmowała tylko część kamienicy, a nie całą, jak nasza. Dom Sadie był dość zwyczajny, ale widząc jej rozmarzone spojrzenie, mogłam się domyślić, że musiał być pełen ciepła i miłości.

– Jeszcze tu wrócisz – powiedziałam. Wsunęłam dłoń w jej rękę i ucisnęłam palce. – Po wojnie.

Chociaż chciałam być miła, obie wiedziałyśmy, że to kłamstwo. Wojna rozbiła jej życie na tyle kawałków, że już nie dałoby się ich złożyć w całość. Niezależnie od tego, jaka przyszłość czekała ją po wojnie, nie spędzi jej tutaj.

Sadie tak długo stała bez ruchu, aż zaczęłam się obawiać, że w ogóle stąd nie odejdzie. Nastawiłam się, że będę musiała ją do tego namawiać, ale po raz ostatni spojrzała na dom i odwróciła się do mnie.

– Jestem gotowa – powiedziała w końcu.

Poszliśmy powoli w stronę rzeki na Podgórzu. Kiedy zbliżyliśmy się do mostu, poszukałam wzrokiem Krzysia na odległym brzegu. Oczywiście nie zobaczyłam go tam. Było zbyt wcześnie, została jeszcze przeszło godzina do ustalonej pory spotkania. Znowu martwiłam się wszystkimi możliwymi przeciwnościami losu – że nie uda mu się zdobyć jedzenia albo że zostanie aresztowany.

– Krzysia jeszcze nie ma – powiedziałam.

– Nadal go lubisz – odparła Sadie. – Słyszę to po sposobie, w jaki wymawiasz jego imię.

Wzruszyłam ramionami.

– Może. Ale nigdy nie będziemy mogli być razem, więc jakie to ma znaczenie?

– Nigdy nie mów nigdy – powiedziała, przytaczając moje własne słowa sprzed paru godzin.

Obie roześmiałśmy się, a nasze głosy poleciały daleko z wiatrem.

– Miłość zawsze ma znaczenie – dodała już poważnym tonem.

Doszliśmy do zakrętu w pobliżu mostu, gdy usłyszałyśmy przed sobą warkot silnika. Po chwili ujrzałyśmy policyjne auto, takie jak to, które widziałyśmy wcześniej. Patrowało brzegi. Cofnęłyśmy się za róg, przywierając mocno do jednego z budynków, żeby pozostać niezauważone. Sadie drżała obok mnie. Przygotowywałam się na to, że nas wykryją, i próbowałam wymyślić jakąś wymówkę, dlaczego jesteśmy na dworze o tej godzinie. Samochód powoli sunął drogą biegnącą wzdłuż rzeki.

– Nie możemy czekać tutaj – powiedziałam, kiedy auto przejechało.

– Co zrobimy? – spytała Sadie, nadal trzęsąc się ze strachu.

Zastanowiłam się nad jej pytaniem. Nie mogłyśmy wrócić do mnie do domu, ale przebywanie na ulicy było ryzykowne.

– Musimy znaleźć jakieś niewidoczne miejsce.

– Gdzie? – spytała.

Nie odpowiedziałam, ale przyglądałam się szeregowi domów stojących wzdłuż rzeki, rozpaczliwie szukając możliwej kryjówki. Utkwiłam wzrok w budynku, który wyglądał na opuszczony, a do wejściowych drzwi prowadziło kilka stopni.

– Tam – powiedziałam, pokazując przestrzeń pod schodami, gdzie było tylko kilka skrzynek.

Sadie poszła za mną w stronę domu ze schodami. Gdy odsunęłyśmy skrzynki, ujrzałyśmy wąski korytarzyk, z którego buchnął stęchły odór. Wzięłam płytki oddech i starałam się nie wymiotować, ale Sadie bez wahania wślizgnęła się w tę niewielką przestrzeń, jakby wcale nie czując smrodu. Nie wiedziałam, czy ludzie mieszkający w sąsiednich domach nie zobaczą nas pod schodami albo się czegoś nie domyślą. Jednak nie miałyśmy wyboru i musiałyśmy się tu schować.

Wczołgałam się ostrożnie, a Sadie zastawiła wejście skrzynkami, żeby nas osłonić, chociaż to nie powstrzymałoby nikogo, kto chciałby tu wejść. Przytuliłyśmy się do siebie w milczeniu.

– Dziś są moje urodziny – powiedziałam nagle głośno. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, i przez to, że dni zlewały się w jedną całość, niemal o tym zapomniałam.

Sadie, siedząc, bardziej się wyprostowała.

– Och, Ella, wszystkiego najlepszego!

Aż niewiarygodne, że zapomniałam o własnych urodzinach. Byłam najmłodszym dzieckiem w rodzinie i moi rodzice zawsze robili wokół

tego duże zamieszanie, z przyjęciem, prezentami, balonikami i spacerem do zoo, jeśli była ładna pogoda. Teraz po prostu nikt o tym nie pamiętał.

– A kiedy są twoje urodziny? – spytałam Sadie.

– Ósmego września. Może do tej pory już się wszystko skończy i będziemy mogli obchodzić je razem.

– Na pewno – powiedziałam, sama chcąc uwierzyć w tę nieprawdopodobną wizję przyszłości. Sadie wyglądała na wyczerpaną i położyła mi głowę na ramieniu. Widziałam, że ma dreszcze, a ja nie byłam pewna, czy to z zimna, ze strachu, czy z jakiejś innej przyczyny. Przysunęłam się bliżej, żeby ją rozgrzać, potem zdjęłam sweter, owinęłam ją nim i mocno przytuliłam. Wkrótce ogarnęło mnie ciepło i zasnęliśmy w tym przedziwnym miejscu.

Po jakimś czasie obudziłam się. Sadie odsunęła się ode mnie i leżała zwinięta w kłębuszek.

– Sadie, wstawaj! – zgańłam się, że pozwoliłam sobie zasnąć. W oddali dzwon wybijał piątą. – Jesteśmy spóźnione! Musimy iść!

Pospiesznie wydostałyśmy się z naszej kryjówki i pobiegłyśmy w stronę rzeki. Gdy przechodziłyśmy przez most, pierwsze promienie słońca zaczęły oświetlać niebo na wschodzie, a światło przebijało w szczelinach między ciemnymi, rozstępującymi się chmurami. Obserwowałam odległy brzeg, wypatrując na umówionym miejscu Krzysia. Nie było go. Zastanawiałam się, czy już poszedł i się z nim minęłyśmy. Był już prawie ranek. Wkrótce na brzegu pojawią się robotnicy, a szansa, że Sadie zejdzie pod ziemię niezauważona, przepadnie. Szykowałam się, żeby jej powiedzieć, że będzie musiała wracać do kanału bez jedzenia. Mogłabym jej coś przynieść później, ale to nie będzie to samo. Sadie potrzebowała go teraz.

Wreszcie zobaczyłam Krzysia, który nadchodził z innej strony, przecinając nabrzeże wielkimi krokami.

– Szybko – powiedziałam do Sadie i pobiegłyśmy mu na spotkanie. Krzyś niósł w ramionach worek, większy, niż się spodziewałam.

– To ziemniaki – oznajmił, ledwie łapiąc oddech po szybkim marszu. – To wszystko, co mogłem dostać.

Zabrzmiało to przepraszająco.

– Wspaniale.

Sadie mi mówiła, że ziemniaki miały wartość złota, bo mogły być długo przechowywane.

– Tylko tyle udało mi się teraz zdobyć. Postaram się znaleźć więcej.

– Dziękuję – powiedziałam.

Krzyś i ja przez kilka sekund staliśmy i przyglądaliśmy się sobie, od nowa odczuwając łączące nas przedtem więzy. Odwróciłam się do Sadie, która trzymała się z tyłu, kilka metrów dalej.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. – To mój przyjaciel.

– Krzysztof – przedstawił się, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką. Nie podała mu swojej. – Miło mi panią poznać – dodał.

Zauważyłam, że zaskoczył go jej wygląd, to, jak bardzo była szczupła i blada. Ja już się do tego przyzwyczytałam, ale ktoś, kto widział ją po raz pierwszy, musiał przeżyć swego rodzaju szok.

– Sadie – powiedziała. Wiedziałam, ile ją kosztowało, by zaufać mi na tyle, żeby wyjawić swoje imię. – Dziękuję za żywność.

– Muszę już iść – stwierdził Krzyś, a ja nie byłam pewna, czy to prawda, czy chce po prostu dać nam ostatnią minutę sam na sam. Podał mi worek z ziemniakami, a nasze palce się zetknęły. Wymieniliśmy spojrzenia.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Ella, chciałem ci powiedzieć... – głos mu się załamał.

Zaraz potem rozległ się stukot spod mostu. Odwróciłam się w tamtą stronę, obawiając się, że to znowu policja. Ale był to tylko robotnik portowy, który wyładowywał towar z ciężarówki.

– Muszę pomóc Sadie wrócić – odezwałam się przeproszającym tonem.

– Oczywiście.

Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie.

– Spotkamy się później? – spytał. – Mam pokój nad kawiarnią przy Barskiej, na najwyższym piętrze.

Pomyślałam, że powinnam odmówić. Spotkanie się z Krzysiem w jego pokoju było czymś niestosownym. Nie wiedziałam, czy chodzi mu tylko o rozmowę, czy o coś więcej. To, co było między nami, odeszło zbyt daleko, by teraz do tego wracać.

Jednak coś mnie powstrzymało przed odmową.

– Postaram się – powiedziałam, nie chcąc jednoznacznie obiecywać.

Wyraźnie zadowolony ruszył przed siebie.

– Krzysiu! – zawołałam, a on się odwrócił. – To wszystko, co zrobiłeś... dla mnie... dla Sadie... Naprawdę jestem wdzięczna.

Chciałam powiedzieć mu znacznie więcej, ale teraz nie było na to czasu. Uchylił kapelusza i odszedł.

Wręczyłam Sadie worek.

– On cię wcale nie lubi – powiedziała Sadie kpiąco.

Postanowiłam zignorować tę zaczepkę.

– Masz wszystko, co potrzeba?

– Tak.

Przesunęła ręką po worku. Ziemniaki były tylko tymczasowym rozwiązaniem problemu, bo mogły zapewnić Sadie i pozostałym najwyżej kilka kolejnych tygodni, nie ratowały ich od śmierci głodowej. Ale wyglądało na to, że dają jej nadzieję.

– Dzięki tobie.

– I Krzysiówi – dodałam.

– Tak, oczywiście – odparła. – Jemu również jestem bardzo wdzięczna. Po prostu zaufanie innym nie przychodzi teraz łatwo.

– Rozumiem.

Doszliśmy do kraty nad kanałem.

– Zaczekaj – powiedziałam.

Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Wiesz, jeśli nie chcesz tam wracać, istnieją pewne sposoby.

Pokręciła głową.

– Oni mnie potrzebują. Nie mogłabym ich zostawić.

– Wiem – powiedziałam z podziwem dla jej lojalności. – Chyba po prostu nie jestem gotowa, żeby już się z tobą rozstać.

Staralam się mówić lekkim tonem, ale mi się nie udało. Sadie była moją przyjaciółką i nienawidziłam tego, że muszę zaprowadzić ją z powrotem do kanału.

– W porządku – odparła, uspokajając mnie, chociaż powinno być dokładnie na odwrót. – Zobaczymy się w przyszłym tygodniu?

– Tak, oczywiście.

Miałam jednak poczucie, jakby coś nieodwołalnie się zmieniło.

– Ale w niedzielę rano, jeśli ci się uda, żebyś nie musiała naruszać godziny policyjnej.

– Będę – odpowiedziała.

W oddali widziałam coraz więcej robotników zmierzających nad rzekę. Dla Sadie robiło się już tutaj zbyt niebezpiecznie. Odsunęłam kratę.

– Musisz natychmiast iść.

– Dziękuję – powiedziała i zawahała się. – Naprawdę nie chcę tam wracać.

– Przysięgam, że znowu cię stamtąd wyprowadzę – obiecałam.

Sadie zatrzymała się, potem wyjęła z kieszeni wisiorek z napisem *chai*.

– Powinnaś poczekać, aż znajdziesz się pod ziemią, zanim go z powrotem założysz – stwierdziłam, ale ona podała go mnie. – Nie rozumiem.

– Należał do mojego taty. To jedyna rodzinna pamiątka, która mi pozostała, a jeśli mi się nie uda...

– Nie mów tak – przerwałam jej.

Oczywiście, zdawałam sobie sprawę, że życie Sadie w kanałach było zagrożone i że w każdej chwili mogła zostać schwytana. Zaprzyjaźniłyśmy się, więc nie mogłam znieść myśli, że mogłoby się jej coś stać.

Pokręciła głową, nieskłonna negować taką możliwość.

– Jeśli mi się nie uda, to musi być bezpieczne.

– Uda ci się – zapewniłam ją, chociaż przecież nie mogłam tego wiedzieć na pewno. – Przechowam go dla ciebie, aż wyjdiesz.

Niechętnie wzięłam od niej naszyjnik. Zaciążył mi w dłoni bardziej, niż powinien. Posiadanie żydowskich kosztowności było nielegalne i żądano, by przekazywać je władzom. Gdyby mnie przyłapano, zapłaciłabym życiem. Jednak przyjęłam wisiorek.

– Obiecuję, że będzie u mnie bezpieczny.

To ją zadowoliło. Zaczęła opuszczać się w dół, do wodnego lochu, kurczowo ściskając worek z ziemniakami.

– Uważaj! – przestrzegłam ją.

Trzymałam ją tak długo, jak byłam w stanie, i sama omal nie wpadłam do otworu. Kiedy już nie mogłam utrzymać jej dłużej, opuściłam ją w dół. Podniosła po raz ostatni twarz w moją stronę.

– Dziękuję, Ella.

A potem odeszła.

Rozdział 15

Sadie

Smutna zsuwałam się coraz niżej w głąb kanału, a Ella obserwowała mnie z góry. Umieściła z powrotem kratę na swoim miejscu i ponownie odgrodził nas mur. Gdy znowu zanurzałam się w ciemności pod ziemią, czułam się tak, jakbym od nowa przeżywała tę noc, gdy pierwszy raz tu trafiłam. Tylko tym razem nie było ze mną taty.

Brnęłam przez zbiornik. Brudna woda bryzgała mi spod stóp, brudząc brzeg sukienki, którą dostałam od Elli. Ruszyłam tunelem z workiem ziemniaków w rękach. Idąc, wyobrażałam sobie, jak Ella wraca do domu, który był wspanialszy niż wszystko, co widziałam. Pewnego dnia na początku okupacji mijaliśmy z tatą ładną kamienicę (ale nie tak piękną jak dom Elli) wychodzącą na Planty, które oddzielały Kazimierz od centrum miasta. Byłam zdumiona, widząc wykwintną kobietę, która wysiadła z eleganckiego, czarnego samochodu i weszła do budynku, niosąc kilka toreb z zakupami.

– Jak oni mogą nadal żyć na takim poziomie? – dziwiłam się.

Tato wyjaśnił mi później, że jedynymi ludźmi, którym nadal się tak dobrze powodziło, byli ci, którzy współpracowali z Niemcami. Rodzina Elli należała do tej grupy osób. Jej macocha spotykała się z nazistą. Jej rodzina przypatrywała się biernie temu, gdy nas wywożono, a może nawet skorzystała na tym. Pomyślałam z gniewem, że powinnam ją znienawidzić.

Jednak czułam się zagubiona: Ella była przecież tą samą dziewczyną, która wiernie przychodziła nad studzienkę kanalizacyjną niemal w każdą niedzielę i przynosiła mi jedzenie i jakieś upominki, a co ważniejsze – rozmawiała ze mną. Ryzykowała własne bezpieczeństwo, by mnie ukryć i pomagać mnie, mojej mamie i rodzinie Rosenbergów. Gdyby nie ona, wszyscy umarlibyśmy z głodu. Niezależnie od jej

rodziny i wszystkiego, co nas różniło, była dobrym człowiekiem – i moją przyjaciółką.

Gdy zbliżałam się do komory, przyspieszyłam kroku, a worek z ziemniakami obijał mi się o nogi. Bardzo pragnęłam podzielić się z całą resztą swoim łupem. Już był ranek, za kilka chwil mama obudzi się i zorientuje, że mnie nie ma.

Przed wejściem do naszej kryjówki pojawił się Saul.

– Sadie! – krzyknął zbyt głośno.

Zrobiło mi się ciepło na sercu. Tęskniłam za nim podczas mej krótkiej nieobecności i teraz nabrałam nadziei, że on czuł to samo. Jednak kiedy podbiegł do mnie, na jego twarzy widać było niepokój.

– Tak się cieszę, że już jesteś! Kiedy odkryłem, że cię nie ma, poszedłem na poszukiwania, ale nie mogłem cię znaleźć. Bardzo się martwiłem – Saul z poczuciem ulgi wyrzucał z siebie lawinę słów. –

Muszę ci powiedzieć... – przerwał gwałtownie, najwyraźniej zauważywszy moje nowe ubranie. – Gdzie byłaś?

Z dumą podniosłam worek ziemniaków.

– Zdobyłam to.

Wręczyłam mu pakunek, a on postawił go sobie przy nogach.

– Dzięki Bogu, że z tobą wszystko w porządku – powiedział z ulgą. – Cudownie, że zdobyłaś jedzenie. Ale Sadie, musisz szybko iść. Coś się stało.

– Co? – spytałam z lękiem.

– Jesteś! – zaskrzeczał jakiś głos, przerywając nam, zanim Saul zdążył odpowiedzieć.

Spojrzeliśmy w tamtą stronę i zobaczyliśmy babcię Saula, podpartą pod boki. Czekałam, że zacznie na mnie krzyczeć za to, że wyszłam. Ale powiedziała tylko:

– Twoja matka rodzi.

– Co? – W brzuchu zaczęła mi się tworzyć kula. – Ale nie szykowała się nawet na przyszły miesiąc.

– Właśnie miałem ci to powiedzieć. Poślizgnęła się i upadła – wyjaśnił Saul.

– Wtedy kiedy cię szukała – dodała Babi, nie przebijając w słowach. – Przewróciła się w tunelu i zaczął się poród. Dziecko jest w drodze.

Dziecko jest w drodze.

Modliłam się, żeby okazało się, że źle usłyszałam. Dziecko nie miało pojawić się na świecie aż do przyszłego miesiąca. Nie mieliśmy nic przygotowanego na jego czy jej przyjście na świat, chociaż byłam pewna, że i tak właściwie nic nie mogliśmy zrobić, by coś przygotować dla niemowlęcia w tym strasznym miejscu.

Gdy wbiegłam do komory, ogarnęło mnie poczucie winy i panika. Mama leżała na podłodze obok posłania, jakby spadła. Szybko uklękłam przy niej i starałam się ją podnieść, ale nadal leżała zwinięta w kłębek.

– Mamo, dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała. Objęłam ją w pasie i próbowałam wciągnąć na podest. Jednak ciężowy brzuch ciągnął ją w dół i nie dałam rady.

– Mamo, proszę. Nie możesz tu zostać. Musisz się podnieść.

Wyglądało na to, że się ocknęła. Opasałam ją w talii ramieniem i pomogłam stanąć na nogi. Spojrzała na mnie, jakby widząc po raz pierwszy w życiu.

– Sadele?

– Jestem.

Miała bladą, lekko spoconą twarz i ciężko oddychała. Skrzywiła się, a ja myślałam, że ma skurcze porodowe.

– Znowu poszłaś zobaczyć się z tą dziewczyną, prawda? – wydyszała, a jej gniew mieszał się z bólem.

Zawahałam się, bo nie chciałam odpowiadać, żeby nie wywołać głębszej rozpaczki.

– Mamo, zdobyłam jedzenie. Przepraszam, że złamałam obietnicę. Możesz później się na mnie gniewać, ale teraz pozwól mi sobie pomóc.

Wyglądała, jakby nadal chciała na mnie krzyżeć. Jednak twarz wykrzywiła jej się z bólu i osunęła się bokiem na mnie.

– Dziecko jest w drodze.

Pomogłam jej się położyć. Zobaczyłam, że ma mokre nogi, ale nie od ścieków, od czegoś innego, co było ciemne i gęste. Od krwi. W getcie dziesiątki razy słyszałam o narodzinach dzieci i byłam niemal pewna, że nie powinno być krwi, a przynajmniej nie tak dużo. Rozpaczliwie rozglądałam się za Babi, ale zniknęła. Przed wojną niedaleko naszego mieszkania znajdował się szpital, w którym mama mogłaby urodzić. W getcie przychodzili rodzącym kobietom z pomocą lekarze i położne z sąsiedztwa. Natomiast tutaj nie mieliśmy nawet czystych prześcieradeł czy ręczników. Chciałabym, żeby był tu ojciec, a przynajmniej Paweł i powiedział mi, co robić. Popatrzyłam w stronę Saula i pana Rosenberga, ale oni by się nie przydali.

W końcu w komorze pojawiła się Babi. Chociaż zazwyczaj gderała i złościła się na mnie, była moją jedyną nadzieją. Nie zadając mi pytań, podeszła i podwinęła rękawy.

– Jest tyle krwi – powiedziałam łamiącym się głosem.

Babi pokiwała krótko głową dla potwierdzenia, ale nie wyjaśniła mi, co to znaczy.

– Ułóż ją płasko – poleciła. – Szybko! – warknęła, gdy od razu nie posłuchałam. – Musimy unieść jej nogi, tak by były nad poziomem serca, by powstrzymać krwawienie. Chcesz, żeby umarła, czy nie?

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Słyszałam, że kobiety umierają podczas porodu, ale nie dotyczyło to mnie aż do dziś, gdy wydanie na świat tego dziecka mogło zabić mamę.

Dotknęłam jej ramienia.

– Mamo, połóż się, proszę.

Odepchnęła mnie, nadal zgięta w pół.

– Dziecko. To za wcześnie.

Staruszka wyrzuciła swojego syna i wnuka z komory, żeby zapewnić mamie większą prywatność, potem wróciła z naszym jedynym dzbankiem wody pitnej i zdecydowanie niezbyt czystym ręcznikiem.

– Pomagałam położnej z sąsiedztwa kilka razy – powiedziała, delikatnie układając mamę w pozycji leżącej. – Dam radę. Stań przy jej głowie i trzymaj ją za rękę.

Nie wiedziałam, czy jej doświadczenie wystarczy, ale nie było innej możliwości.

Mama zawyła, a jej krzyk odbił się echem po naszej izbie.

– Ciii! – upomniała ją staruszka.

Wiedziałam, że poród jest bolesny. Przez grube ściany budynków w getcie dobiegały mnie krzyki i wycie towarzyszące wydawaniu na świat nowego życia. Jednak tutaj mama nie mogła krzyczeć, żeby nie zdemaskować nas przed Niemcami na górze. Babi znalazła kawałek drewna i włożyła je mamie między zęby. Mama zagryzła je mocno, a jej twarz poczerwieniała, a potem zbladła.

Po chwili wyczerpana położyła się na plecach.

– Dobrze się czujesz? – spytałam, pochylając się nisko i ocierając jej czoło ściereczką.

– Daj jej odpocząć – poleciła staruszka. – Musi zebrać siły pomiędzy skurczami, zanim będą mocne.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Myślałam, że to już najgorsze. Nie wyobrażałam sobie, że mogłoby być jeszcze gorzej.

Jednak było gorzej. Następowaly kolejne sekwencje coraz dłuższego i intensywniejszego parcia i bólu, silniejszego niż poprzednim razem. Pomiedzy skurczami mama lezala, odpoczywajac, półprzytomna. Minęła godzina, potem następna. Skurcze były coraz częstsze, a męczarnie mamy coraz większe.

Po którymś szczególnie mocnym napadzie Babi zbadała mamę, potem wyprostowała się z poważną miną.

– Powinnaś wyjść – powiedziała, starając się gwałtownie mnie wypędzić.

– Dlaczego? Dzieje się coś złego?

Babi pokiwała głową.

– Straciła dużo krwi. Jeśli dziecko wkrótce nie przyjdzie na świat...
– nie dokończyła tej myśli.

Przerażenie przeszło mnie jak ostrze noża.

– Nie!

Mama leżała teraz spokojnie z zamkniętymi oczami. Nachyliłam się do jej nosa, żeby upewnić się, czy nadal oddycha. Potem położyłam głowę obok jej głowy i wzięłam ją za rękę.

– Dasz radę, mamo. Proszę. Jesteś nam potrzebna – mówiłam to w imieniu swoim i rodzeństwa, które się jeszcze nie urodziło.

Wyglądało na to, że mama nabrała siły na dźwięk mojego głosu. Otworzyła oczy i znowu zaczęła przeć. Tym razem wydała krzyk tak głośny, że na pewno można go było usłyszeć na ulicy. Wbiła się głęboko paznokciami w moją dłoń, drapiąc mnie do krwi, ale dalej trzymałam ją mocno. Nie opuszczałam jej.

Dziecko przyszło na świat z głośnym krzykiem, który nie pozostawiał wątpliwości co do jego zdrowia. Gdy ten wrzask rozległ się w kanale, Babi zrobiła ponurą minę.

– Podaj mi dziecko – powiedziała mama ochrypłym głosem.

Babi podała niemowlę mamie, która przycisnęła jego główkę do piersi, próbując je uciszyć. Jednak nie miała jeszcze mleka, a twarzą dziecka poczerwieniała z niezadowolenia. Mama przytuliła je jeszcze mocniej do piersi, niemal je dusząc, bo chciała stłumić jego płacz.

– To dziewczynka – ogłosiła staruszka.

Zastanawiałam się, czy mama nie wolałaby mieć syna, który przypominałby jej tatę. Podeszłam do naszych rzeczy, żeby przynieść kocyk niemowlęcy, który zabraliśmy ze sobą podczas ucieczki z getta. Mimo że przemókł podczas powodzi, jak wszystkie nasze rzeczy, pozostał nadal biały z dwoma niebieskimi pasami na obu końcach. Podałam go mamie.

Nagle jej głowa poleciała do tyłu, a ramiona opadły i niemal upuściła dziecko. Staruszka ze zdumiewającą prędkością podbiegła, by ją podtrzymać.

– Weź ją – wydała polecenie i bez ostrzeżenia wręczyła mi dziecko. Nigdy wcześniej nie trzymałam niemowlęcia i moje ręce niezdarnie wędrowały wokół dziwnego, wierzącego się zawiniątka.

– Mamo! – krzyknęłam zbyt głośno. – Co jej jest?

Babi nie odpowiedziała, ale skupiła się na cuceniu mamy. Wstrzymałam oddech. Została mi już tylko ona. Nie mogłam jej stracić.

Po chwili mama otworzyła oczy. Przez kilka sekund nic nie widziała, ale potem dostrzegła mnie z małą siostrzyczką na rękach. Uśmiechnęła się blado.

– Wszystko będzie dobrze – oświadczyła Babi. – Jest słaba, ale przynajmniej krwawienie ustało.

Popatrzyłam w dół, przyglądając się dziecku. Wcześniej nie byłam pewna, jak się będę czuć, mając siostrę lub brata. Wszystkie dzieci, łyse i okrągłe, zawsze wyglądały dla mnie tak samo. Gdy teraz spoglądałam na niemowlę, które miało taki sam perkaty nos jak ja, zalała mnie fala miłości i ogarniała coraz bardziej. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, by chronić siostrę.

– Jak będzie mieć na imię? – spytałam, mając nadzieję, że mama wybierze żeńską wersję imienia taty, czyli pochodną od Michała.

Mama pokręciła głową. Pomyślałam, że może jest zbyt osłabiona, by teraz podjąć decyzję. A może nadanie imienia dziecku urodzonemu w tak beznadziejnej sytuacji wymagało więcej nadziei, niż mogła mieć.

Chwilę później staruszka zabrała ode mnie niemowlę i podała je mamie, która znowu usiłowała je nakarmić. Wyszłam z komory, by podzielić się z innymi nowiną.

– To dziewczynka – powiedziałam.

– *Mazel tow* – odezwał się pan Rosenberg obojętnym tonem.

– Dziecko to znak życia, nadziei – powiedział Saul, robiąc krok w moim kierunku. Przez chwilę myślałam, że weźmie mnie za rękę, ale oczywiście tego nie zrobił.

– A jak twoja mama, dobrze?

– Tak, dziękuję. Wygląda na to, że tak.

Płacz dziecka stawał się głośniejszy i docierał z komory do tunelu. Zmarszczki na czole pana Rosenberga zdawały się coraz głębsze.

– Jak powstrzymacie ją od płaczu? – spytał.

Nie odpowiedziałam. Wcześniej bardzo niepokoiłam się tym, jak mama da radę urodzić dziecko w kanale i jak sprawić, by ona i dziecko bezpiecznie to przetrwały. Ale teraz, gdy dziecko już tu było, pojawił się nowy problem. Życie w kanale wymagało od nas zachowania ciszy, zwłaszcza w ciągu dnia, kiedy ludzie chodzili po ulicach i odwiedzali

kościół. Z pewnością usłyszeliby krzyki niemowlęcia. Jak sobie damy z tym radę?

Zawróciłam do komory, żołądek ciążył mi jak ołów. Żyjąc tu, napotykaliliśmy tak wiele trudności: konieczność ukrywania się przed Niemcami, zdobywania jedzenia, zachowania zdrowia w tych strasznych warunkach, zagrożenie zalaniem. A teraz wyglądało na to, że małe dziecko będzie największym problemem ze wszystkich.

Rozdział 16

Ella

Kiedy Sadie zniknęła w kanale, szybko oddaliłam się od rzeki i ruszyłam w stronę Dębnik. Ranek był już w pełni i dozorczy sprząkali śmieci z chodników. Dotarłam do kawiarni przy Barskiej, ale nie weszłam do środka, tylko przez sąsiednie drzwi poszłam schodami do mieszkania powyżej. Budynek był stary i ciemny. Nikt nie zwracał sobie głowy wymianą przepalonych żarówek na klatce schodowej, i wszędzie unosił się zapach dymu z fajki.

Wspięłam się na najwyższe piętro i zapukałam do jedynych drzwi. Nikt się nie odezwał.

– Krzyś? – zawołałam miękko.

Cisza. Poczekalam zmieszana kilka sekund. Prosił, żebym odszukała go po tym, jak Sadie wróci do kanału, a to było na pewno tutaj. Przekręciłam gałkę, uchyliłam nieco drzwi i zajrzałam do środka. Było to puste pomieszczenie na poddaszu, niewiele większe od strychu Macieja, tylko z prostym, a nie ukośnym sufitem. Ciężkie zasłony były opuszczone, by chronić wnętrze przed porannym słońcem.

Gdy oczy przyzwyczyły mi się do półmroku, zobaczyłam Krzysia siedzącego na gołym materacu w drugim kącie pokoju. Opierał się plecami o ścianę z głową odrzuconą do tyłu.

– Krzyś?

Nie odpowiedział i przez chwilę zmartwiłam się, że coś mu się stało po naszym rozstaniu na brzegu rzeki. Czyżby został ranny lub jeszcze gorzej? Jednak gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że jego pierś unosi się i opada w długim, równym rytmie oddechów. Po prostu spał. Przyglądając mu się, poczułam przyływ tęsknoty. Zastanawiałam się,

kiedy ostatnio odpoczywał w wygodnym łóżku albo w ogóle przespał całą noc.

Ja również nie spałam, poza tą krótką chwilą, gdy schowałam się z Sadie pod schodami. Nagle poczułam się wyczerpana po tej pełnej wrażeń nocy. Ułożyłam się ostrożnie obok Krzysia, starając się go nie obudzić. Gdy go obserwowałam, narastała we mnie czułość pomieszana z pożądaniem. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam, by sprawy między nami mogły układać się tak jak przed wojną i żeby wszystko było prostsze. Wzdrygnął się przez sen. Chociaż była już wiosna, w nieopalanym wnętrzu panował jeszcze nocny chłód. Krzyś nie miał koca, a płaszcz rzucił na podłogę nieopodal materaca, więc podniosłam go i przykryłam nas oboje. Potem położyłam lekko głowę na jego ramieniu.

Wyglądało na to, że wyczuł moją obecność, i mrugając, zaczął otwierać oczy.

– Ella, jesteś. Tak się cieszę.

Objął mnie ramieniem, a ja przysunęłam się bliżej z poczuciem, jakby wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy poszedł na wojnę, było tylko złym snem.

– Pozwoliłam sobie wejść – powiedziałam. – Powinieneś zamykać drzwi.

– Zostawiłem je otwarte dla ciebie. I tak, gdyby po mnie przyszli, zamknięcie by ich nie powstrzymało.

Zdałam sobie sprawę, że mówi o Niemcach, i zadrżałam. Działalność Krzysia w Armii Krajowej czyniła z niego jedną z poszukiwanych osób. Nagle wydało mi się, że Niemcy w każdej chwili mogą tutaj wpaść, wyważając drzwi. Nawet ta zwykła chwila bliskości była ulotna, pełna niebezpieczeństw.

Krzyś sięgnął pod materac, wyciągnął małą zawiniętą w papier paczuszkę i wręczył mi ją.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – powiedział.

– Dziękuję – odpowiedziałam wzruszona.

Nie spodziewałam się, że będzie pamiętał o moich urodzinach; sama niemal o nich zapomniałam. W paczuszce był kawałek miodownika, posypany cukrem pudrem.

– To niewiele, ale aż do wczorajszego wieczora nie wiedziałem, że cię zobaczę. To najlepsze, co mogłem zdobyć w ostatniej chwili.

– Ciasto jest świetne.

Nie mieliśmy widelczyków, więc przełamałam miodownik na połówki i podałam mu jedną. Jedzenie o tak wczesnej porze deseru było trochę dziwne, ale w pewien sposób miłe.

– Taka nasza nowa tradycja – rzuciłam. Potem poczułam na policzkach falę gorąca. Nie miałam zamiaru sugerować, że moglibyśmy dalej być razem.

– Nowa tradycja – powtórzył z utkwionym we mnie wzrokiem. Wyciągnął rękę i wytarł smugę cukru pudru z moich warg.

– Mieszkasz tutaj? – spytałam.

– Niezupełnie. To bezpieczne schronienie i dobre miejsce do odpoczynku, kiedy tu pracuję.

– A co z twoimi rodzicami? – spytałam zdziwiona. – Mieszkają w pobliżu.

Skinął głową.

– Nadal mam u nich rzeczy i chodzę tam robić pranie. Ale jak tylko mogę, przebywam poza domem, żeby ich chronić. Nie mogę ich narażać, podobnie jak ciebie.

Wtedy zrozumiałam, że trzymał się ode mnie z daleka w ciągu kilku ostatnich miesięcy, bo naprawdę starał się osłaniać mnie przed

zagrożeniem związanym ze swoją działalnością. Że nie była to wymówka. Przysunęłam się do niego bliżej.

– Chcę być przy tobie.

– Dobrze. – Otoczył mnie ramionami. – Próbowałem zapewnić ci bezpieczeństwo, odsuwając się od ciebie. Ale teraz widzę, że to był błąd. Żadne z nas nie jest bezpieczne, Ella. Najlepszy sposób, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, to mieć cię przy sobie.

Odwrócił się do mnie i pocałował bardziej namiętnie niż kiedykolwiek wcześniej. Coś się teraz zmieniło, chłód między nami zniknął. Padliśmy sobie w ramiona. Całowałam jego wargi, pozwoliłam, by jego dłonie wędrowały po moim ciele tak, jak tej nocy, zanim poszedł na wojnę.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – powiedział, gdy zawisł nade mną.

Jego tłumione pożądanie pokazało mi, że nie było nikogo innego podczas naszej rozłąki. Dałam się ponieść emocjom, powstrzymując myśli, które sugerowały, że robię coś złego, bo przecież mnie porzucił i nie jesteśmy już naprawdę parą. Teraz znów się odnaleźliśmy. Była to rzadka chwila radości w morzu niebezpieczeństw i mroku, i przeżywałam ją zachłannie.

Potem leżeliśmy objęci ramionami, nasze oddechy uspokajały się i nic nie mówiliśmy. Oparłam głowę na jego piersi.

– Odprowadziłaś bezpiecznie Sadie? – spytał w końcu.

– Tak – powiedziałam, ciesząc się, że rozmawiamy o czymś innym niż to, co zaszło właśnie między nami. Przypomniałam sobie wyraz twarzy Sadie, gdy zniknęła pod ziemią. – Miała taką smutną minę, gdy tam wracała. Ale była wdzięczna za kartofle – dodałam szybko. – Jak je zdobyłeś?

Uśmiechnął się i odgarnął kosmyk włosów, który opadł mi na oczy.

– Mam swoje sposoby.

Potem spoważniał.

– Ktoś był mi winien przysługę.

Zacisnęła wargi i wiedziałam, że nic więcej na ten temat nie powie.

– Jestem niezmiernie wdzięczna. Jeśli jest coś, czym mogę ci się zrewanżować...

– Tak, jest – odparł szybko ku mojemu zdziwieniu.

Zamilkł na chwilę, jakby coś rozważał, a mnie nie przychodziło do głowy, co to mogłoby być. Czy zamierza jeszcze raz prosić mnie o pomoc w swojej działalności?

– Są dostawy broni i amunicji, mające zasadnicze znaczenie dla naszej pracy. Muszę znaleźć miejsce, by ukryć je na jakiś czas.

– Ale gdzie? Chyba nie sądzisz, że mogłabym przechować je w domu, gdzie Ana Lucia stale sprowadza swoich niemieckich znajomych.

– Oczywiście, że nie. Ale znasz doskonałe miejsce: kanał.

Usiadłam wyprostowana, zakrywając piersi.

– Chyba żartujesz.

Jednak jego poważny wzrok wskazywał, że jest inaczej.

– Nie, nie mogę tego zrobić.

– Po prostu zapytaj Sadie. Ze względu na wszystko, co dla niej zrobiłaś, na pewno się zgodzi.

To oczywiście stanowiło problem. Sadie czuła wdzięczność i byłaby aż nadto chętna do pomocy. Jednak sama ledwie żyła tam na dole. Nie mogłam prosić jej o coś, co jeszcze bardziej by ją narażało.

Popatrzyłam na Krzysia leżącego obok mnie i nagle to, co zaszło między nami, zaczęło wyglądać całkiem inaczej.

– Czy dlatego poprosiłeś, żebym tutaj przysłała, bo potrzebowałeś pomocy?

Sięgnęłam po sukienkę.

– Nie, to nie tak. Chciałem być z tobą, Ella. Jednak to jest decydujący moment naszej walki i musimy uderzyć wszystkimi siłami. A kryjówka, którą znalazłaś w kanale, jest doskonała.

Pokręciłam głową.

– Przykro mi.

Nawet dla Krzysia i pomimo istotnej wagi jego działalności to było zbyt wiele.

– Dlaczego Sadie aż tyle dla ciebie znaczy? – spytał.

Zawahałam się. Krzyś trafił w sedno. Zetknęłam się z Sadie niedawno. Nie była dla mnie kimś ważnym. Nie powinnam zbyt wiele się nią przejmować, ale w ciągu tego krótkiego czasu, odkąd ją poznałam, zostałyśmy przyjaciółkami i bardzo chciałam jej pomóc. Byłam pewna, że ona zrobiłaby to samo dla mnie.

Jednak on w ogóle tego nie rozumiał. Widział jedynie jakąś dziwną dziewczynę w kanale, którą ledwie znałam, a liczyłam się z nią bardziej niż z nim.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – powiedziałam w końcu. – Po prostu jest między nami jakaś więź. Zależy mi na niej. Jest moją przyjaciółką.

– A co to znaczy dla mnie?

– Wiesz, ile dla mnie znaczysz – odparłam szybko, nie chcąc, żeby wykorzystywał moje uczucie do niego jako argument. – Ale masz inne możliwości ukrycia amunicji.

– Nie – powiedział ostrym tonem. – Nie mam.

Nie miałam pojęcia, czy to prawda.

– Gdybym miał, nie prosiłbym cię o to.

– Kanał jest dla Sadie jedyną nadzieją – wyjaśniłam, rozpaczliwie pragnąc, by to zrozumiał. – Jeśli ją złapią, zostanie aresztowana albo zabita.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – wybuchnął Krzyś. Mówił tak głośno, że z pewnością można go było usłyszeć w mieszkaniu poniżej. – Właśnie dlatego robimy to wszystko.

– To nieprawda – zaprotestowałam. – Armia Krajowa walczy o wyzwolenie Polski. Większości Polaków Żydzi są obojętni.

Zdawałam sobie sprawę, że Krzyś walczy o ważniejszą rzecz niż jakaś żydowska dziewczyna i jej rodzina. Ale mnie zależało na Sadie.

– Więc nie pomożesz? – zapytał.

– Nie w taki sposób. Przykro mi. – Umknęłam wzrokiem w bok, nie chcąc spojrzeć mu w oczy. Jedyna rzecz, o którą mnie prosił, okazała się tym, czego nie mogłam mu dać.

– Mnie również. – Odsunął się ode mnie i wstał. – Myślałem, że to zrozumiesz.

Mogłabym powiedzieć to samo.

– Jest wojna – odparł krótko, wkładając koszulę. – Każdy z nas musi iść na kompromis.

Wtedy zrozumiałam, że Krzyś wrócił z wojny zmieniony. Teraz należał do sprawy, do swojej konspiracyjnej działalności. Nie do mnie.

Chciałabym mu powiedzieć, że pomogę mu ukryć amunicję. Ale nie mogłam narażać bezpieczeństwa Sadie.

– Chcę ci pomóc – powiedziałam. – Przeniosę pakunki lub co tam ode mnie chcesz. Możemy umieścić amunicję w domu Any Luci, jeśli będzie trzeba.

Już mówiąc to, wiedziałam, jak śmiesznie brzmi ta propozycja.

– Ale nie prosź mnie więcej, żebym wystawiała na szwank bezpieczeństwo Sadie – powiedziałam błagalnym tonem. – Pomogę ci znaleźć inne miejsce.

Krzyś pokręcił stanowczo głową.

– Nie ma czasu i nie ma lepszej kryjówki. Wiesz, że nie potrzebuję twojego pozwolenia, Ella. Mógłbym poprosić ją bezpośrednio albo samemu zejść do kanału.

Była to przemyślana zagrywka, obliczona na ustępstwo z mojej strony.

Siedzieliśmy w milczeniu, nie odzywając się do siebie.

– Powinnaś już iść – odezwał się po chwili.

Wstałam, uderzona jego chłodem. Szukałam odpowiednich słów, żeby załagodzić naszą kłótnię. Nie chciałam rozstawać się w gniewie. Ale między nami powstała przepaść, zbyt głęboka, by ją zasypać.

– Muszę to zrobić – nalegał Krzyś, jeszcze raz starając się mnie przekonać. Był nieustępliwy, nieprzyzwyczajony do tego, że ktoś mu się sprzeciwia.

Ale ja byłam podobna.

– Jeśli podejdziesz do kanału, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Odwróciłam się i wyszłam z pokoju.

Gdy znalazłam się na ulicy, wstrząśnięta ruszyłam w stronę domu. Był już jasny, słoneczny dzień, chodniki były zapchane ludźmi, którzy spieszyli do swoich spraw. Czułam, jakby wszystko wokół się waliło, i kręciło mi się w głowie. Wróciliśmy do siebie i było wspaniale jak we śnie. Teraz ta chwila bliskości zbladła i znowu się oddaliliśmy, jakby nic się nie zdarzyło. Zaufałam Krzysiu, powiedziałam mu prawdę o Sadie i innych osobach ukrywających się w kanałach. A teraz on groził, że narazi ich bezpieczeństwo dla swoich własnych celów. Pełna żalu

rozważałam, czy cena zdobycia niezbędnego jedzenia dla Sadie nie okazała się zbyt wysoka.

Kiedy znalazłam się na Kanoniczej, było po dziewiątej i nie miałam już nadziei, że niepostrzeżenie wślizgnę się do domu. Przygłodziłam włosy i weszłam przez drzwi frontowe. Ana Lucia siedziała przy stole, jedząc śniadanie. Zauważyła brudną, wygniecioną sukienkę, którą nosiłam od wczoraj, więc nastawiłam się, że zacznie mnie wypytywać. Ale nie spytała o nic.

– Masz tu kielbasę – powiedziała łagodnie.

Hanna przyniosła mi talerz i chociaż nie byłam głodna, wzięłam kawałek wędliny. Oczywiście Ana Lucia nie wspomniała o moich urodzinach. Nigdy o nich nie pamiętała.

– Cóż, Ella – odezwała się po chwili. Oderwałam wzrok od śniadania i zobaczyłam, że patrzy na mnie, a oczy zwięzły się jej jak u kota.

Wstrzymałam oddech. Czyżby wiedziała, że Sadie była tu w nocy?

– Ucieszysz się, że już mi lepiej.

Popatrzyłam na nią.

– Byłaś chora? – Miała zaróżowioną cerę, jasne oczy. – Nic nie wiedziałam.

– Co innego powiedziałaś Niemcom w Dębnikach.

Zamarłam, przypominając sobie żołnierzy, których spotkałam w zeszłym tygodniu, idąc na spotkanie z Sadie, i swoje tłumaczenie dotyczące koszyka z jedzeniem.

– Powiedziałaś, że twoja mama jest chora i niesiesz dla niej jedzenie. Oni przekazali to pułkownikowi Maustowi. – No oczywiście. – Posłużyłaś się moim nazwiskiem, Ella. Kłamałaś na mój temat i przez ciebie wyszłam na głupią. Dlaczego?

Usiłowałam szybko wymyślić jakieś wyjaśnienie, ale nie potrafiłam.

– Ci Niemcy zatrzymali mnie i nie mogłam znaleźć swojej kennkarty – skłamałam. – Chcieli wiedzieć, co robię. Przestraszyłam się i wymyśliłam taką wymówkę, przepraszam.

– A co naprawdę tam robiłaś? – spytała z naciskiem.

Wpadłam w zastawioną przez nią pułapkę.

– Nie miałaś po co chodzić jeszcze raz na Dębniki. A Fritz powiedział, że ci oficerowie donieśli mu, że byłaś z jakimś młodym człowiekiem.

Zamyśliła się na chwilę.

– Czy to znowu ten okropny chłopak, tak?

Skrzywiła wargi z niesmakiem. Nigdy nie lubiła Krzysia, uważała, że jego rodzina jest na znacznie niższym poziomie niż nasza. To zawsze mnie złościło. Ale teraz z ochotą podchwyciłam tłumaczenie, które mi podsunęła.

– Tak.

– Musisz przestać się włóczyć z nim po tej nędznej okolicy. Masz nie chodzić tam więcej.

– Tak, Ano Lucio – powiedziałam, starając się zrobić wrażenie przywołanej do porządku.

Jednak przytakując zbyt szybko, nie doceniłam jej. Zrobiła wielkie oczy.

– Coś kombinujesz – powiedziała powoli, przypominając drapieżnika polującego na ofiarę.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli – skłamałam, usiłując mówić normalnym głosem.

– Uważaj, mała. Grasz w niebezpieczną grę i zaczynasz przegrywać. To teraz mój dom i jesteś tu tylko z mojej dobrej woli. Wiesz o tym, prawda?

Nie odpowiedziałam, ale skończyłam w milczeniu jeść kiełbasę, a potem wstałam od stołu. Cały czas czując jej wzrok na sobie, gdy wychodziłam z pokoju, starałam się iść normalnie i spokojnie oddychać. Ana Lucia była podejrzliwa, ale nie wiedziała o Sadie – przynajmniej na razie. Musiałam być bardziej ostrożna.

Zanim weszłam na schody, na stoliku w korytarzu zauważyłam kopertę. List był zaadresowany do mnie i zastanawiałam się, kiedy przyszedł, czy Ana Lucia o nim zapomniała, czy celowo mi o nim nie mówiła. Zorientowałam się, że był z Paryża, bo miał francuskie znaczki. Pewnie życzenia urodzinowe od brata. Jednak odręczne pismo nie przypominało rozwlekłych, znajomych zakręcanych liter. Otworzyłam kopertę.

Droga Ello,

Nie znamy się, ale tyle słyszałem o tobie od twojego brata, że mam wrażenie, jakbyśmy się znali. Jestem Filip, przyjaciel twojego brata.

„Przyjaciel” – ponownie odczytałam to słowo. Był to eufemizm, ostrożne określenie czegoś, co znaczyło o wiele więcej. Wiedziałam z poprzednich listów Macieja, że on i Filip są głęboko w sobie zakochani. Było mi przykro, że społeczeństwo nie pozwala im przyznawać się do prawdziwych uczuć i nazywać ich związku po imieniu. W pośpiechu czytałam dalej.

Obawiam się, że piszę z okropną wiadomością: Maciej został aresztowany przez policję podczas nalotu na kabaret, w którym czasem bywamy.

Serce mi stanęło. Mój ukochany brat został aresztowany.

Krążyły pogłoski, że policja może dokonać nalotu na kabaret, i błagałem go, żeby nie szedł, ale nie posłuchał.

Oczywiście, że nie. Maciej zawsze był uparty i prowokujący – właśnie to w znacznym stopniu zniszczyło jego relację z ojcem i przede wszystkim spowodowało jego ucieczkę do Paryża.

Wykorzystałem wszystkie moje kontakty, starając się uzyskać informacje, jak on się czuje, i załatwić jego zwolnienie. Powiedziano mi, że ma się dobrze i wkrótce wyjdzie na wolność.

Nieco odetchnęłam. Jednak serce mi krwawiło, że mój wrażliwy brat musi znosić więzienne warunki.

Dokończyłam czytanie listu.

Proszę, przyjeźdź, kiedy będziesz mogła, bardzo byśmy chcieli, żebyś zamieszkała z nami.

Twój Filip

Gdybym mogła dostać francuską wizę, byłaby to przepustka do wolności. Kiedyś była moim jedynym pragnieniem. Jednak to marzenie, które pielęgnowałam jeszcze tak niedawno, wydawało się teraz tylko śladem innego życia. Chciałam przedostać się do Paryża i upewnić, że z Maciejem wszystko w porządku.

Wtedy przyszła mi do głowy Sadie. Potrzebowała mnie tak bardzo, jak to się rzadko zdarza, liczyła, że dostarczę jej jedzenie niezbędne do przeżycia. Pomyślałam o tym, ile razy stałam bezradna, najpierw przy sprawie Miriam, a potem, gdy kobieta z dziećmi skakała z mostu. Wtedy, ze względu na warunki i możliwości, nie zrobiłam nic. Teraz mogłam coś zmienić. Chciałabym wyjechać, ale odważniej było zostać. Nie mogłam się wynieść, przynajmniej nie teraz. Złożyłam kopertę i wsunęłam ją do kieszeni.

Rozdział 17

Sadie

Mama kuliła się w kącie komory, starając się nakarmić dziecko. Wiedziałam, że przez kilka dni nie miała pokarmu, ale na szczęście dziś jej piersi były nabrzmiące i pełne. Gdy podeszłam, żeby osłonić ją przed wzrokiem pozostałych mieszkańców naszej kryjówki, zobaczyłam, jak bardzo jest chuda i wyczerpana. Karmiąca matka powinna mieć odpowiednio bogate jedzenie. My mieliśmy tylko ziemniaki, które dostałam dzięki Elli, ale nawet one nie wystarczą na długo. Co będziemy potem jeść?

Odsunęłam na bok niespokojne myśli i spojrzałam na dziecko, które nadal, trzy dni po narodzinach, nie miało jeszcze imienia. Dziewczynka odwróciła główkę od piersi mamy i popatrzyła na mnie. Mama powiedziała mi, że dzieci przypuszczalnie nie widzą dobrze w ciągu kilku pierwszych tygodni życia. Ale ilekroć podchodziłam bliżej, oczy mojej siostry były we mnie wpatrzone. Tylko ja mogłam ją uspokoić, kiedy była zmęczona i nieznośna albo gdy mama próbowała ją nakarmić, ale nie miała pokarmu.

Przyglądałam się mamie. Pomimo trudnego porodu zdawała się czerpać siły od dziecka, które przyszło na świat. Opieka nad nim dawała jej poczucie sensu. Porządek dnia wyznaczało karmienie i przewijanie córki, jakbyśmy znowu byli w domu, a nie w kanale, gdzie musiała stale od nowa prać dwie ścierki do naczyń, służące za pieluszki.

Kiedy mama skończyła karmić, wyszłam z komory. Saul poszedł po wodę trochę wcześniej i miałam nadzieję, że spotkam go, gdy będzie wracał. Jednak w tunelu panowała cisza. Poprzedniej nocy mocno padało, ale burza była na szczęście krótka, więc nie musieliśmy się martwić o kolejne zalenie. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak byśmy przetrwały kolejny taki potop z niemowlęciem, które trzeba by

utrzymywać na powierzchni, ponad wszystkimi rzeczami. Teraz deszcz całkowicie ustał, a poranne chmury się rozproszyły. Przez pręty w kratce kanalizacyjnej przeświecały promienie słońca, powodując, że kamienie na obudowie tunelu błyszcząły jak na plaży podczas odpływu. Widziałam coś takiego kiedyś, gdy tato zabrał nas podczas wakacji nad Zatokę Gdańską.

To nie był dzień odwiedzin Elli i zastanawiałam się, co ona robi i czy cieszy się, że nie ma dziś żadnych obowiązków wobec mnie.

W naszej kryjówce dziecko zaczęło płakać, a jego krzyki odbijały się echem w tunelu. Szybko wbiegłam do środka, żeby pomóc mamie. Krążyła po komorze i kołysząc się na boki, starała się uspokoić moją siostrzyczkę, której dokuczała kolka po jedzeniu. Wzięłam ją z rąk mamy i mocno przytuliłam. Nawet poprzez smród kanału docierał do mnie słodki zapach niemowlęcia. W ramionach czułam jej ciężar. Patrzyła na mnie, najwyraźniej uspokojona. Mogłaby być moim dzieckiem, byłam wystarczająco dorosła. Przytuliłam ją mocniej i szeptałam jej do ucha. Opowiadałam jej o naszym dawnym życiu i o tym, co zrobimy po wojnie. Zabiorę ją tam, dokąd chodziłam z tatą, i objaśnię jej wiele rzeczy, tak jak tata objaśnił je mnie. Słuchała, jakby rozumiała, co mówię.

Łagodnie podtrzymując główkę dziecka, tak jak pokazała mi mama, przełożyłam siostrzyczkę na drugie ramię. Kiedy to robiłam, kocyk, w który owinęłyśmy ją, gdy się urodziła, ześlizgnął się i spadł na ziemię.

– Nie! – krzyknęłam, gdy wylądował w kałuży wody przy wejściu do komory. Podniosłam go szybko, ale było już za późno. Brudna, brązowa ciecz wsiąkła w tkaninę. Cały róg kocyka był teraz poplamiony na brązowo. Mama wzięła kocyk i próbowała go wyżyć, ale brud pozostał. Spodziewałam się, że na mnie nakrzyczy, ale nie zrobiła tego. Popatrzyła tylko na kocyk z rezygnacją. Potem zaczęła płakać, coraz bardziej szlochając, jakby w jednej chwili ujawnił się cały jej ból po

stracie taty i ten związany z porodem i całą resztą. Chyba nigdy w życiu nie czułam się bardziej winna niż teraz po poplamieniu tego kocyka.

Nie było jednak czasu się tym zamartwiać. Dziecko otworzyło usta, jakby chciało mi coś powiedzieć. Potem wydało z siebie mrozący krew w żyłach krzyk, który rozległ się w całym kanale i zdawał się odbijać echem od jego ścian.

– Proszę, daj mi ją – mruknęła mama, zabierając siostrę ode mnie. Nagle poczułam się tak, jakbym zrobiła coś złego, co wywołało płacz dziecka.

– Ciii... – uciszała je mama przynaglającym tonem.

Pan Rosenberg obserwował nas z poważną miną. Przypomniał mi się jego ponury nastrój tej nocy, gdy urodziła się moja siostrzyczka. Płaczące dziecko, szczególnie w sytuacji, gdy najbardziej ze wszystkiego potrzebowaliśmy ciszy, sprawiało, że rosło prawdopodobieństwo, że nas odkryją.

Chcąc pomóc, wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać główkę niemowlęcia i je uspokoić. Zazwyczaj mała lubiła mój dotyk. Jednak tym razem poczerwieniała i zaczęła krzyczeć.

– Nie rób tak – warknęła mama, gwałtownie odsuwając ode mnie dziecko. Cofnęłam się, urażona jej naganą. Mimo to zrozumiałam, że nie jest na mnie zła, tylko przemęczona, sfrustrowana i przerażona. Opadła na skraj posłania, nadal próbując uspokoić małą. Moja siostrzyczka płakała niepowstrzymanie ze znanego tylko jej powodu.

Mama i ja byłyśmy tak zajęte uciszaniem dziecka, że nie usłyszałyśmy kroków, aż ktoś stanął tuż obok nas. Spojrzałam w górę. Nad nami pochylała się Babi. Potem przyklękła i wzięła mamę za rękę.

– Ona nie może tu zostać – powiedziała z powagą. Te słowa przeleciały przez naszą izbę. – Dziecko musi odejść.

– Odejść? – Popatrzyłam na Babi zdumiona i pewna, że staruszka, która od dawna robiła wrażenie coraz bardziej pomyłonej, ostatecznie

straciła rozum. Moja siostrzyczka miała trzy dni. Gdzie jej zdaniem miała odejść?

Podszedł pan Rosenberg i spodziewałam się, że sprzeciwi się swojej matce, a przynajmniej ją uspokoi.

– Narazicie bezpieczeństwo nas wszystkich – powiedział, popierając opinię matki. – To nie może tak trwać.

Nie mogłam uwierzyć, że Rosenbergowie, którzy stali się naszymi bliskimi znajomymi, a nawet, jak sądziłam, przyjaciółmi, mogli mówić coś takiego. Poszukałam wzrokiem Saula, ale nigdzie go nie było.

– Nie mamy dokąd iść – zaprotestowała mama, odtrącając dłoń Babi. – Nie możecie oczekiwać, że odejdziemy.

– Nie prosimy o to, żebyście odeszły – powiedział pan Rosenberg i przez chwilę miałam nadzieję, że to wszystko jest jakimś nieporozumieniem. – Ale chodzi o niemowlę w kanale. Z pewnością nie myślałaś, że będziesz mogła je tutaj zatrzymać.

Najwyraźniej on i Babi już wcześniej to omówili. Zesztywniałam. Czy on uważał, że mamy gdzieś odesłać dziecko? Kiedy byliśmy w getcie, słyszałyśmy opowieści o żydowskich rodzinach ukrywających dzieci u Polaków katolików. Jednak mama na pewno nie pozwoliłaby oddać mojej siostry, nawet na chwilę. Płacz dziecka narastał, jakby ono także protestowało.

– Trzeba coś zrobić – naciskała Babi.

W tym momencie przy wejściu do komory pojawił się Saul, niosąc dzbanek z wodą. Podbiegłam do niego.

– Saul, musisz coś zrobić! Twoja rodzina próbuje nas zmusić do wyjścia.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy on także brał udział w ich wcześniejszych rozmowach. Ale po jego minie widziałam, że był szczerze zdumiony.

– Co?

Potem na jego twarzy gniew zastąpił zdumienie. Podeszedł szybko do swojej rodziny.

– Jak mogliście powiedzieć coś takiego? – zażądał wyjaśnień od ojca. Był wyraźnie wytrącony z równowagi.

– To dziecko to przekleństwo – wyrzuciła z siebie Babi, nie owijając w bawełnę. – Doprowadzi do tego, że wszyscy zostaniemy zabici.

Saul, przerażony, zwrócił się do mnie.

– Ona tak nie myśli – powiedział cicho.

Ale jego babcia usłyszała.

– Oczywiście, że tak właśnie myślę. Straciłam już jednego wnuka i nie chcę stracić drugiego, dlatego że nie możecie sprawić, żeby dziecko było cicho. Musicie myśleć praktycznie i zrobić to, co najlepsze dla nas wszystkich. Mówię to nie tylko w swoim imieniu – dodała Babi; jej głos złagodniał, gdy zwróciła się do mamy: – Jestem starą kobietą i mój czas dobiega końca. Ale mam wnuka, o którym myślę, a ty masz córkę. – Zrobiła ruch ręką w moją stronę.

– Co mam zrobić? – spytała mama głosem zacinającym się z rozpaczy. – Może byłoby bardziej miłosiernie...

Jej dłoń powędrowała w stronę ust mojej siostrzyczki i wiedziałam, że mama myśli o Kleinach, rodzinie w getcie ukrywającej się za ścianą podczas akcji, i chwili, gdy ich dziecko zaczęło płakać. Pani Klein przykryła dziecku usta, by stłumić krzyki i uniknąć wykrycia. Jednak przytrzymała dziecko zbyt długo, a ono się udusiło.

– Mamo, nie! – Złapałam jej rękę i odsunęłam ją od ust siostrzyczki. Mama ledwie przeżyła ten dzień w getcie, gdy myślała, że mnie zabrano. Nigdy nie zrobiłaby krzywdy żadnemu ze swych dzieci.

– Zatem nie ma innej możliwości, tylko żebyście odeszły – upierała się Babi.

– Nie – oświadczyła mama twardo, wstając i patrząc wprost na Babi. – Nie odejdziemy.

Wszyscy byliśmy tutaj od początku. Jakie ona miała prawo, by kazać nam odejść? Mama wyprostowała się i zobaczyłam w jej oczach dawny błysk stanowczości. Modliłam się, by odzyskała ją całą, gdy tak stała przed tą kobietą.

– Przynajmniej pomyśl o swojej drugiej córce – odpaliła Babi, wskazując na mnie. – Chcesz, żeby ją zabito?

Mama nie odpowiadała przez kilka sekund i wyglądało na to, że zastanawia się nad słowami Babi.

– Ona ma rację – zwróciła się do mnie cichym głosem. – Nie możemy zatrzymać dziecka w kanale.

Moja siostrzyczka, która w końcu ucichła w jej ramionach, zagrychała jakby na znak zgody.

– A jaki mamy wybór? – spytałam.

– Nie będę narażać twojego bezpieczeństwa – powiedziała mama, nie słysząc mojego pytania lub świadomie je ignorując. – Nie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy.

Spojrzała ponad moim ramieniem na pozostałe osoby.

– Pójdę – oświadczyła nagle. – Zabiorę stąd dziecko. Ale moja córka zostaje.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Czy naprawdę zamierzała mnie zostawić?

– Mamo, nie!

– Przedyskutujcie to same – powiedział pan Rosenberg, odciągając swoją matkę za ramię. Wraz z resztą rodziny wycofał się do swojej

części komory.

Saul patrzył na mnie smutnym, przepraszającym wzrokiem.

– Nie możesz odejść – błagałam mamę, kiedy zostałyśmy same. Głos mi się łamał, prawie szlochałam. – Jak w ogóle możesz myśleć o odejściu beze mnie?

Moja siostrzyczka, wyczerpana wcześniejszym płaczem, spała teraz spokojnie w ramionach mamy.

– Proszę. Straciłam już tatę. Nie mogę stracić również ciebie.

– Ale jakie mamy inne wyjście? – spytała w rozpacz. – Słyszałaś, co mówili: nie możemy zatrzymać tu dziecka.

– To wyjdźmy stąd razem.

Nie miałam pojęcia, dokąd mogłybyśmy pójść. Mogłabym poprosić Ellę o pomoc. Ale nawet gdy to pomyślałam, wiedziałam, że to dla niej zbyt wiele. Ledwie zdołała ukryć mnie przez jedną noc. Nie udałoby się jej znaleźć miejsca, gdzie mogłaby przechowywać nas dłużej.

– Jakiś czas temu Paweł wspominał o miejscu, gdzie mogłabym zabrać dziecko po tym, jak się urodzi – odezwała się nieoczekiwanie mama, a ja się zdumiałam. – Powiedział mi o tym kilka tygodni przed spodziewanym terminem. Mówił, że w Szpitalu Zakonu Bonifratrów jest lekarz, który przyjmuje żydowskie dzieci i ukrywa je w polskich rodzinach.

Szpital Bonifratrów był to katolicki szpital na Kazimierzu, prowadzony przez zakonników. Nie wyobrażałam sobie, że oni mogliby przyjmować żydowskie dzieci ani że Paweł i mama rozważali takie rozwiązanie.

Byłam zdumiona. Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniała?

– Mamo, nie! – zaprotestowałam. Nie mogła przecież myśleć o oddaniu mojej siostrzyczki.

– To jedyne wyjście – powiedziała cicho, w jej głosie słychać było rezygnację.

Przyjrzałam się jej twarzy, zastanawiając się, czy to stres związany z porodem zaćmił jej umysł. Jednak wzrok miała czysty.

– Jeśli ją tam zaniosę, będę mogła wrócić do ciebie.

Opuściłaby moją siostrę, żeby być tu ze mną?

– Nie możesz oddać dziecka – sprzeciwiłam się. Sama myśl o tym była prawie tak straszna, jak ta o utracie mamy.

– To tylko na jakiś czas – powiedziała, a jej oczy pociemniały.

Jednak coś mi mówiło, że jeśli odejdzie, już nigdy nie będziemy razem.

– Nie możemy się rozdzielać – upierałam się.

– Proszę. – Podniosła rękę. – Nie mówmy teraz o tym.

Wskazała na moją siostrę, która spokojnie spała w jej ramionach. Chciałam dalej naciskać na mamę, żeby obiecała, że mnie nie zostawi. Jednak widziałam, jak była blada i jak bardzo ta ciężka próba ją wyniszczyła.

Siostrzyczka była cicha i spokojna do końca dnia i odczułam ulgę, że nikt nie mówił już o pozbyciu się jej. Ale w głowie tłukła mi się bolesna i zdumiewająca myśl: mama mogłaby odesłać gdzieś dziecko. Po prostu nie mogła rozważyć tego na serio. Nigdy nie porzuciłaby własnego dziecka. Nie poruszałam już tego tematu, w nadziei że nie będzie więcej o tym mówić.

Tej nocy spałam niespokojnie. O północy nagle się obudziłam. Natychmiast wyczułam, że zaszła jakaś zmiana i obok mnie panuje cisza. Jeszcze zanim wyciągnęłam rękę, wiedziałam, że mama gdzieś poszła.

Usiadłam zaniepokojona i bezskutecznie próbowałam wypatrzeć ją w ciemnościach. Nie było ani jej, ani dziecka.

– Mamo! – krzyknęłam, nie zwracając uwagi, że inni śpią, ani na to, że zachowuję się zbyt głośno. Zerwałam się na nogi i wybiegłam z komory.

Mamy nie było. Czyżby naprawdę odeszła? Pobiegnęłam tunelem w stronę burzowca. Znalazłam ją tam, stała w ciemności z dzieckiem w objęciach i zdawała się nie czuć zimnej wody, sięgającej jej do kostek i wsiąkającej w pończochy. Najpierw pomyślałam, czy przypadkiem nie lunatykuje, ale miała otwarte oczy i czyste spojrzenie. Wyszła z komory celowo.

– Mamo, co robisz?

Nie odpowiedziała.

– Czy próbowałaś wyjść?

Zauważyłam, że nie ma ze sobą torby.

Patrzyła bezmyślnie przed siebie.

– Szukałam wyjścia.

Zacząłam protestować, że nie zna drogi. Jednak zrozumiałam, że nie chodzi jej tylko o wyjście z tunelu, ale o całą beznadziejną sytuację, w której utknęliśmy. Zastanawiałam się, czyby odeszła i co by zrobiła, gdybym jej nie odnalazła.

Przez resztę nocy leżałam mocno przytulona do mamy, żeby przytrzymać ją na miejscu, z policzkiem opartym o jej delikatne ramię. Nie spałam zbyt mocno, jeśli w ogóle, budząc się przy najlżejszym jej poruszeniu. Musiałam być pewna, że nie będzie starała się wyslizgnąć z moich objęć.

Jednak następnego rana obudziłam się późno, zmęczona kiepskim snem. Mamy nie było koło mnie i nie wiedziałam, czy to ja przeturlałam się gdzieś w bok, czy ona świadomie wyslizgnęła się z mojego uścisku. Gwałtownie usiadłam prosto. Zobaczyłam ją w rogu komory, gdy jak zwykle przygotowywała śniadanie, z moją siostrzyczką wtuloną pod jej

ramię. Odetchnęłam z ulgą, napięcie opadło. Może już zapomniała o odejściu lub zarzuciła ten pomysł.

Wtedy zobaczyłam, że coś leży w nogach posłania. Była to torba, prawie spakowana. Mama nas opuszczała.

Zerwałam się w chwili, gdy ruszyła w moim kierunku.

– Co robisz? – zażądałam wyjaśnień.

Podawała mi cienki plasterek ziemniaka, całe moje śniadanie, a potem włożyła drugi do torby.

– Zabieram dziecko, tak jak omówiliśmy to wczoraj – głos jej drżał.

– Nie!

Jak mogłaby oddać moją siostrzyczkę? Jednak Babi Rosenberg miała rację. Było tylko kwestią czasu, kiedy Niemcy usłyszą płacz dziecka i nas znajdą. Szpital stwarzał przynajmniej jakąś szansę.

– Ale skoro Paweł odszedł, jak zamierzasz dostarczyć tam dziecko?

– Zaniosę je sama.

– Mamo, nie dasz rady. Nadal jesteś słaba po porodzie. Przynajmniej pozwól, że to ja ją odniosę. Byłam już na powierzchni. Znajdę jakiś sposób.

Pokręciła głową.

– Muszę zabrać ją sama. Muszę na własne oczy zobaczyć, że jest bezpieczna.

Cofnęłam się myślami o dwie noce, kiedy obudziłam się i zobaczyłam mamę zgiętą nad śpiącym dzieckiem w pół, jakby z bólu.

– Co się dzieje? – spytałam zaniepokojona. – Źle się czujesz?

Pomyślałam, że może ma komplikacje po porodzie, i nie wiedziałam, czy mam budzić Babi, żeby jej pomogła.

– Powinnaś coś zjeść.

Mama potrzebowała więcej jedzenia, niż mieliśmy, zarówno dla siebie, jak i dla niemowlęcia, które karmiła. Pokręciła głową i machnęła ręką, żebym się odsunęła. Potem zaczęła płakać, szlochając w zagłębienie ramienia, żeby nie robić hałasu. Nigdy nie widziałam, jak mama płacze, ani wtedy, gdy zamieszkaliśmy tutaj, ani wtedy, gdy zginął ojciec. Widok jej słabości przeraził mnie najbardziej ze wszystkiego, co dotąd przeżyłam.

Chwilę później jej szloch ucichł. Otarła łzy i zmusiła się do uśmiechu.

– To nieważne, naprawdę. Jestem po prostu zmęczona. Za dużo tego wszystkiego. A czasami po urodzeniu dziecka kobiety płaczą bez specjalnego powodu. Nic mi nie jest, naprawdę.

Rozpaczliwie chciałam jej uwierzyć.

Wspominając teraz tamten moment, zrozumiałam: mama wiedziała, że do tego dojdzie, że nie będziemy mogły zostać wszystkie razem, jeszcze zanim Babi zażądała, żeby zabrała dziecko z kanału. Płakała, bo wiedziała, że na pewno będzie musiała rozstać się ze swoim dzieckiem.

Mama przerzuciła torbę przez ramię i podniosła niemowlę, jakby szykując się do drogi. Czy naprawdę chciała odejść, nie mówiąc mi nawet do widzenia?

– Mówiłaś, że nigdy mnie nie opuścisz – powiedziałam z rozpaczą, przypominając jej słowa z tej nocy, gdy dotarliśmy do kanału i straciliśmy ojca.

– I nie zrobię tego – odpowiedziała, a zabrzmiało to tak przekonywająco, że prawie jej uwierzyłam. – Po prostu muszę zabrać twoją siostrę do szpitala i zaraz wrócę.

Była to niewielka pociecha. Musiałam uwierzyć, że mama nie porzuca mnie na zawsze. Zamierzała wrócić najszybciej, jak będzie mogła. Ale co się stanie, jeśli jej się nie uda?

– Nie możesz iść. – Wyjście z kanału oznaczało pewną śmierć. – Jeśli wyjdiesz, zabiją cię.

Jednak mamie nie pozostawało nic innego, jeśli jej dziecko miało być bezpieczne. Pocałowała mnie w czoło, a siła pocałunku sugerowała, że wróci niebawem. Ale kiedy zajrzałam jej w oczy, zobaczyłam, że ma ponure, puste i obce spojrzenie.

– Proszę, nie idź. – Zaczęłam płakać.

Saul wstał i podszedł do mnie. Próbował mnie objąć, ale odepchnęłam jego ręce.

– Proszę, powiedz jej, żeby nie szła! – zawołałam błagalnie.

Czekałam, że ktoś, może pan Rosenberg lub jego matka, wykaże głupotę jej zamiarów i zapobiegnie jej odejściu. Mój tata na pewno by ją powstrzymał. Zwróciłam się do Saula:

– Jak możesz pozwolić, żeby zrobiła coś takiego? Ona tam na górze nie przeżyje. Nie ma miejsca, gdzie byłaby bezpieczna.

– Bo tak trzeba zrobić – powiedział Saul cicho. Byłam zdziwiona. – Moja babcia ma rację: jeśli dziecko tu zostanie, wszyscy zginiemy. A ja nie chcę cię stracić, Sadie, jeśli mogę cię ocalić.

Wiedziałam, że ma na myśli Shifrę i to, w jaki sposób ją zawiódł.

– Nie możesz jej powstrzymać – dodał niskim głosem, wskazując głową moją matkę. – Jest zdecydowana odejść. Możesz jedynie jej pomóc, żeby wyszła bezpiecznie.

Zamarłam z niedowierzania, analizując wszystko, co powiedział. Miał rację. Żadne z nas nie mogłoby zatrzymać jej tutaj. Ale jak miałabym zostać tu bez niej?

– Zabierz mnie ze sobą – błagałam. – Pójdę z tobą. – Znam drogę do wyjścia. Mogę pomóc nieść dziecko.

Mama pokręciła głową.

– Nie, musisz tu zostać. Razem byłoby łatwiej nas zauważyć. Sama będę szła szybciej. Wrócę za kilka godzin, najpóźniej jutro.

Starła się, by jej głos brzmiał przekonująco.

– Jeśli poczekaasz, aż przyjdzie Ella, mogę poprosić ją o pomoc.

Nie wiedziałam, w jaki sposób Ella mogłaby pomóc ukryć dziecko, ale grałam na czas i robiłam wszystko, by zatrzymać mamę.

Mama pokręciła głową.

– Nie mogę czekać. Za każdym razem, gdy dziecko płacze, naraża nas wszystkich. Nie możemy już liczyć na nikogo. Po prostu pozwól mi ją zabrać w bezpieczne miejsce, potem wrócę tu do ciebie, przysięgam.

Zatem decyzja zapadła. Moja siostrzyczka odejdzie. Mama ją zabierze. A ja zostanę tu sama.

Mama odstawiła torbę i podała mi dziecko, a sama szukała płaszcza. Potem zawahała się. Na rękawie płaszcza nadal widać było opaskę z niebieską gwiazdą.

– Proszę, weź to – powiedziała Babi Rosenberg, przechodząc przez komorę z własną ciemną peleryną.

– Dziękuję.

Mama przyjęła pelerynę i włożyła ją. Wtedy zobaczyłam, jak bardzo posiwiały jej włosy, a niegdyś różowa skóra stała się blada i wysuszona jak bibułka. Pobyt w kanale nagle ją postarzył. Zabrała mi dziecko.

Babi położyła mamie dłoń na ramieniu, a potem dotknęła główki niemowlęcia. Chciałam odtrącić jej rękę. Jak śmiała udawać życzliwość po tym, co zrobiła?

– Będzie z nami bezpieczna do twojego powrotu – powiedziała, zwracając głowę w moją stronę.

Przeraziłam się. Mama mówiła, że wychodzi najwyżej na jeden dzień, ale słowa Babi sugerowały, że może to potrwać znacznie dłużej. Jakbym oberwała pięścią w żołądek.

Mama znowu podniosła torbę i podeszła z dzieckiem do wyjścia z komory.

– Chodź – zwróciła się do mnie. – Musisz mi pokazać drogę.

Coś ścisnęło mnie w gardle. Czy ona naprawdę prosiła, żebym pomogła jej wyjść?

– Zaprowadź ją do kraty – przykazał mi Saul cichym głosem. – Inaczej mogłaby się zgubić.

Miał rację: mama będzie potrzebować mojej pomocy.

– Ale jak mogę pomagać mojej własnej matce, żeby odeszła? – zaprotestowałam.

– Mogę ją poprowadzić, jeśli chcesz – zaproponował Saul.

Pokręciłam głową.

– Muszę to zrobić sama.

Saul położył mi rękę na ramieniu.

– Przykro mi, Sadie. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jakie to dla ciebie trudne. Będę tu czekać, aż wrócisz.

Jego słowa trochę mnie pocieszyły. Niechętnie weszłam do tunelu w ślad za mamą. Ruszyła w stronę kraty, przy której pierwszy raz zobaczyłam Ellę. Złapałam ją za ramię, by ją zatrzymać.

– Tędy – powiedziałam, kierując ją w przeciwną stronę. Właz kanalizacyjny nad rzeką, przez który wyszłam, żeby znaleźć jedzenie, był bezpieczniejszy.

Gdy szłyśmy tunelem, ogarnęły mnie wątpliwości. To, co zaplanowała mama, nie miało żadnego sensu ani nie było słuszne. Musiał istnieć jakiś inny sposób. Znowu miałam ochotę protestować.

Jednak mama kroczyła wytrwale, z zaciętą miną, wyrażającą ponurą determinację. Nie dałaby się przekonać. Nie miałam wyboru. Musiałam wyprowadzić ją bezpiecznie na ulicę, bo inaczej sama spróbowałaby znaleźć drogę, a na pewno nie dałaby sobie rady.

Po kilku minutach dotarliśmy do zbiornika.

– Wyjście jest po drugiej stronie – wyjaśniłam.

Zobaczyłam w jej oczach powątpiewanie. Chodziło jej nie tyle o to, czy zdoła się wspiąć na ścianę, ale raczej o cały plan przeniesienia mojej siostry w bezpieczne miejsce. Poszłam pierwsza, potem pomogłam jej zejść do zbiornika. Przecięłyśmy go na ukos. Po drugiej stronie mama podała mi dziecko i próbowała wspiąć się na występ w ścianie, ale bez skutku. Staralam się jej pomóc, ale trzymając siostrę, nie byłam w stanie tego zrobić jedną ręką. Rozejrzałam się wokół i zobaczyłam suche miejsce na ziemi. Położyłam tam delikatnie dziecko. Złapałam mamę w pasie. Podnosząc ją, stwierdziłam, że jest lekka jak piórko. Pomogłam jej dostać się na występ w murze. Potem podniosłam dziecko. Pochyliłam się, żeby pocałować siostrzyczkę na pożegnanie, i jedna samotna łza spadła na miękką, ciepłą skórę na jej czółku.

– Przepraszam – powiedziałam. Gdybym tylko była silniejsza i mogła zrobić coś więcej, żeby ona została z nami.

– Szybko – odezwała się mama.

Podalam jej siostrę, czując, jak ciepło odpływa mi z rąk, gdy ją wypuszczałam. Wspięłam się do nich na ścianę zbiornika i w milczeniu czołgałyśmy się przez ostatni odcinek rury.

Kiedy dotarliśmy do kraty, było nad nią pusto.

– Możesz wyjść tędy na brzeg rzeki, a potem pójść mostem.

Wiedziałam, że nasz wspólny czas szybko dobiega końca, i z trudem opanowałam szloch.

– Musisz trzymać się w cieniu budynków i wybierać boczne uliczki i zaułki.

Myślałam o dużej odległości i niebezpieczeństwie, jakie na nią czyha. W normalnych warunkach zadanie byłoby niemal niewykonalne. Jak mogłaby w ogóle dać sobie radę, będąc tak osłabiona i z niemowlęciem na rękach?

Objęłam mamę ramionami, jakbym była małym dzieckiem, i wcisnęłam głowę pod jej brodę. Trzymałam ją kurczowo w talii, nie chcąc pozwolić jej odejść. Przytrzymała mnie mocno przez kilka sekund, kołysząc tak jak dawniej, gdy chciała mnie uspokoić, i zanuciła cichutko pod nosem znajomą kołysankę. W tym momencie chciałam już zawsze tak stać nieruchomo. Przepłynęły między nami wszystkie wspólne chwile, całe moje dzieciństwo przemknęło mi przed oczami jak cofające się fale przyływu. Obok nas zagruchało dziecko.

Popatrzyłam na siostrzyczkę i pogłaskałam ją po główce, która tak szybko zaczęła mi przypominać moją własną. Dopiero niedawno się do niej przekonałam i dojrzałam, by ją pokochać, a teraz miałam ją stracić, może na zawsze. We trzy stanowiłyśmy całą naszą rodzinę.

– To potrwa najwyżej kilka miesięcy – powiedziała mama. – Potem wojna się skończy i będziemy mogły ją odebrać.

Chciałam uwierzyć, że to będzie takie proste. Jednak zbyt wiele widziałam podczas wojny.

– Mamo, ona powinna mieć imię – powiedziałam.

– Bóg da jej imię – stwierdziła mama, a ja w tym momencie zrozumiałam, że nie wierzy, byśmy ją kiedyś odzyskały.

Potem wyswobodziła się z moich objęć i odwróciła przodem do kraty. Otworzyłam ją i mama wdrapała się na górę z dzieckiem na rękach.

Nadal nie chciałam pozwolić jej odejść.

– Poczekaj, pójdę z tobą. – Chwyciłam ją za kostkę u nogi tak mocno, że niemal upadła. Zaczęłam wdrapywać się w ślad za nią.

– Nie – odparła twardo, strząsając moje ręce. Wiedziałam, że nie ma co jej przekonywać. – Musisz zostać tutaj. Wrócę do ciebie, przysięgam – obiecała mocnym, pewnym głosem. – Kocham cię – dodała, gdy z wysiłkiem pomagałam jej umieścić kratę kanalizacyjną z powrotem na miejscu.

Jej twarz zastygła na moment, a potem znikła. Stałam bez ruchu, nasłuchując jakiegoś dźwięku, który by świadczył, że jest tam nadal. Jednak usłyszałam tylko jej kroki, coraz cichsze w miarę, jak się oddalała. Zapragnęłam pobiec za nią, błagać, by nie odchodziła, a przynajmniej by ją chronić.

Z góry dobiegło mnie jakiś skrobanie. Wstrzymałam oddech. Mama wróciła! Spodziewałam się, że uświadomiła sobie błąd, że wróciła, by powiedzieć, że nigdy mnie nie opuści i że znajdziemy wspólnie jakieś wyjście z sytuacji. Jednak przy kratce pojawił się gołąb, który coś dziobał. Spojrzał na mnie w dół ze smutkiem, zanim zatrzepotał skrzydłami i odleciał, zostawiając mnie samą.

Rozdział 18

Sadie

I tak po prostu cały mój świat przestał istnieć.

Po tym, jak mama znikła na brzegu rzeki z moją siostrą na rękach, zostałam przy kracie i czekałam. Jakaś część mnie spodziewała się, że mama zrozumie głupotę swego planu i wróci.

– Mamo! – zawołałam głośniejszym głosem, niż powinnam, na wypadek gdyby ciągle pozostawała w zasięgu głosu. To było niebezpieczne – mógł mnie na górze usłyszeć patrol lub jakiś przechodzień i zdradzić nas wszystkim. Ale już nie zwracałam na to uwagi.

Nasłuchiwałam odpowiedzi, lecz niczego się nie doczekałam, i przygnębiona ruszyłam z powrotem w stronę naszej komory. Gdy zbliżałam się do wejścia, zatoczyłam się do przodu, potknęłam i upadłam na kolana do płytkiej wody, podpierając się rękami. Woda przemoczyła mi ubranie.

– Mamo! – krzyknęłam jak bezradne dziecko, nie podnosząc się.

Przy wejściu pojawiła się Babi i pomogła mi wstać.

– Twoja mama odeszła – powiedziała obojętnie.

– Mamo – powtórzyłam, jakby wzywanie jej wciąż od nowa mogło w jakiś sposób sprowadzić ją z powrotem. Jednak mój głos był już słabszy.

– Musisz być cicho – upomniała mnie Babi, prowadząc do komory.

– Ktoś cię usłyszy i będzie po nas.

W środku pomieszczenia osunęłam się przy ścianie. Mama zniknęła, zarówno ona, jak i dziecko. Jak sobie poradzi, sama i jeszcze słaba, w kilka dni po porodzie? Na ulicy rzucała się w oczy, nie miała

gdzie się ukryć ani nawet wyczyścić ubrania, więc na pewno wzbudzi podejrzenia.

Podszedł Saul i owinał mnie suchym kocem, a potem objął ramionami. Gdy wtuliłam głowę pod jego podbródek, czułam, że jego ojciec przygląda nam się z zakłopotaniem. Chodziło o coś więcej niż nasz fizyczny kontakt, który po prostu był u ortodoksów zakazany. Pan Rosenberg po raz pierwszy zrozumiał, że ja i jego syn staliśmy się sobie bardzo bliscy. Dla niego i jego matki to musiał być szok. Niezależnie od swojej sympatii do mnie nigdy by nie pojął ani nie zaakceptował tego, że jego syn chce być z kimś takim jak ja, z kimś, kto nie jest pobożną Żydówką.

Nie dbając o to, co inni mogą pomyśleć, Saul zaprowadził mnie do tego kąta w komorze, który dotychczas zajmowałam z mamą.

– Usiądź – nakazał, ciągle trzymając mnie za rękę. Nie oponowałam, tylko opadłam na skraj posłania. Jego uścisk, zazwyczaj tak miły, stanowił małą pociechę. Mama mnie opuściła. Cała izba wydała mi się przepastna i pusta.

Z drugiej strony komory podeszła Babi i podała mi kubek słabej herbaty. Powinnam ją teraz znienawidzić, jej syna także. To oni powiedzieli, że dziecko nie może zostać, i właściwie zmusili mamę do ucieczki. Jednak w gruncie rzeczy tylko wyrazili głośno to, co było oczywiste, co było prawdą, o czym wszyscy wiedzieliśmy, ale nie chcieliśmy uznać. Decyzję o wyjściu na zewnątrz z moją siostrą – i o pozostawieniu mnie tutaj – mama podjęła zupełnie samodzielnie.

– Twoja mama ma jasną cerę i nie wygląda jak Żydówka – zauważył pan Rosenberg, próbując mnie pocieszyć. – Może wtopić się w tłum na ulicy.

Ta myśl była tak absurdalna, że niemal śmieszna. Mama była wyniszczona i trupio blada po kilku miesiącach spędzonych w kanałach, nosiła brudne, zniszczone łachmany. Zdałam sobie sprawę, że powinnam była dać jej sukienkę od Elli. Byłam tak zrozpaczona jej decyzją

o wyjściu, że nie pomyślałam o tym w odpowiednim czasie. Chociaż i tak niewiele by to zmieniło. Żadne z nas nie mogłoby już uchodzić za normalnego człowieka.

Tego wieczoru razem z Rosenbergami posilałam się porcją ziemniaków, dotkliwie odczuwając brak mamy na miejscu, które zazwyczaj zajmowała.

– Ona wróci – oznajmiłam pozostałym, gdy skończyliśmy jeść.

– Oczywiście – odparła Babi, ale zupełnie bez przekonania.

Obliczałam w myślach, ile czasu może zabrać mamie, którą spowalniał ciężar dziecka i własna słabość po porodzie, dotarcie do szpitala i z powrotem. Pewnie kilka godzin, najwyżej dzień.

Zapadła noc, a mamy wciąż nie było.

– Może chcesz poczytać? – zapytał Saul.

Pokręciłam głową. Chociaż lubiłam przebywać z nim sam na sam, byłam zbyt zmęczona i smutna, żeby ruszyć się z komory.

– Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała – powiedział pełnym niepokoju głosem, gdy usiadłam na swoim posłaniu. Oczywiście, nie mógł mnie pocieszać tutaj.

Gdy odszedł, leżałam sama w naszej części komory, a miejsce obok mnie było zimne. Słowa mamy stale kołatały mi w głowie: *Wrócę do ciebie, przysięgam*. Jej zamiary wydawały się jasne: dostarczyć dziecko bezpiecznie do szpitala, a potem szybko do mnie wrócić. Chciałam jej wierzyć. Jednak bardzo wiele rzeczy mogło pójść źle.

Przypomniałam sobie moment, gdy odeszła. Myślałam również o tym dniu w getcie, gdy pojawiła się w nim niemiecka policja, a ja schowałam się w skrzyni na ubrania. Mama, przekonana, że mnie zabrali, była gotowa wyskoczyć z okna i się zabić. Wtedy wołała umrzeć, niż żyć beze mnie. Teraz dobrowolnie mnie zostawiła. Co się zmieniło?

Oczywiście to dziecko wszystko zmieniło. Jednak nie umiałam czuć żalu do siostry. W gruncie rzeczy tęskniłam również za nią. Brak mi było małego bobasa, który leżał pomiędzy nami w łóżku przez kilka miesięcy, najpierw w brzuchu mamy, a potem przez zaledwie kilka nocy obok nas. Przez chwilę miałam siostrzyczkę, a potem ona także odeszła. Kiedyś w ogóle jej nie chciałam. Ale gdy zjawiała się na świecie, pokochałam ją. Nie wyobrażałam sobie, że brak takiej małej istoty można odczuwać tak dotkliwie.

Spałam z rękoma przerzuconymi na tę pustą część posłania, gdzie zwykle spała mama. Do pewnego stopnia oczekiwałam, że wślizgnie się w nocy na miejsce obok mnie i ogrzeje swoim szczupłym ciałem, tak jak zawsze. Rzucalam się niespokojnie, śniąc, że wróciła z moją siostrzyczką na rękach. „Po prostu nie mogłam jej zostawić” – powiedziała, podając mi dziecko.

Kiedy się zbudziłam, był poranek i mamy nadal nie było. Ale sen był tak realistyczny, że prawie ją widziałam obok siebie i czułam ciepło bijące od dziecka. Potem chłodny dreszcz wstrząsnął moim ciałem. Leżałam cicho, przytłoczona ogromem straty. Najpierw tato, potem mama i siostra. Zabrano mi rodzinę kawałek po kawałku, aż nic już nie zostało. Moje serce wyło z bólu.

Drugi dzień po odejściu mamy włókł się niemiłosiernie. Po śniadaniu położyłam się znowu i zwinęłam się w kłębek.

– Co ty robisz? – zbeształa mnie Babi po kilku godzinach, gdy nadal leżałam nieruchomo. – Nie tego oczekiwałyby po tobie twoja mama.

Jednak nie zmuszała mnie, żebym wstała. Przyniosła mi posiłki, gdy przyszedł na to czas, tłuczone ziemniaki na obiad i ponownie na kolację. Próbowałam trochę zjeść, ale gęsta ziemniaczana masa grzęzła mi w gardle.

Saul, przynosząc wodę, kilka razy w ciągu dnia podchodził, żeby mnie pocieszyć. Proponował spacer, ale nie nalegał, kiedy odmówiłam.

Gdy dzień dobiegał końca, a ja wciąż nie wstawałam, jego niepokój wzrósł.

– Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? – spytał.

Cofnij czas. Sprowadź moją mamę i siostrę z powrotem.

Niezależnie od najlepszych chęci był bezsilny.

– Nic.

Zapadła noc. Mama powinna była do tego czasu wrócić. Coś musiało się stać. Powinnam była pójść za nią. Teraz, nawet gdybym wy dostała się na ulicę, nie miałam pojęcia, gdzie jej szukać. Na pewno do tej pory dotarła do szpitala, do którego zabrała moją siostrę, o ile wszystko się udało. Jednak nie wiadomo, dokąd poszła później i dlaczego dotychczas nie wróciła.

Minął trzeci dzień bez mamy, potem czwarty i piąty. Na ogół tkwiłam w swoim kącie, opuszczając go jedynie na posiłki albo żeby pójść po wodę, gdy przyszła moja kolej. Dnie wydawały się nie mieć końca. Mama nalegała na przestrzeganie pewnego porządku w kanale, przynajmniej do chwili narodzin dziecka: należało wstać i uczesać się, umyć zęby po śniadaniu. Wymyślała lekcje i proste gry dla zabicia czasu. Jednak pod jej nieobecność rytm dnia, który wprowadziła, zniknął. Często drzemałam, chcąc chociaż w snach widzieć swoją rodzinę. Staralam się wyobrazić sobie, o czym byłaby kolejna lekcja, gdyby mama nadal tu była. Nie śmiałam pisać na małej tabliczce, którą dał nam Paweł, bo był na niej ostatni tekst napisany przez mamę i ze wszystkich sił chciałam zachować ten ślad po niej na zawsze.

– Wstawaj! – warknęła Babi pewnego ranka. Minął już prawie tydzień, a ja wciąż spędzałam niemal całe dni skulona na posłaniu. – Co pomyślałaby twoja matka?

Miała rację. W tej części pomieszczenia, którą zajmowałyśmy z mamą i którą utrzymywała w czystości, panował teraz bałagan, a moje

nieliczne rzeczy leżały porozrzucane. Włosy miałam nierozczesane, ubranie w nieładzie.

– Czy to ważne?! – krzyknęłam.

Przepełniona smutkiem, wstałam i wybiegłam do tunelu, a następnie do głównego burzowca, gdzie woda była głęboka i płynęła szybko. Spojrzałam na nurt, pragnąc, żeby zaniósł mnie gdzieś daleko w bezpieczne miejsce, odległe od tego kanału i wojny. Mogłabym wejść w wodę, która zabrałaby mnie do taty. Wyobrażałam sobie, że znowu jesteśmy razem, chociaż nie umiałam powiedzieć gdzie. Zanurzyłam stopy w wodzie, a lodowata wilgoć przesączyła się przez buty. Wyobraziłam sobie nieprzeniknioną ciemność i wodę wypełniającą płuca. Czy umiałabym po prostu odejść, czy walczyłabym do ostatka? A może nurt porwałby mnie ze sobą i zaniósł do ujścia kanału do rzeki i zostałabym zastrzelona? Każdy z tych sposobów byłby ucieczką z tego piekielnego więzienia.

Wychyliłam się dalej w przód. Jednak nie mogłam tego zrobić. Nagle usłyszałam za sobą jakieś szuranie. Odwróciłam się i zobaczyłam pana Rosenberga. Zobaczył mnie tuż nad wodą i jego twarz się ściągnęła, bo zrozumiał mój zamiar.

– Sadele, nie.

To przezwisko, jedno z tych, którymi nazywała mnie mama, sprawiło, że do oczu napłynęły mi łzy. Starłam się wymyślić wytłumaczenie, co robię nad samym brzegiem.

– Musisz zrobić coś lepszego – powiedział pan Rosenberg, zanim zdołałam się odezwać. Pokazał w górę. – Tam już prawie nie ma żywych Żydów.

Nie silił się, żeby oszczędzić mi prawdy, tak jak robili to rodzice i inni, gdy byłam młodsza. Ukrywanie tego nie było bezpieczne.

– Jesteśmy ostatnimi przedstawicielami naszego plemienia i tu na dole ciągle żyjemy. To, że żyjesz, zawdzięczasz swoim rodzicom.

– Ale czy w ogóle zostało coś, po co warto żyć? – jęknęłam żałośnie, po raz pierwszy wyrażając głośno swą rozpacz.

– Musisz żyć dalej, jesteś to winna swojej matce – odparł pan Rosenberg. – Mimo wszystko odeszła dla ciebie.

– Jak pan może tak mówić? – zawołałam, czując przypływ bólu i tęsknoty, który sprawił, że zabrzmiało to niegrzecznie. – Ona mnie porzuciła.

– Nie, nie – zaprotestował pan Rosenberg. – Odeszła, by cię uratować. Twoja matka nie opuściła cię dlatego, że jej nie obchodziłaś. Odeszła, bo ty i twoja siostra byłyście wszystkim, co jej zostało i o co się troszczyła, a myślała, że odejście stąd stanowi największą szansę, by uratować was obie. Nie chcesz chyba tego zmarnować.

Po chwili mówił dalej:

– Jesteś jedyną przedstawicielką swojej rodziny. Masz obowiązek żyć.

Miał rację. Chociaż serce pękało mi z bólu, musiałam być silna i robić, co należy, przez wzgląd na mamę – tak jak ona starała się dla mnie.

– Moja mama... – Nadal nie umiałam pogodzić się z faktem, że mnie porzuciła, ani nie myśleć o niebezpieczeństwie, w którym prawdopodobnie się teraz znajduje. – Gdzie ona jest?

– Nie wiem. Ale masz przeżyć dla niej, nieważne jak.

– A jeśli nie wróci?

Przez moment miałam nadzieję, że będzie protestował i przekonywał, że tak się nie stanie. Jednak nie chciał mnie zwodzić.

– Wtedy ze względu na nią powinnaś żyć tak, jak by chciała. Żeby była z ciebie dumna.

Zrozumiałam, że ma rację. Co pomyślałaby mama teraz, widząc mnie tak niechlujną i niezdyscyplinowaną, i że cała jej ciężka praca poszła na marne? Przynależało mi sobie, że odtąd zacznę przestrzegać rytmu dnia i zmuszę się do spacerów, ćwiczeń, nauki i utrzymywania czystości.

Pan Rosenberg zaprowadził mnie z powrotem do naszej kryjówki i skierował się do swojego kąta. Po chwili podszedł i wręczył mi książkę.

– Przewiozłem z domu do getta tyle książek, ile zdołałem.

Pokiwałam głową.

– Tak jak mój ojciec.

Pod tym względem ci dwaj mężczyźni byli bardzo do siebie podobni; pomimo powierzchownych różnic, mogliby zostać prawdziwymi przyjaciółmi, gdyby mieli okazję.

Wiedziałam, że pan Rosenberg ma książki – to od niego Saul brał te, które czytaliśmy każdej nocy. Saul wyjaśnił, że jego tata po prostu nie umiał się z nimi rozstać i uparł się, że uciekając z miasteczka, zabierze tyle, ile zdoła.

– Pilnował ich bardzo w getcie i tylko raz, gdy niemal zamarliśmy na śmierć, bo nie było drewna, pozwolił nam wziąć jedną na podpałkę – wyjaśnił Saul i dodał, że była to jedna z nielicznych sytuacji, gdy widział łzy w oczach ojca.

Jednak w ciągu kilku miesięcy pobytu w kanałach pan Rosenberg nigdy osobiście nie zaproponował mi żadnej ze swych drogocennych książek – aż do teraz. Chętnie przyjął zbiór opowiadań Szolema Alejchema. Otworzyłam go na pierwszej stronie, usiłując zobaczyć tekst w przyćmionym świetle.

– Tu jest za ciemno – powiedział pan Rosenberg przepraszająco. – Pewnie będziesz musiała pójść tam na górę, do miejsca przy kracie, żeby poczytać z Saulem.

Byłam zaskoczona, że o tym wiedział.

– Zawsze chciałem mieć córkę – dodał. – Miałem nadzieję, że z żoną się jej doczekamy, jeśli zostaniemy pobłogosławieni kolejnymi dziećmi. Albo że będziemy mieć wnuczkę, gdyby nasz syn Micah przeżył i miał dzieci.

Głos mu się załamał, gdy w pełni uświadomił sobie ogrom straty. Odchrząknął.

– W każdym razie cieszę się, że jesteś z nami.

– Dziękuję – powiedziałam, zdziwiona i wzruszona jego słowami.

– Musisz znaleźć jakieś małe promyczki nadziei, coś, co pomoże ci żyć dalej – dodał, prostując się.

– Ale jak?

Mama dodawała mi nadziei, a także moja siostrzyczka. Obie odeszły.

– Znajdź coś, co doda ci otuchy, i trzymaj się tego. To jedyny sposób, żebyśmy przetrwali wojnę.

Tej nocy niecierpliwie czekałam, aż wszyscy pójda spać, bo chciałam iść poczytać książkę, którą dał mi pan Rosenberg. Pomyślałam, że jeśli ucieknę w świat opowieści, znajdę chwilowe wytchnienie od nieustannego niepokoju o mamę.

Po chwili nad moim posłaniem pojawił się cień. Był to Saul. Wyciągnął do mnie zapraszająco rękę. Wzięłam książkę i ruszyłam za nim. Szliśmy w milczeniu, ze splecionymi palcami. Dotąd uważałam, że nasze spacerowanie w ciszy mnie uspokajają. Jednak nic nie mogło złagodzić mojego lęku o mamę.

– Muszę poszukać mamy – powiedziałam, gdy dotarliśmy do niszy i usiedliśmy obok siebie.

Saul pokręcił głową.

– To niemożliwe. Nie ma sposobu, by ją odnaleźć. Musisz tu zostać i żyć dalej. Właśnie tego by chciała.

Jego słowa były powtórzeniem tego, co wcześniej mówił jego ojciec.

– Poza tym potrzebuję cię.

Odwróciłam się do niego zdumiona.

– Wiem, że to brzmi egoistycznie. Nie wiedziałem, jak bardzo będzie mi ciebie brak, aż do tej nocy, gdy wyszłaś szukać jedzenia. Gdy nie szłaś koło mnie, czułem się zagubiony.

Dotknął mojego policzka.

– To miłość, Sadie.

Patrzyłam na niego w ogłuszającej ciszy, zastanawiając się, czy to wszystko nie jest przypadkiem snem.

– Teraz to wiem. Przykro mi, że tak długo trwało, zanim to zrozumiałem.

Pod wpływem impulsu pochyliłam się w jego stronę i nasze usta się spotkały. Spodziewałam się, że się odsunie. Nasz związek był czymś złym. Dla Saula, ze względu na narzeczoną, którą utracił. Dla mnie, ponieważ nie wierzyłam, że mógłby mnie pokochać jako kobietę w tych warunkach, a może w ogóle. Właśnie straciłam wszystko. Jak to było możliwe, by jednocześnie odczuwać tak wielki smutek i radość? Mimo to daliśmy się ponieść emocjom, nie mieliśmy siły, by powstrzymać uczucie, które nas połączyło.

Po kilku sekundach oderwaliśmy się od siebie.

– Czy to możliwe między nami? – spytałam bez zastanowienia. – Nie jestem religijna.

– A to ma tu znaczenie? – Uśmiechnął się Saul.

Chciałam go zapytać, co będzie z nami, jeśli uda nam się wyjść. Jednak żadne z nas nie śmiało poruszać sprawy przyszłości. Ta chwila musiała nam wystarczyć.

Przysunęłam się bliżej, ciesząc się jego gorącym uczuciem, ale szybko wróciłam myślami do mamy.

– Tak bardzo się martwię.

– Twoja mama nigdy by cię nie zostawiła na zawsze – powiedział. – Nie z własnej woli. Coś musiało ją zatrzymać.

Ta uwaga nie była pocieszająca.

– Mogła zostać aresztowana, ranna albo jeszcze gorzej! – wykrzyknęłam z rozpaczą.

Oczekiwałam, że będzie oponował i zapewniał mnie, że nic takiego się nie stało, ale tego nie zrobił.

– Nie powinnam była pozwolić jej odejść!

– Nie mogłaś jej zatrzymać.

Pokiwałam głową, przyznając, że powiedział prawdę.

– Po prostu czuję się taka bezradna. Tkwiąc tu na dole, nie mogę nic dla niej zrobić.

– Może twoja przyjaciółka mogłaby pomóc?

Nagle przypomniałam sobie o Elli. W poprzednią niedzielę, wskutek szoku i smutku po odejściu mamy, nie poszłam się z nią zobaczyć. Byłam zdziwiona, że Saul sugeruje, żebym poszła do niej teraz. Nie ufał Elli i sądziłam, że w zwykłych okolicznościach zwrócenie się do niej o pomoc było ostatnią rzeczą, którą mógłby zasugerować.

– Kazałeś mi przysiąc, że do niej nie pójde.

– Tak. Martwiłem się o ciebie i wołałem, żebyś tam nie chodziła, ale ona jest jedyną osobą, która mogłaby coś zrobić.

Rozważałam tę propozycję. Nie brałam tego przedtem pod uwagę.

Ostatni raz widziałam ją przed prawie dwoma tygodniami. Opuściłam nasze regularne spotkanie i nie wiedziałam, czy Ella wtedy nie zrezygnowała i w ogóle nie przestała przychodzić. Ale chciałam spróbować.

Zdałam sobie sprawę, że jest dopiero środa. Musiałam odczekać jeszcze cztery dni, żeby się z nią zobaczyć. Czas włókł się powoli. W końcu w niedzielę rano wyszłam z komory, gdy inni jeszcze spali. Zatrzymałam się w tunelu, widząc przed sobą jakiś cień. Ktoś stał mi na drodze. Ogarnęło mnie przerażenie. Zrozumiałam, że to Babi, dostrzegając przygarbioną postać. Trochę odetchnęłam. Nie zauważyłam, że nie było jej w komorze.

– Co pani tu robi? – spytałam.

– Idę nałapać trochę wody – odpowiedziała.

– Mogę to dla pani zrobić.

Zdziwiona wzięłam od niej pusty dzbanek. To zawsze my, młodsi, Saul lub ja, chodziliśmy po wodę. Ona nie zdołałaby unieść pełnego dzbanka. Dlaczego uważała, że teraz musi to zrobić?

– Dziękuję – powiedziała, kiedy po minucie wróciłam z naczyniem. Było ciężkie i niosłam je, idąc obok niej.

– Chcę zrobić zupę, a nie miałam dość wody na pięć miseczek.

– Cztery – poprawiłam łagodnie. To, że bez mamy było nas o jedno mniej, było jak cios sztyletem w serce.

– Tak, oczywiście, cztery – przytaknęła Babi zmieszana.

Nagle coś sobie uświadomiłam.

– Babi, czy pani dobrze się czuje?

– Tak, dobrze – odwarknęła. – Jestem starą kobietą. Zapominam. Należało się tego spodziewać.

Narastał we mnie niepokój. Babi bardzo się zmieniła podczas naszego pobytu w kanale, coraz częściej bywała rozgniewana i zapominała o różnych rzeczach. Przypisywałam to strasznym warunkom życia, a pewne objawy składałam na karb wieku. Jednak teraz widziałam wyraźnie: było to coś więcej niż starcze roztargnienie i zrzędlivość. Nie było z nią dobrze. Choroba lub wiek, koszmar życia w kanale sprawiały, że powoli traciła rozum. Może także sprawność fizyczną, pomyślałam, po raz pierwszy dostrzegając, jak bardzo stała się wątła i słaba w porównaniu do tej kobiety, która dziarsko brnęła przez tunele tej nocy, gdy się tu znaleźliśmy. Zastanawiałam się, czy Saul to zauważył, i postanowiłam nic mu jeszcze nie mówić. On już przeżył tak dużo, że mógłby nie znieść kolejnej złej wiadomości.

– Chodź – powiedziałam łagodnie. Zaprowadziłam Babi z powrotem do wejścia do komory. – Wejdz do środka i odpocznij.

Babi kilkakrotnie zakazywała mi chodzić pod kratę ze względu na duże ryzyko. Myślałam, że będzie chciała mnie zatrzymać. Modliłam się, by się ze mną nie kłóciła ani nie upierała, że będzie mi towarzyszyć.

Kiedy weszła do komory, jeszcze raz ruszyłam tunelem. Dotarłam do głębokiego zbiornika i zesłam na dno. Potem wdrapałam się po przeciwnej stronie na górę, tym razem szybciej niż poprzednio, bo już wiedziałam, jak to zrobić.

Doszłam do studzienki kanalizacyjnej. Był niedzielny ranek i Ella powinna tu być. Ale nie przyszła. Oczywiście. Przegapiłam poprzedni tydzień, a ona pewnie była przekonana, że dziś także się nie pojawię. Równie dobrze mogła już całkiem zrezygnować z naszych spotkań. Gdy ujrzałam światło dzienne nad kratą studzienki, coś we mnie pękło. Chociaż nie było Elli, musiałam wyjść na ulicę, żeby znaleźć mamę i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Mogłam wydostać się sama.

Doszłam do kraty i zatrzymałam się. *Tam na górze nie jest bezpiecznie* – zdawał się mówić jakiś głos. Przypominał głos Pawła. Paweł, niech Bóg ma go w swojej opiece, przechowywał nas tutaj, bo

uważał, że to jedyny sposób, by nas ochronić. Ale Paweł umarł, a mama pewnie też umrze, jeśli czegoś nie zrobię.

Oczywiście gdybym wyszła na ulicę, gdy nie ma Elli, nie miałabym żadnej pomocy ani kryjówki. Byłabym prawie tak bezbronna i tak samo rzucałabym się w oczy jak mama. Jednak nie mogłam zostać na dole i tylko się zastanawiać. Musiałam spróbować.

Popchnęłam ciężką kratę. Nie drgnęła. Spróbowałam jeszcze raz. Byłam zaskoczona. Otwierałam ją kilka dni temu, kiedy wypuszczałam mamę. Zastanawiałam się, czy ktoś jej nie zaspawał. Zobaczyłam, że jakiś kamień utknął w wąskiej szparze na brzegu kraty i zaklinował ją. Mały kamyk stanął mi na drodze do wyjścia i odszukania mamy. Nagle tego wszystkiego było za dużo. Moje zdenerwowanie osiągnęło szczyt i wybuchło. Szarpałam kratę, waliłam w nią tak hałaśliwie, że każdy przechodzień mógł to usłyszeć. A krata ani drgnęła.

Odwróciłam się pokonana i ruszyłam tunelem z powrotem. Nie mogłam wyjść, przynajmniej nie tą drogą. Pomyślałam o studzience na Dębnikach. Tam po raz pierwszy zobaczyłyśmy się z Ellą. Poszłam w tamtą stronę, ale od nowa pojawiły się wątpliwości: krata znajdowała się wysoko i miała wyjście na ruchliwą ulicę. Nie wiedziałam, czy do niej dosięgnę, a nawet jeśli tak, mogę zostać zauważona, lecz skoro chciałam znaleźć mamę, była to moja jedyna nadzieja.

Odtworzyłam tamtą trasę przez tunele i obok komory. W końcu dotarłam do tej drugiej kraty. Spojrzałam w górę, pragnąc zobaczyć nad sobą twarz Elli. Oczywiście nikogo nie było. Ella nie spodziewała się mnie tutaj. Rozejrzałam się wokół i dostrzegłam ponacinane metalowe listwy biegnące wzdłuż jednej ze ścian. Robotnicy musieli używać ich przy wchodzeniu i wychodzeniu z kanału. Wsunęłam stopę w pierwszą i wspierałam się, ale ściany były śliskie i musiałam uważać, żeby nie spaść. Wdrapałam się powoli na drugą listwę, a potem na trzecią. Ostrożnie wspierałam się na górę i popchnęłam kratę, modląc się, by nie była zamknięta.

Krata odsunęła się na bok. Rozejrzałam się w obie strony tuż nad ziemią, by się upewnić, że nikt mnie nie zobaczy. Potem z całych sił podciągnęłam się i wyszłam z kanału na ulicę.

Znowu byłam na powierzchni. Tylko tym razem zdana wyłącznie na siebie.

Rozdział 19

Ella

Sadie zniknęła.

A przynajmniej tego się obawiałam, idąc w kierunku rzeki tego ciepłego lipcowego poranka. Minęły dwa tygodnie, odkąd ją widziałam. W zeszłą niedzielę, tydzień po tym, jak wyruszyliśmy razem na poszukiwanie jedzenia i wróciła do kanału, poszłam nad studzienkę w pobliżu rzeki w porze naszego normalnego spotkania. Sadie się nie zjawiała, więc myśląc, że się spóźni, czekałam tak długo, jak mogłam. Kratka studzienki wydawała się lekko uchylona, jakby ktoś ją poruszył i przesunął. Zastanawiałam się, czy to ja zostawiłam ją w ten sposób tej nocy, gdy pomagałam Sadie wrócić do kanału. Pamiętałam jednak, że umieściłam ją centralnie nad otworem, i sprawdziłam, czy wygląda na nieruszaną, by nikt niczego nie zauważył. Nie, musiał ją ktoś otworzyć. Gdy poprawiałam położenie kratki, modliłam się, żeby nikt nie przechodził opodal. Nie umiałabym się wytłumaczyć.

Gdy dochodziłam do mostu, tłum przechodniów zgęstniał, a normalną falę porannego ruchu coś hamowało. Z przodu policja ustawiła coś w rodzaju barykady, zmuszając ludzi do ustawienia się w kolejce. Modliłam się, żeby to nie była kolejna akcja, jak wtedy, gdy widziałam kobietę skaczącą z mostu ze swymi dziećmi. Jednak policjanci nie robili wrażenia tak gwałtownych jak wówczas, ich ruchy były rutynowe i sprawne. Zrozumiałam, że to posterunek kontrolny, gdy zaczęli po kolei sprawdzać dokumenty każdej osobie, która chciała przejść przez most. To zmartwiło mnie tylko trochę mniej, niż gdyby to była akcja. Od początku wojny policja w przypadkowych miejscach organizowała w mieście takie kontrole i sprawdzała dokumenty zwykłym Polakom, przesłuchując ich w razie jakichś nieprawidłowości. Teraz zdarzało się to coraz częściej, a powody, dla których ludzie mogli

zostać zatrzymani na przesłuchanie, stawały się coraz bardziej uznaniowe.

Mężczyzna w kolejce przede mną przesunął się naprzód, ja też i zbliżając się do posterunku kontrolnego, wyjęłam dokument tożsamości.

– Kennkarta? – zażądał policjant.

Gdy mu ją wręczałam, serce biło mi mocniej. Moje dokumenty były w porządku, a pieczętki, które Ana Lucia załatwiła u Niemców, zezwalały mi na swobodne poruszanie się po całym mieście. Jednak to mogło nie powstrzymać policjanta od pytania o cel mojej wędrowki na Dębniki.

Policjant oderwał wzrok od dokumentu i przyjrzał mi się badawczo. Nastawiłam się, że zaraz zacznie mnie wypytywać. Wtedy pospiesznie oddał mi papier.

– Przechodzić! – warknął, kiwając na osobę stojącą za mną, by wystąpiła z szeregu do kontroli.

Ruszyłam szybko, starając się nie bieć. Po kilku minutach dotarłam na brzeg rzeki. Zerknęłam niespokojnie w stronę posterunku, obawiając się, że policja może widzieć stamtąd studzienkę kanalizacyjną. Na szczęście była dla nich niewidoczna.

Nad wodą bawiło się kilkoro dzieci, karmiąc kaczki, i musiałam czekać kilka kroków dalej, aż odejdą. W końcu podeszłam do wejścia do kanału. Było już prawie wpół do dwunastej, czyli po umówionym czasie naszych spotkań. Gdy zbliżyłam się do kratki, spodziewałam się, że zobaczę Sadie patrzącą w górę ciemnymi, pełnymi nadziei i oczekiwania oczami. Ale znów jej nie było. Narastał we mnie niepokój. Opuszczenie jednego spotkania było dziwne, ale mogły być rozmaite powody, które sprawiły, że nie mogła przyjść. Drugi raz z rzędu oznaczał, że stało się coś złego.

Wiedziałam, jak ważne dla niej są nasze spotkania. Nie przestałaby tak po prostu przychodzić. Co ważniejsze, potrzebowała jedzenia i czułam się winna, że dziś nie mogłam nic wynieść z domu.

Sadie nie przyszła. Coś się stało. Przez głowę przemknęły mi dziesiątki strasznych scenariuszy. Mogła zostać aresztowana albo utonęła jak jej ojciec. Ale może nie jest aż tak źle. Może po prostu opiekuje się w kanale matką albo jakąś inną osobą. Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć.

Chyba że zeszląbym do kanału. Uklęłam przy kratce, a żołądek podszedł mi do gardła, gdy próbowałam zajrzeć w głąb. Otchłań tonęła w ciemności. Nie wiedziałam, jak Sadie to znosi, dzień po dniu. Powiedziała mi parę razy, że nie jest tak źle. Kanał był dla niej schronieniem, miejscem wybawienia. Przywykła do tych strasznych warunków, ale ja, zaglądając w otwór, nie umiałam sobie wyobrazić, że schodzę tam choćby na sekundę. To nie brud ani rwąca woda, która jak mówiła Sadie, porwała jej ojca, przerażały mnie najbardziej. Chodziło raczej o ciasną przestrzeń. Mój brat Maciej określił to mianem klaustrofobii.

Wróciłam myślami do koszmaru z dzieciństwa, że jestem uwięziona. Nagle uświadomiłam sobie, że chodzi o coś więcej niż nocną marę, bardziej o wspomnienie, które nagle pojawiło mi się przed oczami. Kiedy mój tato odbywał podróże w interesach, Ana Lucia bywała niewyobrażalnie okrutna. Nie biła mnie, ale znęcała się w inny sposób, na przykład zapominała dać mi jeść przez półtora dnia. Olga, nasza ówczesna kucharka, przemycała dla mnie różne resztki, kiedy macocha nie widziała, i dzięki temu nie mdlałam z głodu. Kiedyś, gdy się ubrudziłam podczas zabawy na dworze, Ana Lucia zamknęła mnie w szafie na ubrania, wypchanej tuzinem futer. Wciśnięta między skóry martwych zwierząt, nie miałam czym oddychać. Krzyczałam, ale futra tłumiły mój głos. Wyobrażałam sobie, że ubywa powietrza, a ja się powoli duszę i nikt o tym nie wie. Próbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Minęły cztery godziny, zanim Olga zorientowała się,

gdzie jestem, i wypuściła mnie, spoconą i w hysterii. Ana Lucia wyszła wtedy do miasta i trudno powiedzieć, jak długo bym tam siedziała, gdyby nie nadeszła Olga.

Od tego dnia nie mogłam znieść przebywania w ciasnym pomieszczeniu. A teraz nie byłam w stanie zejść do kanału. Cofnęłam się, zawstydzona swoim tchórzostwem.

Z daleka zegar wybił wpół do dwunastej. Było już za późno na przyście Sadie. Ruszyłam znad brzegu rzeki, ale potem zawahałam się. Most nadal był zapchany przechodniami kłębiącymi się przy posterunku, więc nie było sensu wracać tamtędy do domu. Spojrzałam na ulicę prowadzącą na Rynek Dębnicki i na górujące nad nim wieże kościoła św. Stanisława Kostki. Nagle przypomniała mi się ta druga studzienka kanalizacyjna. Nie byłam przy wylocie kanału za kościołem, odkąd postanowiłyśmy spotykać się nad brzegiem Wisły. To wyjście na Dębnikach było bliżej miejsca, gdzie pod ziemią mieszkała Sadie; może gdybym tam poszła, udałoby mi się ją znaleźć. Ruszyłam wzdłuż rzeki w stronę dzielnicy przemysłowej, którą już znałam lepiej, odkąd zaczęłam tu przychodzić. Dotarłam do bocznego zaułka i po upewnieniu się, że nikt nie patrzy, podeszłam do kraty. Jednak przestrzeń poniżej była ciemna. Sadie tu także nie było.

Oczywiście, że nie. Postanowiłyśmy przecież się tu więcej nie spotykać. Przygnębiona opuściłam zaułek. Zbliżałam się do Rynku i spojrzałam w stronę kawiarni. Coś pchało mnie do tego, by sprawdzić, czy jest tam Krzyś, ale po naszym niemiłym rozstaniu nie mogłam tego zrobić. Ruszyłam więc z powrotem w kierunku mostu. Na pewno przejście przez kontrolę zajęłoby dużo czasu, więc pomyślałam, czy nie lepiej wobec tego pójść innym mostem. Gdy wyszłam zza rogu Rynku Dębnickiego, ujrzałam znajomą postać.

Sadie.

Dwa razy zamrugałam, nie wierząc własnym oczom. To naprawdę była Sadie.

Ruszyłam szybko w jej stronę. Co tu robiła? Znalazłam się tu w ostatniej chwili. Sadie stała w tłumie zwykłych ludzi, w pełnym świetle dnia, rozglądała się wokół, jakby chciała się zorientować, gdzie jest. Sukienka, którą dałam jej podczas naszego ostatniego spotkania, była teraz brudna i mokra. Sadie bardzo odstawała od innych ze względu na wychudłą figurę i brudne ubranie. Ludzie obchodzili ją szerokim łukiem, rzucali zdziwione spojrzenia i za chwilę ktoś na pewno się zorientuje, o co chodzi, i możliwe, że zawiadomi policję. Podbiegłam do niej. Uderzył mnie smród kanału.

– O, jesteś! – powiedziałam, siląc się na naturalny ton głosu. Pocałowałam ją w policzek, jakby nigdy nic, starając się nie wzdrygnąć z obrzydzenia. – Już jesteśmy spóźnione na twoją wizytę u lekarza. Chodź.

Zanim zdążyła zaprotestować, wyprowadziłam ją z Rynku w boczną uliczkę.

– Wizyta lekarska? – spytała, kiedy byliśmy na tyle daleko, że nikt nas nie mógł usłyszeć.

– Po prostu starałam się wymyślić jakąś wymówkę, dlaczego stoisz na ulicy w takim stanie. Co u diaska tu robisz? – Byłam rozdarta pomiędzy radością ze spotkania a niepokojem.

– Krata nad rzeką była zatrzaśnięta, a musiałam wyjść. Muszę znaleźć mamę.

– Znaleźć? – Zatrzymałam się i odwróciłam do niej. Mój niepokój wzrósł. – Co masz na myśli?

– Zaraz po naszym ostatnim spotkaniu mama zaczęła przedwcześnie rodzić. Urodziła dziecko, dziewczynkę. Ale nie mogłyśmy zatrzymać jej w kanale, bo zbyt głośno płakała. Więc mama zabrała ją do szpitala, tego prowadzonego przez bonifratrów na Kazimierzu, bo Paweł powiedział, że ktoś może tam dać schronienie

dziecku. A przynajmniej to właśnie mama próbowała zrobić. Minął już ponad tydzień i jeszcze nie wróciła.

– Och, Sadie...

Zakręciło mi się w głowie, gdy starałam się ogarnąć to wszystko, co przydarzyło się Sadie w ciągu tak krótkiego czasu, odkąd ją ostatnio widziałam.

Mówiła dalej:

– Więc poszłam sprawdzić, czy mogłabyś mi pomóc. Ale ciebie tam nie było.

– Bardzo mi przykro. Dzieci bawiły się niedaleko kraty i musiałam czekać, aż sobie pójdą. – Pominęłam informację o posterunku kontrolnym, żeby jej niepotrzebnie nie niepokoić. – Ale, Sadie, nie możesz tego robić. Nie jesteś bezpieczna tu na górze.

– Już przedtem wyszłam z kanału.

– To było co innego.

Wtedy to było wymknięcie się nocą w poszukiwaniu jedzenia. Jednak chodzenie po ulicach w biały dzień i wypytywanie ludzi to zupełnie co innego. Gdyby odezwała się do niewłaściwej osoby, mogłaby zostać aresztowana i byłoby po wszystkim. Jednak nie zwracała na to uwagi. Skoro jej matka i siostra odeszły, po prostu nie miała nic do stracenia.

– Sadie, pomyśl. Nie będziesz w stanie im pomóc, jeśli cię złapią.

Nie odezwała się, nie chcąc przyjąć tego do wiadomości. Uparcie zaciskała zęby.

– Sama pomogłaś mi wyjść – odezwała się w końcu.

– Myśmy to zaplanowały. Wtedy była noc. A teraz jest jeszcze bardziej niebezpiecznie – powiedziałam.

– Jak to? – zażądała wyjaśnień. Była w niej jakaś szorstkość. Stała się mniej ufna nawet wobec mnie.

Zawahałam się.

– Na ulicach jest więcej policji, nawet SS, zatrzymują i przepytują ludzi. Dziś, gdy tu szłam, natknęłam się na posterunek, gdzie musiałam pokazać dokumenty – wyjaśniłam.

Mówiłam teraz prawdę, starając się, by zrozumiała sytuację. Sadie zrobiła wielkie oczy.

– Więc widzisz, nawet dla mnie nie jest całkiem bezpiecznie na ulicach, tym bardziej dla ciebie – dodałam.

W dodatku Sadie, w swoim rozpaczliwym smutku, jeszcze bardziej nie pasowała do otoczenia niż wcześniej. Żadne ubrania i makijaż nie pomogłyby jej wtopić się w tłum. Nie, Sadie absolutnie nie może chodzić bezpiecznie po ulicach.

– Nie wiem, czy będę mogła cię ochronić.

Na twarzy Sadie odmalował się gniew i rozczarowanie.

– Więc nie chroń.

Wiedziałam, że nie chciała być niegrzeczna. Po prostu była zdecydowana za wszelką cenę odnaleźć matkę.

– Skoro jest jeszcze bardziej niebezpiecznie, tym bardziej muszę ją szybko znaleźć i zaprowadzić z powrotem do kanału.

– Jeśli zostaniesz aresztowana, także inni za to zapłacą. – Nie myślałam tylko o sobie, ale także o Krzysiu, który mi pomógł. – Wychodzenie na powierzchnię w środku dnia jest po prostu głupie.

– Przepraszam – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała szczerza skrucha. – Muszę poszukać mamy. Nie mogłam już dłużej czekać.

– Gdybyś mnie poprosiła, mogłybyśmy obmyślić jakiś plan. Pomogłabym ci. Teraz też ci pomogę.

Objęłam ją, chcąc jej jednocześnie pomóc i chronić. Nie sądziłam, że uda mi się to połączyć. Sama też ponosiłam ryzyko. Zamierzałam wychodzić z domu na kilka godzin, niby coś załatwić, i w tym czasie spotykać się z nią. A taka pomoc na pewno zajmie znacznie więcej czasu i Ana Lucia będzie mnie wypytywać o przyczyny mojej nieobecności. Jednak niezależnie od zagrożenia nie mogłam się odwrócić plecami do Sadie.

– Pójdę spytać w szpitalu w twoim imieniu. Ale musisz w tym czasie gdzieś się ukryć.

– Nie wrócę bez niej – powiedziała Sadie stanowczo.

– Chodź.

Nie wiedziałam, dokąd ją zaprowadzić. Nie śmiałam ukryć jej w domu Any Luci po raz drugi.

– Krzyś – powiedziałam niespodziewanie na głos. – Może on coś wymyśli.

Potem znowu przystanęłam. Nie rozstaliśmy się miło, gdy go ostatnio spotkałam. Może wcale nie będzie chciał mnie widzieć. Ale musiałam spróbować. Chowając dumę do kieszeni, ruszyłam w stronę kawiarni. Może przynajmniej będzie mógł ukryć Sadie, gdy pójdę na poszukiwanie jej matki.

– Widziałaś się z Krzysiem? – spytała Sadie po drodze. – To znaczy, od czasu tamtej nocy nad rzeką.

– Tak, ale właściwie wolałabym się nie spotkać.

– Dlaczego? Jak możesz tak mówić?

Zawahałam się. Chociaż chciałam opowiedzieć jej o Krzysiu, dzielenie się z nią moimi kłopotami wydawało się teraz niepoważne, gdy Sadie tak bardzo cierpiała.

– Kiedy wróciłaś do kanału, poszłam się z nim zobaczyć. Początkowo wszystko było dobrze, tak jak zazwyczaj. Już myślałam, że

moglibyśmy być znowu razem. Ale potem pokłóciliśmy się.

– O co?

– O ciebie – przyznałam. – To znaczy, o kanał. Krzyś chciał przechować tam amunicję dla Armii Krajowej. Ale powiedziałam mu, że to zbyt niebezpieczne.

– Przechowam ją, jeśli chcesz – powiedziała potulnie, z załęknionym wzrokiem. – Tylko tyle mogę zrobić.

– Nie – odparłam szybko. – Nie chcę, żebyś to zrobiła. To ładnie z twojej strony, ale nie pozwolę ci narażać siebie i reszty. Znajdziemy inny sposób.

Sprawa ta gryzła mnie, gdy szłyśmy do kawiarni. Odmówiłam prośbie Krzysia i rozstaliśmy się w gniewie. Czy naprawdę ośmieliłabym się prosić go teraz o pomoc?

– Saul mnie pocałował – gwałtownie wyrzuciła z siebie Sadie. – To znaczy, całowaliśmy się. Miałaś rację. Okazuje się, że on także jest we mnie zakochany. – Zarumieniła się.

– Och, Sadie! Mówiłam ci!

– Wiem, że to okropne. Nie powinnam teraz myśleć o takich sprawach, a tym bardziej o nich mówić. Ale musiałam ci powiedzieć.

– Dobrze zrobiłaś. Bardzo się cieszę.

Wszystko, co dodawało Sadie chociaż trochę otuchy, wydawało się teraz prawdziwym błogosławieństwem.

Dotarliśmy do kawiarni i wprowadziłam Sadie pod te same arkady, gdzie ukryła się poprzednio, gdy tu byliśmy. Weszłam do kawiarni. Spodziewałam się, że zobaczę ciemnowłosą dziewczynę z lokami. Zamiast niej za barem stał nieznany mężczyzna z rudawą brodą i wycierał szklanki.

– Przepraszam – zwróciłam się do niego – szukam młodej kobiety, która tu pracuje.

– Klary? – spytał, a ja przytaknęłam, w nadziei że chodzi o nią. Po raz pierwszy usłyszałam jej imię. – Jest w barze w piwnicy.

Wskazał schody po prawej stronie lokalu, których wcześniej nie zauważyłam. Ostrożnie zesłam po nierównych ceglanych stopniach. Na dole ze zdumieniem odkryłam tętniącą życiem piwniczkę. Piwniczne bary ze ścianami z czerwonych cegieł były znane w Krakowie i co najmniej tuzin takich lokali znajdowało się w pobliżu Rynku. Jednak nie wiedziałam o tym pod tutejszą kawiarnią. Zrozumiałam, że to rodzaj szynku, prowadzonego bez wiedzy i zezwolenia Niemców. Byłam zdziwiona, jak bardzo jest zatłoczony przed południem. Rozmaici młodzi ludzie siedzieli przy co najmniej sześciu stołach z grubo ciosanego drewna i pili piwo z ogromnych kufli. Byli to niemal wyłącznie mężczyźni i kilku spojrzło na mnie ze zdziwieniem, gdy stanęłam u stóp schodów.

Klara stała za barem, popychając nalewak przy drewnianej beczce z piwem. Podeszłam do niej, a jej oczy załśniły ze zdziwienia, a potem z niepokoju.

– To znowu ty.

Postawiła przede mną kufel. Wyszukałam monetę w torebce i położyłam ją na barze, ale Klara jej nie wzięła. Nigdy nie lubiłam piwa i nie chciałam go pić o tak wczesnej porze, ale zrozumiałam, że kobieta stara się zachować pozory. Upiłam łyk z kufła i gorzka piana połaskotała mi usta.

– Krzysztofa tu nie ma – powiedziała.

– A gdzie jest? – spytałam.

– Poza miastem – zniżyła głos. – Pojechał coś załatwić dla Korsarza.

– Tego spekulanta? – Skinęła głową. – Ale Krzyś nigdy by nie pracował z Korsarzem.

Nienawidził tego człowieka i wszystkiego, co sobą reprezentował.

– Nie, gdyby nie musiał.

Cofnęłam się myślami do sprawy ziemniaków, które zdobył dla Sadie. Nie chciał powiedzieć, jak udało mu się załatwić je tak szybko. Oświadczył, że ktoś był mu winien przysługę. Teraz zrozumiałam, że poszedł do Korsarza, żeby pomóc Sadie i mnie, mimo że musiał potem pracować z tym nikczemnym człowiekiem, by spłacić dług.

– Kiedy wróci? – spytałam.

– Nie mam pojęcia. Czy chcesz zostawić mu wiadomość? – spytała Klara, podając mi serwetkę zza baru.

Kiwnęłam głową. Ale nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Krzyś mi pomógł, mimo że wcześniej odmówiłam mu pomocy. Przemyślałam to i nabazgrałam:

Przepraszam. Pomogę ci we wszystkim, czego potrzebujesz. E.

Zastanawiałam się, czy nie dodać jakiegoś ozdobnika, świadczącego o moim uczuciu, ale uznałam, że lepiej nie.

Jednak nadal nie miałam gdzie ukryć Sadie. Zrozumiałam, że Krzyś nie mógł mi teraz pomóc. Podałam Klarze notatkę i biorąc głęboki oddech, powiedziałam:

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej?

Skinęłam głową.

– Mam paczkę, którą musisz przechować. – Klara wyglądała na zdumioną. – Ona jest na dworze.

Klara zacisnęła zęby.

– Nie. Nie ma mowy. Nie możemy tutaj ukrywać uciekinierów.

– Ona nie jest uciekinierką, tylko dziewczyną, która próbuje pozostać przy życiu.

– Gdyby przyszła tu węszyć policja, lokal zostanie zamknięty – odparła twardo.

Ton jej głosu wskazywał, że niepokoje się nie tyle o interesy związane z prowadzeniem samej kawiarni, ile o możliwość wykorzystania jej jako przykrywki do działania na rzecz AK.

– Proszę. Ona nie ma dokąd pójść.

– To nie moja sprawa.

– Krzyś także jej pomaga – dodałam. To nie było w pełni kłamstwo.

– Ona ma kryjówkę, która jego zdaniem może posłużyć za magazyn dla AK. Ale tylko wtedy, jeśli nie zostanie złapana.

Twarz Klary złagodniała.

– Za rogiem, z tyłu budynku, są drzwi do piwnicy. Zaprowadź ją, a ja spotkam się tam z wami.

Popędziłam z powrotem po schodach i wypadłam na zewnątrz, pod arkady, gdzie ukryła się Sadie.

– Chodź ze mną.

Poprowadziłam ją na tyły budynku. Były tam szerokie, metalowe, podwójne drzwi, w rodzaju takich służących do rozładunku piwa czy innego zaopatrzenia. Jedno skrzydło otworzyło się i Sadie zeszła po drabinie do piwnicy. Ruszyłam w ślad za nią, ale Klara mnie powstrzymała.

– Ciebie tu nie potrzeba – powiedziała chłodnym tonem. – Idź załatwiać swoje sprawy.

Zgodziła się pomóc, ale nadal mnie nie lubiła.

Sadie obejrzała się na mnie, wyglądała na zaniepokojoną, że z nią nie zostaję.

– Wrócę po ciebie – obiecałam. – Musisz być niewidoczna.

– Ale muszę szukać mamy.

Niezależnie od wszystkiego, co jej powiedziałam, ona nadal chciała iść sama.

– Ja jej poszukam – powiedziałam. – Pójdę do szpitala i sprawdzę. Ale tylko jeśli obiecasz, że tu zostaniesz. – Jej twarz wyrażała powątpiewanie. – Wierzysz mi, prawda?

– Tak – odpowiedziała Sadie. – Ale proszę, bądź ostrożna. Pomoc przy zdobyciu jedzenia dla mnie to jedno, ale pójście do szpitala i wypytywanie to coś znacznie bardziej niebezpiecznego. – Zmarszczyła brwi.

– Nie martw się – odparłam, wzruszona jej troską o moje bezpieczeństwo. – Pójdę tam szybko i wrócę prosto tutaj, dobrze?

Sadie odwróciła się, z pozoru uspokojona.

– Poczekaj – powiedziałam. – Jak ma na imię twoja mama?

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że tego nie wiem.

– Danuta – powiedziała ze smutkiem Sadie. – Danuta Gault – dodała i znikła w piwnicy.

– Wrócę po nią tak szybko, jak będę mogła – obiecałam Klarze. – Może mogłaby dostać coś do jedzenia, jeśliś dała radę to załatwić.

– Tak. Ale powinna odejść przed zmrokiem.

– Przysięgam. I dziękuję.

Nie mówiąc już nic więcej, Klara zamknęła drzwi i zostawiła mnie samą na ulicy.

Ruszyłam pospiesznie z Dębik w stronę mostu łączącego południowy brzeg rzeki ze śródmieściem. Idąc, analizowałam wszystko, co powiedziała Sadie. Niewiele wiedziałam o rodzeniu dzieci, ale nie umiałam sobie nawet wyobrazić, przez co przeszła jej mama, rodząc dziecko w kanale. I tego, że musiała zostawić tam drugą córkę. Sadie najwyraźniej miała nadzieję, że z jej mamą i siostrą wszystko w porządku. Jakaś część mnie wcale nie chciała wiedzieć, co się z nimi stało, i wyjawic Sadie strasznej prawdy, jeśli się jej dowiem. Ale obiecałam jej to, więc musiałam spróbować.

Przeszłam przez most i wkrótce dotarłam do Szpitala Zakonu Bonifratrów, mieszczącego się w olbrzymim budynku na obrzeżach Kazimierza. Chociaż kiedyś gmach był zadbany, teraz jego fasada z czerwonej cegły była zmurszała i pokryta sadzą, chodniki popękane, a zaniedbane krzewy i krzaczki wokół uschły i zrudziały. Drzwi wejściowe, umieszczone w bocznej dobudówce, były zamknięte, więc użyłam znajdującego się tam dzwonka. Po minucie zjawiała się siostra zakonna. Przypomniałam sobie, że szpital należy do zakonu i tuż za rogiem jest kościół i plebania.

– Przepraszam, ale nie ma u nas odwiedzin – powiedziała siostra, przyglądając mi się przez przekrzywione okulary.

– Szukam kobiety, która nazywa się Danuta Gault.

Zakonnica spojrzała na mnie niepewnie.

– Nie znam nikogo takiego.

Zmieszałam się. Sadie zdawała się wiedzieć, dokąd poszła jej matka. Czy się pomyliła, czy stało się coś, co zmieniło plany jej mamy, gdy wy dostała się na powierzchnię?

– Jest siostra pewna? – naciskałam. – To drobna kobieta, ładna, o bardzo jasnych włosach – powiedziałam, przypominając sobie, jak Sadie opisała swoją mamę.

Kobieta stanowczo pokręciła głową.

– Nie ma tutaj takiej osoby.

Poczułam się mocno rozczarowana. Mamy Sadie tu nie było. Zupełnie nie wiedziałam, gdzie jeszcze szukać. Miałam wrócić do baru w piwnicy i powiedzieć Sadie, że mi się nie udało?

– Ona wędrowała z noworodkiem – dodałam. W pośpiechu zapomniałam poinformować o czymś oczywistym. – Próbowала znaleźć bezpieczne miejsce dla dziecka.

Coś we wzroku zakonnicy wzbudziło we mnie nadzieję, że mama Sadie jednak tu jest.

– Nie potrafię ci pomóc.

Chociaż wyraz jej twarzy pozostał niezmienny, w głosie pojawił się lęk.

– To moja mama – skłamałam w nadziei, że zakonnica chętniej mi pomoże, jeśli osoba, której szukam, okaże się członkiem najbliższej rodziny. – Muszę ją znaleźć. Martwię się, że mogło jej się stać coś złego – powiedziałam, współodczuwając smutek i lęk Sadie. – Proszę. Tylko ona mi pozostała. Gdyby siostra mogła pozwolić mi wejść. Chociaż na minutę.

Zakonnica zawahała się, a potem otworzyła drzwi nieco szerzej.

– Do środka, szybko.

Zaprowadziła mnie do szpitala. Szłam za nią długim korytarzem, który po każdej stronie miał co najmniej kilkanaście drzwi. Z jednej sali dochodziło pikanie jakiegoś urządzenia, z innej słaby jęk. W nos uderzył mnie metaliczny zapach. Wróciłam myślami do wczesnego dzieciństwa, gdy odwiedziłam mamę w szpitalu. Tato podniósł mnie, żebym mogła pocałować jej papierowo biały policzek, bo była zbyt słaba, by wziąć mnie na rękę. Wtedy widziałam ją ostatni raz w życiu.

Odsunęłam na bok wspomnienia, skupiając uwagę na zakownicy, która szła szybko naprzód i wprowadziła mnie do małej dyżurki.

Przyglądałam się olejnemu obrazowi nad biurkiem, przedstawiającemu ukrzyżowanie Jezusa. Chociaż często z sentymentu nosiłam na szyi mały krzyżyk od taty, nie byliśmy religijną rodziną i nie uczestniczyłam we mszy od śmierci mamy. Zakonnica uprzątnęła jakieś papiery z krzesła i kazała mi usiąść.

– Możesz zostać jedynie minutę. Podlegamy zakazowi odwiedzin wprowadzonemu przez generalnego gubernatora. Miałabym wielkie kłopoty, gdyby ktoś się dowiedział, że pozwoliłam ci wejść.

– Zaraz wyjdę – obiecałam. – Ale najpierw, czy siostra mogłaby mi powiedzieć, czy widziała kobietę, o którą pytałam?

– To nie jest twoja matka, prawda? – spytała zakonnica ostro.

Zwiesiłam głowę.

– Nie. Przepraszam. To matka mojej przyjaciółki.

Okłamałam zakonnice. Czułam, jakby w każdej chwili miał uderzyć we mnie grom. Zastanawiałam się, czy siostra się pogniewa i uprze tak, że wyjdę, nie otrzymawszy informacji.

– Kobieta, o której wspomniałaś, przyszła tutaj. Jeden z naszych księży znalazł ją na ulicy i przyprowadził na leczenie. Gdy się tu znalazła, była bardzo słaba. Miała wysoką gorączkę i infekcję poporodową. Straciła bardzo dużo krwi.

Byłam zdumiona. Sadie nie mówiła, że jej mama jest taka chora. Może o tym nie wiedziała.

– Zaproponowaliśmy jej łóżko. Początkowo nie chciała skorzystać. Powiedziała, że musi wracać, ale nie wspomniała dokąd ani do kogo. Jednak nie miała wyboru – była po prostu zbyt słaba, by odejść. Więc zaopiekowaliśmy się nią, daliśmy tę odrobinę jedzenia i lekarstw, którymi dysponowaliśmy.

Serce waliło mi z podniecenia. Znalazłam mamę Sadie.

– Gdzie ona teraz jest? – spytałam. Mogłam doprowadzić do tego, by były razem, a przynajmniej powiedzieć Sadie, że jej mama jest bezpieczna.

Twarz zakonnicy skamieniała.

– Przyszli Niemcy. Zazwyczaj omijali szpital, bo nie chcieli się zarazić. Jednak tym razem weszli do środka i przesłuchiwali personel. Otrzymali donos o dziwnie ubranej kobiecie, która niemal przewróciła się na ulicy.

Jej słowa mną wstrząsnęły. Ktoś zobaczył mamę Sadie i doniósł na nią.

– Nie mogliśmy przeciwstawić się Niemcom i zaryzykować życie innych pacjentów ani też narazić pracę, którą tu wykonujemy.

Coś w jej głosie powiedziało mi, że ta misja wykracza poza opiekę medyczną, i zastanawiałam się, czy szpital odgrywa jakąś rolę w antyniemieckiej konspiracji.

– Ale nie mogliśmy dopuścić, by ją zabrali. Z pewnością by ją zabili, tak jak to się stało z pacjentami szpitala dla Żydów – przerwała na chwilę. – Więc sami się nad nią zmiłowaliśmy, jednym zastrzykiem. Nie cierpiała ani nie czuła bólu.

Zmiłowanie. To słowo tłuło mi się po głowie. Mama Sadie umarła. Serce mi stanęło na myśl o przyjaciółce, która tyle już straciła.

Opanowałam smutek i spojrzałam na zakonnice.

– Kiedy?

– Kilka dni temu.

Zadrzałam. Spóźniłam się. Gdybym tylko wiedziała, przyszłabym wcześniej. Ale nawet w chwili, gdy to pomyślałam, zrozumiałam, że i tak nie mogłam jej ocalić.

– A dziecko, co się stało z malutką?

Zakonnica wyglądała na zakłopotaną.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Mama przyjaciółki miała ze sobą niemowlę.

Siostra pokręciła głową.

– Nie, przyszła sama.

– Ale siostra powiedziała, że miała dziecko?

– Nie, powiedziałam, że urodziła dziecko. Mogliśmy to stwierdzić na podstawie jej stanu. I cały czas mówiła o dziecku. Takie rzeczy zdarzają się kobietom, które straciły dziecko i w jakiś sposób to wypierają. Ale nie było z nią żadnego niemowlęcia. – Podniosła się. –

Przykro mi, ale powiedziałam ci wszystko, co wiem. A teraz, ze względu na bezpieczeństwo naszych pacjentów, muszę cię prosić, żebyś wyszła.

Wyprowadziła mnie z biura i wypuściła bocznym wejściem.

Odwróciłam się, przygnębiona i zaszokowana tym, czego się dowiedziałam. Przystanąłam przy ogrodzeniu szpitala i oparłam się o poręcz, żeby się nie przewrócić. Mama Sadie nie żyła i nie wiadomo było, gdzie szukać jej siostrzyczki. Wiele lat temu straciłam matkę, ale odczułam tamten ból tak mocno i wyraźnie, jakby to było wczoraj. Ale wtedy wciąż miałam tatę i rodzeństwo, co stanowiło pociechę. Sadie nie miała już nikogo. Jak mam jej to powiedzieć?

Kiedy dotarłam do kawiarni, obesłam ją od tyłu i zapukałam lekko do drzwi piwnicy. Klara otworzyła jedno skrzydło i zaprowadziła mnie do kąta, gdzie siedziała Sadie. Na mój widok jej twarz pojaśniała, pełna wyczekiwania.

– Jakies nowiny? – Znad jej ramienia Klara popatrzyła mi prosto w oczy. – Moja mama? Czy dowiedziałaś się czegoś?

Zacięłam się. *Nic jej nie mów* – mówił mi jakiś wewnętrzny głos. Wyjawienie prawdy tylko by ją zniszczyło. Czy pozwolenie na to, by

nadal miała nadzieję, wyrządzało jakąś krzywdę? Jednak nigdy nie byłam dobra w utrzymywaniu tajemnicy. Wtedy pomyślałam sobie o nieznośnie długich miesiącach, gdy mój ojciec był uznany za zaginionego na froncie, zanim poznaliśmy jego los. Nadzieja była niemal bardziej okrutna niż smutek. Wzięłam głęboki oddech.

Ale powstrzymałam się. Nie mogłam tego zrobić.

Próbowałam powiedzieć Sadie, że jej mama nie żyje. Jednak słowa więły mi w gardle. Mama była ostatnią częścią jej dawnego świata, tym, co trzymało ją przy życiu. Miałabym zabrać jej resztkę rodziny? Pamiętałam, jak czułam się tamtej nocy, gdy dowiedziałam się, że mój ojciec zginął, że nikogo już nie mam. Miałabym to samo zrobić Sadie, w tysiąc razy gorszych okolicznościach? Pozbawiłabym ją ostatniej nadziei, motywacji do życia. Byłoby to, dosłownie, podpisanie wyroku śmierci.

Czy naprawdę krzywdziłam ją, pozwalając, by kilka dni dłużej żywiła się nadzieją? Może nawet mogłam dalej szukać jej siostrzyczki. Nawet w chwili, gdy o tym pomyślałam, wiedziałam, że nie mam szans na jej znalezienie. Ale to mi dawało powód, żeby jeszcze nie mówić nic Sadie.

– Jak dotąd nic. – Kłamstwo wymknęło mi się właściwie mimowolnie.

Twarz Sadie przygasła.

– Nie mogę wrócić bez niej.

– Musisz, Sadie. Pomyśl o Saulu i jego rodzinie. A ja będę dalej szukać – dodałam szybko. – Tyle że nie mogę zadawać zbyt wielu pytań bez zwracania na siebie uwagi. Teraz musisz szybko wrócić do kanału.

Zanim zaczęłam wchodzić po drabinie, odwróciłam się do Klary.

– Dziękuję. Gdybyś miała jakąś wiadomość od Krzysia... – zawahałam się. Już przecież zostawiłam mu liścik. – Powiedz mu, że to zrobię, że mu pomogę, czegokolwiek potrzebuje.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Odmowa pomocy nie poprawiałaby naszego bezpieczeństwa, tak jak ucieczka i ukrywanie się nie ocaliły rodziców i siostry Sadie. Klara skinęła poważnie głową.

Poprowadziłam Sadię bocznymi uliczkami przez Dębny, nie chcąc, by jej dziwny wygląd zwrócił czyjąś uwagę. Szliśmy w milczeniu. Każdy krok ciążył mi jak ołów. Musiałam powiedzieć Sadię prawdę, zanim się rozstaniemy, a ona wróci do podziemi. Zrozumiałam, że powinnam była jej to powiedzieć po powrocie do baru. Co będzie, gdy straci panowanie nad sobą tutaj na ulicy, zrobi scenę lub zacznie krzyczeć? W końcu doszliśmy do studzienki kanalizacyjnej niedaleko rzeki. Sadię schyliła się po kamień, który blokował kratkę, i otworzyła ją, podważając.

– Będziesz dalej szukać mojej matki? – spytała.

– Obiecuję. – Po tym kłamstwie pękało mi serce. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam powiedzieć jej prawdę. Ale gdybym to zrobiła, mogłaby nie wrócić do swej kryjówki albo w ogóle nie mieć sił do życia.

– Sprawdź w sąsiedztwie naszego dawnego mieszkania, a także tego w getcie – powiedziała Sadię, starając się odgadnąć, gdzie mogła pójść jej mama.

Skinęłam głową.

– Sprawdzę.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Narastało we mnie przytłaczające poczucie winy.

– Bardzo mi przykro – głos mi się załamał i prawie wyrzuciłam z siebie straszną prawdę. Potem się opanowałam. – Chciałabym zrobić dla ciebie więcej.

– Robisz wszystko, co możesz. Błagałam mamę, żeby nie wychodziła z kanału. Gdyby tylko mnie posłuchała!

– Nie, Sadie. To było niemożliwe. Gdyby została, płacz dziecka zaalarmowałby kogoś i znaleziono by was wszystkich. Ona odeszła, by chronić ciebie.

– Ona umarła, prawda?

Nie odpowiedziałam, ale objęłam ją ramionami. Twarz jej zastygła jak maska, jakby w gruncie rzeczy i tak znała prawdę, chociaż nic nie powiedziałam.

– Nie mam już nikogo.

– Nie mów tak! Masz mnie. – To były puste słowa. – Wiem, że to niewiele, że nie zastąpię ci mamy i reszty rodziny.

Nie odezwała się.

– Sadie, spójrz na mnie! – Objęłam jej dłonie obiema rękami. – To nie na zawsze. Przysięgam, wydostanę cię znowu z kanału.

Nie wiedziałam, jak mogłam obiecać coś takiego. Ale chwyciłam się wszystkiego, co dawałoby jej chęć dotrwania do kolejnego dnia.

– Nie musisz tam iść – powiedziałam mimowolnie. Nie miałam pojęcia, gdzie mogłabym ją ukryć, gdyby nie odeszła. – To znaczy, jeśli nie chcesz wracać. Mogłybyśmy wyjechać nocą z miasta, znaleźć jakiś sposób.

Przez chwilę widziałam nas gdzieś daleko stąd, gdzie obie byłyśmy wolne.

– Muszę – odpowiedziała. – Tam są także inni.

Chociaż jej matka i siostra nie żyły, nie chciała porzucić Saula i jego rodziny. Ale wciąż nie odchodziła.

– Tam na dole jest naprawdę ciężko. Jedynym powodem, dla którego to znosiłam, była moja mama. Nie jestem pewna, czy mam dość siły, by być tam bez niej – jej głos się załamał. – Nie dam rady sama.

– Nie musisz. Przychodź na spotkania ze mną, dobrze? A ja będę przychodzić tutaj i przynosić wszystko, co będę mogła, i przetrwamy razem te straszne dni, aż wojna się skończy.

Staralam się, żeby mój głos brzmiał pewnie i przekonująco.

– Dobrze – powiedziała Sadie.

Nie wiem, czy naprawdę mi uwierzyła, czy po prostu była zbyt wyczerpana i smutna, by się kłócić. Zaczęła schodzić do kanału. Staralam się stać tak, żeby zasłonić ją przed wzrokiem przypadkowego przechodnia, który mógłby zobaczyć ten niecodzienny widok.

– Będę tu jutro, dobrze? – spytałam. – I potem dzień po dniu. Będę przychodzić codziennie. Musisz wstawać rano i wychodzić mi na spotkanie.

Nie miałam pojęcia, jak mi się to uda. Wystarczająco trudne było wymykanie się do tej odległej części miasta raz w tygodniu i unikanie wścibskiego wzroku Any Luci. Jednak Sadie potrzebowała czegoś, czegokolwiek, co utrzymywałoby ją przy życiu.

Sadie, nic nie mówiąc, odwróciła się i zniknęła w kanale.

Rozdział 20

Sadie

Dzisiaj Ella się spóźniała. Stałam w tunelu, próbując schować się przed deszczem, przelatującym przez kratkę studzienki kanalizacyjnej. Wiatr zawiewał w dół, zacinając kroplami na boki, które starały się mnie doścignąć. Wycofałam się w kąt, bezskutecznie chroniąc się przed zmoknięciem. W pewnej chwili chciałam wrócić do naszej komory. Jednak zostałam, przekonana, że Ella przyjdzie.

Był już koniec lipca, minęły przeszło cztery miesiące od dnia, gdy weszliśmy do kanału. Mama odeszła prawie trzy tygodnie temu. Ella nie mogła jej znaleźć ani dowiedzieć się niczego, odkąd wróciłam do podziemi. Z każdym mijającym dniem trudniej było nie brać pod uwagę tej niezaprzeczalnej prawdy, że mama mogła już w ogóle nie wrócić. Jednak nadal łudziłam się nadzieją, bo tylko to pomagało mi znosić kolejne dni. Gdybym nie miała mamy, nie miałabym już niczego.

Nie tylko nieobecność mamy powodowała, że było coraz trudniej – również warunki naszego życia uległy pogorszeniu. Powietrze latem było gorące, co sprawiało, że gazy wydobywające się z kanału stawały się coraz gęstsze i bardziej cuchnące. Stawy bolały nas od wilgoci, a na skórze pojawiła się dziwna wysypka.

– Przynajmniej nie jest zimno – stwierdził któregoś dnia pan Rosenberg. – Nie mam pojęcia, co robić, żeby przetrwać następną zimę.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Zima miała nadejść za kilka miesięcy. Chyba nie mógł wyobrazić sobie, że zostaniemy tu aż do tego czasu.

Pomimo coraz gorszych warunków starałam się dawać sobie radę, by mama mogła być ze mnie dumna. Wstawałam rano, myłam się, ubierałam, porządkowałam miejsce wokół mnie, czytałam albo się uczyłam, wszystko w ustalonym rytmie. Jednak dni upływały powoli,

a samotne noce wydawały się jeszcze dłuższe; wypełniały je dziwne, niespokojne sny. Pewnej nocy śniło mi się, że płynę rzeką ścieków w kanale, a właściwie, że unosi mnie prąd i spotykam się z mamą i tatą. Wypatrywałam dziecka w ramionach mamy.

– Gdzie ona jest? – spytałam.

– Kto? – zdziwiła się mama, jakby nie rozumiała, o kim mówię. Jednak ponieważ nie nadaliśmy siostrzyczce imienia, brakowało mi słów. Rodzice przyciągnęli mnie bliżej, zrobili rodzaj tratwy i tak płynęliśmy wszyscy, z wyjątkiem jednej brakującej osoby.

Oczywiście obecność Saula mi pomagała. Staliśmy się sobie jeszcze bliżsi po tym, jak wyznaliśmy sobie uczucia. A i tak, podobnie jak wcześniej, musieliśmy wykradać wspólne chwile na przechadzki lub czytanie. Jednak świadomość, że Saul jest blisko i czuje do mnie to samo co ja do niego, sprawiała, że dni bez mamy i siostrzyczki były trochę łatwiejsze do zniesienia.

Spojrzałam teraz do góry przez kratkę, bo deszcz osłabł, a nadal miałam nadzieję, że zobaczę Ellę. Przychodziła codziennie, tak jak obiecała wtedy, gdy szukała mojej mamy, niezależnie od pogody ani od tego, jak trudno było jej się wyrwać z domu. Co rano ukryta w cieniu czekałam, aż nadejdzie, i wtedy pokazywałam się. Nie mogliśmy rozmawiać zbyt długo, trwało to zazwyczaj ledwie kilka minut. Nadal nie mogła odnaleźć mojej mamy ani siostrzyczki. Jej wizyty stały się jednak kołem ratunkowym, czymś, co w jeszcze większym stopniu niż wcześniej utrzymywało mnie przy życiu.

Dziś Ella się spóźniała. Nie kilka minut, ale całą godzinę. Zastanawiałam się, czy w ogóle przyjdzie. Gdy upływały kolejne minuty od umówionej pory spotkania, uznałam, że być może zobaczę się z przyjaciółką dopiero następnego dnia. Jeśli w ogóle. Życie stawało się coraz trudniejsze także dla zwykłych mieszkańców miasta, w miarę jak wojna się przeciągała. Słyszałam o tym wszystkim pod ziemią, o kontrolach, patrolach i aresztowaniach. Chociaż Ella nie skarżyła się

i nie mówiła dużo na ten temat, widziałam napięcie i niepokój, które przy okazji każdej wizyty odbijały się na jej ładnej twarzy. Kilka razy zastanawiałam się, czy nie powiedzieć jej, żeby już więcej nie przychodziła. Teraz martwiłam się coraz bardziej, czy nie stało się jej coś złego.

Pomyślałam jednak, że może po prostu jest zbyt zajęta, a przychodzenie do mnie jest na dalekim planie, niezbyt dla niej ważne. Przecież żyła na górze, gdzie było pełno ludzi, a nie wiedziałam nic o zajęciach, jakie miała w ciągu dnia.

Jednak kilka minut później zobaczyłam, że idzie szybko nabrzeżem, szybciej niż zazwyczaj, by nadrobić stracony czas. Jej rudawe włosy, na ogół schludnie ułożone, były nieuczesane i opadały luźno wokół twarzy, tworząc nad nią jakby jasną chmurę.

– Cieszę się, że jesteś – powiedziałam. – Bałam się, że coś się stało i nie będziesz mogła przyjść.

Wzruszyła ramionami.

– Policja zablokowała most. Musiałam się cofnąć i znaleźć inną drogę.

Zanim zdążyłyśmy porozmawiać, jakiś hałas dobiegł nas z tyłu, z ulicy biegnącej wzdłuż wybrzeża. Był to pisk opon i wrzask policjantów, wykrzykujących rozkazy. Ella odwróciła się gwałtownie w tamtą stronę. Szybko dała nura w bok, a ja ukryłam się w cieniu, bojąc się, że będzie musiała wracać do domu.

Po kilku minutach, kiedy hałasy się oddaliły, pojawiła się znowu i zuchwale stanęła nad kratką.

– Jest coraz gorzej – powiedziałam.

Na ulicach nie było już Żydów, ale łapanki i prześladowania zwykłych Polaków nasilały się z każdym dniem.

– Tak – potwierdziła głuchym głosem. – Wojna nie układa się po myśli Niemców.

Zastanawiałam się, czy to prawda, czy ona po prostu stara się mnie pocieszyć.

– Rosjanie nacierają na froncie wschodnim, a zachodni alianci posuwają się od południa.

Nie do końca temu wierzyłam. Już wcześniej słyszeliśmy podobne pogłoski, a miasto cały czas było pod brutalną kontrolą Niemców.

– Niemcy próbują wyłapać jak najwięcej Polaków, dopóki są w stanie.

– Bo już nie ma Żydów, których by mogli zagarnąć – dodałam gorzko.

Oczywiście Polacy również cierpieli, ale przynajmniej większość z nich nadal mieszkała we własnych domach, nie byli uwięzieni ani zmuszeni do ukrywania się.

– Nie musisz przychodzić, jeśli to za trudne – zaproponowałam niechętnie. Spotkania z Ellą były jednym z nielicznych jasnych momentów, które mi pozostały. Byłabym nieszczęśliwa, gdyby nie mogła więcej przyjść.

Twarz Elli była niewzruszona.

– Przyjdę.

Pomyślałam, że jest najodważniejszą osobą, jaką w życiu spotkałam.

– Ale nie mogę dziś zostać długo.

Kiwnęłam głową, starając się nie okazać zawodu. Nawet kilka minut to było coś, znak, że ktoś o mnie pamięta i troszczy na tyle, by przyjść.

Zanim Ella odeszła, podała mi przez kratę mały bochenek chleba na zakwasie.

– Jesteś pewna, że możesz go dać? – spytałam.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała, a ja zastanawiałam się, czy to prawda. Wydawało mi się, że w ciągu kilku ostatnich tygodni schudła, i podejrzewałam, że nie dojada, żeby zaoszczędzić dla mnie trochę jedzenia. W miarę, jak trwała wojna, zwykli Polacy z coraz większym trudem zdobywali pożywienie. Nie stali już w kolejkach na targu, bo nie było można tam nic kupić. Nawet Ella i jej zamożna macocha odczuwały teraz te braki. Byłam zdumiona, że Ella nadal zdobywa jedzenie dla nas wszystkich, i starałam się nie skarżyć, kiedy przynosiła mniej niż wcześniej. Choć mieliśmy teraz mniej osób do wykarmienia, to nadal ilość żywności była dalece niewystarczająca.

Dzwony katedralne po drugiej stronie Wisły biły dwunastą, gdy Ella odeszła. Ruszyłam z powrotem spod studzienki. W naszej komorze było dziwnie cicho, w kącie pan Rosenberg pochylał się nad modlitewnikiem. Nie dostrzegłam Saula. Pomyślałam, że musiał pójść po wodę. Chciałam spotkać go w tunelu, byśmy mogli spędzić razem kilka spokojnych chwil.

Babi leżała na pościeli po stronie zajmowanej przez Rosenbergów. Nie wstała dziś rano, a ja, przygotowując śniadanie, chodziłam na palcach, żeby jej nie zbudzić. Jej stan się pogorszył, w ostatnich dniach było to już delirium. Polegiwała stale na swym pościeli w kącie, bez przerwy zawodząc i mamrocząc. Czasami, gdy jej wywołane cierpieniem jęki stawały się zbyt głośne, nie mogłam się powstrzymać przed refleksją, że są one dla nas o wiele groźniejsze niż niegdysiejszy płacz mojej siostrzyczki.

Próbowałam porozmawiać o tym z Saulem kilka dni temu, gdy nie można już było dłużej ignorować jej pogarszającego się stanu.

– Babi nie jest zdrowa – powiedziałam, stwierdzając coś oczywistego.

Saul pokiwał głową potakująco.

– Czy wiesz, co to może być?

– To rodzaj starczej demencji – odparł. – Jej ojciec też to miał. Nic nie można na to poradzić.

Przysunęłam się do niego, chcąc go pocieszyć.

– Bardzo mi przykro.

– Ona zawsze była taką bystrą, dowcipną kobietą – powiedział.

Starałam się wyobrazić ją sobie zgodnie z opisem wnuka, bo gdy zeszliśmy do kanału, była już mocno postarzała.

– Ta choroba pod pewnymi względami jest bardziej okrutna od cierpienia fizycznego – dodał Saul.

Pokiwałam głową. Demencja okradła Babi z własnej osobowości.

Teraz Babi leżała cicho i nieruchomo. Miska kaszy, na którą próbowałam ją rano namówić, stała nietknięta obok. Wydało mi się dziwne, że w południe Babi nadal śpi. Podeszłam bliżej, by sprawdzić, jak się czuje, mając nadzieję, że znów nie dostała gorączki. Gorączka prześladowała tylko ją, pogarszając jej stan. Położyłam jej dłoń na czole, by sprawdzić, czy jest rozpalone. Ku mojemu zaskoczeniu poczułam chłód skóry. Wtedy zauważyłam, że Babi leży w dziwnej pozycji, a jej twarz jakby zastygła w uśmiechu.

Cofnęłam się gwałtownie, zakrywając ręką usta. Babi nie żyła. Musiała umrzeć we śnie. Czy jej śmierć miała związek z demencją, czy jakąś inną chorobą, czy po prostu wynikała z podeszłego wieku? Popatrzyłam na pana Rosenberga, który siedział tylko trochę dalej, nieświadomy, co się stało. Chciałam mu powiedzieć. Ale to nie była moja rola. Wybiegłam z komory, żeby znaleźć Saula.

Gdy wpadłam do tunelu, Saul wyszedł zza zakrętu, idąc powoli z ciężkim dzbankiem pełnym wody.

– Sadie... – Uśmiechnął się ciepło, a oczy mu rozbłysły, jak zwykle gdy się spotykaliśmy. Potem, widząc, że jestem załamana, upuścił dzbanek, rozlewając wodę, i podbiegł do mnie. – O co chodzi? Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest. To Babi.

Bez słowa popędził do komory. Poszłam za nim, ale stanęłam przy wejściu, zachowując odpowiednią odległość, gdy Saul sprawdził stan babci i potwierdził, co już wiedziałam. Pochylił na chwilę głowę, potem wstał, podszedł do ojca i uklęknął przed nim. Nie słyszałam, co szeptał. Pomyślałam, że pan Rosenberg będzie pewnie szlochać, jak wtedy gdy dowiedział się, że umarł jego najstarszy syn. Jednak tylko oparł czoło na ramieniu Saula i cicho zapłakał, jak człowiek zbyt załamany, by wydać z siebie głos.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, podeszłam bliżej.

– Przykro mi – powiedziałam, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Wydawało mi się, że po tych wszystkich stratach, które przeżyłam od początku wojny, będę umiała złożyć kondolencje w sposób bardziej naturalny. – Wiem, jak bardzo obaj ją kochaliście i jak wielka to dla was strata.

Pan Rosenberg skinął głową, a potem spojrział na Babi.

– Co mamy z nią zrobić?

Ani Saul, ani ja nie odpowiedzieliśmy. Żydowskie prawo nakazywało, by została pochowana w odpowiednim grobie najszybciej, jak to możliwe. Jednak nie mogliśmy zabrać jej na górę, a podłoże kanału było zbyt twarde, by w nim kopać. Nie mając wyboru, we troje wynieśliśmy Babi z komory i tunelem dotarliśmy do miejsca, w którym nasz kanał łączył się z szerszym strumieniem rwącej wody. Opuściliśmy Babi na jej powierzchnię. Popatrzyłam na nią ze smutkiem i dotknęłam jej zimnej ręki. Nasza znajomość nie zaczęła się dobrze. Ale teraz wiedziałam, że wszystko, co robiła, miało chronić jej rodzinę

i jednocześnie mnie. I mimo to polubiłyśmy się. Gdy nurt unosił ją w dal, podziękowałam jej za pomoc i wybaczyłam krzywdy wyrządzone mnie i mojej rodzinie. Ciało Babi opadło niepostrzeżenie pod powierzchnię wody. Wyobraziłam sobie, że tam czeka na nią mój tata.

– Czy powinniśmy odmówić kadisz? – spytałam. Chociaż nie wiedziałam zbyt dużo o naszej religii, znałam modlitwę za zmarłych, bo dorastając na Kazimierzu, często słyszałam ją podczas pogrzebów i przy okazji odwiedzin u żałobników w okresie sziwy.

Saul pokręcił głową.

– Można odmawiać kadisz tylko wtedy, gdy zbierze się minjan, czyli dziesięciu mężczyzn.

Więc tutaj, gdzie byliśmy tylko we troje, on i jego ojciec zostali pozbawieni tego żałobnego rytuału. Saul położył dłoń na ramieniu ojca.

– Kiedyś, tato, staniemy w synagodze i odmówimy kadisz za Babi.

W jego głosie brzmiała pewność, ale zastanawiałam się, czy sam w to wierzy. Synagoga w ich miasteczku została wypalona do samej ziemi. Pomyślałam, że tych w Krakowie też już nie ma, przypominając sobie ciche, wypatroszone szkielety budowli, które widziałam, idąc przez Kazimierz z Ellą. Nieliczne, które przetrwały, zostały zbezczeszczone przez Niemców i zamienione w stajnie lub magazyny. Trudno było wyobrazić sobie świat, w którym nadal istnieją modlitwy i świątynie.

Kilka następnych dni było smutnych dla nas wszystkich. Strata Babi była bardziej dotkliwa, niż sądziłam. Bez niej nasze mieszkanie wydawało się puste i zimne. Bywała zrzędliva, jak to na starość, a czasami niemiła, ale jednak pomogła mojej mamie urodzić dziecko i pocieszała mnie, gdy mama odeszła. Jej śmierć spowodowała większą pustkę, niżbym się spodziewała. Teraz został tylko Saul, jego ojciec i ja. Nasza grupka kurczyła się z dnia na dzień i nie mogłam nic poradzić, że

zastanawiałam się, kto będzie następny i ile czasu jeszcze minie, zanim wszyscy umrzemy.

Rozdział 21

Ella

Pewnego wieczoru na początku sierpnia siedziałam sama na poddaszu, zbyt zmęczona, by czytać czy malować. Na dole panowała cisza. Ana Lucia od ponad miesiąca nie zorganizowała żadnego przyjęcia. Nastrój Niemców na ulicach wyraźnie się zmienił, odkąd trudno już było wątpić w informacje o ich zaciętych walkach z Sowietami na wschodzie i sukcesach zachodnich aliantów na froncie włoskim. Domyślałam się, że goście, bywający dawniej na przyjęciach u mojej macochy, nie mają nastroju do zabawy. I w porządku. Przy zmniejszających się dostawach żywności nie byłaby w stanie urządzać tych spotkań w swoim stylu.

Mój wzrok powędrował do fotografii Krzysia na biurku. Minęły już ponad trzy tygodnie, odkąd poszłam do kawiarni prosić o pomoc w znalezieniu mamy Sadie i go nie zastałam. Od tamtej pory nie miałam od niego żadnej wiadomości. Powtarzałam sobie, że nie powinnam się temu dziwić. Ostatnio rozstaliśmy się w gniewie. Jednak miałam nadzieję, że liścik, który zostawiłam Klarze, poprawi całą sytuację. Nie wiedziałam wprawdzie, czy Klara spotkała się z Krzysiem i doręczyła list. Niejednokrotnie, gdy odwiedzałam Sadie przy studzience w pobliżu rzeki, rozważałam, czy nie wyskoczyć do kawiarni na Dębnikach i nie sprawdzić, czy Krzyś wrócił. Jednak zawsze powstrzymywała mnie duma. Już kiedyś tęskniłam za nim i go wyczekiwałam, i obróciło się to przeciwko mnie. Nie chciałam znowu popełnić tego błędu.

Dni mijały mi na odwiedzinach Sadie, której przynosiłam tyle, ile mogłam. Nadal nie powiedziałam jej prawdy o mamie. Wielokrotnie, targana wątpliwościami, starałam się przekonać samą siebie, że podjęłam dobrą decyzję. Im dłużej Sadie przebywała w kanale bez rodziny, tym trudniej było doszukać się w jej oczach nadziei. Nie mogłam jej dobijać kolejną złą wiadomością.

Przebrałam się w koszulę nocną i wskoczyłam do łóżka, bezskutecznie usiłując zasnąć. Jakiś czas później usłyszałam, że przyszła Ana Lucia ze swym nowym towarzyszem i gramolą się na górę po schodach do jej pokoju. Pułkownik Maust wyjechał, przeniesiony z nieznanymi mi powodów do Monachium. Zastanawiałam się, czy bez niego Ana Lucia straci uprzywilejowaną pozycję na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Jednak szybko zastąpiła go jeszcze wyższej rangi Niemcem, którego imieniem nie zaprzątałam sobie głowy. Ponury, milczący oficer nie silił się na uprzejmości, tupiąc późną nocą buciorami po domu i w ten sam sposób wychodząc przed świtem. Hanna szepnęła mi kiedyś, że on ma żonę i dzieci w Berlinie. Był okropnym typem i wyglądało na to, że raczej krzyczy na moją macochę, niż z nią rozmawia. Dźwięki dobiegające w tych dniach z jej sypialni mogły świadczyć o przemocy, i zastanawiałam się, czy nie powinnam zejść na dół i stanąć w jej obronie.

Kilka dni wcześniej przy śniadaniu zauważyłam, że macocha ma siniak pod okiem.

– Wiesz, że nie musisz się z nim zadawać ani mu na to pozwalać – powiedziałam. Chociaż była dla mnie okropna, to jednak odczuwałam mimowolne współczucie. – Damy sobie radę bez opieki jakiegoś Niemca.

Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

– A kim ty jesteś, żeby mi doradzać w moich prywatnych sprawach?
– wybuchła, szybko pokrywając zażenowanie gniewem.

Nie drażyłam więcej tego tematu.

W końcu odcięłam się od hałasów z pokoju Any Luci na dole i zasnęłam. Nagle ze snu wyrwał mnie donośny stukot. Przetarłam oczy, gdy dźwięk się powtórzył. Kamyk, a potem następny, uderzył w moje okno. Usiadłam. Kiedyś Krzyś dawał mi znać w ten sposób, był to nasz tajny znak, że powinnam zejść na dół i spotkać się z nim po kryjomu. Przyglądałam włosy, zastanawiając się, jak dawno temu wrócił ze

swojej wyprawy. Czy Klara dała mu mój liścik, czy po prostu sam postanowił przyjść? Wydawało się to dość bezczelne, zważywszy na naszą ostatnią kłótnię i upływ czasu, że spodziewał się, że teraz do niego zejdę. Podeszłam do okna.

Ze zdziwieniem zobaczyłam, że na ulicy nie stoi Krzyś, tylko Klara.

– O co chodzi? – spytałam, w równym stopniu rozczarowana, zaciekawiona i zaniepokojona. Najwidoczniej Krzyś powiedział jej, gdzie mieszkam. Dlaczego sam nie przyszedł?

Klara nie odpowiedziała, ale gestem nakazała mi zejść na dół na ulicę. Ubrałam się i szybko zbiegłam po schodach, starając się nie robić hałasu. Martwiłam się, czy Ana Lucia i jej towarzysz nie usłyszeli stuku kamyków. Jednak oboje chrapali, twardo śpiąc po wypiciu zbyt dużej ilości wina. Wymknęłam się na zewnątrz.

– Chodź – powiedziała Klara, ruszając, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi.

– Dokąd idziemy? Czy Krzysiowi coś się stało?

– Nic mu nie jest. Ale chce, żebyś zaraz przyszła.

– Dlaczego? Dzieje się coś złego?

Zastanawiałam się, czy Krzyś zdecydował się przyjąć moją propozycję pomocy. Ale Klara pokręciła głową i nie chciała dalej rozmawiać na ulicy ani odpowiadać na moje pytania. Szła szybkim krokiem, prawie biegła i chociaż miałam dłuższe nogi, z trudem za nią nadążałam.

Kiedy dotarliśmy na Dębniki, spodziewałam się, że Klara zaprowadzi mnie do kawiarni. Jednak skierowała się w stronę zaułka na tyłach kościoła. Zdałam sobie sprawę, że przedtem nie była z nami nad studzienką kanalizacyjną, więc Krzyś musiał jej powiedzieć, gdzie to jest.

– Czy coś się stało Sadie? – Poczulałam skurcz żołądka.

– O ile wiem, ma się dobrze.

Gdy doszliśmy do zaułka, zobaczyłam, że ktoś stoi nad kratką studzienki. Na chwilę wpadłam w panikę. Ale szybko przekonałam się, że to Krzyś. Ruszyłam w jego stronę. Klara, która mnie tu przyprowadziła, odeszła w pośpiechu, zostawiając nas samych.

Na ziemi obok Krzysia stały dwie prostokątne drewniane skrzynie.

– Co to jest? – spytałam, przez moment mając nadzieję, że udało mu się zdobyć więcej jedzenia dla Sadie. Jednak były to fabryczne skrzynie, opatrzone dużym, czarnym napisem wykonanym cyrylicą, wyglądającym na rodzaj ostrzeżenia. – Czy zawierają amunicję?

Nie odpowiedział.

– Już rozmawialiśmy na ten temat.

– Z twojego liściku wynikało, że chcesz pomóc.

– Powiedziałam, że to ja chcę pomóc. Nie Sadie. Nie w ten sposób.

– Ella, musimy ukryć tę amunicję. Czekaliśmy na nią od tygodni i jutro będziemy mogli dostarczyć ją tam, gdzie trzeba, najdalej pojutrze. Czyli to nie powinno trwać dłużej niż noc.

– Zdecydowanie nie – powiedziałam wściekła. – Już ci mówiłam, że nie będę narażać Sadie z twojego powodu.

– Mojego powodu? – Teraz z kolei on był wściekły. – Tu nie chodzi o mnie. Walczymy o nasze życie, Ella. Twoje, moje i Sadie również – Krzyś zniżył głos. – Ta amunicja, naboje i materiały wybuchowe były trudne do zdobycia, a mają dla nas wielkie znaczenie. Musisz zrozumieć, że kanał jest doskonałą kryjówką – nalegał. – Byłyby tam niewidoczne, niemożliwe do znalezienia. Chodzi tylko o jedną noc.

– Ale to zbyt niebezpieczne. Jeśli amunicja zostanie znaleziona albo wybuchnie, Sadie i jej przyjaciele wpadną.

– Tak się nie stanie. – Krzysiovi nie mieściło się w głowie, by jego plan mógł zawieść. Jednak ja wiedziałam, że zawsze może zdarzyć się coś złego.

– Nie możesz być tego pewien – zaprotestowałam. Tyle rzeczy mogło się nie udać.

– Obiecuję, że Sadie nie stanie się żadna krzywda. Oddam życie, a nie dopuszczę do tego. – Miał stalowe, stanowcze spojrzenie. – Napisałaś w liściku, że jesteś gotowa pomóc – powtórzył.

– Tak, ale... – Wyobrażałam sobie, że sama dostarczam pakunek lub pomagam w jakiś inny sposób. Gdyby przyszło mi do głowy, że on zamierza zaryzykować bezpieczeństwo Sadie, nigdy bym tego nie zaproponowała.

– Powiedziałaś, że zrobisz, co trzeba. Teraz masz szansę to udowodnić.

Nic nie odpowiedziałam.

– W naszej robocie nie ma półśrodków, Ella – powiedział surowo. – Albo wchodzisz w to całkowicie, albo wcale.

Oczy Krzysia zapłonęły i wtedy zobaczyłam, że jest gotów poświęcić wszystko dla sprawy, w którą wierzy. Ale ja nie. Wyprostowałam ramiona, przygotowując się, żeby mu odmówić i ponieść konsekwencje.

Wtedy pod kratką coś zaszurało. Spojrzałam w dół i zobaczyłam Sadie, którą pewnie sprowadził tu hałas. Patrzyła w górę, mrugając oczami ze zdziwienia, że tak wiele osób stoi nad wejściem do kanału.

Strach przesłaniał jej oczy. Potem zobaczyła mnie i uśmiechnęła się.

– Och, cześć – powiedziała ufnie. Serce mi podskoczyło. Zauważyła za mną Krzysia. – Czy wszystko w porządku?

– Tak – odparłam szybko, potem zająknęłam się. Jak mogłam wyjaśnić, o co poprosi ją Krzyś?

Zanim zdążyłam się odezwać, Krzyś ukląkł tuż przy kanale i opisał Sadie sytuację głosem tak cichym, że go nie słyszałam. Sadie kiwała głową, słuchając, jej oczy rozszerzyły się, potraktowała go poważnie.

Uprzedziła mnie.

– W porządku – powiedziała potulnie, akceptując rzeczywistość, na co ja nie umiałam się zdobyć. – Mogę to zrobić. – Usta jej zadrżały.

– Sadie, nie...

– Zrobię to – upierała się.

– To zbyt niebezpieczne. Nie pozwalam ci.

– Wybór nie należy do ciebie – odburknęła Sadie. – Nie jestem dzieckiem, Ella – dodała łagodniejszym, ale nadal raniącym tonem. – Potrafię sama zdecydować i chcę to zrobić.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ chcę pomóc. Przedtem nie wiedziałam, że na zewnątrz są jeszcze dobrzy ludzie, tacy jak ty. Tyle osób mi pomogło, ty, Krzyś, Klara i Paweł, ten robotnik, który nas tu przyprowadził. I ze względu na wszystko, co zaryzykowaliście dla mnie, jeśli chociaż trochę mogę pomóc, chcę to zrobić. – Uniosła podbródek. – Odkąd zaczęła się wojna, nie robię niczego, tylko uciekam i ukrywam się. To dla mnie szansa, żeby nie czuć się bezsilna. Chcę mieć jakiś udział. Mogę to zrobić – powtórzyła pewniejszym głosem niż poprzednio.

– Nie musisz – nalegałam.

– Wiem, ale chcę.

– Potrzebujemy pomocy w umieszczeniu tego na dole – powiedział Krzyś, poklepując jedną ze skrzyń. Robiły wrażenie ciężkich i zastanawiałam się, jak sam je tu przydźwigał.

Sadie poważnie pokiwała głową. Zniknęła na kilka minut i wróciła z młodym, brodatym mężczyzną. Natychmiast domyśliłam się, że to Saul, chłopak z kanału, o którym opowiadała. Ten, w którym się kochała. Był kilka lat starszy od nas, nosił strój ortodoksyjnego Żyda i miał zamysłone, ciemne oczy. Po tym, jak się zachowywał, stając tuż przed Sadie i osłaniając ją, mogłam poznać, że jej uczucie nie jest jednostronne.

Sadie zwróciła się do niego:

– To Ella, moja przyjaciółka, o której ci opowiadałam. To ona nam pomaga. Ella, to jest Saul – wymówiła jego imię ciepłym głosem.

– Cześć – przejęłam inicjatywę.

Saul nie odpowiedział ani się nie uśmiechnął. W jego oczach byłam wrogiem narażającym jego bezpieczeństwo i nie można mi było ufać. Jego łagodne oczy przybrały twardy wyraz, gdy zrozumiał sytuację.

– Nie możecie chyba poważnie oczekiwać, że to zrobimy – powiedział do Krzysia cichym, lecz stanowczym tonem. – Kanał jest wszystkim, co mamy, naszym jedynym schronieniem.

– Wiem – odparł Krzyś. – I nie prosiłbym o to, gdyby było jakieś inne wyjście. Ale chodzi tylko o jedną noc.

Krzyś odciągnął pokrywę kanału i popchnął pierwszą skrzynię w stronę otworu.

– Cofnij się – nakazał Sadie Saul, gdy próbowała pomóc Krzysiovi z dołu.

Paka wyslizgnęła się i wpadła do kanału z łoskotem, który rozległ się głośno po ulicy. Stężałam, modląc się, żeby amunicja była zabezpieczona i nie eksplodowała wskutek upadku. Potem rozejrzałam się nerwowo. Każdy, kto byłby w pobliżu, na pewno usłyszałby hałas. Krzyś położył mi dłoń na ramieniu i w milczeniu nasłuchiwałam kroków. Jednak na ulicy nadal panowała cisza. Po kilku sekundach

Krzyś opuścił drugą skrzynię na dół do Saula, który ostrożnie umieścił ją w tunelu.

– Nie musicie zabierać ich nigdzie dalej – powiedział Krzyś. – Po prostu niech będą tutaj, ale niewidoczne z góry.

– Czy mamy stać na straży i ich pilnować? – spytał Saul.

– Nie, to nie jest konieczne. Nikt nie wie, że je dostaliśmy ani że je tutaj ukryliśmy.

Pomyślałam sobie, że prawie nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że można coś ukrywać w kanale, a tym bardziej ludzi. Krzyś zrzucił brezentową płachtę.

– Możecie przykryć tym skrzynie i zostawić je tutaj na noc. Ktoś przyjdzie po nie przed świtem.

– Ktoś? – zażądałam wyjaśnień, odwracając się do niego. – Nie ty?

– Ja, jeśli będę mógł. Jeśli nie, ktoś z moich zaufanych ludzi. – Ujął moje dłonie. – Nigdy bym nie zrobił czegoś, co zagroziłoby Sadie albo tobie.

Zajrzał mi głęboko w oczy, chcąc, bym mu uwierzyła. Jak mógł coś takiego powiedzieć po tym, co teraz zrobił?

– Właśnie to zrobiłeś – stwierdziłam, odsuwając się od niego.

Podeszłam do kratki kanalizacyjnej. Ledwie mogłam dostrzec Sadie obok dwóch wielkich skrzyń, które przesłaniały niemal całe wejście do kanału.

– Sadie?

– Jestem.

Jej głos był słumiony i chociaż sama upierała się, żeby pomóc, trochę przestraszony.

– Nie musisz tego robić. Nadal możesz zmienić zdanie – powiedziałam, mimo że naprawdę nie wiedziałam, jak miałyby tego

dokonać. Skrzyń chyba nie dałoby się wysunąć do góry z kanału i zastanawiałam się, w jaki sposób Krzyś zamierza je wydobyć.

– Wszystko będzie dobrze, Ella. Dam radę. – Gdzieś dalej zaterkotał karabin. – Powinnaś iść teraz do domu. To niebezpieczne, że jesteś tu tak długo.

Nawet teraz Sadie martwiła się o mnie.

– Ona ma rację. Musimy iść.

Zwlekałam przez lekkomyślność. Nie mogłam znieść tego, że zostawiam ją w tak okropnej sytuacji. Ale nie było wyjścia.

– Wrócę tuż po wschodzie słońca – obiecałam w poczuciu, że zostawiając ją tutaj teraz, popełniam największy błąd w życiu.

Rozdział 22

Sadie

Kiedy Ella i Krzyś zniknęli na górze nad studzienką kanalizacyjną, odwróciłam się do Saula.

– I co teraz?

– Myślę, że powinnaś wrócić do komory i iść spać. Krzysztof powiedział, że nie musimy stać na straży.

– Nie jestem śpiąca – oświadczyłam. Trudno mi było wyobrazić sobie, że po prostu zostawiam amunicję w tunelu i idę spać jakby nigdy nic.

– Ja też nie. Może poczytamy?

– Dobra myśl.

Ruszyliśmy w stronę niszy. Wyciągnęłam książkę, którą czytaliśmy, ale Saul wpatrzył się gdzieś w przestrzeń.

– O co chodzi? – spytałam.

– Nic mi nie jest. – Przetarł oczy, potem machnął ręką, jakby coś odpędzał. – Nic. Po prostu zbyt wiele się wydarzyło w ciągu kilku ostatnich tygodni. Najpierw śmierć Babi. A teraz to.

Po policzkach pociekły mu łzy. Przysunęłam się do niego, rozpaczliwie pragnąc go pocieszyć.

– Wiem, że to trudne – powiedziałam, przysuwając się. – Bardzo mi przykro.

Wytarł twarz rękawem.

– Na pewno myślisz, że jestem głupi. Dorosły mężczyzna, który płacze za babcią. Żyła długo, o wiele dłużej niż mój brat i wielu innych ludzi w dzisiejszych czasach. A śmierć podczas snu to naprawdę

błogosławieństwo. Po śmierci mojej mamy wychowywała nas jak własnych synów. Była dla mnie wszystkim.

Chciałam go przytulić, ale uznałam, że to nie na miejscu, więc tylko objęłam jego dłonie palcami.

– Rozumiem.

Wokół nas było tyle śmierci, tyle strat. Babi bywała czasami trudna, na pewno, ale nasze rodziny bardzo się zżyły i ja również odczuwałam ból po jej stracie. Kiedy tak niewiele nam pozostało, każda strata była bolesną raną, głęboką wyrwą w naszym życiu.

Saul przestał płakać, ale nie wyciągnął książki, tylko nadal patrzył w dal.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

Zastanawiałam się, czy myśli o swojej babi, czy o amunicji, a może jeszcze o czymś innym. Nagle odwrócił się i wziął mnie za rękę.

– Wyjdź za mnie, Sadie – powiedział.

Byłam zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć. Nie sądziłam, że jego uczucie jest tak silne. Jednak teraz patrzył mi głęboko w oczy, zdecydowanym i szczerym spojrzeniem.

– Chciałbym, żebyś została moją żoną. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Wiedziałam o tym od długiego czasu, ale wypowiedzenie tych słów nadawało im nowe znaczenie. – Kiedy stąd wyjdziemy...

– Nie – przerwał mi. – Nie chcę czekać. Chcę cię poślubić teraz.

– Nie rozumiem. Przecież to niemożliwe.

– Możliwe. Żydowskie prawo nie wymaga obecności rabina, tylko kogoś, kto zna obyczaje i wymagania. Mój ojciec może udzielić nam ślubu.

Mówił teraz szybciej, wykorzystując chwilę mojego zaskoczenia.

– Wiem, że powinienem poprosić twoją mamę o zgodę – dodał przeproszającym tonem. – Chciałbym to zrobić. Co o tym sądzisz, Sadie?

Popatrzył na mnie z nadzieją w oczach. Nie odpowiedziałam od razu, ale zastanawiałam się nad jego pytaniem. Byłam dość dorosła, by wyjść za mąż. Gdyby nie wybuch wojny, mogłabym już mieć męża, a może nawet dzieci. Zostałam pozbawiona tego wszystkiego, a myśl o ślubie i zwykłym życiu była tak dziwna i odległa, że aż trudna do wyobrażenia. Jednak kochałam Saula i należałam do niego. A życie z nim, nawet w tych okolicznościach, wydawało mi się dobre.

Z drugiej strony coś mi mówiło, że lepiej byłoby poczekać. Wszystko stało się tak szybko. Kanał nie był miejscem, gdzie można było zaczynać wspólne życie. Na razie to przeklęte miejsce było wszystkim, co mieliśmy, może nigdy nie miało być już nic innego. Teraz albo nigdy, bo może to nasza jedyna szansa, by przekształcić naszą miłość w coś trwałego i prawdziwego. Moglibyśmy być razem nie tylko podczas tych kradzionych chwil, gdy znajdowaliśmy pociechę w swoich ramionach, ale po prostu jako małżeństwo.

– Tak – powiedziałam w końcu.

Saul uśmiechnął się, i to był pierwszy błysk szczęścia, jaki zobaczyłam w jego oczach od dnia, gdy zmarła Babi. Potem mnie pocałował.

– Kiedy? – spytałam, gdy się od siebie odsunęliśmy.

– Zaraz! – wykrzyknął i oboje wybuchliśmy śmiechem. – To znaczy nie dziś, ale jutro.

Zacząłam tłumaczyć, że powinniśmy zaczekać na powrót mojej mamy. Ale kto wie, kiedy by to mogło być? Z każdym mijającym dniem czy tygodniem zdawało się to raczej fantazją.

– Powiedzmy o tym mojemu ojcu rano, gdy się obudzi, a on natychmiast pomoże nam zrobić wszystko, co trzeba.

Kiwnęłam głową, ale zastanowiłam się, czy pan Rosenberg ucieszy się z tej wiadomości. Po pierwsze, może mieć zastrzeżenia, że nie jestem pobożna, a może też zaprotestować, że ceremonia jest co najmniej niezgodny z obowiązującym. Jednak wszyscy zostaliśmy zmuszeni do wielu zmian tu na dole i miałam nadzieję, że ciepło mnie przyjmie do swej coraz mniej licznej rodziny.

– Możemy się pobrać jutro – powtórzył Saul.

– Najpierw chcę się spotkać z Ellą, jeśli mi się uda – powiedziałam.
– Chciałabym, żeby ślub odbył się pod studzienką kanalizacyjną, tak żeby ona też mogła przy tym być.

Skoro nadal nie było mojej mamy, nie miałam w ogóle rodziny. Potrzebowałam obecności Elli obok siebie, a przynajmniej, by była możliwie jak najbliżej. Spodziewałam się, że Saul będzie się sprzeciwiał, ale skinął głową.

– Rozumiem, ale naprawdę nie powinniśmy z tym czekać.

Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka minut. Saul oparł głowę na mojej tak, jak to robił w te noce, gdy razem czytaliśmy w świetle księżyca. Wkrótce usłyszałam jego powolny, dość głośny oddech. Pomyślałam, że powinniśmy wracać do komory i do jego ojca, a może po drodze sprawdzić amunicję. Ale Saul musiał odpocząć. Nie chciałam mu przeszkadzać, w każdym razie nie teraz. Moje powieki także zrobiły się ciężkie. Zamrugałam kilka razy, bo nie chciałam zasnąć.

– Sadie... – usłyszałam czyjeś wołanie.

Zaskoczona otworzyłam oczy. Nadal byliśmy w niszy. Musiałam mimo woli zasnąć. Nie wiedziałam, ile czasu upłynęło. Saul spał obok mnie z otwartymi ustami.

– Sadie! – zawołał znowu czyjś głos, tym razem ostrzej.

Otworzyłam szeroko oczy. Przy wejściu stał Krzyś, na jego twarzy malowała się panika. Przez chwilę byłam oszołomiona. Nadal był środek nocy.

– Czemu wróciłeś tak wcześniej? – spytałam.

– Udało mi się załatwić transport amunicji wcześniej, niż się spodziewałem – odpowiedział. – Gdzie ona jest?

Usiadłam, próbując zebrać myśli.

– Amunicja – powtórzył. – Co z nią zrobiliście?

– Zostawiliśmy ją pod studzienką – odparłam. – Powiedziałeś, że nie musimy przenosić jej dalej. Więc tego nie zrobiliśmy.

Saul poruszył się obok mnie. Krzyś wytrzeszczył oczy.

– Zniknęła.

Skoczyłam na równe nogi i poszłam za nim, a Saul tuż za mną.

– Musiałeś się pomylić.

Powiedziałam sobie, że Krzyś nie zna kanałów i po prostu sprawdzał w złym miejscu. Ale kiedy doszliśmy pod kratkę, gdzie Krzyś opuścił na dół skrzynie, poczułam skurcz żołądka. Amunicja, którą nam powierzył, zniknęła.

– Zostawiliśmy ją tutaj, tak jak mówiłeś – wyjaśniłam.

– Powiedziałeś, że nie musimy jej pilnować – dodał Saul obronnym tonem.

– Może ktoś inny przestawił skrzynie – zasugerował Krzyś z rozpaczą.

Potrząsnęłam głową.

– Jesteśmy tu tylko my i ojciec Saula.

– Nie miałby tyle siły – powiedział Saul. – Może przyszedł któryś z twoich ludzi.

– Nikogo nie było w pobliżu. Dlatego przyszedłem osobiście.

Patrzyliśmy na siebie z rosnącym przerażeniem. Ani my nie mieliśmy amunicji, ani Krzyś. Została tylko trzecia możliwość: ktoś inny

wszedł do kanału i zabrał skrzynie.

– Wracajcie do swojej kryjówki – nakazał Krzyś.

– Nie mamy już kryjówki.

Komora była oddalona od miejsca, skąd zabrano amunicję, tylko o kilka kroków.

– Wracajcie – powtórzył Krzyś, jakby mnie nie usłyszał. – Nie wychodźcie, nieważne po co, nawet do kratki. Znajdę te skrzynie.

Wybiegł, a jego kroki odbiły się echem od ścian tunelu.

Gdy zniknął, Saul i ja staliśmy osłupiali w milczeniu przez kilka sekund.

– Ktoś tu był.

– To nie znaczy, że wiedzą, że mieszkamy w komorze albo gdzie ona jest – powiedział Saul. – To nie znaczy, że wiedzą o nas.

Te słowa stanowiły niewielką pociechę. Ktoś obcy był w kanale. Samo to było wystarczająco groźne.

– Krzysztof się tym zajmie – dodał Saul ku mojemu zdumieniu. Nie ufał gojom, a teraz liczył na Krzysia? – Postaraj się już o tym nie myśleć. Przecież mamy zaplanować nasz ślub – zażartował, bezskutecznie starając się ukryć niepokój.

– Nadal chcesz się żenić, po tym wszystkim, co się stało?

– Tym bardziej. Każdy dzień tu na dole jest darowany, a nie możemy planować przyszłości.

Skinęłam głową. Nie myślałam o tym w ten sposób, ale Saul miał rację. Nawet zanim Krzyś ukrył amunicję, nasze życie w kanale było zagrożone i niepewne.

– Dlaczego nie mielibyśmy zaznać chociaż trochę szczęścia, póki jeszcze możemy?

– Dobrze – powiedziałam.

Wróciliśmy do komory i cicho wślizgnęliśmy się do środka, żeby nie zbudzić pana Rosenberga. Położyłam się na swoim pościeliu. Jednak nie mogłam zasnąć, tylko wierciłam się i przewracałam z boku na bok.

Cały czas rozmyślałam o sprawie amunicji. Ktoś był w kanale. Zagrożenie wzrosło, a nasza sytuacja stała się jeszcze bardziej niepewna.

Saul słyszał, że nie mogę spać, i położył się obok mnie.

– Może tak być? – spytał.

Nie mogłam odpowiedzieć, bo poczułam gulę w gardle. Saul przytulił się do mnie od tyłu. Serce zaczęło mi bić szybciej, bo zastanawiałam się, czy spróbuje posunąć się dalej niż dotychczas, skoro zaraz mamy się pobrać. Jednak po prostu mocno mnie objął.

– Jeszcze tylko jeden dzień – zamruczał mi do ucha i doskonale zrozumiałam, co ma na myśli. Jutro w nocy będziemy mogli być naprawdę jak mąż i żona. Nadal czułam, jakby to miało być na zawsze. Wyobrażałam sobie nasze życie po wojnie, gdy Saul zostanie pisarzem, a ja będę studiować medycynę. Już dawno nie wierzyłam, że takie rzeczy będą kiedykolwiek możliwe. Nie wiedziałam gdzie, ale będziemy razem. Zapadłam w sen w ciepłe jego ramion i spałam mocno po raz pierwszy od czasu, gdy odeszła mama.

Rano, gdy się obudziłam, Saula już nie było.

– Poszedł wszystko przygotować – powiedział pan Rosenberg.

Saul musiał już podzielić się z nim nowiną o naszym ślubie. Zajrzałam w twarz panu Rosenbergowi, żeby zobaczyć jego reakcję.

– Nie ma pan nic przeciwko?

Uśmiechnął się, a w jego oczach zaśniła radość.

– Sadele, nie mógłbym być szczęśliwszy!

Wtedy zrozumiałam, że nasz ślub będzie wyrazem ufności, stwierdzeniem, że jeszcze będzie jakaś przyszłość. Da nam wszystkim, w tym panu Rosenbergowi, trochę tak bardzo potrzebnej nadziei.

Potem jego twarz spoważniała.

– Chciałbym tylko, żeby twoi rodzice też przy tym byli. Jednak mam nadzieję, że pozwolisz mi być ojcem dla was obojga.

Wtedy zobaczyłam, że wyrwał kartkę z jednej ze swoich książek i próbował spisać dla nas jakąś tymczasową ketubę.

Nie wiedziałam, dokąd poszedł Saul i czy mam mu pomóc przy przygotowaniach do ślubu. Więc zaczęłam się szykować, włożyłam sukienkę, którą dostałam od Elli, a która była w miarę czysta, i ułożyłam włosy najładniej, jak umiałam. Potem wróciłam myślami do skrzyń z amunicją i zastanawiałam się, czy Krzyś je znalazł albo czy odgadł, kto przyszedł po nie do kanału.

Pomimo nakazu Krzysia, żeby zostać w komorze, o jedenastej, czyli o zwykłej porze mojego spotkania z Ellą, poszłam do studzienki kanalizacyjnej. Bardzo chciałam powiedzieć jej o ślubie i spytać, czy weźmie w nim udział. Ale tym razem nie przyszła ani o umówionej godzinie, ani później. Zastanawiałam się, czy Krzyś powiedział jej, co się stało, i zabronił jej przychodzić pod kratkę i czy go posłuchała. Jak w takim razie mam ją znaleźć i podzielić się z nią nowiną?

Godzinę później przygnębiona wróciłam do komory.

– Ella nie przyszła – poinformowałam Saula, który właśnie wrócił.
– A jeśli coś się stało?

– Jestem pewien, że wszystko w porządku – pocieszył mnie, chociaż nie mógł wiedzieć, czy tak jest rzeczywiście.

– Mam nadzieję. Chciałabym, żeby tu była, kiedy będzie nasz ślub. Czy możemy trochę na nią poczekać? – Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. – Wiem, że po sprawie amunicji i tym wszystkim, co się

stało, wydaje się, że nie powinniśmy już tracić ani minuty. Ale jestem pewna, że przyjdzie jutro. Po prostu wiem.

Saul uśmiechnął się.

– Oczywiście. Co znaczy jeden dzień zwłoki, skoro mamy całe życie? Ale, Sadie, co będzie, jeśli Ella jutro też się nie zjawi?

Trudno mi było rozważyć taką kwestię.

– Wtedy pobierzemy się pod jej nieobecność.

Saul miał rację, nie mogliśmy czekać w nieskończoność. Dzień mijał powoli.

– Wykorzystam ten czas, żeby znaleźć jakieś skrawki materiału, z których można by zrobić chupę – powiedział pogodnie Saul wieczorem po kolacji.

– Nie musisz.

Cały kanał stanowił rodzaj ślubnego baldachimu, osłaniając nas od góry. Jednak Saul wyglądał na tak przejętego, że nie chciałam go odwozić od tego pomysłu.

– Uważaj – powiedziałam.

Dał mi przelotnego całusa i ruszył w głąb tunelu.

Po upływie godziny, a potem dwóch zaczęłam się martwić. Już prawie zapadła noc, ale miałam nadzieję, że Saul w swoim zapale nie zawędrował zbyt daleko na poszukiwania i nie wpadł w kłopoty. Pomyślałam, czy nie iść za nim, ale nie wiedziałam, którędy poszedł. Teraz już mógł być gdziekolwiek.

– Sądysz, że z nim wszystko w porządku? – spytał pan Rosenberg, a głos uwiązał mu w gardle.

– Tak, na pewno – usiłowałam odpowiedzieć pewnym tonem. – Po prostu szuka rzeczy przydatnych przy ślubie.

Nie przekonałam ojca Saula, który chodził niespokojnie tam i z powrotem.

W końcu, grubo po północy, w wejściu do komory pojawił się Saul.

– Gdzie byłeś? Tak bardzo się martwiłam. Czy wszystko w porządku? – zadawałam pytania jedno po drugim.

Saul pokręcił głową, a na widok poważnego wyrazu jego twarzy serce mi się ścisnęło. Potem za nim pojawił się jakiś ciemny cień.

– Ella? – zdziwiłam się, po raz pierwszy widząc moją przyjaciółkę w kanale. – Co tu robisz?

Przez chwilę miałam nadzieję, że chociaż pora była nieodpowiednia, Saul zaprosił ją na ślub i ona zgodziła się przyjść. Jednak gdy spostrzegłam, jaki ma wyraz twarzy, wiedziałam, że nie mogę się bardziej mylić.

– Kanał już nie jest bezpiecznym schronieniem. Chcę, żebyście wszyscy natychmiast poszli ze mną.

Rozdział 23

Ella

Po tym, jak Krzyś zostawił amunicję w kanale i odeszliśmy od studzienki, wróciłam do domu. Leżałam, nie śpiąc, przez całą noc i wyobrażałam sobie straszne rzeczy, które mogą się wydarzyć. Robiłam sobie wyrzuty, bo nie powinnam była pozwolić, by Sadie zgodziła się na propozycję Krzysia. Ani ona, ani Saul nie byli przygotowani na to, żeby coś zrobić dla Armii Krajowej. W zwykłych okolicznościach przechowanie kilku skrzyń przez jedną noc nie byłoby zbyt trudne. Jednak w życiu Sadie nic już nie było normalne; a istniało z pół tuzina możliwości, że sprawy potoczą się fatalnie. Takie przewidywania kołatały mi się po głowie jak zły sen, od którego nie mogłam się uwolnić.

Wyślizgnęłam się z domu przed świtem, zbyt zmęczona i zmartwiona, by dłużej czekać. Musiałam sprawdzić, co z Sadie, i upewnić się, że wszystko w porządku. Sierpniowy poranek był ciepły i parny, gdy szłam przez pusty most. Najpierw podeszłam do studzienki, ale oczywiście o tak wczesnej porze nie było tam Sadie. Nie mogłam niczego zobaczyć na dole. Stamtąd poszłam na Dębniki. Kawiarnia miała zamknięte okiennice, drzwi wejściowe i boczne do piwnicy również były zamknięte. Weszłam nawet na najwyższe piętro do pokoju, w którym czasem bywał Krzyś, ale nikogo tam nie było. Kiedy uchyliłam niezamknięte na klucz drzwi i zajrzałam do środka, pomieszczenie wyglądało tak, jakby nikt tam nie mieszkał, nie tylko tej nocy, ale w ogóle.

Mój niepokój rósł. Nikogo nie mogłam znaleźć ani dowiedzieć się, co się stało. Przygnębiona ruszyłam z powrotem w stronę centrum miasta. Musiałam czekać aż do umówionej godziny mojego spotkania z Sadie. Po tym, co zaszło, nie wiedziałam, czy przyjdzie. Doszłam do naszego domu przy Kanoniczej i weszłam do środka, mając nadzieję, że

przemknę przez korytarz i uniknę śniadania. Nie mogłabym usiąść naprzeciwko Any Luci i prowadzić rozmowy. Ale kiedy przechodziłam przez jadalnię, panowała tam zaskakująca cisza, a stół nie był nakryty. Nie słyszałam także krzątania Hanny w kuchni. Zastanawiałam się, czy macocha już zjadła, czy jeszcze nie zeszła na dół. Może wcale nie było jej w domu. Zaczęłam wchodzić po schodach.

Gdy dochodziłam do czwartego piętra, usłyszałam hałas na górze. Mój niepokój jeszcze wzrósł. Ktoś był na poddaszu.

– Jest tam kto? – zawołałam. Modliłam się, żeby to była Hanna, która przyszła posprzątać. Jednak kroki były zbyt ciężkie jak na Hannę.

W drzwiach mojej sypialni stanęła Ana Lucia, zaczerwieniona, bez tchu, jakby po trudnej wspinaczce. Na jej twarzy malował się wyraz tryumfu.

– Co to ma znaczyć? – zażądała wyjaśnień.

Trzymała w ręku naszyjnik Sadie.

Zdrętwiałam. Ana Lucia miała wisiołek Sadie z hebrajskimi literami. Jak go znalazła? Przetrzęsając mój pokój. To mnie nie zdziwiło. Jednak zastanawiałam się, co ją skłoniło do takiego węszenia.

– Przeglądałaś moje rzeczy? Jak śmiałaś? – powiedziałam oburzona.

Jednak Ana Lucia miała przewagę i wiedziała o tym – niezrażona, zrobiła krok naprzód.

– Ci Żydzi, gdzie oni są?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Nigdy nie wydałabym Sadie Anie Luci. Jakieś światełko nagle zabłysło w jej oczach.

– To są Żydzi, prawda?

Chociaż nic nie powiedziałam, wydawało się, że w jakiś sposób potwierdziłam jej podejrzenia.

– A ty im pomagasz. Dlatego zadawałaś tyle pytań na ich temat podczas tamtego obiadu. Friedrich będzie bardzo zadowolony, gdy dostanie tę informację.

– Nie ośmielisz się!

Po prostu widziałam, jak planuje, że powie wszystko swojemu naziście, i jak dokładnie oblicza, ile osiągnie dzięki temu korzyści.

– Ale dużo zostawił mi twój ojciec! Ciebie, miłośniczkę Żydów i małą, wścibską naprawiaczkę świata. I tego twojego brata, zwykłą ciotę – użyła wstrętnego określenia mężczyzny lubiącego innych mężczyzn.

– Nie mieszaj w to Macieja!

– Myślisz, że w Paryżu traktują gejów dużo lepiej? – spytała, a potem uśmiechnęła się z okrucieństwem. Serce zabolowało mnie na myśl o bracie, który był tak daleko. – Oboje przynosicie hańbę.

– Mniejszą niż ty, współpracując z tym niemieckim gnojem. – Uniosłam wyzywająco podbródek.

Zrobiła krok w przód i podniosła rękę, jakby chciała mnie uderzyć. Potem równie szybko ją opuściła.

– Daję ci godzinę.

– Na co? – spytałam zmieszana.

– Żebyś się wyniosła. Spakuj swoje rzeczy i idź.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Urodziłam się w tym domu i spędziłam w nim całe życie.

– Nie możesz tego zrobić. To mój dom. Należy do mojej rodziny.

– Należał.

Spojrzałam na nią w osłupieniu, nie rozumiejąc.

– Dokumenty dotyczące majątku twego ojca nadeszły w zeszłym tygodniu. Miałam zamiar ci powiedzieć, ale nigdy cię nie było, bo gdzieś latałaś z tymi swoimi żydowskimi szcurami kanałowymi.

Te papiery oficjalnie zawiadamiały o śmierci taty.

– Teraz, kiedy nie żyje, zgodnie z prawem dom i wszystkie ruchomości przechodzą na mnie.

– To niemożliwe. – Nie mogłam uwierzyć, że tata nic mi nie zapisał. Czy naprawdę był tak ślepy, że nie widział, jak złą osobą jest Ana Lucia, i zostawił jej wszystko? Może to był jakiś podstęp, jakiś prawny wybieg z jej strony? Nie miałam jak tego sprawdzić. – Ale dokąd mam pójść? – Wpadłam w panikę.

Przez moment rozważałam, czy nie starać się ubłagać Any Luci. Jeśli przestałabym pomagać Sadie albo przynajmniej bym to obiecała, może pozwoliłaby mi zostać.

– To naprawdę nie mój problem. Ale radziłabym ci nie chodzić już do tych twoich Żydów. Oni nie zostaną tam dłużej.

Zmroziło mnie. Intencja jej słów była niewątpliwa: zamierzała powiedzieć Niemcom o Sadie.

– Chyba nie myślisz, że mogłabyś ich ocalić, co? – powiedziała kpiąco, z okrucieństwem.

Rzuciłam się na nią i złapałam za gardło. Z całego serca chciałam pozbawić ją życia. Jednak to nie pomogłoby ani mnie, ani Sadie. Sekundę później wypuściłam ją. Ana Lucia cofnęła się o krok, masując miejsce, gdzie odcisnęły się ślady moich palców.

– Jak śmiesz? – wydyszała. – Powinnam cię w tej chwili kazać aresztować.

Dobrze wiedziałam, że tego nie zrobi. Wyprowadzanie z domu jej własnej pasierbicy przez policję byłoby zbyt kłopotliwym spektaklem, by mogła go znieść.

– Jesteś złym człowiekiem, Ana Lucia. Ale twój czas mija. Armie aliantów posuwają się do przodu. Wkrótce wyzwolą miasto.

Był to blef, bo chociaż słyszałam o ostatnich walkach Niemców z zachodnimi aliantami na terenie Włoch i z Sowietami na wschodzie, nie miałam pojęcia, kiedy i czy w ogóle dotrą do Krakowa.

Jednak Ana Lucia o tym nie wiedziała.

– Żadnych Rosjan nie ma w pobliżu miasta – odparowała, ale przez jej twarz przemknął cień wątpienia.

Mówiłam dalej:

– Pierwszą rzeczą, którą zrobią po wypędzeniu Niemców, będzie rozprawa z takimi kolaborantami jak ty.

Zamrugła kilka razy, jakby aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy ze swojej sytuacji. Strach w jej oczach był coraz większy.

Zadowolona chciałam odejść.

– Ella, poczekaj.

Odwróciłam się. Na twarzy Any Luci widać było panikę, bo przeanalizowała sytuację.

– Może zaadto się pospieszyłam. Jeśli przestaniesz pomagać Żydom, może będziemy mogły pomóc sobie nawzajem i znaleźć jakieś wyjście. – Jej głos brzmiał prosząco. – Mogłybyśmy pojechać na południe Francji. Mam trochę pieniędzy w banku w Zurychu. Mogłabyś napisać do Macieja i poprosić, żeby także mnie pomógł.

Nie mówiłam jej, że wybierałam się do Francji. Nie powinnam być zaskoczona, chociaż teraz po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Ana Lucia czytała moją pocztę.

Przez chwilę się wahałam. Kiedyś pragnęłam, żeby macocha mnie zaakceptowała. Teraz kusila mnie przysłowiową marchewką i coś we mnie chciało po nią sięgnąć. Ale ona mówiła to tylko z desperacji,

dlatego że mogłabym udzielić jej potrzebnej pomocy. Wtedy zobaczyłam ukochany naszyjnik Sadie stłamszony w tłustych, chciwych paluchach Any Luci.

– Idź do diabła.

Wyrwałam jej naszyjnik i tak jak stałam, zbiegłam ze schodów. Przy drzwiach odwróciłam się, by ostatni raz spojrzeć na miejsce, z którym wiązały się wszystkie moje rodzinne wspomnienia. Wyprostowałam się i ruszyłam dalej, zostawiając za sobą na zawsze dom, w którym spędziłam dzieciństwo.

Potem pobiegłam na oślep ulicami, jakby Ana Lucia zadzwoniła już na policję i w każdej chwili mogli mnie aresztować. Serce mi waliło. Widząc przerażone twarze mijanych osób, zwolniłam i zaczęłam normalnie iść. Nie mogłam tak zwracać na siebie uwagi.

Przeszłam przez most prowadzący na Dębny i ruszyłam w stronę kawiarni. Potem zawahałam się. Rano była zamknięta. Jednak minęło parę godzin i miałam nadzieję, że zastanę już Krzysia albo przynajmniej Klarę. Na szczęście drzwi do lokalu były otwarte. Wewnątrz nie było nikogo, więc zeszłam szybko do piwnicy. Krzyś klęczał za barem, studiując jakąś mapę rozłożoną na podłodze.

– Ella. – Wstał na mój widok.

Nie uśmiechnął się. Miał mizerną twarz, zapadnięte oczy i wyglądał, jakby w ogóle nie spał.

– Nie możesz tu być – powiedział zimno.

Zastanawiałam się, czy jest zły na mnie z powodu kłótni o amunicję poprzedniego wieczora. Jednak jego ton wskazywał, że martwi się o coś znacznie ważniejszego niż nasze nieporozumienie.

– O co chodzi? – spytałam. – Czy coś się stało Sadie?

– Nic jej nie jest – przerwał na chwilę. – Tylko ta amunicja... Ktoś ją zabrał.

Strach przeniknął mnie do głębi.

– Kto?

– Nie wiemy. Sądzymy, że policja lub jakiś niemiecki patrol.

– I zeszli do kanału? – Pokręciłam głową. Byłam przerażona. Zdarzyła się najgorsza możliwa rzecz, a Krzyś przysięgał, że to nie może się stać. – Czy oni wiedzą o nich?

– Raczej nie – zawahał się na moment. – Nie wiem.

Wpadłam w popłoch. Chciałam na niego nakrzyczeć, bo wiedziałam, że nie powinien był ukrywać amunicji w kanale. Przecież mu to mówiłam. Wyobrażałam sobie, jak bardzo Sadie musi być przerażona. Ale to wszystko nie miało już znaczenia.

– Próbujemy odzyskać amunicję i tropimy tego, kto ją zabrał – powiedział Krzyś. – Szuka jej pewna grupa i chcę się zaraz do nich dołączyć. Ale najpierw musimy gdzieś przenieść Sadie i resztę.

– Tak chyba będzie najlepiej – przyznałam.

Teraz on wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego? Co masz na myśli?

– Ana Lucia znalazła naszyjnik Sadie, który ukryłam.

Oczy Krzysia pociemniały. Spodziewałam się, że zbeszta mnie za coś tak głupiego, jak przechowywanie żydowskich kosztowności, ale się nie odezwał.

– Dodała dwa do dwóch i domyśliła się, że pomagam Żydom. Chyba jeszcze nie wie o kanale, przynajmniej nie sędzę. Ale wyrzuciła mnie z domu.

Gniew przesłonił mu twarz, zastąpiony szybko wyrazem rezygnacji.

– Przykro mi. Wiem, jak musisz być zdenerwowana. Jednak uczciwie mówiąc, to wyjdzie ci na dobre. Kiedy w końcu alianci wyzwolą miasto, nie chciałabyś być blisko takich kolaborantów jak ona.

Oczywiście miał rację.

– To tylko kwestia czasu, zanim ona powie Niemcom, co robię.

Czekałam, że zaprotestuje, ale tego nie zrobił.

– Znajdziemy dla ciebie jakieś miejsce i zabierzemy cię z miasta – odparł. Oczy mu się szybko poruszały, gdy obmyślał jakiś plan. – Twój brat mieszka w Paryżu, prawda? Możesz się jakoś dostać do niego?

Przez chwilę zastanawiałam się nad pomysłem wyjazdu do Macieja. Kiedyś o tym marzyłam. Teraz już nie.

– Nie chcę jechać do mojego brata – powiedziałam powoli.

– To znaczy, gdy zabierzemy ich z kanału, a ty będziesz wiedziała, że są bezpieczni.

– Nie o to chodzi. Nie chcę zostawić również ciebie.

Dopiero teraz naprawdę to sobie uświadomiłam. Krzys i ja mieliśmy różne wady i często się kłóciliśmy. Jednak kochałam go tak jak przedtem, zanim poszedł na wojnę. A może nawet bardziej. Los pozwolił nam się odnaleźć po raz drugi; z pewnością nie będzie już trzeciej szansy.

– Czuję to samo – przyznał. – Tyle że nie możemy teraz być razem.

– Pozwól, że się do ciebie przyłączę.

Popatrzył na mnie, jakby nie wierząc temu, co mówię.

– Naprawdę chcę pracować z wami, a nie tylko ukrywać jakieś rzeczy.

Chciałam mu to powiedzieć tego dnia, gdy poszłam szukać go w kawiarni i zostawiłam mu liścik. Wtedy nie mogłam wyrazić tego wszystkiego, ale teraz miałam okazję.

– Powiedziałaś, że do Armii Krajowej należą też kobiety, prawda? – Skinął głową. – Chcę być jedną z nich. Nie tylko załatwić kilka spraw,

ale naprawdę we wszystkim uczestniczyć. – Wstrzymałam oddech, czekając na jego reakcję. – A może myślisz, że nie dam rady?

– Sądzę, że nie ma nikogo lepszego i bardziej odpowiedniego do tej działalności. – Urosłam we własnych oczach, gdy to powiedział. – Ale obawiam się, że to niemożliwe. Wiesz, szykuje się wielka akcja i na tym skupiają się nasze wysiłki.

– Zamierzasz wziąć w niej udział?

– Tak.

Serce mi zamarło.

– Ale to pewnie niebezpieczne?

Pokiwał głową ze smutkiem.

– Muszę jechać. Jestem tam potrzebny.

– Nie zniosę ponownego rozstania.

Chciałam go błagać, by nie jechał, ale był zdecydowany, a każde inne wyjście pomniejszałoby go we własnych oczach. Serce mi się ścisnęło na myśl, że ponownie mnie opuści.

– Więc pojedę z tobą – wyrzuciłam, niespodziewanie dla samej siebie.

– Ella, to zbyt niebezpieczne – sprzeciwił się. – Sama to przecież mówiłaś.

– Nic już nie jest bezpieczne – odpowiedziałam. Miałam wrażenie, że zamierza się spierać, lecz się nie odezwał. – Pozwól, że będę walczyć u twego boku. – Nabrałam pewności, mówiąc te słowa. Naprawdę chciałam tak zrobić. – Przynajmniej w ten sposób będziemy razem, niezależnie od tego, co się stanie.

Przez chwilę się wahał i spodziewałam się, że się nie zgodzi.

– Dobrze – powiedział w końcu, ku mojemu zaskoczeniu. – Kocham cię, Ella. Możemy pojechać razem.

Wziął mnie w ramiona i przytulił.

– Oczywiście, najpierw musimy pomóc Sadie. Nie wyjadę, jeśli tego nie zrobię – dodałam z naciskiem.

– Potwierdzę organizację bezpiecznego przerzutu dla nich i wywozu amunicji. Potem będziemy mogli pomóc Sadie i wyjedziemy – powiedział to tak, jakby to było proste.

– Powiem jej. Powinna być pod studzienką za jakąś godzinę.

Krzyś pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie będzie. Kazałem jej pozostać w ukryciu i nie przychodzić pod kratkę, niezależnie od wszystkiego.

Wzięłam głęboki oddech.

– Więc sama tam zejdę i ją znajdę.

Staralam się, żeby zabrzmiało to pewnie, ale nie wiedziałam, czy przemożę lęk. Nie umiałam wcześniej zmusić się do zejścia do kanału. Jak mam teraz dać sobie z tym radę?

– Ella, nie. Korytarze są zaminowane.

– Zaminowane?

– Odkryłem to tuż po zniknięciu amunicji. Niemcy zaczęli minować tunele, by zamienić miasto w twierdzę. Zamierzają je wysadzić, gdy alianci w końcu podejną pod Kraków, ale byłoby łatwo niechcący przerwać któryś z przewodów przed czasem.

Pomyślałam o Sadie i reszcie. Ile razy chodzili po tych tunelach nieświadomi, że mogą w każdej chwili wylecieć w powietrze?

– Więc rozumiesz, dlaczego nie możesz tam zejść – dodał.

– Jeśli Sadio jest w takim niebezpieczeństwie, tym bardziej muszę tam iść – zaoponowałam.

– Przynajmniej poczekaj, żebym poszedł z tobą. Nie uratujesz jej, jeśli nie będziemy mieli dokąd jej zabrać. Muszę najpierw pójść do mojego oddziału i upewnić się, że odnaleźli amunicję. I muszę zorganizować bezpieczny przerzut dla Sadie i jej znajomych. Potem spotkam się z tobą przy studziencie w zaułku o północy.

– Ale wtedy może być za późno! Musimy zaraz dostać się do Sadie i jej przyjaciół!

– To najlepsze, co możemy zrobić – ciągnął, nie zważając na moje protesty. – Wiem, że nie możesz wracać do domu. Poczekaj do północy w moim pokoju.

– A kiedy wyprowadzimy Sadie w bezpieczne miejsce, będziemy już mogli być razem? Może nawet moglibyśmy się pobrać... – Dawne marzenie przemknęło mi przez głowę.

– Mam nadzieję – powiedział, ale nie zabrzmiało to tak pewnie, jak się spodziewałam. Na chwilę wróciły moje dawne wątpliwości, że może on nie czuje tego samego, co ja. – Kocham cię całym sercem i chcę się z tobą ożenić. Tylko wszystko jest teraz takie niepewne. Nie chcę składać obietnic, których nie będę mógł dotrzymać. – Zatem nie chodziło o wątpliwości dotyczące uczucia, tylko przyszłości w ogóle. – Ale wiem, Ella, że będę na ciebie czekać. Przyjdę po ciebie. I nieważne, co się stanie, nigdy już cię nie opuszczę.

Jego słowa znaczyły dla mnie więcej niż każda przysięga małżeńska.

Pocałował mnie długo i mocno, a potem ruszył w drogę.

Rozdział 24

Ella

Tej nocy czekałam przy kratce kanalizacyjnej w zaułku za kościołem, tak jak przykazał mi Krzyś. Po rozstaniu z nim spędziłam większość czasu w nieużywanym pokoju na najwyższym piętrze nad kawiarnią. Miałam ochotę spróbować zobaczyć się z Sadie, a przynajmniej jeszcze raz pospacerować ulicami Krakowa, zanim na zawsze z niego wyjadę. Jednak nie śmiałam nic zrobić, nie chcąc ryzykować, że Ana Lucia albo jej kompani mnie zobaczą, ani w inny sposób narażać naszego planu.

Gdy ukryłam się w cieniu zaułka, serce waliło mi ze zdenerwowania. W każdej chwili spodziewałam się ujrzeć Krzysia, zobaczyć jego silną postać rysującą się na tle nieba w świetle księżyca. Mieliśmy zejść do kanału, żeby znaleźć Sadie i ocalić ją i jej znajomych, czego się bałam, bo było to trudne i niebezpieczne. Jednak jeśliby udało nam się gdzieś ich umieścić, Krzyś i ja mogliśmy wyjechać i zacząć wspólne życie.

Tylko że on nie przyszedł.

Gdy czekałam, aż się zjawi, czas mijał bardzo powoli. W pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę jego kroki, ale był to tylko odgłos przejeżdżającego samochodu. Zegar na kościele wybił wpół do pierwszej w nocy, a potem pierwszą, a Krzyś nadal nie przychodził. Starłam się nie wpadać w panikę, myślałam o wszystkim, co mogłoby spowodować, że się spóźnia. Może kwestie związane z odnalezieniem amunicji zajęły mu więcej czasu, niż się spodziewał, a może musiał znaleźć inną drogę nad studzienkę, by ominąć Niemców, jak często i mnie się zdarzało.

Jednak im więcej czasu mijało, tym trudniej było o takie wyjaśnienia. Kiedy zegar wybił drugą, zrozumiałam, że stało się coś złego. Nie mogłam po prostu tu stać i dłużej czekać. Ale bez Krzysia nie

mogłam zejść do kanału i ratować Sadie, nie wiedziałam, jaki ma plan ewakuacji. Musiałam go znaleźć.

Gdy wyszłam z zaułka, starałam się nie panikować, tylko wyobrażać sobie rozmaite wytłumaczenia jego nieobecności. Był tak bardzo pewny, że spotka się ze mną, żeby pomóc Sadie, i że razem wyjedziemy. Coś musiało się stać, coś okropnego, byłam o tym przekonana. Musiałam to sprawdzić.

Poszłam szybko w stronę Barskiej. O tak późnej porze kawiarnia była zamknięta na głucho, więc musiałam obejść budynek i zejść do piwnicy. Klara stała za barem, nalewając piwo kilku spóźnionym klientom. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz przybrała czujny wyraz. Widziałam po jej minie, że stało się coś strasznego.

– O co chodzi? – spytałam. – Co się stało z Krzysiem? – mówiłam zbyt głośno, nie zachowując dyskrecji. Jednak ogarnięta paniką, nie zwracałam na to uwagi.

Klara wciągnęła mnie za bar i do magazynu, gdzie ukryła Sadie tego dnia, gdy poszłam do szpitala szukać jej matki.

– Krzyś został aresztowany.

Aresztowany. To słowo tłuło mi się po głowie jak odbijająca się piłka.

– Ale jak to się stało?

– On i jeszcze dwóch ludzi poszło na zwiady, żeby odnaleźć amunicję. Odkryli, że ukradł ją miejscowy uliczny złodziejasek, który natknął się na nią, gdy szukał złomu. Zamierzał sprzedać ją Niemcom. Starali się go złapać, zanim przekaze im amunicję, ale okazało się, że to zasadzka. Ten łajdak był opłacony, żeby zwabić Krzysia i tamtych dwóch i wydać ich Niemcom. Jeden z mężczyzn zdołał zbiec, ale Krzyś i ten drugi zostali aresztowani.

– Musimy mu pomóc – powiedziałam podniesionym głosem.

– Nic nie da się zrobić.

– Na pewno jeśli skontaktujesz się z kimś z AK, spróbują jakoś uratować swoich ludzi.

Klara potrząsnęła przecząco głową.

– Nie mogą ryzykować, nie teraz. Poza tym mieliśmy rozkazy, żeby nie robić nic, co narażałoby naszą operację. Ci, którzy zostali złapani, nie chcieliby, żeby ich ratować kosztem ważniejszego zadania. To twardzi ludzie, nie dadzą się złamać, nic nie powiedzą. Musimy się za nich modlić.

Staralam się zrozumieć, co mówiła Klara: nikt nie zamierzał pomóc Krzysowi. Niezależnie od wszystkiego, co z siebie dał, zostawią go tam na pewną śmierć. Musiałam coś zrobić.

– Pójdę do niego – powiedziałam, wychodząc z piwnicy. Nie miałam pojęcia, jak się dostanę do Krzysia, ale musiałam spróbować.

– Stój! – Klara złapała mnie za ramiona i przyciągnęła do siebie. – Zachowujesz się jak impulsywne dziecko i mogą cię zabić. Stamtąd, gdzie trafił Krzyś, nie ma powrotu, rozumiesz?

Nie odpowiedziałam, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co powiedziała.

– Ale nie możemy tak po prostu go zostawić – zaprotestowałam. Nie mogłam go stracić, nie teraz, gdy w końcu się odnaleźliśmy.

Serce mi się ścisnęło.

– Jeśli pójdziesz do niego i dasz się aresztować, zmarnujesz wszystko, co on zrobił, cały jego ból i cierpienie. Niech to się na coś przyda. Ratuj siebie i swoją przyjaciółkę, tak jak zamierzałaś.

Wróciłam myślami do Sadie. Krzyś nigdy nie zdradziłby Niemcom miejsca jej pobytu. Jednak ten złodziej, który ukradł amunicję, na pewno im powiedział, gdzie ją znalazł. Było tylko kwestią czasu, kiedy Niemcy przeszukają kanał, by sprawdzić, co lub kto może jeszcze tam być.

– Klara, proszę... – z trudem ośmieliłam się podjąć ten temat. – Krzyś planował wywieźć Sadie i jej przyjaciół z miasta.

Klara nie odpowiedziała, ale wyraz jej oczu zdradzał, że wiedziała, gdzie zamierzał ich zabrać.

– Dlaczego miałabym ci pomagać? – spytała z goryczą. – Krzyś i inni przepadli.

Dopiero wtedy zauważyłam, że ma zaczerwienione oczy i ślady łez na policzkach.

– To już koniec, Ella. Nic już nie jest ważne.

– Oczywiście, że jest. Nadal trwa walka partyzancka. Krzyś i ja zamierzaliśmy się do niej przyłączyć, gdy tylko wyprowadzimy Sadie. To ma znaczenie, i Sadie, i jej przyjaciele są również ważni. Powinnaś im pomóc, bo Krzyś by tego chciał. A jeśli tego nie zrobisz, wszystko, czego dokonał, pójdzie na marne.

Coś błysnęło w jej oczach.

– Dobrze – ustąpiła. – Czy znasz Kryspinów?

Kiwnęłam głową. Znałam tę niewielką wioskę oddaloną o jakieś piętnaście kilometrów od Krakowa.

– Za dworcem kolejowym jest tam pewna firma dostawcza. Kierowca ciężarówki za opłatą przewozi ważne ładunki na Słowację. Miał zabrać Sadie i jej znajomych i przewieźć ich przez granicę.

– Ale Republika Słowacka jest także pod niemiecką okupacją.

– Tak, oni nie mogliby tam zostać. To nie jest bezpieczne, ale istnieje pewna trasa, którą uciekinierzy zmierzają przez Rumunię do Turcji. Nasi łącznicy przeprowadzą ich i dostarczą na miejsce.

– To bardzo daleko – powiedziałam, wyobrażając sobie tę drogę. W głowie mi się mąciło. – Nawet jeśli uda nam się wyprowadzić Sadie i jej przyjaciół z Polski, ich ocalenie jest bardzo mało prawdopodobne.

Klara skinęła głową.

– Mówiłam Krzysiu, że to głupi pomysł, ale powiedział, że to jedyne wyjście.

To rozwiązanie stawało się teraz jeszcze mniej realne, gdy nie było Krzysia. Jednak nie mogłam porzucić Sadie. Musiałam spróbować na własną rękę. Wyszłam z piwnicy.

– Poczekaj – zawołała Klara. Odwróciłam się. – Jeśli uda ci się zabrać tych Żydów z kanału, spotkam się z wami przy studziencie i pomogę wyprowadzić ich z miasta.

– Naprawdę?

Klara wzruszyła ramionami.

– Narobisz tylko bałaganu, jeśli pozwolę ci to zrobić samej.

Chociaż ton jej głosu był lekceważący, wiedziałam, że trochę się przejęła.

– Dziękuję.

Na ulicy przystanęłam, bo dopiero teraz w pełni dotarł do mnie sens tego, co powiedziała Klara: Krzyś przepadł, niemal na pewno na dobre. Miałam przed oczami jego twarz, słyszałam jego obietnicę, że nigdy mnie nie opuści. Już w pewien sposób to uczynił. Straciliśmy mnóstwo czasu na kłótnie, zanim się ponownie odnaleźliśmy. I w końcu to wszystko i tak nie miało znaczenia.

Odsunęłam na bok swój smutek. Jeśli miałam uratować Sadie, musiałam zrobić to teraz. Postanowiłam sama zejść do kanału.

Piętnaście minut później stałam nad studzienką w zaułku i spoglądałam w dół. Niebo było czarne jak smoła, chmury przesłaniały wszystkie gwiazdy. Nie mogłam wypatrzeć niczego w głębi.

– Sadie? – zawołałam cicho, mając nadzieję, że jakimś cudem przyszła mnie tu szukać w środku nocy, a przynajmniej jest w pobliżu.

Mój głos odbił się echem w tunelu, ale pozostał bez odpowiedzi. Sadie nie było. Jeśli chciałam ją znaleźć, musiałam sama wejść do kanału.

Podważyłam kratkę i podniosłam ją z wysiłkiem. Okrągły otwór wejściowy wydawał mi się teraz węższy niż przedtem. Już spojrzenie do wnętrza zapierało dech w piersiach. A sam moment wejścia do kanału nie był jeszcze najgorszy. Sadie parę razy opowiadała mi o wąskich rurach, przez które musiała się prześlizgiwać, żeby dostać się dalej. Nie dałabym rady zrobić czegoś takiego. Jednak musiałam znaleźć Sadie, żeby ją ostrzec na czas. Nie było innej możliwości.

Opuściłam się do kanału, trzymając się ostrych, mokrych krawędzi studzienki. Usiłowałam namacać stopą ziemię. Obserwując wcześniej Sadie, wiedziałam, że grunt był co najmniej metr niżej. Musiałam się puścić i spaść, co wydawało mi się straszne, niemal niewykonalne. Zrobiłam głęboki wdech i zamknęłam oczy. Potem zwolniłam uścisk palców zaciśniętych na krawędziach kanału i opadłam na ziemię.

Uderzyłam głucho o podłoże, a brudna woda rozprysnęła się wokół i poplamiała mi pończochy i sukienkę. Na górze nieraz czułam odór kanału, ale nic nie przygotowało mnie na tysiąc razy gorszy duszący smród, wiszący tu w powietrzu. Pojęłam wtedy, jak naprawdę żyła Sadie, i przeraziłam się. Jak mogła przebywać tu dzień po dniu przez tyle miesięcy? Powinnam była bardziej się postarać, żeby wcześniej wydostać ją z kanału.

Nie było czasu do namysłu. Musiałam ją znaleźć. Ruszyłam w głąb tunelu w stronę, skąd zawsze przychodziła. Gdy oczy przyzwyczyły mi się do ciemności, z ulgą stwierdziłam, że tunel nie był mały. Wyobrażałam sobie, że kanały są wąskie, jak taka trochę większa wersja rur kanalizacyjnych w łazience, i że niemal nie da się przez nie przecisnąć. Na szczęście znalazłam się w korytarzu, którego łukowe sklepienie było na tyle wysoko, że mogłam pod nim przejść bez schylania się. Wyciągnęłam ręce na boki, by utrzymać równowagę, i skrzywiłam się, gdy dotknęłam oślizgłych murów.

Dalej korytarz się rozdwajał. Rozpaczliwie usiłowałam odgadnąć, z której strony mogła nadejść Sadie. Byłam pewna, że jeśli wybiorę zły kierunek, nigdy nie znajdę drogi powrotnej. A co ważniejsze, nie mogłam sobie pozwolić na stratę czasu.

W końcu usłyszałam z daleka czyjeś głosy, jeden znajomy.

– Sadie! – krzyknęłam głośno. Zapomniałam, że należy mówić cicho, i nie sądziłam, że mój głos tak mocno odbije się echem w tunelu. Poszłam szybko w tamtą stronę.

Gdy wyszłam z za zakrętu, jakaś postać zastąpiła mi drogę.

– Saul... – odezwałam się na jego widok. Niósł dziwny pęk metalowych prętów i jakąś płachtę.

Upuścił niesione przez siebie rzeczy, które upadły z brzękiem na ziemię.

– Jak nas znalazłaś? – spytał.

Ostatnim razem, gdy przyszedłam do studzienki, przyprowadziłam Krzysia z amunicją, stwarzając zagrożenie. Dla niego zawsze będę osobą, której nie można zaufać.

– Widziałam, w którą stronę poszła Sadie – wyjaśniłam. – A pod koniec kierowałam się waszymi głosami.

Zmarszczył brwi.

– Nie powinniśmy pozwalać sobie na takie głośne zachowanie.

Bałam się powiedzieć mu, że to teraz najmniej ważne, bo Niemcy wkrótce się o nich dowiedzą, niezależnie od tego, czy będą cicho, czy nie.

– Jesteś sama?

Przytaknęłam skinieniem głowy.

– Zaprowadź mnie do Sadie, proszę. To bardzo ważne.

Powinam mu była teraz powiedzieć, że musimy wyjść, ale nie byłam pewna, jak zareaguje, i nie chciałam nic mówić, dopóki nie zobaczę się z Sadie.

W ścianie kanału była wyrwa prowadząca do niewielkiej komory. Zanim zdążyłam tam wejść, szczupła postać Sadie pojawiła się w wejściu.

– Saul, gdzie byłeś? Tak się martwiłam. Czy wszystko w porządku?

Nie odpowiedział. Wtedy Sadie mnie dostrzegła.

– Ella? – Jej głos był ciepły, ale zdumiony. – Co tutaj robisz?

– W kanale już nie jest bezpiecznie. Chcę, żebyście wszyscy natychmiast poszli ze mną.

Sadie nie odezwała się, tylko gapiła się na mnie, jakby nie rozumiejąc.

– Czy mogę wejść? – spytałam.

Niechętnie ustąpiła z przejścia i weszłam do komory. Wilgotne, brudne pomieszczenie było mniejsze od mojej sypialni, za małe nawet dla jednej osoby, a tym bardziej dla pięciu i niemowlęcia, mieszkających tu wcześniej. Starszy mężczyzna, zapewne ojciec Saula, siedział w kącie, kołysząc się modlitewnie. Wiedziałam, że żyją w okropnych warunkach, ale dopiero teraz naprawdę zdałam sobie sprawę, jak tu jest strasznie. A przecież toczyło się tu życie, oni w tym miejscu jedli, spali i rozmawiali. Zrozumiałam wtedy, że to cały podziemny świat, o którego istnieniu nie miałam pojęcia.

– Co tutaj robisz? – powtórzyła Sadie.

– Przyszłam zabrać was na zewnątrz.

– Na zewnątrz? – zdziwiła się.

Zobaczyłam lęk w jej oczach. Zrozumiałam, że wcześniej Sadie nie chciała uciec, by nie zostawić swoich towarzyszy niedoli. Ale teraz

wszyscy mogliby wyjść razem. Pozostali wyglądali na tak samo przestraszonych tym, co powiedziałam. To miejsce, skądinąd wyglądające na przekłete więzienie, stało się dla nich bezpiecznym schronieniem. Aż do tego momentu nie uświadamiałam sobie, że oni mogą wcale nie zechcieć stąd wyjść.

– Jak moglibyśmy wyjść? – spytał Saul. – Paweł mówił, że jeśli wyjdziemy na ulicę, natychmiast zostaniemy zastrzeleni.

Ten kanalarz powiedział im, że ukrycie się tutaj daje największą nadzieję na przetrwanie, i oni aż dotąd mu wierzyli. Paweł był ich wybawicielem i poświęcił życie, ratując ich. Dlaczego mieliby zaufać mi bardziej niż jemu? Z wyjątkiem Sadie w ogóle mnie nie znali.

Przełknęłam ślinę.

– To prawda, że na powierzchni jest bardzo niebezpiecznie – zaczęłam. – Ale sytuacja się zmieniła i dlatego nie możecie tu dłużej zostać. – Szukałam sposobu, jak im to wyjaśnić. – Jak wiecie, ktoś zabrał amunicję. Ta osoba zaniósł ją Niemcom, zaalarmowała ich. Istnieje duża szansa, że policja przyjdzie niebawem do kanału sprawdzić, czy jest tu coś jeszcze.

Wydawało mi się, że Sadie zbladła.

– Mówiłam ci, że przyjdą – zwróciła się do Saula słabym głosem.

– Wtedy ukryjemy się gdzieś dalej – powiedział Saul. – Może w tej wnęce, do której chodzimy czytać.

Nie wiedziałam, że mają jeszcze inne pomieszczenie.

– Jest za mała na trzy osoby – zaniepokoiła się Sadie.

– Więc znajdziemy coś jeszcze gdzie indziej – stwierdził Saul, próbując ją uspokoić. – Możemy zejść głębiej do kanałów. Na pewno tam się coś znajdzie.

Rozpaczliwie szukał innego rozwiązania, które nie zmuszałoby ich do wyjścia na powierzchnię.

– To się nie uda – przerwałam. – Widzicie, Niemcy zaminowali kanały, przewidując konieczność obrony miasta. Gdybyście chodzili tunelami, ryzykujecie, że je wysadzicie.

Oczy Sadie zrobiły się okrągłe i widziałam, że zastanawia się, ile razy nieświadoma zagrożenia wędrowała tunelami.

– Damy sobie radę – upierał się Saul. – Tak jak wcześniej. – Popatrzył na mnie. – Nie wychodzimy.

– Obawiam się, że jest jeszcze coś. – Odwróciłam się do Sadie. – Moja macocha znalazła naszyjnik.

– Twój naszyjnik z napisem *chai*? – Saul zrobił wielkie oczy, gdy zwrócił się do Sadie. – Mówiłem ci, żebyś go nie nosiła.

– To moja wina – wtrąciłam się, stając w jej obronie.

– Nie, moja – powiedziała Sadie, robiąc krok w moją stronę.

Saul i jego ojciec przyglądali się nam krytycznie. Wyglądało na to, że wszystkie ich ostrzeżenia i przestrogi dotyczące naszej przyjaźni okazały się słuszne.

– Dałam go Elli, żeby go bezpiecznie przechowała. Nie powinnam była tego robić.

– A ja powinnam była ukryć go lepiej – dodałam. – Jednak teraz to nie ma znaczenia. Moja macocha znalazła wisiołek i zrozumiała, że pomagam Żydom. Wyrzuciła mnie z domu. Więc muszę wyjechać z Krakowa.

– Och, Ella. – Głos Sadie był pełen żalu. – Tak mi przykro.

– Po moim wyjeździe nie będzie miał kto przynosić wam jedzenia. Nie możecie tu zostać, bo mogą przyjść Niemcy, i nie możecie zejść głębiej do kanałów ze względu na miny. Musicie wyjść ze mną teraz.

– A co jeśli, to znaczy, kiedy wróci moja mama? – spytała Sadie. Poprawiła się, by dodać pytaniu pewności, chociaż już jej wcale nie

czuła. – Kiedy wróci, muszę tu być.

Poczułam, jakbym miała głąz w żołądku. Kłamstwo, którego się dopuściłam w dobrej wierze kilka tygodni temu, mogło teraz sprawić, że nie uda mi się ocalić jej życia. Jeśli Sadie będzie myślała, że jej mama żyje, nigdy stąd nie odejdzie. Zrozumiałam, że nie mam wyboru.

– Sadie, co do twojej mamy...

– O co chodzi? Są jakieś nowiny? – zacięła się, widząc wyraz mojej twarzy. – Dobrze się czuje?

W tym momencie wiedziałam, że muszę jej powiedzieć prawdę.

– Poszłam do szpitala, do którego twoja mama miała zanieść dziecko. Jednak jej tam nie było.

– Nie rozumiem.

– Twoja mama dotarła do szpitala, gdzie zamierzała zostawić dziecko. Zakonnice przyjęły ją jako pacjentkę i zaopiekowały się nią.

– Ale mama nie poszła tam się leczyć. Poszła, żeby ukryć moją siostrę.

– Wiem. Jednak po porodzie czuła się znacznie gorzej, niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę. Miała wysoką gorączkę i zakażenie poporodowe. Więc przyjęto ją jako pacjentkę. Niemcy dowiedzieli się, że tam jest, i przyszli po nią.

– Czy została aresztowana?

Chciałam znowu skłamać i potwierdzić. Poinformowanie Sadie, że Niemcy zabrali jej mamę, byłoby straszne, ale przynajmniej zostawiałoby jej resztkę nadziei. Tyle że byłoby to kolejne kłamstwo.

– Szpital nie dopuścił do tego, żeby Niemcy ją zabrali. Personel wiedział, że spotkałby ją znacznie gorszy los, więc dali jej zastrzyk, który sprawił, że odeszła bez bólu podczas snu.

Podeszłam do Sadie i wzięłam ją w ramiona.

– Przykro mi, Sadie – przerwałam, wzięłam głęboki wdech i dokończyłam: – Twoja mama nie żyje.

– Nie... to nie może być prawda. – Twarz jej zdrętwiała z niedowierzania. Chociaż od tego dnia, gdy poszłam do szpitala, podejrzewała, że jej mama nie żyje, wciąż tliła się w niej iskierka nadziei. – Mówisz tak dlatego, żebym stąd wyszła.

– To niestety prawda.

Nie mogłam teraz nic powiedzieć, żeby stłumić jej ból. Jej oczy zrobiły się wielkie z przerażenia, otworzyła usta. Spodziewałam się, że zacznie krzyczeć, jak ja bym zrobiła na jej miejscu, tak głośno, że mogłoby to sprowadzić kogoś do kanału i zagrozić jej zdemaskowaniem. Ale wyglądało na to, że łka cichutko, drżąc na całym ciele, chociaż jej oczy pozostały suche. Stałam bezradnie, próbując znaleźć jakieś słowa pociechy. W końcu się uspokoiła.

– A co z moją siostrą?

– Zakonnice powiedziały, że twoja mama przyszła do szpitala sama, bez dziecka. Nie byłam w stanie dowiedzieć się, co się stało. Nie było po niej śladu.

– Pewnie też nie żyje – powiedziała Sadie smutnym głosem.

Chciałam ją pocieszyć, ale nie wiedziałam jak. Wyprostowała się, odsuwając się ode mnie.

– Byłaś w szpitalu kilka tygodni temu. Cały czas wiedziałaś, co z moją mamą. I nigdy mi nie powiedziałaś.

– Tak. – Miałam zamiar jej powiedzieć, że dopiero niedawno się o tym dowiedziałam, ale nie mogłam już dłużej ukrywać prawdy. – Chciałam ci tego zaoszczędzić. Przepraszam.

– Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką. – Sadie patrzyła na mnie zimnym, kamiennym wzrokiem. Saul podszedł i objął ją ochronnym gestem, odsuwając ją ode mnie. Ale Sadie mówiła dalej: – Jeśli mnie

wtedy okłamałaś, dlaczego teraz mam ci zaufać na tyle, by stąd wyjść? – spytała z naciskiem.

Zawahałam się, porażona jej logiką.

– Nie powiedziałam ci, bo bałam się, że nie przeżyjesz tu na dole, jeśli poznasz prawdę. – Zdałam sobie sprawę, że jej nie doceniłam, i to chyba był mój największy błąd. – Dlatego starałam się cię ochronić. I teraz też próbuję cię chronić. – Podeszłam do niej i wzięłam za rękę, patrząc jej prosto w oczy. – Sadie, przepraszam. Możesz mnie znienawidzić, ale nie pozwól, żeby mój błąd zabił ciebie i tych dobrych ludzi, których kochasz.

Byłam pewna, że powie nie. Nie wiedziałam, co miałabym wtedy zrobić. Oni wszyscy zostaliby aresztowani albo umarliby tu na dole, a gdybym została, na pewno umarłabym wraz z nimi. Pomyślałam o Krzysiu, zastanawiając się, gdzie się znajduje i czy kiedykolwiek poznamy nawzajem nasze losy.

Sadie nie odpowiedziała. Spróbowałam jeszcze raz.

– Proszę cię, wiem, że jesteś na mnie zła, i zrozumiem, że gdy stąd wyjdziemy, nie będziesz chciała mnie widzieć. Ale nie ma czasu do stracenia. Musisz zaraz ze mną iść, jeśli chcesz, żeby nam się udało.

Jakby coś się w niej przełamało.

– Dobrze – powiedziała powoli. – Pójdę ze względu na Saula i jego ojca.

Mówiła chłodnym tonem i wiedziałam, że nigdy nie wybaczy mi tego, co zrobiłam. Jednak chciała wyjść, żeby ratować pozostałych. Saul, który cały czas był przy niej, stał nieporuszony, nieprzekonany. Jeszcze raz starałam się przemówić mu do rozsądku.

– Wiem, że kanał był waszym azylem, miejscem, gdzie byliście bezpieczni. Ale już nie jest. Ucieczka jest teraz jedynym wybawieniem.

– Dlaczego mamy ci zaufać? – spytał z goryczą, a jego słowa były echem słów Sadie.

– Bo nie macie wyboru – powiedziałam bez ogródek. – Jestem dla was jedyną nadzieją.

Wydawało mi się, że Saul zamierza się ze mną kłócić, ale nie zrobił tego.

– Jeśli nie pójdziecie ze mną, zginiecie tu wszyscy.

Sadie odwróciła się do niego.

– Saul, Ella przyszła nam pomóc. – Mimo wszystko nadal we mnie wierzyła.

– Nie możemy jej ufać. Nie możemy ufać żadnemu z nich.

– Ale ufasz mnie, prawda? – spytała, kładąc mu dłoń na policzku.

Saul początkowo nie odpowiadał. Potem lekko skinął głową.

– Dobrze. Mówię wam, że musimy teraz stąd wyjść. Proszę, Saul. Nie pójdę bez ciebie.

– Przecież mieliśmy się pobrać – powiedział Saul.

– Pobrać? – zdumiałam się.

Sadie przytaknęła.

– Saul oświadczył mi się minionej nocy. Miałam ci dziś o tym powiedzieć.

Złapała Saula za rękę i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Znajdziemy gdzie indziej nasz baldachim. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Tu, w środku, i tak już jestem twoją żoną.

– Jutro będziecie mogli się pobrać na wolności – powiedziałam.

Jednak myśląc o tym, jak długa i trudna była według planu Klary ich ucieczka, wątpiłam, by mogła to być prawda.

Saul pokiwał głową, jakby w końcu przekonał się do mnie, widząc, że chcę dla nich jak najlepiej.

– Ale...

Spojrzał na Sadie, a potem na ojca, który uparcie siedział w jednym miejscu, nie chcąc przyjąć prawdy do wiadomości ani wykonać żadnego ruchu. Jeśli Saulowi nie uda się go przekonać, żadne z nich nie wyjdzie z kanału, skazując się na pewną śmierć.

Saul wypuścił dłoń Sadie i podszedł do niego.

– Tato, proszę. Wiem, że przyprowadziłeś nas tutaj, bo sądziłeś, że tu jest najbezpieczniej. I tak było. Jednak sytuacja się zmieniła. Nie mogłeś ocalić Micaha, ale możesz ocalić mnie, jeśli teraz pójdziesz z nami. Proszę, daj nam szansę.

Ojciec spojrzał na niego i widziałam, że walczy ze strachem i przerażeniem, jakie wywołuje w nim koszmar rozgrywający się na ulicach. Sadie podeszła do obu mężczyzn.

– Obiecuję – powiedziała uroczyście – że nic złego nie stanie się pańskiemu synowi.

Początkowo wątpiłam, czy pan Rosenberg jej uwierzy, ale wyciągnął rękę i przekonałam się, że nawiązali bliski kontakt. Sadie pomogła mu wstać. Przeszedł przez komorę i zdjął mezuze ze ściany. Ruszyliśmy w głąb tunelu. Zobaczyłam, że Sadie przez moment patrzyła przez ramię na to niewielkie, okropne pomieszczenie, które przez kilka miesięcy stanowiło jej dom, a które opuszczała teraz na zawsze i żegnała się ze swym dotychczasowym schronieniem. Potem odwróciła się do mnie.

– I co? To znaczy, dokąd idziemy? Czy Krzyś coś dla nas przygotował?

W pierwszej chwili nie chciałam jej powiedzieć prawdy o Krzysiu. Bałam się, że jeśli się dowie, że nie będzie na nas czekał na zewnątrz

i nie zaprowadzi nas w bezpieczne miejsce, nie zdecyduje się wyjść z kanału. Ale nie chciałam jej znowu okłamywać.

– Krzyś został aresztowany – powiedziałam w końcu. – Zabrali go. Przyszedł po amunicję i został złapany.

Przez jej twarz przemknął wyraz przerażenia.

– Aresztowany? – Spodziewałam się, że wpadnie w panikę. – Och, Ella, na pewno bardzo się martwisz. Musisz mu pomóc.

– Nic nie mogę dla niego zrobić – stwierdziłam, starając się, by głos mi się nie załamał.

Znowu poczułam skurcz żołądka na myśl o aresztowaniu Krzysia albo o jeszcze gorszym jego losie. W tej chwili zrobiłabym wszystko, by mu pomóc. Jednak, jak powiedziała Klara, on nie tego by pragnął. Powinam być tutaj i ratować Sadie. Właśnie tego by po mnie oczekiwał. Nienawidziłam siebie za to, że mimowolnie pomyślałam o nim w czasie przeszłym, jakby już nie żył.

– Więc jak uda nam się uciec bez niego? – Sadie miała takie same wątpliwości jak początkowo ja.

– Znam trasę – powiedziałam, co było tylko częściowo prawdą. – Klara obiecała pomoc. Mogę zaprowadzić nas w bezpieczne miejsce.

Staralam się, żeby mój głos brzmiał pewnie. Po prostu musiałam zabrać Sadie i resztę z tunelu na własną rękę, a Klara miała im pomóc dostać się do Kryspinowa. Mogłam tego dokonać.

– Chodźcie.

Szliśmy w milczeniu wzdłuż kanału, ja na czele, a Sadie tuż za mną.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy – powiedziałam. Może to nie było mądrze wracać do tego tematu i denerwować ją w tej chwili, ale czułam, że muszę się odezwać.

Pociągnęła nosem.

– Ona była częścią mnie i myślę, że już o tym wiedziałam, gdy tak długo nie wracała.

Saul, idący za nią, pomagał ojcu, który poruszał się powoli. Przekonanie ich, żeby opuścili podziemia, zajęło więcej czasu, niż przewidywałam. Chciałam, żeby się pospieszyli. Jednak staruszek przez wiele miesięcy był unieruchomiony w kanałach i ledwie chodził. Skupiałam się na drodze przed nami i starałam się nie myśleć o minach. Nie miałam pojęcia, jak wyglądają ani jak je ominąć, i bałam się, że każdy nasz krok może być ostatnim.

Wędrowaliśmy w kierunku studzienki, przy której po raz pierwszy zobaczyłam Sadie, tej w pobliżu Rynku Dębnickiego. Nie wiedziałam, w jaki sposób wszyscy się wydostaniemy i co zrobić, by nikt nas nie spostrzegł, nawet w nocy. Modliłam się, by czekała tam na nas Klara. *Stawiaj krok za krokiem* – słyszałam w myślach głos Macieja, który mawiał tak w ciężkich czasach. – *To wszystko, co możesz zrobić.*

Nagle rozległ się jakiś łoskot. Najpierw pomyślałam, że to może nalot, ale dźwięk był zbyt potężny i za blisko. Ściany zaczęły się trząść. Sadie potknęła się, nie mogłam jej złapać, ale Saul ją podtrzymał, żeby się nie przewróciła.

Wybuchła jedna z min.

– Dalej, szybko! – krzyknęłam.

Może ta mina wybuchła przypadkowo. Alianci byli przecież jeszcze daleko od Krakowa, więc na pewno Niemcy teraz nie zdetonowali ładunków. Ale zaraz nastąpiła kolejna eksplozja i jeszcze jedna, jakby ta pierwsza spowodowała reakcję łańcuchową. Dźwięki nie dochodziły z góry, ale z podziemi, były bliskie i przerażające.

Potem doszło do następnego wybuchu, który rzucił nas na ziemię. Leżeliśmy wszyscy przez kilka sekund. Nie mogłam się poruszyć i wydawało mi się, że już umarłam. Pomogliśmy sobie nawzajem stanąć

na nogi i otrzepaliśmy się z kurzu. Miałam pełno pyłu w płucach, kaszlałam i plułam, żeby je oczyścić. W powietrzu unosiło się go tyle, że nic nie widziałam. Ktoś złapał mnie za rękę i pociągnął. Rozpoznałam szczupłe palce Sadie, która teraz przejęła prowadzenie. Poszliśmy dalej.

Za nami rozległ się kolejny potężny rumor, jakby wokół waliły się ściany. Sadie znowu się potknęła, prawie pociągając mnie za sobą na ziemię. Saul chciał jej pomóc, ale go odepchnęła.

– Pomóż lepiej swojemu ojcu.

Przepuściła obu mężczyzn do przodu.

Przy końcu tunelu dostrzegłam blade światło, padające przez studzienkę z ulicy. Pomyślałam, że jest tam Krzyś. Przez moment wyobrażałam sobie, że nie został aresztowany i mimo wszystko czeka tu na mnie. Oczywiście, było to niemożliwe. Odwróciłam się do Sadie.

– Udało nam się – powiedziałam.

Spodziewałam się, że się ucieszy, ale tak się nie stało. Zamiast tego jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy spojrzała mi przez ramię.

– Ella! – gdy wymawiała moje imię, głośnie dudnienie wokół nas zagłuszyło jej głos. Tym razem nie był to huk wybuchających bomb, ale dźwięk jakby dochodzący gdzieś z wnętrza samych murów. Eksplozje rozerwały ściany tunelu, które zaczęły się walić wokół nas, jakby w zwolnionym tempie. Betonowe sklepienie pękało i zaczęło się zapadać.

Idący przodem Saul zawahał się przez chwilę.

– Leć! – krzyknęła Sadie, popędzając go. Saul pobiegł naprzód ze swym ojcem, prawie go niosąc. Rzucił Sadie długie pożegnalne spojrzenie. Potem sufit runął, a ja przyciągnęłam Sadie do siebie, przykrywając nam głowy, żeby nas nie przysypało. Kawałki betonu, gruz i kurz opadały na nas, wbijając się w skórę.

Kiedy popatrzyłam przed siebie, cała ścieżka była zablokowana kamieniami. Tunel, który przedtem był pomostem łączącym świat Sadie z moim, zawalił się. Saul i jego ojciec wraz ze wszystkim, co było po drugiej stronie kratki kanalizacyjnej, zniknęli, pozostawiając Sadie i mnie uwięzione w kanale jak w pułapce i samotne.

Rozdział 25

Ella

Otarłam oczy z pyłu, starając się zorientować w położeniu.

– Sadie? – zawołałam.

Leżała na ziemi kilka kroków dalej, tam gdzie upadła, i się nie ruszała. Szybko podczołgałam się do niej.

– Wszystko w porządku?

Usiadła, drżąc.

– Jesteś ranna?

Złapała się za brzuch.

– To tylko drobne skaleczenie.

Nachyliłam się, by zbadać jej ranę, ale odepchnęła moją rękę.

– Co z Saulem? – Zerwała się na nogi. – Gdzie on jest?

Gdy zobaczyła górę kamieni, która nas od niego oddzielała, wpadła w jeszcze większą panikę.

– Saul! – krzyknęła głośniej.

– Ciiii... – uciszyłam ją.

Nawet teraz ktoś na ulicy mógł usłyszeć jej krzyki. Nie zwracając na mnie uwagi, Sadie zaczęła odrzucać kawałki gruzu, które odgradzały nas od Saula i jego ojca.

– Muszę go znaleźć – powtórzyła uparcie. – Wyszliśmy razem. Mieliśmy zamiar się pobrać. Nie mogę stracić także i jego.

Cały smutek i frustracja, które nagromadziły się w niej przez kilka ostatnich miesięcy, jakby wykipiwały i wylały się na zewnątrz, gdy przekopywała się przez rumowisko.

– Przestań.

Złapałam ją za krwawiące dłonie, by je unieruchomić.

– Nie dasz rady się przedostać. A jeśli będziesz dalej wyszarpywać kamienie, doprowadzisz do tego, że reszta tunelu także się zawali.

Zmarszczyła twarz. Myślałam, że po stracie rodziców i siostry żaden kolejny cios jej nie załamie.

Jednak poza mną Saul był ostatnią bliską jej osobą i napotkaną właśnie miłością. Myśl o jego utracie była czymś więcej, niż mogła znieść.

– Było tak blisko, byśmy wyszli stąd razem. A teraz zginął.

– Nie, przeszedł bezpiecznie na drugą stronę – odparłam, mając nadzieję, że to prawda.

Sadie rozejrzała się bezradnie wokół.

– Nigdy się już nie zobaczymy. – Rozpłakała się.

– Nie mów tak! Wyjdziemy i znajdziemy ich.

– Ale oni nie mogą czekać na nas na ulicy. Skąd sami będą wiedzieć, dokąd mają iść? Mogą zostać złapani.

Nawet teraz, gdy znalazłyśmy się w śmiertelnej pułapce, Sadie myślała o innych.

– Saul da sobie radę. Jest silny. A Klara zaprowadzi ich w bezpieczne miejsce. My tylko musimy znaleźć sposób, by się stąd wydostać, i spotkamy się z nimi.

Zmuszałam się, by mój głos brzmiał pewnie i by wyglądało to na łatwiejsze do realizacji, niż było naprawdę.

– Ale jak?

Sadie знаła tunele tysiąc razy lepiej niż ja. Jednak była zbyt przygnębiona, by jasno myśleć, i szukała u mnie odpowiedzi.

– Ta druga studzienka, ta która wychodzi na brzegu Wisły. Czy możemy tam dojść?

– Sądzę, że tak, jeżeli nie zawalił się również tamten tunel. Ale tam znacznie trudniej się dostać.

– Musimy spróbować – odpowiedziałam stanowczo.

Sadie rzuciła długie spojrzenie na zatarasowany tunel, nie chcąc opuszczać miejsca, gdzie ostatni raz widziała Saula.

– Chodź, musimy się pospieszyć – ponagliłam ją, pociągając za sobą. Niechętnie poprowadziła mnie w drugą stronę, idąc teraz znacznie wolniej. Chociaż eksplozje nie zniszczyły całkowicie korytarza na odcinku biegnącym w przeciwnym kierunku, i tak był zasypany gruzem. Szliśmy powoli, bo musiałyśmy przedzierać się przez stosy kamiennych odłamków.

– Co to było? – spytała Sadie, gdy brnęliśmy tunelem.

– Wybuchła część min. Ale nie wiem dlaczego.

– Myślisz, że to Niemcy je wysadzili?

– Nie sądę.

Nawet gdyby Niemcy podejrzewali, że w kanałach ukrywają się jacyś ludzie, mało prawdopodobne, by zdetonowali miny bez uprzedniego sprawdzenia, jak jest naprawdę.

– Może któreś z nas stanęło w złym miejscu, a może, idąc we czwórkę, doprowadziliśmy do wybuchu pod naszym ciężarem – zasugerowałam. Nie znałyśmy się na tylu rzeczach. – To nie ma znaczenia. Musimy po prostu znaleźć wyjście z kanału.

Sadie skręciła w prawo, gdzie kiedyś było wąskie przejście. Jednak było teraz zasypane, pokryte gruzem i kawałkami zawalonych ścian.

– Tu była droga, którą miałyśmy iść. – Przystanęła zmartwiona. – Ale już jej nie ma.

Przerażona zastanawiałam się, czy to znaczy, że nasz ostatni i jedyny plan ucieczki właśnie runął.

– I co teraz?

Sadie cofnęła się kilka kroków i spojrzała na dół ściany.

– Ta rura. – Wskazała otwór w murze tuż nad ziemią, tak mały, że go poprzednio nie zauważyłam, przechodząc obok. – Nie jestem całkiem pewna, ale myślę, że prowadzi równolegle do tunelu, którym chcieliśmy iść. Musimy pełzać na brzuchach, żeby się precyzyjnie – wyjaśniła Sadie rzeczowo.

Przykucnęłam, żeby zajrzeć do otworu prowadzącego w głąb długiej, poziomej rury kanalizacyjnej.

– To niemożliwe.

Rura miała nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów średnicy. Sadie nie mogła poważnie myśleć, że tamtędy przejdziemy.

– Możliwe. Cała moja rodzina musiała to zrobić, gdy znaleźliśmy się w kanale. Nawet moja mama, a była wtedy w ciąży. – Oczy Sadie spochmurniały na to wspomnienie. – Zaufaj mi. Pójdę pierwsza i przeciągnę cię.

Uklękałam, zastanawiając się, czy ta rura mogła zostać naruszona przez wybuchy, tak jak inne tunele. Jednak wykonano ją z grubego żelaza, a nie z kamienia, i była cała. Gdy zajrzałam w ciemną, ciasną czeluść, wzdrygnęłam się i poczułam skurcz w żołądku.

– O co chodzi? – spytała Sadie, widząc moją reakcję.

– O nic. – Pokręciłam głową. – Tylko boję się zamkniętej przestrzeni... przeraża mnie.

Zabrzmiało to co najmniej głupio.

– Pomogę ci. – Sadie sięgnęła po sznur leżący na ziemi. – Obwiąż się tym w pasie. Kiedy dojdę na drugą stronę, przeciągnę cię.

W jej ustach brzmiało to tak prosto. Czołganie się przez rury było dla mnie najgorszym koszmarem, ale dla niej – czymś normalnym.

– Zaufaj mi – poprosiła.

Przedtem to Sadie zawierzyła mi swoje bezpieczeństwo, a teraz prosiła, żebym to ja powierzyła jej swoje.

Zanim zdążyłam zaprotestować, położyła się i zaczęła przeciskać przez rurę, trzymając koniec sznura. Po kilku minutach jej głos dobiegł z drugiego końca:

– Przeszłam.

Teraz była moja kolej. Stałam jak skamieniała, niezdolna się ruszyć.

– Ella! – zawołała Sadie – Chodź!

Szarpnęła sznur. Nie było innego wyjścia, musiałam spróbować. Wzięłam głęboki wdech, potem położyłam się i wślizgnęłam do środka. Gdy otoczył mnie ciasny, metalowy walec, nie mogłam oddychać. Rura była wilgotna i miała mocny, metaliczny zapach, podobny do krwi. W myślach słyszałam szyderczy głos Any Luci, mówiący, że nie dam sobie z tym rady, tak jak ze wszystkim, czego się tknęłam. Nie zamierzałam dopuścić, by była górą. Musiałam się przemóc, przez wzgląd na Sadie i na siebie samą.

Zrobiłam tak głęboki wdech, jak tylko mogłam w tej małej przestrzeni. Potem odepchnęłam się stopami, napinając ciało. Ale nie przesunęłam się ani trochę. Zaklinowałam się i miałam tu umrzeć. Przez moment ściany rury napierały na mnie i myślałam, że stracę przytomność. Jeszcze raz się odepchnęłam. W tym samym momencie Sadie pociągnęła mocniej za sznur, dzięki czemu przecisnęłam się naprzód kilkanaście centymetrów. Powtarzałyśmy ten sposób ze dwadzieścia, a może trzydzieści razy, ja się odpychałam, a ona szarpała za sznur, ale posuwałam się bardzo powoli. Skóra mnie paliła, głęboko otarta przez szorstką powierzchnię metalu. Bolały mnie wszystkie

mięśnie i byłam bliska poddania się. Jednak Sadie mnie mobilizowała, a jej głos brzmiał jak sygnał naprowadzający.

– Uda ci się. Jestem pewna, że damy radę przejść.

W ciemnej czeluści widziałam przed sobą twarz Krzysia i wyobrażałam sobie, że on także zachęca mnie do wysiłku. Niezależnie od wszystkiego chciałam, żeby był ze mnie dumny i wiedział, że się nie poddałam.

Głos Sadie stopniowo stawał się coraz wyraźniejszy i w końcu zobaczyłam słabe światło. Już prawie przeszłam. Mocno przepchnęłam się do przodu i wyśliznęłam z rury, upadając na kolana. Sadie przyjrzała mi się, gdy wstałam.

– Jesteś brudna – stwierdziła. – Teraz wyglądasz tak samo jak ja.

Roześmiałyśmy się. Jednak nie było czasu na żarty.

– Chodź – powiedziała Sadie, ciągnąc mnie dalej wzdłuż ścieżki, na której się znalazłyśmy.

Tunel był tu większy i musiałam tylko trochę pochylić głowę. Sadie szła teraz wolniej, ciężko oddychała. Chciałam ją popędzić, żeby ruszała się szybciej. Musiałyśmy wyjść na powierzchnię przed świtem i zdążyć gdzieś odejść. Byłam pewna, że Klara dotrzymała obietnicy i uratowała Saula i jego ojca, jeżeli udało im się wyjść. Ale nie wiedziałam, czy zna tę drugą studzienkę i czy mogła przewidzieć, że tam możemy się spotkać. Martwiłam się, że wyjechała z miasta bez nas.

Tunel przed nami zaczął wznosić się do góry. Pomyślałam, że zbliżamy się do ulicy, i nabrałam trochę więcej nadziei. Wyszłyśmy z za rogu i znalazłyśmy się w pomieszczeniu z głębokim zbiornikiem pełnym wody, długim na jakieś cztery metry i z wysoko umieszczoną przeciwległą krawędzią.

– Trzeba się przez to przeprawić, by dotrzeć do studzienki nad rzeką? – spytałam z niedowierzaniem.

Skinęła głową. Mur po przeciwnej stronie był z samego kamienia, a brzeg, do którego musieliśmy się dostać, znajdował się na wysokości przynajmniej dwóch metrów nad powierzchnią wody. Zdumiałam się, jak udawało jej się samej wdrapać tam tyle razy.

– Ale nigdy nie musiałam tego robić w takich warunkach. – Sadie wskazała gestem zbiornik poniżej. – Zazwyczaj jest pusty, bez wody. Eksplozje musiały coś zniszczyć.

Usłyszałyśmy głośny szum wody, która nie wiadomo skąd napływała bardzo prędko do zbiornika. Za kilka minut wypełni go całkiem.

– Musimy to przepłynąć – powiedziałam. – Chodź.

Usiadłam na brzegu i zdjęłam buty, przygotowując się do wejścia do wody. Jednak Sadie nie dołączyła do mnie i widziałam po jej oczach, że coś jest nie w porządku.

– O co chodzi? – spytałam.

– Nie umiem pływać – powiedziała.

Przypomniałam sobie wtedy, jak kiedyś mi opowiadała, że razem z matką omal się nie utopiły, kiedy kanał został zalany podczas ulewy, i że woda odebrała życie jej ojcu. Zobaczyłam, że od nowa odżywają jej lęki i paraliżuje ją strach. Nie tylko nie umiała pływać, ale woda ją przerażała, tak jak mnie ciasna przestrzeń.

– Czy jest inna droga? – spytałam, z góry znając odpowiedź.

Pokręciła głową. W oczach miała panikę.

– Więc musimy jakoś się tędy przedostać.

Ale w jaki sposób? Rozejrzałam się wokół z rozpaczą. Potem przypomniałam sobie o sznurze, którego Sadie użyła do przeciągania mnie przez rurę. Pobiełam z powrotem w głąb tunelu, złapałam go i wróciłam szybko do Sadie.

– Masz, pociągnę cię.

Sznur, który w wąskiej rurze, którą się czołgałam, stanowił moją linę ratunkową, miał teraz pomóc jej.

– Będę płynąć, a ty tylko musisz się przytrzymać.

– Ale... – zaczęła Sadie.

– Musimy to przepłynąć.

– Nie dam rady.

– Nie ma innego wyjścia – powiedziałam stanowczo. – Musisz, jeśli chcesz znowu zobaczyć Saula. Pomogę ci.

Wzięłam sznur i obwiązałam się jego końcem, a potem przymocowałam drugi w pasie Sadie, tak że między nami był jakiś metr odległości. Wtedy zauważyłam plamy krwi na jej podartej i brudnej sukience.

– Jesteś ranna? – spytałam z rosnącym lękiem.

– Tylko się skaleczyłam, kiedy upadłyśmy. Po przejściu przez rurę wygląda to gorzej. Nic mi nie jest.

W jej głosie słychać było napięcie, więc zaczęłam się zastanawiać, czy mówi prawdę. Ale nie było czasu na wypytywanie. Weszłam do lodowatej wody i zachęciłam ją, by zrobiła to samo. Sadie włożyła stopę do wody, a potem ją cofnęła.

– Dasz radę – przekonywałam ją.

W końcu niechętnie się zanurzyła. Na jej twarzy widać było panikę. Zaczęła w popłochu młócić ramionami wodę.

– Uspokój się. – Podałam jej rękę i przyciągnęłam do siebie.

Umiałam bardzo dobrze pływać. W szczęśliwym okresie dzieciństwa spędzałam lato w naszej chatce nad jeziorem i szybko nauczyłam się pływać, gdy brat brutalnie wrzucił mnie do wody.

Ruszyłam przez zbiornik, ciągnąc Sadie. Starła się płynąć, ale jej ruchy były bezładne i nieskuteczne. Próbowалам ją holować. W wodzie powinna być lekka, ale i tak ciążyła mi jak głaz. Sznur, którym byliśmy związane, ciągnął mnie za talię. Mocniej pracowałam nogami, starając się utrzymać na wodzie. Nie miałam pojęcia, jak wydostaniemy się na krawędź zbiornika, kiedy dotrzemy na drugą stronę. Jednak najpierw musiałyśmy go przepłynąć. Sadie stawała się coraz cięższa i przez chwilę miałam wrażenie, że niweczy moje wysiłki. Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, że się nie rusza. Leżała bezwładnie w wodzie, jakby była wyczerpana albo po prostu miała dość. Zdenerwowałam się jeszcze bardziej.

– Musisz dalej próbować – powiedziałam. Wtedy zauważyłam coś czerwonego w wodzie. Zdałam sobie sprawę, że to krew.

Przyciągnęłam ją bliżej i uniosłam na powierzchnię, żeby zbadać ranę na brzuchu.

– To nic – powiedziała, ale twarz miała bladą jak płótno.

Podciągnęłam jej sukienkę w miejscu rozdarcia i z przerażeniem zobaczyłam, że ta lekceważona przez nią rana to w rzeczywistości rozcięcie głębokości kilku centymetrów, w którym tkwi odłamek kamienia. Wypływała z niego krew, barwiąc na czerwono wodę wokół nas. Kawałek gruzu wbił się głęboko i mocno, więc wyciągnięcie go mogłoby tylko pogorszyć sytuację. Rana moczyła się w brudnej wodzie, co groziło zakażeniem.

– Trzymaj się – powiedziałam, obejmując ją ramieniem w pasie, żeby mieć ją bliżej przy sobie.

Zacząłam płynąć dalej, posługując się tylko jedną ręką. Jeszcze tylko kilkadziesiąt centymetrów. Zbliżałam się do przeciwległego brzegu zbiornika. Gdy tam dotarłam, Sadie wyslizgnęła się z mojego uchwytu. Zaczęła tonąć, a jej zawieszony na sznurze ciężar ciągnął mnie na dno. Wzięłam głęboki wdech, zanurkowałam i szukałam jej pod powierzchnią. Brudna woda była zbyt ciemna, żeby cokolwiek widzieć,

więc próbowałam ją namacać rękami, ale natrafiałam na pustkę. Jeszcze raz sięgnęłam w czeluść i w końcu schwyciłam rąbek sukienki. Potem użyłam wszystkich sił, by wyciągnąć Sadie na powierzchnię.

– Musisz przestać mnie taszczyć – wyszeptała.

– Nigdy. Wydostanę cię stąd.

– Idź sama, póki jeszcze możesz.

– Powiedziałam, że cię tu nie zostawię.

Woda zaczęła gwałtownie się podnosić, a w chwili, gdy dojdzie do krawędzi i wypełni cały tunel, będziemy mieć odciętą możliwość ucieczki. Z każdą sekundą rosło ryzyko, że nie uda nam się wyjść. Jednak dopóki Sadie żyła, wciąż istniała nadzieja, że uciekniemy obie. Nie mogłam jej tu zostawić.

Dotarliśmy do brzegu zbiornika. Spojrzałam niepewnie w górę. Nawet przy wzrastającym poziomie wody krawędź była co najmniej metr nad nami. Mogłam się tam wdrapać, ale Sadie oczywiście nie dałaby rady. Musiałabym ją podsadzić. Zatrzymałam się, zbierając wszystkie siły, a Sadie leżała bezwładnie w moich ramionach. Oczy jej się teraz zamykały, z trudem oddychała.

– Saul – powiedziała tęsknie. Patrzyła gdzieś w dal, jakby rzeczywiście go widziała. Czy miała halucynacje? – On mimo wszystko naprawdę mnie kochał – dodała.

– Tak. Nadal cię kocha. Czeka na ciebie. Musisz tylko dostać się na ten mur.

– Powiedz mu...

Wtedy zrozumiałam, że umiera. Była bardzo poważnie ranna i straciła dużo krwi. Serce mi się ścisnęło.

– Sadie, nie! Wyjdziemy stąd zaraz, znajdziesz Saula i sama mu to powiesz – odrzekłam z naciskiem. Nie odpowiedziała i widziałam, że

uchodzą z niej resztki sił i wyciekają jak krew mieszająca się z wodą. – Mówiłam ci, że stąd wyjedziemy.

– Musisz iść dalej sama.

– Nie, pójdziemy razem. Wyjdiesz za Saula za męża. Albo pojedziesz ze mną do Paryża. Będę rysować, a ty będziesz studiować medycynę i będziemy mieć wspaniałe życie.

Mówiłam teraz szybko, moje słowa zlewały się w nieprzerwane, niemal bezsensowne mamrotanie, bo koniecznie chciałam podtrzymać rozmowę.

– Nie możesz mnie zostawić. Musisz być silna. Jesteś mi to winna.

Ale ona tylko kiwnęła głową, uszła z niej cała wola walki.

– Nie mogę.

Sadie nie dawała rady. To oznaczało nasz koniec. Serce mi pękało.

– Musisz pozwolić mi odejść – powiedziała niemal szeptem.

Sięgnęła ręką w dół i ostatkiem sił odwiązała sznur, którym byliśmy ciasno związane. Potem spróbowała odepchnąć się ode mnie, ale trzymałam ją mocno. Popatrzyłam do góry na krawędź zbiornika. Podnoszący się poziom wody trochę nas do niej przybliżył. Uniosłam Sadie i z wielkim wysiłkiem podniosłam ją nad głowę. Była tuż przy brzegu, ale wyslizgnęła mi się i z powrotem wpadła w wodę, niemal topiąc nas obie. Złapałam ją i podniosłam ponownie. Tym razem udało mi się umieścić ją na brzegu zbiornika i leżała tam bez ruchu przez kilka sekund. Przewróciła się na bok i wyciągnęła rękę, próbując resztką sił pomóc mi wyjść z wody.

– Widzisz, przecież obiecałam ci, że się wydostaniesz – powiedziałam.

Jednak powiedziałam to przedwcześnie. Z tyłu rozległ się huk. Odwróciłam się na tyle szybko, że zobaczyłam, jak ściana zbiornika z przeciwnej strony wali się, najwyraźniej naruszona wcześniejszymi

wybuchami. Olbrzymia fala z grzmotem chlusnęła w naszym kierunku, zbyt potężna, by ją powstrzymać. Jej siła rzuciła mnie na ścianę i wciągnęła nas pod wodę, pogrążając w ciemnościach.

Rozdział 26

Wyszłam na brzeg Wisły przed świtem.

Gdy wydostałam się z kanału, starałam się złapać rękę, która powinna być w mojej, ale jej nie było. Teraz stałam sama pod olbrzymim, ciemnym, rozgwieżdżonym sklepieniem nieba. Miałam nadzieję, że zobaczę kogoś, kto na mnie czeka, Klarę albo może Saula. Jednak nabrzeże było opustoszałe, jakby inni zostawili nas na pewną śmierć.

Uda nam się – to złamana obietnica.

Po tym, jak wściekłe fale napierającej wody przedarły się przez ściany zbiornika, miotałam się w ciemnościach, przez kilka sekund usiłując bez skutku namacać ją pod powierzchnią. W końcu udało mi się ją znaleźć i jakoś wciągnąć nas obie na brzeg. Jednak było już za późno. Była tak wyczerpana, że ledwie oddychała. Miała olbrzymią ranę na głowie, w miejscu uderzenia, bo gwałtowny prąd rzucił ją na betonową ścianę zbiornika. Tryskała z niej krew nie do zatamowania.

– Damy radę – przekonywałam ją, na próżno starając się postawić ją na nogi. – Pojedziemy do Paryża malować i studiować medycynę. –
Roztaczałam przed jej oczami wizje naszych marzeń, pragnąc, by się ich uchwyciła i chciała żyć dalej.

Ale ona nie była w stanie iść i ostatkiem sił odepchnęła mnie.

– Musisz iść w imieniu nas obu – powiedziała. Potem z wysiłkiem sięgnęła do kieszeni. Byłam zdziwiona, że wręczyła mi nie jedną, ale dwie rzeczy.

– Weź to – wydyszała. – Powiedz mu...

Nachyliłam się bliżej, czekając, co mi chce przekazać, ale wtedy zamknęła oczy i żadne słowa już nie padły.

Położyłam rękę na jej ramieniu i delikatnie nią potrząsnęłam, jakby chcąc ją obudzić, ale bez reakcji.

– Nie! – krzyknęłam, gdy dotarło do mnie, co się dzieje. Ona umierała. Moja przyjaciółka, która ofiarowała mi wszystko, miała nie przeżyć. Pochyliłam nisko głowę do jej głowy, a moje łzy płynęły po jej policzkach. Oddychała coraz wolniej.

Kiedy wydała ostatnie tchnienie, trzymałam ją w ramionach przez kilka sekund. Chciałam zabrać ją ze sobą. Wiedziałam, że nie zdołam jej podnieść i nie wyniosę z tego pomieszczenia. Woda w zbiorniku nadal przybierała. Za kilka sekund przeleje się przez krawędź i ja także utonę. Nadal trzymałam ją w ramionach, odgarniając mokre loki z jej pięknej twarzy. Pękało mi serce. Obiecałyśmy sobie, że wyjdziemy z kanału razem. Jak miałam ją tu teraz porzucić?

Pocałowałam ją w policzek, moje słone łzy mieszały się z brudną, gorzką wodą. Zasługiwała na odpowiedni pogrzeb na cmentarzu, z mnóstwem kwiatów, ale było to niemożliwe. Nie chciałam zostawić jej tutaj, by znaleźli ją Niemcy. Z wielkim wysiłkiem podniosłam jej ciało i zepchnęłam je z brzegu zbiornika z powrotem do wody. Jej spokojna, pogodna twarz unosiła się kilka chwil na powierzchni, zanim zanurzyła się pod wodę i zniknęła, i kanał pochłonął ją na dobre.

Potem zaczęłam swoją ostateczną trudną wędrówkę ku wolności.

Kiedy dotarłam na brzeg rzeki, stanęłam bez ruchu, próbując złapać oddech. Z niewidocznego statku na rzece rozległ się długi, niski dźwięk syreny przeciwmgielnej. Wyłam z bólu i nie wiedziałam, jak w ogóle mam dalej żyć, tym bardziej zupełnie sama.

Właśnie w tym momencie ujrzałam przed sobą znajomą twarz. Bardzo się ucieszyłam. Nie sądziłam, że on nadal żyje i mógłby tu czekać. Gdy mnie zobaczył, podbiegł z wyrazem zadowolenia i ulgi. Potem, gdy się przybliżył i zobaczył, że jestem sama, jego oczy spochmurniały.

– Gdzie ona jest?

– Przykro mi – powiedziałam, nie chcąc wyjawic nowiny, która z pewnością mogłaby go załamać. – Zalała nas woda. Ona mnie uratowała, ale jej samej nie udało się przeżyć.

Jego oczy stały się puste i smutne.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam – dodałam.

– Wiem.

W jego głosie brzmiała rezygnacja. Nie obwiniął mnie. Trudno było mieć nadzieję, że komuś z nas się uda, a tym bardziej wszystkim. W jego pełnych bólu oczach widziałam, jak bardzo ją kochał.

– Przykro mi – powtórzyłam. – Ona mnie uratowała. Tylko że teraz to ja jestem tutaj, a jej nie ma.

– To nie twoja wina – powiedział, patrząc w dal i z trudem hamując łzy. – Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Wiesz, że ona cię kochała. Byłaby szczęśliwa, wiedząc, że żyjesz.

– Ale ona nie! – krzyknęłam, okazując swój ból.

On przyciągnął mnie do siebie i pozwolił, bym płakała na jego piersi, nie zważając, że brudna woda moczy mu koszulę.

– Powinniśmy iść – powiedział łagodnie po chwili.

– Nie.

Wiedziałam, że ma rację, ale nie byłam gotowa, żeby ją tu zostawić. Odwróciłam się w stronę wejścia do kanału. Powinniśmy wyjść stąd razem.

– Nie możemy tu zostać – powiedział stanowczo. – Ona chciałaby, żebyś przeżyła. Wiesz o tym, prawda? – Nie odpowiedziałam. – Nie pozwól, żeby jej śmierć poszła na marne.

Popchnął mnie w stronę nabrzeża. Szłam z trudem, bo myśl, że ją tu porzucam, była nie do zniesienia. Jednak ona umarła. I nawet gdybym tu

została, nie przywróciłoby to jej do życia. Niechętnie pozwoliłam, żeby zabrał mnie znad rzeki w bezpieczne miejsce, ale każdy krok wydawał mi się zdradą przyjaciółki, którą zostawiałam za sobą.

Gdy zbliżyliśmy się do ulicy, spojrzałam na dywan z gwiazd na nocnym niebie. Wydawały się prawie niebieskie i każda z nich była jakby jedną z istot, która stała się wolna. Zobaczyłam ją wśród gwiazd i wiedziałam, że ważne, bym żyła za nas obie. Teraz widziałam gwiazdozbiory, które oglądałyśmy razem tamtej nocy, gdy się poznałyśmy, i ona zaprowadziła mnie do domu.

Kiedy doszliśmy do mostu, obejrzałam się przez ramię. Kraków, jedyne miasto, które znałam, leżało pogrążone w ciemności, z wyjątkiem pasa nieba, które różowiało na horyzoncie od wschodu. Nadal szalała wojna, moje rodzinne miasto było okupowane. A ja je opuszczałam. Rosło we mnie poczucie winy.

Nie, nie opuszczałam, poprawiłam się. Wyjeżdżałam, ale miałam znaleźć sposób, by walczyć i uczcić jej pamięć.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak – powiedziałam, biorąc go za rękę. Spletliśmy palce i razem zrobiliśmy pierwszy krok ku wolności.

Epilog

Kraków

Czerwiec 2016

Kobieta, którą widzę przed sobą, nie jest wcale tą, której się spodziewałam.

Podchodząc do stolika, przyglądam się kobiecie, która jeszcze mnie nie widzi. Chociaż musi mieć powyżej pięćdziesięciu lat, jej gładka skóra i doskonała postawa sprawiają, że wygląda na znacznie mniej. W przeciwieństwie do mnie nie uległa modzie na krótkie włosy, uznane za odpowiednie dla osób w starszym wieku, ale siwe loki nosi zwinięte w niedbały węzeł na czubku głowy, co podkreśla jej kości policzkowe i wyraziste rysy. Ma iście królewski wygląd.

Jednak z bliska wygląda rzeczywiście jakoś inaczej, niż się spodziewałam. Jest w niej coś znajomego. Mówię sobie, że to na pewno wynika z moich przewidywań, poszukiwań i oczekiwania. Chwila, o której tak długo marzyłam, właśnie nadeszła.

Oddycham głęboko, przygotowując się.

– Pani Ella Stepanek?

Nie odpowiada, ale mruży oczy. Deszcz, który ustał tak szybko, jak przyszedł, sprawił, że inni klienci schronili się wewnątrz kawiarni. Jednak ona, niezrażona, dalej siedzi na dworze. Gdy zwraca na mnie spojrzenie swych ciemnobrązowych oczu, odbija się w nich zakłopotanie.

– Czy ja panią znam?

– Nigdy się nie spotkałyśmy – mówię łagodnie. – Ale znała pani moją siostrę, Sadie. Jestem Lucy Gault – przedstawiam się panięmskim nazwiskiem, tak jak nazywali się moi rodzice i siostra, których nigdy nie dane mi było poznać.

Starsza kobieta patrzy na mnie, jakby zobaczyła ducha.

– Ale jak to możliwe?

Próbuje wstać, ale kolana jej drżą, więc łapie się za brzeg stolika tak mocno, że rozlewa herbatę z filiżanki i zmoczony obrus robi się ciemnoniebieski.

– To nie może być prawda. Byliśmy pewni, że nie żyjesz.

Kiwam głową, a w gardle rośnie mi gęsia, jak zawsze kiedy myślę, jak nieprawdopodobne jest to, że przeżyłam. Biorąc wszystko pod uwagę, nie powinnam żyć. Urodziłam się w kanale, ukryta przed Niemcami, którzy chcieli zlikwidować kolejne pokolenie Żydów i zabijali ich bez litości. Przed oczami miałam setki tysięcy zamordowanych dzieci. Powinnam być wśród nich.

Jednak jakimś cudem, mając siedemdziesiąt dwa lata, nadal jestem na świecie.

– Jak to się stało? – pyta ponownie starsza kobieta.

Waham się i szukam odpowiednich słów, żeby to wyjaśnić. Chociaż wyobrażałam sobie ten moment setki razy i próbowałam się przygotować, nie wiem, jak zacząć.

– Mogę się dosiąść? – pytam.

– Proszę. – Gestem wskazuje krzesło obok siebie.

Siadam i odstawiam filiżankę z kawą na spodeczek przede mną.

– Jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, ale urodziłam się w kanale. O tym pani wie, prawda? I o tym, że moja mama mnie stamtąd wyniosła?

Ella kiwa głową.

– Twoja mama próbowała zabrać cię do katolickiego szpitala, o którym słyszała, że pomaga ukrywać żydowskie dzieci.

– Tak, ale zanim do niego dotarła, pewien katolicki ksiądz zobaczył mamę na ulicy. Była w kiepskim stanie, a on ostrzegł ją, że nie jest bezpiecznie oddawać tam dziecko. Sam ukrył niemowlę, a potem zaprowadził mamę do szpitala na kurację. Tylko mama przebywała w szpitalu, gdy przyszli po nią Niemcy. Ja zostałam uratowana, a później adoptowało mnie pewne polskie małżeństwo. Moi przybrani rodzice, Jerzy i Anna, byli wspaniałymi ludźmi i dobrze mi się żyło. Zdecydowali się wyemigrować do Ameryki, gdy miałam pięć lat, i spędziłam szczęśliwe dzieciństwo w Chicago. Kiedy byłam już odpowiednio dorosła, przekazali mi tę garść wiadomości na temat mojej przeszłości, które sami znali. Reszty dowiedziałam się od Pawła.

– Tego robotnika z kanałów? – Ella wygląda na zdumioną. – Ale on przecież został aresztowany za udzielanie pomocy Żydom. Przypuszczałam, że zmarł w więzieniu.

– Tak, zatrzymali go. Ale jakoś wymigał się od więzienia i wrócił do domu.

– Pawłowi udało się przeżyć! – Oczy Elli wypełniły się łzami. – Nie miałam pojęcia.

– Po zwolnieniu Paweł wrócił do kanału sprawdzić, co z Sadie i innymi, którym pomagał. Nie znalazł ich tam. Najpierw pomyślał, że wszyscy zostali złapani. Potem zrozumiał, że uciekli z kanałów, a przynajmniej próbowali. Nie wiedział, dokąd poszli ani czy to w ogóle zrobili. Jednak wiedział, że przynajmniej moja mama, która urodziła dziecko, wyszła z kanału, by je ukryć.

Przerywam opowieść, gdy zjawia się kelner i nalewa kawę. Kiedy znowu odchodzi, mówię dalej:

– Przede wszystkim to Paweł powiedział mojej mamie o szpitalu. I poszedł tam jej szukać. Dowiedział się, że trafiła do szpitala, ale bez dziecka. Poszperał trochę głębiej i odnalazł księdza, który mnie uratował i który poinformował go, komu mnie oddał. Kiedy byłam starsza, przez wiele lat korespondowałam z Pawłem. Opowiedział mi o mojej rodzinie.

Jednak na bardzo wiele pytań nie potrafił odpowiedzieć. Więc przyjechałam tutaj, żeby więcej się o nich dowiedzieć, a przynajmniej o mojej siostrze.

Właśnie tego pragnęłam – odnaleźć ostatnie ogniwo łączące mnie z siostrą, której nie znałam, i póki jeszcze to możliwe, wysłuchać historii, które przywrócą ją do życia. Dlatego przebyłam całą tę drogę. Cała moja rodzina została zabita, zanim zdążyłam ją poznać. Miałam dobre życie, kochającego męża, dwoje dzieci, a teraz wnuczęta. Ale zawsze czegoś mi brakowało; w miejscu, gdzie powinna być moja przeszłość, była wyrwa. Chciałam poznać ludzi, których straciłam.

Kładę bukiet kwiatów na stoliku.

– To dla pani.

Ella nie bierze kwiatów, ale wpatruje się w nie przez kilka sekund.

– Mama miała rację – szepcze do siebie.

– Słucham?

– Powiedziała, że jeszcze kiedyś dostanę kwiaty.

Jej słowa wprawiają mnie w zakłopotanie i zastanawiam się, czy moje niespodziewane pojawienie się nie jest dla niej zbyt dużym wstrząsem. Kobieta zaciska wargi, jakby miała coś jeszcze do dodania, ale nic nie mówi.

– Więc jak mnie pani odnalazła? – wciąż zadaje więcej pytań, niż udziela odpowiedzi.

– Dzięki Saulowi.

– Saulowi? – Ella uśmiecha się, wymawiając znane sobie imię, rysy wokół jej ust się pogłębiają. Oczy są radosne. – To on żyje?

– Tak, jest wdowcem, mieszka w Kalifornii z licznymi dziećmi i wnukami. Ale nigdy nie zapomniał o Sadie.

– Mimo wszystko dokonał tego – mówi z drzeniem, jakby bardziej sama do siebie niż do mnie.

– Paweł przed śmiercią opowiedział mi o Rosenbergach, którzy także mieszkali w kanale – wyjaśniam. – Po wielu latach udało mi się odnaleźć Saula. Od niego dowiedziałam się bardzo wiele o mojej rodzinie. Podczas ucieczki został rozdzielony z Sadie i nigdy nie udało mu się dowiedzieć, co się z nią stało. Jednak powiedział mi, że miała przyjaciółkę, dzielną polską dziewczynę, Ellę Stepanek, która pomogła im uciec. Rozpoczęłam poszukiwania, starając się odnaleźć kobietę, która pomagała mojej siostrze. Przez wiele lat biłam głową w mur, ale po upadku komunizmu dotarłam do polskich archiwów. Dowiedziałam się, że była taka młoda osoba, Ella Stepanek, walcząca w Powstaniu Warszawskim. Pomyślałam, że to mogła być pani. – Ona mruga, ale nie odpowiada. – Więc przyjechałam, żeby panią odnaleźć.

Nawet teraz, gdy siedzi przede mną, nadal mi coś nie pasuje.

Gdy wpatruję się w znajomy kształt jej oczu, jakby coś mnie tknęło. Już wiem, że znalazłam nie tę kobietę, której szukałam.

– Tylko że pani nie jest Ellą, prawda? – Nie odpowiada. Jej ładna porcelanowa skóra robi się jeszcze bielsza. – A przynajmniej nie zawsze pani nią była.

Jej dłoń, leżąca na krawędzi stołu, zaczyna znowu drżeć.

– Nie, nie zawsze – odpowiada głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Nagle dociera do mnie prawda, która niemal zwała mnie z nóg, i cisną mi się słowa tak niewiarygodne, że ledwie śmiem je wypowiedzieć na głos.

– Zatem przypuszczam, że pani musi być Sadie – mówię powoli.

– Tak. – Wyciąga dłoń i dotyka mojego policzka drżącymi palcami.
– Och, moja mała siostrzyczko...

Potem, bez ostrzeżenia, kobieta, którą poznałam kilka minut temu, pada mi w ramiona. Kiedy ją obejmuję, mój umysł pracuje szybko. Przyjechałam tutaj szukać informacji o mojej siostrze. Zamiast tego znalazłam ją samą.

Po kilku sekundach odsuwamy się od siebie. Wpatruję się w nią, gdy coraz mocniej uświadamiam sobie, że Sadie, moja siostra, żyje. Kurczowo trzyma się mojego ramienia jak tratwy ratunkowej, nie pozwalając mi odejść.

– Ale jak to możliwe? – pytam. – Przez te wszystkie lata myślałam, że umarłaś w kanale.

Oczywiście, przeszukałam każde możliwe archiwum w poszukiwaniu dokumentów dotyczących mojej siostry, Sadie Gault. Jednak tylko w książkach meldunkowych getta znalazłam zaświadczenie, że tam mieszkała, a potem ślad się urywał. Wiedziałam od Pawła i Saula, że uciekła do kanałów z naszymi rodzicami i że zarówno nasza matka, jak i ojciec zmarli. Przypuszczałam, że Sadie również zginęła.

– Kiedy przyszłaś na świat, zrobiło się bardzo trudno – zaczyna Sadie. – Nie mogliśmy trzymać tam dziecka, bo jego płacz mógł nas zdradzić. Więc mama zabrała cię i poszła szukać jakiejś bezpiecznej kryjówki. Zostawiła mnie z Rosenbergami, czyli Saulem i jego rodziną.

Czuję, jakie to musiało być dla niej straszne, zostać tam bez mamy. Mogła mnie za to znienawidzić.

– Mama już nigdy nie wróciła. Zmarła w szpitalu.

Jej oczy napełniają się łzami. Ja też od nowa odczuwam smutek na myśl o mamie, której nie znałam, a którą opłakiwałam przez całe życie.

Sadie kontynuuje opowieść:

– Kilka tygodni po odejściu mamy do kanału zeszła Ella, żeby nas ratować. Powiedziała, że nasza kryjówka została odkryta i nie jesteśmy tam już bezpieczni. Musieliśmy uciekać. Jednak Niemcy zaminowali

kanał i gdy staraliśmy się uciec, kilka min wybuchło. Ściany kanału się zawaliły, rozdzielając Ellę i mnie z Saulem i jego ojcem. Próbowaliśmy uciec inną drogą, przez zbiornik wodny, ale został zatopiony. Ja nie umiałam pływać. Ella mnie uratowała. – Gdy wraca myślami do wspomnień, znowu ma oczy pełne łez. – Ale ściany zbiornika również się zapadły i zalała nas woda. Fala rzuciła Ellę na ścianę i została ciężko ranna. Zmarła, zanim udało nam się wyjść.

– Tak mi przykro – mówię, widząc ból w jej oczach. Staram się wyobrazić sobie koszmar, przez jaki przeszła, ale stwierdzam, że nie potrafię.

– Wydostałam się z kanału, ale sama byłam poważnie ranna. Saul i jego ojciec odeszli już zbyt daleko, by ich dogonić.

– Więc zostałeś zupełnie sama?

– Nie, był jeszcze ktoś. Młody Polak o imieniu Krzysztof, który kochał Ellę. Należał do Armii Krajowej. Miał pomóc Elli wydostać nas z kanału, ale został złapany przez Niemców. Kiedy przewozili go do innego więzienia, zdołał uciec i wrócił nad kanał. Było za późno, by pomóc Elli, ale znalazł mnie. Zamierzał iść do partyzantki. Poszłam z nim, żeby się przyłączyć i zrobić wszystko, co będę mogła.

– Co się z nim stało? – pytam niecierpliwie. Nagle interesuje mnie los mężczyzny, który odegrał sporą rolę w przetrwaniu naszej rodziny.

– Poległ w Powstaniu Warszawskim, ale myślę, że jakaś część jego duszy umarła w tym momencie, gdy poznał straszną prawdę o śmierci Elli. To był dobry człowiek. – Jej oczy zaszyły łzami. – A mnie jakoś udało się przeżyć powstanie.

– Byłaś bardzo dzielna – mówię.

– Ja? – Sadie robi wrażenie zdumionej. – Ja nic nie zrobiłam. Ella, Krzyś, Paweł, to oni byli odważni.

Kręcę głową, uśmiechając się w duchu. Poszukiwania rodziny sprawiły, że stałam się swego rodzaju historykiem amatorem i w ciągu

tych lat poznałam wiele osób, które przeżyły wojnę. Każda z nich wydawała się pomniejszać swoją rolę w wydarzeniach, przyznając główne zasługi komuś innemu.

– Ty też byłaś dzielna – upieram się. – Saul opowiadał mi o wielu twoich odważnych czynach.

– Saul... – Sadie uśmiecha się, jakby zatopiona we wspomnieniach. – On był moją pierwszą miłością. Próbowałam odnaleźć go po wojnie, ale nie miałam pojęcia, gdzie szukać. A potem, kiedy dotarłam do archiwów, cóż, jaki byłby sens? Przypuszczałam, że poszedł swoją drogą i ma swoje własne życie.

– Jednak nigdy o tobie nie zapomniał. Jestem pewna, że byłby zadowolony, gdyby dostał wiadomość od ciebie.

– Możliwe... – Zacina się, a w jej wahaniu, czy zmierzyć się z przeszłością, rozpoznaję po trosze siebie, taką samą niechęć, która niemal powstrzymała mnie przed przejściem przez Rynek i odnalezieniem siostry. Część przeszłości odeszła zbyt daleko, by po nią sięgać.

– Ale czemu używałaś nazwiska Elli przez te wszystkie lata? – pytam.

– Przed śmiercią Ella dała mi swoje dokumenty. Źle się z tym czułam, ale tylko one mogły mi pomóc w wydostaniu się z miasta. Początkowo używałam ich, żeby uchodzić za nie-Żydówkę. Po wojnie postanowiłam zatrzymać jej nazwisko i tak żyć dalej dla jej upamiętnienia. Sadie Gault umarła, a i tak nie miała nikogo. A Ella Stepanek mogła zacząć wszystko od nowa. Pojechałam do Paryża, żeby opowiedzieć jej bratu Maciejowi, co się z nią stało. Zamieszkałam tam i zrealizowałam swoje marzenia o studiach medycznych. Byłam lekarzem pediatrą, a jakiś czas temu przeszłam na emeryturę.

– Nie wróciłaś do Krakowa po wojnie?

Kręci głową.

– Ale po upadku komunizmu Maciejowi udało się odzyskać rodzinny dom w Krakowie, należący wcześniej do niego i Elli. Państwo przejęło go po wojnie, gdy jej macocha została aresztowana jako kolaborantka. Zapisał mi go w testamencie. To piękny dom niedaleko stąd. Jednak nie przeprowadziłam się tam. Wiąże się z nim zbyt wiele bolesnych wspomnień. Sprzedałam go i teraz mam niewielkie mieszkanie. – Patrzy na drugą stronę Rynku. – Mieszkałam w różnych miejscach na całym świecie. W końcu wróciłam do domu. Dziwnie się czułam, przyjeżdżając tu z powrotem po tylu latach za granicą. Jednak było tu coś, co przemawiało do mojej duszy. Teraz tu jest mój dom.

– A co się stało z macochą Elli, tą kolaborantką? – pytam.

Ta kobieta nic dla mnie nie znaczy, ale mimo to jestem ciekawa, bo chcę poznać wszystkie elementy całej historii.

– Zmarła w więzieniu, zanim stanęła przed sądem. Nie była miłą osobą i zadała Elli wiele bólu. Ale wcale jej nie życzyłam, aby jej samolubne życie tak smutnie się skończyło.

Staram się przetrwać to, czego się dowiedziałam. Moja siostra i ja żyłyśmy przez te wszystkie lata, nie wiedząc o swoim istnieniu. Straciłyśmy tak wiele czasu.

– Opowiadaj – mówię, przysuwając bliżej krzesło.

Odnalazłam nie tylko siostrę, ale skarbnicę wiedzy o naszej nieznanej mi rodzinie. Mogłam teraz zapełnić czyste karty historii, o której myślałam, że jest nieodwołalnie stracona.

– Chcę się dowiedzieć wszystkiego na temat rodziców i naszej rodziny przed wojną.

Chcę wiedzieć więcej niż tylko to, jak zmarli. Chcę zrozumieć, jak żyli.

Ale Sadie kręci głową.

– Nie potrafię ci tego opowiedzieć.

Zastanawiam się, czy chodzi o to, że – tak jak w przypadku mnóstwa ocalałych osób – przeszłość jest dla niej zbyt bolesna, by o niej mówić. Sadie wstaje, jakby zamierzała odejść. Rośnie we mnie niepokój. Straciłyśmy już tyle lat. Może jest za późno.

– Pozwól, że coś ci pokażę – podaje mi rękę.

Podnoszę się.

– Chciałabym zobaczyć, gdzie mieszkała nasza rodzina.

– Mogę ci pokazać, gdzie było nasze mieszkanie przed wojną, a nawet miejsce, gdzie mieszkaliśmy na terenie getta – proponuje.

– Ale nie kanał?

Chociaż brzmi to koszmarnie, jest we mnie jakaś ciekawość tego okropnego miejsca, gdzie się urodziłam, stanowiącego istotny ślad naszej historii.

– Obawiam się, że nie. Kanał został zamknięty dawno temu. Kiedyś rozważałam, czy nie zejść tam na dół. Ale tak jest zdecydowanie lepiej.

Kiwam potakująco. Chociaż się tam urodziłam, to przecież kanał nie ma znaczenia dla tego, kim jesteśmy, to tylko niewielki fragment naszego różnorodnego życia.

– Są inne miejsca – dodaje Sadie – takie, gdzie chodziliśmy z tatą spacerować i bawić się, a także pomnik w getcie.

Zamyślam się, jak te niewielkie elementy układanki uzupełnią w końcu naszą rodzinną historię.

– Czy miałaś dzieci?

– Nie, nigdy nie wyszłam za mąż. Nigdy nie miałam własnej rodziny, przynajmniej aż do teraz. – Ścisną mnie za rękę. – Jestem zupełnie sama.

Uśmiecha się pogodnie, ale coś w jej głosie sugeruje, że ma na myśli więcej, niż chce przyznać.

– Już nie.

Jej palce splatają się z moimi, ma pomarszczoną skórę, ale uścisk jest stanowczy i silny. Wtedy zauważam naszyjnik schowany pod kołnierzykiem.

– Co to?

Sadie wyciąga łańcuszek otaczający jej szyję, by pokazać mały złoty wisiołek z hebrajskimi literami tworzącymi napis *chai*. Sadie postanowiła żyć pod przybranym nazwiskiem Elli, ale nie wyparła się całkowicie żydowskiej religii naszej rodziny.

– Należał do naszego ojca. Ella ukrywała go dla mnie w czasie wojny i w końcu dostałam go od niej z powrotem.

Sięga do tyłu, rozpiną zameczek i wręcza mi naszyjnik.

– Teraz powinien należeć do ciebie.

– Nie trzeba – protestuję – przecież jest twój.

Ale to jedyna pamiątka po naszej rodzinie, jaką bym miała, i jestem w głębi duszy uszczęśliwiona, gdy Sadie zaciska mi palce wokół łańcuszka.

– Nasz – poprawia mnie. – Chodź. Tyle jest do obejrzenia. Zaczniemy teraz, chociaż jest już późno.

Przez chwilę jestem przytłoczona.

– Zamierzałam jutro wyjechać.

Już gdy to mówię, wiem, że nie wyjadę tak szybko, skoro odnalazłam siostrę. Wspólne odtwarzanie historii naszej rodziny potrwa więcej niż jeden dzień. Będziemy wytyczać ten szlak przez dłuższy czas, kamień po kamieniu, póki jeszcze obie jesteśmy w stanie.

– Muszę sprawdzić, czy mogę przedłużyć pobyt w hotelu.

– Zostań u mnie – nalega Sadie. – Będziemy mieć w ten sposób więcej czasu, żeby nadrobić zaległości. Mam śliczne mieszkanie na

Kazimierzu, na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej.

– Czy widzisz stamtąd gwiazdy? – pytam. Z jakiegoś powodu astronomia zawsze mnie pasjonowała.

– Wszystkie – uśmiecha się Sadie. – Chodź, to ci pokażę.

Od autora

Do napisania niniejszej książki zainspirowały mnie w znacznym stopniu prawdziwe losy niewielkiej grupy Żydów, którzy przeżyli II wojnę światową w kanałach Lwowa. Opisana przeze mnie historia, rozgrywająca się w Krakowie, jest całkowicie fikcyjna. Jednak starałam się wiernie oddać heroizm tych dzielnych ludzi i tych, którzy im pomagali. Chciałam również ukazać sposoby, dzięki którym udało im się przetrwać. Jeśli pragnęlibyście przeczytać więcej na temat tego, co naprawdę się zdarzyło, polecam książkę *W kanałach Lwowa* Roberta Marshalla.

Podziękowania

Podobnie jak rok 2020, także ta książka wydawała się skazana na niepowodzenie od samego początku i pod wieloma względami.

Jej dzieje zaczęły się w grudniu 2019 roku, kiedy (piszę to tym razem poważnie) oddałam wydawcy książkę, która nie była całkiem dobra. Zgodziliśmy się, że muszę ją w zasadzie zacząć od nowa, co mi się nigdy przedtem nie zdarzyło. Po pięciu minutach pojękiwań przypominałam sobie cytaty z drugiej części *Ojca chrzestnego*: „taki rodzaj zajęcia sobie wybraliśmy”, i zabrałam się do zadania, które należało wykonać. Wyrzuciłam dziewięćdziesiąt procent tekstu i zaczęłam przerabiać go z oszalamiającą prędkością, mając przed sobą mało realny cel ukończenia go w ciągu pięciu miesięcy.

Aby to osiągnąć, mój zwyczaj pisania od godziny piątej rano nagle musiał zostać zastąpiony pisaniem od czwartej.

Przerabiając książkę, postanowiłam przenieść jej akcję do Krakowa i planowałam odbyć podróż studyjną do Polski. (Kiedy byłam młodsza, przez kilka lat mieszkałam w Krakowie. Jednak ze względu na obowiązki rodzinne, nie byłam tam od niemal dwudziestu lat). Zarezerwowałam wylot na 11 marca 2020 roku. W tym samym tygodniu wybuchła pandemia COVID-19 i większość międzynarodowych podróży została zakazana. Odwołanie wyjazdu wyszło mi na dobre, bo w dniu przewidywanego lotu do Polski wylądowałam w szpitalu w związku z pilną operacją wyrostka robaczkowego. Gdy wróciłam do domu po hospitalizacji, na świecie wprowadzono lockdown z powodu pandemii i obowiązkową kwarantannę. Jak wielu z was, musiałam przystosować się do nowych warunków: domowych lekcji moich trojga dzieci i prowadzenia zdalnego nauczania, a to wszystko podczas kończenia niniejszej książki.

Mimo to *Kobieta z niebieską gwiazdą* ujrzała światło dzienne. Nie zamierzałam pisać książki, która odnosiłaby się do pandemii. Jednak

podczas pisania odkryłam, że problemy dotyczące radzenia sobie z izolacją i niepewną przyszłością są znacznie bardziej aktualne w obecnej sytuacji świata, niż mogłabym sobie w ogóle wyobrazić.

Kiedy to piszę w końcu sierpnia 2020 roku, ciągle podlegamy lockdownowi, a bardzo wiele spraw, które uważaliśmy za pewne, nadal jest nieosiągalnych. Chociaż tworzę w samotności, jestem osobą dobrze funkcjonującą w społeczeństwie. Tęsknię za szkołą podstawową moich dzieci, za mamami na placu zabaw, za swoimi kolegami i studentami z Rutgers Law School, za synagogą i Żydowskim Domem Kultury oraz za pięcioma bibliotekami, którym pomagam co tydzień. Chcę chodzić do mojej miejscowej niezależnej księgarni i znowu przytulać się do czytelników.

Ale mimo że przeżywamy tak wiele trudności, nadal istnieje tyle jasnych punktów ile gwiazd na niebie, o których widoku marzyła uwięziona w kanale Sadie. Cały czas kwitnie wspólnota czytelników i pisarzy. Niezależnie od miesięcy oddalenia od miłośników książek ciągle czuję waszą obecność. Cieszę się, że książki nadal bywają ostatnią deską ratunku i że społeczność autorów pomaga sobie nawzajem, jestem wdzięczna bibliotekarzom, niezależnym księgarniom i księgarzom, znajdującym sposoby, by książki trafiały do naszych rąk; witrynom internetowym, blogerom i influencerom rozumiejącym, że twórcy i czytelnicy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej pragną teraz wzajemnych kontaktów; gromadzie wspierających się pisarzy, i czytelnikom, którzy zawsze w nas wierzą.

Ta książka nie powstałaby bez bardzo wielu osób. Jestem dozgonnie wdzięczna mojej „drużynie marzeń”: mojej ukochanej agentce, Susan Ginsburg i mojej wspaniałej redaktorce – która jest nawet kimś więcej niż współautorką – Erice Imranyi, za ich pasję i zaangażowanie w doskonalenie niniejszej powieści. Najgłębsze podziękowania składam również mojemu cudownemu wydawcy, Emerowi Floundersowi i wielu utalentowanym osobom z Writers House and Park Row oraz Harlequin i HarperCollins. (Myślę o Craigu, Lorianie, Heather, Amy, Randy,

Natalie, Catherine i tylu innych!). Moja wdzięczność za poświęcony przez nich czas i talent jest zawsze olbrzymia, a tym bardziej teraz, gdy nie ustawali w działaniach w tych wymagających i bezprecedensowych czasach.

Jestem także bardzo wdzięczna wielu osobom w Krakowie, które zapewniły mi wsparcie i służyły wiedzą. Przede wszystkim moim drogim przyjaciółkom, Barbarze Kotarbie i Eli Konarskiej z Konsulatu Stanów Zjednoczonych w Krakowie, które pomogły mi zaplanować podróż, gdy sądziłam, że przyjadę pod Wawel, i umożliwiły mi korzystanie na odległość ze źródeł, gdy okazało się, że tam nie dotrę. Dziękuję Annie Marii Baryle za jej wskazówki dotyczące Krakowa i języka polskiego oraz Jonathanowi Ornsteinowi z Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie za skontaktowanie nas, a Bartoszowi Hekselowi za uwagi na temat krakowskich kanałów. Jestem zobowiązana niesamowitej redaktorce, weryfikującej fakty Jennifer Young i adiustatorce Bonnie Lo. Jak zwykle winę za wszelkie błędy ponoszę wyłącznie ja.

Chciałabym również podziękować wszystkim pracownikom sektora publicznego. Myślę o lekarzach, pielęgniarzach i innych pracownikach medycznych, których wspierałam pracę miałam okazję poznać osobiście podczas pobytu w szpitalu. Jestem także bardzo wdzięczna sprzedawcom ze sklepów spożywczych, dostarczających nam jedzenie, wszystkim dostawcom niezbędnych artykułów, nauczycielom, pojawiającym się codziennie w pracy, osobiście lub online. Nie moglibyśmy nic bez was zrobić.

Najtrudniejszą rzeczą podczas kwarantanny było niewątpliwie odseparowanie od osób, które kochamy. Przesyłam wyrazy miłości i wdzięczności mojej mamie, Marshy, która jest dla nas wszystkim, pomaga przy dzieciach i opiekuje się naszym szczeniakiem, i robi wszystko, bym mogła pisać; mojemu bratu Jayowi, moim teściom, Annie i Wayne'owi; drogim przyjaciołom Stephowi, Joanne, Andrei, Mindy, Sarze i Brya. Może wkrótce będziemy znowu wszyscy razem.

W końcu, i przede wszystkim, dziękuję z miłością tym, którzy wytrzymali ze mną podczas kwarantanny: mojemu kochanemu mężowi Phillipowi i moim trzem małym Muzom. Jestem wdzięczna za czas spędzony wspólnie w domu, jaki w ten sposób zyskałszy, za leniwe poranki, długie spacery i niezliczone godziny na podwórku. Szczególnie podziwiam odporność moich dzieci i więź między nimi, dzięki której to wszystko było łatwiejsze do zniesienia. One dają mi nadzieję, że wyjdziemy z tego silniejsi i bliżsi sobie nawzajem, gotowi do dalszej walki.